



Cathy
Glass

Słotkiwdroma



pisane przez życie

Skrzywdzona

Catty Glass

Szantaż emocjonalny

Usłyszałam telefon. Dzwoniła Jill, mój łącznik z Agencji Opieki Zastępczej „Homefinders”, do której należałam.

- Cathy, to nie dwóch opiekunów, tylko pięciu! - powiedziała. - Pięciu, od kiedy trafiła pod naszą opiekę cztery miesiące temu!

- Mój Boże... - zdziwiłam się. - I ona ma tylko osiem lat? To fatalnie. Co ma się z nią stać?

- Nie wiem jeszcze na pewno, ale pomoc społeczna chce spotkania przed powierzeniem jej kolejnym opiekunom. Chcą mieć pewność, że dalszych zmian już nie będzie. Jesteś ciągle zainteresowana?

- Nie wiem wystarczająco dużo, żeby nie być. Kiedy?

- Jutro o dziesiątej rano.

- OK, to zobaczymy się na miejscu. Jak ma na imię?

- Jodie. Dzięki, Cathy. Jeśli ty tego nie zrobisz, nikomu się nie uda.

Z przyjemnością przyjąłam komplement. Miło było zostać docenioną po tych wszystkich latach. Pracowałyśmy z Jill razem od *czterech lat* i panowały między nami dobre relacje. Jako łącznik Jill była jakby pomostem między opiekunami zastępczymi a pracownikami socjalnymi zajmującymi się danym podopiecznym. Koordynowała pracę opiekunów zastępczych z wymaganiami pomocy społecznej i w razie potrzeby służyła radą oraz pomocą. Niedoświadczeni opiekunowie zastępczy często potrzebowali od swojego łącznika sporego wsparcia i wielu objaśnień dotyczących działania systemu. Jako że pracowałam z Jill od dłuższego czasu i byłam już doświadczonym opiekunem, przywykłyśmy do siebie i dobrze się rozumiwałyśmy. Jeśli mówiła, że poradzę sobie z tym zadaniem, to z pewnością była o tym przekonana.

Ale spotkanie *jeszcze przed* powierzeniem dziecka nowej rodzinie zastępczej? Musiało być naprawdę źle. Zwykle dzieci przyprowadzano do nowego domu albo z krótkim wprowadzeniem - jeśli przychodziły od innego opiekuna, albo tylko z tym, co miały na sobie - jeśli zabrano je z domu. Miałam już spore doświadczenie z obydwoma scenariuszami, ale *jeszcze* żadnego ze spotkaniem „przedpowierzeniowym”. Zwykle organizowano spotkanie wszystkich osób zaangażowanych w sprawę, gdy tylko dziecko trafiło pod opiekę *zastępczą*, *ale nie* byłam jeszcze na takim, które odbywałoby się wcześniej.

To było moje pierwsze *przecucie*, że sprawa nie jest zwyczajna.

Nazajutrz rano wszystko toczyło się zwykłym torem, codzienna rutyna wstawania, ubierania się i wspólnego śniadania, potem dzieci wyszły do szkoły. Miałam dwójkę własnych, Adriana, który miał siedemnaście lat, i najmłodsza, trzynastoletnia Paulę. Lucy, która dwa lata wcześniej dołączyła do nas jako do rodziny *zastępczej*, miała piętnaście lat i była członkiem rodziny, tak jakby była dla mnie córka, a dla Adriana i Pauli siostra. Była przykładem szczęśliwej historii: trafiła do mnie zraniona i zła, ale z czasem nauczyła się na nowo ufać i w końcu odzyskała równowagę. Jeśli coś ją niepokoiło, to już tylko zwykłe troski nastolatków, a nie problemy, z którymi borykała

się jako dziecko. Byłam z niej dumna. Stanowiła niejako dowód na moje przekonanie, że miłość, łagodność, troska i stałe zasady są podstawa tego, czego każde dziecko potrzebuje, by móc się rozwijać.

Gdy tamtego ranka patrzyłam na *dzieci* wychodzące do szkoły, poczułam ukłucie niepokoju. Dziewczynka, o której miałam się dziś dowiedzieć, najprawdopodobniej potrzebowałaby tego wszystkiego ponad miarę. Gdybym miała ją *przyjąć* pod swój dach, musiałabym być gotowa pożegnać się na jakiś czas z relatywnie spokojną rutyną dnia codziennego, dopóki nie nauczyłaby się ufać mi i nie odzyskałaby równowagi, tak jak Lucy. O to jednak chodziło w opiece *zastępczej*; *nie* była w *żadnej* mierze łatwa, ale dawała taką ogromną radość. Poza tym byłam opiekunem zastępczym od ponad dwudziestu lat i nie miałam pewności, czy naprawdę pamiętam, jak wcześniej wyglądało moje życie.

Gdy tylko dzieci wyszły do szkoły, poszłam na górę, zmieniłam dres na eleganckie granatowe spodnie i sweterek i pojechałam do Ośrodka Pomocy Społecznej. Jeździłam tam od lat, znałam drogę tak dokładnie, jak tę do własnego domu. Znałam też wyśmienicie brązowoszare ściany, jarzeniowe oświetlenie, atmosferę wiecznego ruchu i ledwo opanowywany chaos.

- Cathy? Cześć!

Gdy weszłam do recepcji, Jill podniosła się, żeby się ze mną przywitać. Czekwała na mój *przyjazd*. Podeszła do mnie z zapraszającym uśmiechem.

- Cześć, Jill. Jak się masz?

- A, dziękuję, w porządku. Dobrze wyglądasz.

- Faktycznie, jestem teraz w dobrym momencie. Dzieci nieźle sobie radzą, całkiem pochłonięte swoim światem i szkołą. Myślę, że czas na kolejne wyzwanie. - Uśmiechnęłam się do niej.

— Chodźmy lepiej na to spotkanie. Myślę, że czekają już tylko na nas.

Jill poprowadziła mnie korytarzem do pokoju zebrania. Gdy tylko weszliśmy do środka, stało się jasne, że sprawa była naprawdę poważna: wokół ogromnego owalnego mahoniowego stołu siedziało już blisko tuzin osób. Co to miało znaczyć? Z tego, co powiedziała mi wcześniej Jill, mogłam wywnioskować, że sytuacja nie była zwyczajna - niewiele dzieci przechodziło przez pięć rodzin zastępczych w ciągu czterech miesięcy. Z drugiej jednak strony, które dziecko było zwyczajne? Wszystkie były niepowtarzalne, a ich problemy specyficzne. Zabranie dziecka od rodziców nigdy nie było banalnym, codziennym wydarzeniem. To zawsze było traumatyczne, pełne emocji i trudne. Coś mi jednak mówiło, że ta sprawa będzie o wiele bardziej skomplikowana niż te, przez które do tej pory przeszłam. *Znów* poczułam ukłucie niepokoju - jak dzień wcześniej, gdy Jill po raz pierwszy powiedziała mi o tej dziewczynce - ale byłam też ciekawa. Cóż to musiało być za dziecko, żeby tyle osób było tak zaangażowanych w sprawę?

Zajęliśmy z Jill dwa wolne krzesła na samym końcu stołu, a ja czułam, że wszyscy patrzą na mnie, oceniając, czy jestem odpowiednią osobą.

Spotkanie prowadził Dave Mumby, szef zespołu z pomocy społecznej, i to on zaczął rundę przedstawiania się. Po jego lewej stronie siedziała Sally, kurator z urzędu, wyznaczona przez sąd do reprezentowania interesów Jodie. Kobieta obok niej przedstawiła się jako Nicola, dochodząca nauczycielka Jodie.

Nauczycielka dochodząca? Dlaczego Jodie nie chodzi do szkoły? — pomyślałam.

Dalej był Gary, dotychczasowy opiekun społeczny Jodie. Wyjaśnił, że właśnie rezygnuje z opieki nad Jodie i przekazuje ją Eileen, która siedziała obok niego. Przyjrzałam się jej dokładniej - jeśli miałabym przyjąć Jodie do siebie, musiałabym ściśle współpracować z Eileen. Na pierwszy rzut oka była niepozorna: kobieta po czterdziestce, z niewzruszoną, spokojną aurą wokół siebie. Póki co, było dobrze.

Nie zdziwiłam się, że od razu nastąpiła zmiana opiekuna społecznego. Często się tak działo. Taka była natura tej pracy, że ludzie musieli się zmieniać. Niestety - na nieszczęście *dzieci* i zaangażowanych rodzin, które musiały się uczyć nowych twarzy, budować zaufanie i nawiązywać nowe relacje z coraz to nowymi nieznanymi. Wiedziałam co prawda, że była to część systemu, której nie można było zmienić, ale mimo to współczułam Jodie. *Zmiana* opiekuna społecznego *oznaczała*, dla niej jeszcze większe rozbitcie. Zastanawiałam się, ilu opiekunów społecznych zdążyła już mieć.

Następna przedstawiła się Deirdre. Była łącznikiem agencji dla obecnych opiekunów zastępczych Jodie. Potem przysłała moja kolej i oczy zebranych przy stole zwróciły się na mnie.

Rozejrzałam się po wszystkich, napotykając różne spojrzenia. - Nazywam się Cathy Glass - powiedziałam tak pewnie, jak tylko mogłam. - Jestem opiekunem zastępczym przy Agencji Opieki Zastępczej „Homefinders”. - Na tym etapie niewiele więcej mogłam dodać. Miałam nikłe pojęcie o sprawie, więc oddałam głos Jill.

Po Jill był jeszcze ktoś z działu księgowości i dalej członek Zespołu Powierzeń działającego przy lokalnych władzach. Gdy mówili, przyjrzałam się Garyemu, obecnemu opiekunowi społecznemu Jodie. Był młody, mógł mieć najwyżej 25 lat. Zastanawiałam się, na ile mogło mu się udać nawiązać relacje z Jodie. Może Eileen, jako kobieta, poradzi sobie lepiej w zrozumieniu małej dziewczynki, a więc może zmiana opiekuna społecznego w tym przypadku wyjdzie tylko na dobre. Taką miałam nadzieję. Gdy wszyscy obecni już się przedstawili, Dave podziękował nam za przybycie i pokrótce wyjaśnił, co się działo, lub raczej — żeby użyć właściwej terminologii — przedstawił historię przypadku. Od razu wyczułam w nim pozytywną osobę. Mówił łagodnie, ale otwarcie, a przy tym patrzył bezpośrednio na mnie. Zakodowałam sobie w głowie najistotniejsze rzeczy. Jodie była wpisana na „listę ryzyka” od chwili narodzin, co oznaczało, że pomoc społeczna monitorowała jej rodzinę od ośmiu lat. Mimo podejrzeń o emocjonalne i fizyczne molestowanie Jodie przez rodziców, nie podjęto żadnych kroków, by ją lub jej młodszego rodzeństwo - brata Bena i siostrę Chelsea - od nich zabrać. Do czasu, gdy cztery miesiące temu Jodie wywołała pożar domu, podpalając swojego psa - wzdrygnęłam się, porażona wyjątkowym okrucieństwem czegoś takiego - wtedy to ostatecznie pomoc społeczna przejęła ją i rodzeństwo pod swoją pieczę. Ben i Chelsea zostali umieszczeni u opiekunów zastępczych i dobrze sobie radzili. Tymczasem Jodie wykazywała „niezmiernie prowokujące zachowania”. Gdy usłyszałam ten eufemizm w ustach Dave'a, podniosłam brwi. Wszyscy opiekunowie zastępczy wiedzieli, co się tak naprawdę za tym kryło. Oznaczało to „poza wszelką kontrolą”.

- Sądzę, że może ci się przydać - powiedział Dave, patrząc na mnie — to, co powie teraz jej obecny opiekun społeczny. Gary zajmował się tą sprawą przez ostatnie dwa lata. Nie wahaj się zadawać pytań.

Mimo młodego wieku Gary był przekonujący i metodyczny w analizowaniu przypadku Jodie i jej rodziny.

- Obawiam się, że ogólny obraz nie jest dobry, jak pewnie przypuszczasz. Wewnątrz rodziny istnieje poważny problem. Matka Jodie wpadła w dożylną narkomanię, ojciec - w alkoholizm. W ciągu ostatnich lat Jodie niejednokrotnie była w domu ranna, czasem były to oparzenia, między innymi wrzaskiem, a także skaleczenia, siniaki i złamany palec. Wszystkie te przypadki zostały zarejestrowane w szpitalu, ale mimo że istniały podejrzenia, iż niektóre rany nie były przypadkowe, dowiedzenie, że tak właśnie było, okazało się niemożliwe.

Gary opowiadał dalej o zaniedbaniach i niepowodzeniach, a ja koncentrowałam się na chłonięciu faktów. Historia była bulwersująca, ale słyszałam wcześniej wiele podobnych. Nigdy jednak nie przestało mnie dziwić i przerażać, że ludzie mogli traktować własne *dzieci* z takim okrucieństwem i obojętnością, i już współczułam tej biednej, małej dziewczynce. Czy jakiegokolwiek dziecko mogło dorastać i być normalne w takich okolicznościach i z takimi rodzicami służącymi mu za przykład? Gary ciągnął dalej: — Ze względu na ostatnie przeprowadzki Jodie nie chodzi do szkoły, dlatego przypisano jej dochodzącego nauczyciela. Ma trudności z uczeniem się i zaświadczenie o potrzebie specjalnej troski edukacyjnej.

To było wystarczająco bezpośrednie - byłam przyzwyczajona do opieki nad dziećmi z opóźnieniami rozwojowymi

I trudnościami w nauce. Podejrzewałam jednak, że Gary podawał mi nieco zawołowaną wersję historii Jodie. Przez wszystkie lata zastępczej opieki nigdy nie słyszałam o dziecku, które przechodziłoby przez pięć różnych rodzin w ciągu czterech miesięcy. Gdy Gary przerwał i popatrzył na mnie, skorzystałam z okazji.

- Może mógłbyś mi pokrótce opowiedzieć o wcześniejszych rodzinach zastępczych? - zapytałam, mając nadzieję znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego Jodie przeszła tak szybko przez tyle domów. - Ile mieli dzieci, czy były starsze czy młodsze od Jodie? Czy opiekunowie mieli doświadczenie z takimi dziećmi?

Gary zakaszał i spojrzał nieco przebiegle. - Wcześniejsze zmiany rodzin były czysto okolicznościowe — powiedział. - Pierwsze małżeństwo debiutowało jako rodzina zastępcza i Jodie nigdy nie powinna się u nich *znaleźć* — to był błąd z naszej strony i nic dziwnego, że się nie udało.

Wydawał się wystarczająco szczery, ale gdy opowiadał o kolejnych opiekunach zastępczych, nie brzmiał dla mnie zbyt przekonująco. Pozostali byli doświadczonymi profesjonalistami, a mimo to ujednej rodziny Jodie była tylko trzy dni. Tłumaczenie Gary ego, że wszystkiemu winne były okoliczności, *wyraźnie* miało na celu zminimalizowanie poczynionych szkód, żebym się nie przestraszyła opieki nad dziewczynką. Wszystko dla jej dobra.

Deirdre, która była łącznikiem między pomocą społeczną a ostatnimi opiekunami zastępczymi Jodie, poczuła się w obowiązku ich obrony. Mimo wszystko, gdyby Jodie była tak niegroźna, jak próbował to przedstawić Gary, świadczyłoby to o ich niezdolności do opieki.

— Jodie jest opóźniona w rozwoju — powiedziała. - W większości sytuacji zachowuje się jak dziecko trzy-, a nie ośmioletnie. Mięwa straszne napady złości. Ciągłe jest agresywna i odmawia współpracy. Była u Hillary i Dave'a bardzo niedługo, a zdążyła zniszczyć wiele przedmiotów, w tym solidne drewniane drzwi.

Podniosłam brwi. Niezły wyczyn jak na ośmiolatkę.

Ale Deirdre jeszcze nie skończyła. Zaczęła wymieniać całą litanię win i wad Jodie. Opiekunowie określili ją jako „zimną, wyrachowaną, manipulującą, bardzo *niegrzeczną*, i zupełnie nie dającą się lubić”. Szorstkie słowa na określenie małej dziewczynki.

Pomyślałam, że na pewno ktoś mógłby powiedzieć o niej coś miłego, nawet gdyby miał to być tylko fakt, że lubiła jedzenie. Dzieci pod opieką zastępczą często jedzą dużo, bo w przeszłości wiele z nich nie wiedziało, kiedy dostanie następny posiłek. Ale nie, tu nawet nie padło „uwielbia czekoladę”.

Wyglądało na to, że Jodie nie miała najmniejszej zalety, za którą dałoby się ją lubić. Zamiast tego była lista przewinień z uwagą, że aktualni opiekunowie fizycznie bali się Jodie: była duża i im groziła.

Zerknęłam na Jill i wymieniliśmy spojrzenia. Groziła im? — pomyślałam. - Ale ona ma tylko osiem lat! Jak może być groźna? - Zaczęłam się czuć, jakbym była na miejscu Jodie. Jakie to uczucie, gdy wszyscy tak bardzo cię nie lubią? Nic dziwnego, że nigdzie nie mogła *znaleźć* swojego miejsca.

Następnie zaczęła mówić Sally, kurator z urzędu, która w skrócie zarysowała sytuację prawną dziewczynki. Jodie została objęta opieką pomocy społecznej w ramach tak zwanego nakazu opieki tymczasowej. Oznaczało to, że została *zabrana*, rodzicom wbrew ich woli i obecnie znajduje się pod tymczasową opieką władz lokalnych. Właśnie rozpoczynało się postępowanie sądowe mające zadecydować o losie Jodie. Jeśli sąd zadecydowałby, że dziewczynka lepiej czuje się w domu, i jeśli rozwiałyby się wszelkie obawy dotyczące jej *bezpieczeństwa*., wtedy zostałaby zwrócona pod opiekę rodziców. Jeśli nie, a sąd nadal uważałby, że po powrocie do domu nie byłaby bezpieczna, nakaz tymczasowej opieki nad nią zostałaby zamieniony na nakaz opieki stałej, a wówczas Jodie zostałaby zabrana od swoich rodziców na zawsze, albo do długookresowej opieki zastępczej, albo do adopcji, albo - co było najmniej prawdopodobne — do swego rodzaju domu stałej opieki. Cały ten proces jest długi i skomplikowany, i mimo że powinien trwać najkrócej, jak to możliwe, to i tak zanim sąd wyda ostateczny wyrok, mija z reguły przynajmniej rok, a czasem nawet więcej.

Gdy Sally skończyła, głos zabrała Nicola, nauczycielka dochodząca, która wytłumaczyła, że uczy Jodie od miesiąca, korzystając przy tym z materiałów przeznaczonych dla dzieci przedszkolnych. To mogło zabrzmieć szokująco, ale z doświadczenia wiedziałam, że nie było wcale takie rzadkie.

Opiekowałam się już w przeszłości dziećmi, które nie umiały czytać ani pisać *jeszcze* długo po tym, jak umiejętności te opanowali ich rówieśnicy. Wydaje się, że dzieci wychowywane w trudnym środowisku i z niełatwym życiem domowym często nie są w stanie uczyć się tak szybko, jak dzieci ze stabilnych rodzin. Potem księgowa potwierdziła, że środki na domowe nauczanie będą dostępne, dopóki nie znajdzie się szkoły dla Jodie. Zerknęłam na zegar na ścianie: minęła zaledwie godzina. Wszyscy zdążyli już zabrać głos i Dave patrzył z nadzieją na Jill.

— Jeśli Cathy jej nie weźmie — powiedział — naszym jedynym wyjściem jest stała placówka opiekuńcza.

Zapachniało szantażem emocjonalnym. Jill wzięła mnie w obronę: — Musimy rozważyć wszystko, co zostało powiedziane. Przedyskutuję to z Cathy i jutro dam ci znać.

- Musimy wiedzieć dzisiaj - powiedziała bezceremonialnie Deirdre. — Trzeba ja przenieść najpóźniej jutro w południe. Opiekunowie się nie ugną.

Przy stole zapanowała cisza. Wszyscy myśleliśmy o jednym: czy ci opiekunowie zastępczy byli aż tak niedoświadczeni, jak na to wyglądało, czy to Jodie w jakiś sposób doprowadziła ich do takiej desperacji?

— Nawet jeśli — powiedziała Jill stanowczo — to i tak musimy mieć czas na przedyskutowanie sprawy. Mimo że nie usłyszałam niczego, co miałyby poważnie zniechęcić Cathy - jest *przecież* bardzo doświadczona — to i tak decyzja należy do niej. — Spojrzała na mnie z boku.

Poczułam na sobie wzrok wszystkich zgromadzonych i ich desperacka chęć usłyszenia, że podejmę się opieki nad tą dziewczynką. Póki co, od Garyego usłyszałam, że była tylko niewinna ofiara, której burzliwa historia przeprowadzek z rodziny do rodziny nie miała nic wspólnego z nią sama, a od Deirdre, że była mała wcielona diabliska, której wielkość, siła i czysta złośliwość były zupełnie nie do pogodzenia z jej wiekiem. Czułam, że prawda leżała gdzieś pośrodku. Ale nawet biorąc pod uwagę wyważony obraz, Jodie musiała przysparzać co najmniej sporych problemów. Nie byłam pewna. Czy byłam gotowa podjąć się opieki nad dzieckiem z takimi trudnościami wychowawczymi? Czy mogłam, a co ważniejsze: czy moja rodzina była w stanie wziąć na siebie taki rodzaj zakłócenia, bo bez wątplenia z tym by się to wiązało? Nie mogłam przez chwilę nie pomyśleć o podjęciu się pewnego rodzaju wyzwania, a byłam pewna, że to dziecko nim było. Z drugiej strony, moja formuła miłości, uprzejmości i troski połączonych ze zdecydowaniem nigdy mnie jeszcze nie zawiodła i nawet po tym wszystkim, co usłyszałam, Jodie była tylko dzieckiem, małą dziewczynką z przerażającym bagażem doświadczeń, i zasługiwała teraz na szansę nowego początku i przynajmniej cząstkę szczęścia, jakiego potrzebuje każde dziecko. Czy mogłam pozwolić, by spotkało ją coś odwrotnego? Teraz, kiedy znałam jej historię, czy mogłam po prostu odejść?

Wiedziałam już, że nie mogłam tego zrobić. Musiałam dać jej tę szansę. Właściwie od chwili, gdy weszłam do tamtego pokoju, wiedziałam, że przyjmę Jodie do siebie. Nie byłabym w stanie odwrócić się do niej plecami.

- Jest za mała, by trafić do placówki opiekuńczej - powiedziałam, spotykając się ze spojrzeniem Dave'a. - Wezmę ją i dam z siebie wszystko.

— Jesteś pewna? — zapytała Jill z z troskaniem.

Skinęłam głową, a przy stole dało się usłyszeć westchnienie ulgi, zwłaszcza ze strony księgowej. Utrzymanie dziecka w placówce opiekuńczej kosztuje nawet 3000 funtów na tydzień, więc dawanie mi za opiekę 250 funtów było dla władz niezłym interesem.

- To wspaniale, Cathy - powiedział rozpromieniony Dave. - Dziękuję. Wiesz, że wszyscy bardzo cię cenimy i cieszymy się, że jesteś go towa zająć się tą sprawą.

Po pokoju przeszedł szmer zgody i dało się odczuć ogólna ulgę, że udało się zrzucić ciężar na cudze barki. Spotkanie było zakończone. Na tę chwilę problem Jodie został rozwiązany. Wszyscy wstali, zaczęli zbierać swoje rzeczy i przygotowywać się do powrotu do pracy, zajmowania się innymi podopiecznymi i myślenia o innych sprawach.

Ale co do mnie, tych kilka słów i szybka decyzja zmieniły moje życie. Dla mnie problem Jodie dopiero się zaczynał.

Droga do Jodie

Moja przygoda z opieką zastępczą zaczęła się dwadzieścia lat temu, jeszcze zanim miałam własne dzieci. Pewnego dnia przeglądałam gazetę i zobaczyłam jedno z tych ogłoszeń, które i wy może kiedyś widzieliście. Było tam nieco zamazane, czarno-białe zdjęcie dziecka z umieszczonym obok pytaniem: „A może ty dałbyś dom małemu Bobbyemu?”. Nie wiem dlaczego, ale przykuło to moja uwagę i nie mogłam przestać o tym myśleć. Nie uważam się za osobę sentymentalną, ale nie mogłam wymazać tamtego zdjęcia z pamięci. Powiedziałam o tym mężowi. Chcieliśmy kiedyś założyć własną rodzinę i niecierpliwie na to czekałam, ale póki co wiedziałam, że

mogłabym zaoferować ciepły dom dziecku, które tego potrzebowało. Zawsze lubiłam dzieci, kiedyś chciałam nawet uczyć w szkole.

— Mamy przecież miejsce — powiedziałam — i wiem, że pokochałabym pracę z dziećmi.

Dlaczego przynajmniej nie spróbujemy się dowiedzieć czegoś więcej na ten temat?

I tak wzięliśmy telefon, odpowiedzieliśmy na ogłoszenie, a niedługo później znaleźliśmy się na kursie wprowadzającym nas w świat opieki zastępczej. Potem, gdy spełnialiśmy już wszystkie wymagania oraz przeszliśmy odpowiednie szkolenie, wzięliśmy do siebie nasze pierwsze przybrane dziecko, niespokojnego nastolatka, który na jakiś czas potrzebował stabilnego domu. To było to. Połknęłam haczyk.

Odkryłam, że opieka zastępcza w zady w razie nie jest zadaniem łatwym. Jeśli ktoś chce się tego podjąć i oczekuje, że trafi do niego mała sierotka Marysia lub Ania z Zielonego Wzgórza, to spotka go niemiłe zaskoczenie. Nie ma tu słodkich, rozczochranych dzieci, które miały niewielkiego pecha i potrzebują tylko trochę miłości i czułości, aby się dobrze rozwijać, kwitnąć i szerzyć miłość na świecie. Dzieci nie przychodzą do rodzin zastępczych z szeroko otwartymi oczami i uśmiechniętymi buziami. W wyniku tego, co im się przydarzyło, są zwykle zamknięte w sobie, często nieobecne, gniewne i ciężkie w kontaktach, czemu zresztą trudno się dziwić. W gorszych przypadkach mogą być słownie, a nawet fizycznie agresywne i porywcze. Jedynym wspólnym mianownikiem jest to, że każde dziecko jest inne i każde potrzebuje troski i czułości, by przejść przez swoje nieszczęście. Nigdy nie jest to łatwa droga.

Pierwszy rok w zastępczej opiece bynajmniej nie był dla mnie łatwy, i gdy o tym myślę, to żadnego roku od tamtej pory nie mogłabym nazwać „łatwym”, ale zawsze na końcu wiedziałam, że chcę to robić dalej. Opiekunowie zastępczy z reguły wiedza niemal od razu, czy jest to coś, co chcą robić, czy też nie, a już na pewne wiedza to pod koniec pierwszego roku. Znalazłam coś, do czego miałam talent i co przynosiło mi ogromną radość, więc nawet wtedy kiedy miałam już własne dzieci, chciałam to kontynuować. Odkryłam, że różnica w podejściu do życia moich przybranych dzieci - nawet jeśli mała - pozostawała we mnie. I nie chodziło o to, że byłam najbardziej bezinteresowna osoba zaraz po Matce Teresie z Kalkuty, ani o to, że byłam wyjątkowo święta (wierze, że gdzieś głęboko robimy takie rzeczy dla siebie) - dla mnie była to satysfakcja, jaka dawał mi proces czynienia lepszym życia dzieci, które potrzebowały pomocy. Gdy rażej dzieci były małe, opiekowałam się nastolatkami. Takie są zwykle zalecenia, by brać pod opiekę dzieci na innym poziomie rozwoju niż własne. Gdy Adrian i Paula dorastali, zaczęłam przyjmować coraz młodszych podopiecznych; dzięki temu nigdy nie musiałam się borykać z problemami typu uzależnienie od narkotyków, które *przecież* obecnie zdarzają się wielu nastolatkom — i za co jestem losowi ogromnie wdzięczna. Moja dwójka od początku dorastała ze świadomością, że mieszkają z nami przybrane *dzieci*, więc akceptowała ten fakt w zupełności. Oczywiście, gdy byli mali, czasem byli sfrustrowani, że muszą się mną dzielić z innymi dziećmi. Z zasady przybrane dzieci potrzebują dużo czasu i uwagi, i niekiedy mojej dwójce wydawało się, że była to wieczność. Po dniu poświęcania energii opiece *zastępczej*, ze wszystkimi spotkaniami i szkoleniami, czekała mnie jeszcze papierkowa robota - i to zabierało mi mnóstwo czasu, który w innym wypadku poświęcałabym swojej rodzinie. Jednak bez względu na to, jak bardzo brakowało im czasu spędzanego ze mną, nigdy nie „odgrywali” się na dzieciach, które z nami mieszkaly. Rozumieli jakoś, że pochodziły one z trudnych rodzin i miały ciężki start. Na swój sposób współczuli im i robili wszystko, by życie każdego mieszkającego z nami smutnego dziecka było nieco łatwiejsze. Była to cecha, która zauważyłam nie tylko u swoich dzieci — zwykle jest w nich więcej zrozumienia i empatii, niż się spodziewamy.

Przez te wszystkie lata Adrian i Paula z pewnością musieli się *zmierzyć* z wieloma problemami, zwłaszcza gdy rozwiodłam się z mężem, ale nigdy nie narzekali na żadne z przeżywających trudności *dzieci*, które przewijały się przez ich dom. A w ciągu tych dwudziestu lat byli u nas różni wychowankowie; większość z nich wykazywała to, co w naszym środowisku nazywa się „zachowaniem prowokującym”. Gros dzieci, które do mnie trafiają, cierpi przez takie lub inne zaniedbania i jakimś dziwnym trafem mogą to w miarę łatwo zrozumieć. Gdy rodzice są uzależnieni od alkoholu czy narkotyków albo cierpią na choroby umysłowe, nie są rzecz jasna w

stanie odpowiednio zajmować się swoimi dziećmi ani zaspokoić ich potrzeb w sposób, w jaki pewnie mogliby to zrobić, gdyby się uporali z własnymi problemami. Taki rodzaj rodzicielstwa nie jest świadomie okrutny (w przeciwieństwie do fizycznego i seksualnego wykorzystywania) — jest to smutny skutek uboczny innego problemu. Idealna sytuacja jest ta, gdy dziecko wraca do rodziców po tym, jak czynniki powodujące zaniedbania, na przykład uzależnienie, zostaną wyeliminowane.

Dziecko, które cierpiało z powodu zaniedbania, będzie przygnębione i może trafić do mnie bardzo rozedrgane wewnętrznie. Takie dzieci mogą być niezwykle zuchwałe i pełne brawury, co zwykle stanowi tylko maskę dla zupełnego braku samoakceptacji. W efekcie braku granic lub rodzicielskich wskazówek w domu, a także aby ściągnąć na siebie uwagę, mogą być niesłuchanie krnąbrne. Ich złość i pretensje mogą się wywodzić z nie-przewidywalności tego, co działo się w domu, w którym nigdy nic nie było pewne (Czy mama będzie dziś znów zbyt pijana, żeby zająć się domem? Czy tato będzie miał odlot, czy będzie bił?) i w którym *często* granice między tym, kto był dorosły a kto dzieckiem, i kto kim się opiekował, były zatarte. Takie dzieci mogą próbować niszczyć *rzeczy* i kraść, mogą też manipulować i zamykać się w sobie. I szczerze mówiąc, gdy się wie, co niektóre z nich musiały przejść w swoim krótkim jeszcze życiu, to trudno winić je za cokolwiek.

Metoda, która według moich doświadczeń najlepiej sprawdza się w takich sytuacjach, jest dość prosta: stwarzam pozytywne i stabilne otoczenie, w którym dobre zachowanie jest nagradzane pochwałą. Większość *dzieci* potrzebuje aprobaty i chce być lubiana, większość jest też w stanie oduczyć się negatywnych zachowań i zaakceptować nowe, gdy uświadomi sobie, o ile lepsze i łatwiejsze jest życie z nowym porządkiem. Wielu z nich codzienna rutyna przynosi błoga ulgę po chaosie i niepewności życia w domu, i te szybko odpowiadają na spokojne, pozytywne otoczenie, w którym *wiedzą*, że określone *rzeczy dzieją* się o stałych porach. Coś tak prostego, jak choćby pewność, kiedy i kto poda im kolejny posiłek, może stanowić kotwicę dla zagubionych dzieci, które wcześniej zaznały tylko niepewności i rozczarowań. Rutyna jest *bezpieczna*, w rutynie jest szansa na zrobienie czegoś jak należy, a robienie czegoś jak należy jest przyjemne, bo *oznacza* pochwałę, aprobatę i nagrodę.

Oczywiście nie jest to tak łatwe i proste, jak by się mogło wydawać. Czasem trafiają do mnie dzieci, które doznały o wiele poważniejszych form wykorzystywania i potrzebują *znacznie* bardziej profesjonalnej pomocy, by sobie z tymi doświadczeniami poradzić. Wiele z nich ma trudności w uczeniu się i potrzebuje specjalistycznej opieki. Niektóre zabiera się z domu zbyt późno, gdy są już nastolatkami i wycierpiały tyle, że nigdy nie będą w stanie podnieść się po tym, co się wydarzyło; nie są w stanie odpowiedzieć na pozytywne otoczenie w sposób, w który mogą to zrobić młodsze *dzieci*, a ich przyszłość wygląda o wiele bardziej blado.

Niemniej jednak wszystkie moje doświadczenia z opieką *zastępczą* były dobre - opuszczając nasz dom, każde dziecko było w lepszej kondycji, niż gdy do nas trafiało.

Wracając do domu po spotkaniu w Ośrodku Pomocy Społecznej tamtego dnia, gdy zgodziłam się *przyjąć* do siebie Jodie, wiedziałam, że to dziecko może być o wiele trudniejsze niż wszystkie do tej pory, i zastanawiałam się, w jaki sposób mam o tym powiedzieć Adrianowi i Pauli. Nie będą zachwyceni. Mieliśmy już wcześniej w domu dzieci z „prowokującym zachowaniem”, więc moja dwójka wiedziała, co to znaczy. Myślałam o Lucy, która była z nami od prawie dwóch lat, teraz już bardzo spokojna. Miałam nadzieję, że niepokojące wybuchy Jodie nie wywołają u niej powrotu do wcześniejszego stanu. Adrian, jak to siedemnastolatek, nie był zbyt wylewny; no, chyba że działo się coś poważnego lub nie mógł rano znaleźć swojej koszulki. Najbardziej martwiłam się jednak o Paulę. Była delikatnym, nerwowym dzieckiem, i nawet jeśli Jodie była od niej pięć lat młodsza, istniało ryzyko, że ja zastraszy. Dzieci emocjonalnie zranione mogą nawet w mocno żywej rodzinie siać spustoszenie. Mimo wszystko, jeśli nawet mieliśmy kilka ciężkich momentów, to do tej pory Adrian i Paula zawsze dobrze *reagowali* na dzieci, które dołączały do naszej rodziny, i nie miałam powodu sądzić, że tym *razem* mogłoby być inaczej.

Podejrzewałam, że nie będą zaskoczeni wiadomością. Ostatnie dziecko odeszło od nas kilka miesięcy wcześniej, więc pora już była na nowe wyzwanie. Zwykle dawałam nam kilka tygodni przerwy

między zakończeniem jednej a rozpoczęciem kolejnej opieki, byśmy mogli odświeżyć się psychicznie i fizycznie i aby dać wszystkim czas na przegrupowanie. Musiałam też zebrać siły po smutnym rozstaniu z kimś, kto stał mi się bliski. Nawet jeśli dziecko odchodzi w świetnym stanie, dokonawszy olbrzymich postępów, i być może nawet wraca do rodziców, którzy są już gotowi stworzyć kochające i troskliwe środowisko, to i tak przez jakiś czas mocno przeżywam jego odejście. To taka miniżałoba i coś, do czego nigdy się nie przyzwyczaiłam, mimo że tydzień czy dwa później otrząsam się i znów jestem gotowa zacząć na nowo.

Zdecydowałam, że podejmę temat Jodie przy kolacji -wtedy odbywała się większość naszych rozmów. Mimo że uważam się za osobę liberalną, zdecydowanie nalegam, by rodzina jadła wspólnie wieczorami i w weekendy, bo są to jedyne chwile w ciągu dnia, gdy wszyscy jesteśmy razem.

Tamtego dnia podałam na kolację zapiekankę z mielonego mięsa i puree ziemniaczanego, która dzieci uwielbiały. Jak tylko się do niej dobrały, zaczęłam, starając się, by mój głos brzmiał lekko i spokojnie. - Pamiętajcie, jak wam dziś wspominałam, że jadę na spotkanie w OPS-ie przed powierzeniem pewnego dziecka:¹ — powiedziałam, podejrzewając, że nie będą pamiętały, bo gdy to mówiłam, nikt mnie nie słuchał. - Powiedzieli mi o małej dziewczynce, która potrzebuje domu. No i zgodziłam się ją *przyjąć*. Ma na imię Jodie i ma osiem lat.

Czekałam na jakąś reakcję, ale żadne nawet nie drgnęło. Dzieci były zajęte jedzeniem. Ale i tak wiedziałam, że słuchają.

- Obawiam się, że miała bardzo ciężkie dzieciństwo i sporo przeprowadzek, więc jest bardzo niespokojna. Miała okropne życie w domu i zdążyła już być u kilku rodzin zastępczych. Jeśli nikogo by teraz nie znaleźli, zastanawiali się, czy nie odesłać jej do placówki opiekuńczej, a możecie sobie wyobrazić, jakie byłoby to dla niej straszne. Wiecie, dom dziecka - dodałam, podkreślając *znaczenie tych słów*.

Lucy i Paula podniosły głowy. Uśmiechnęłam się dzielnie.

— To tak jak ja — powiedziała niewinnie Lucy, Ona też *przeżyła*, sporo przeprowadzek, zanim u nas odzyskała równowagę, więc wiedziała dobrze, co to wszystko oznaczało.

- Nie. Ty przeprowadzałaś się, bo twoi bliscy nie potrafili się tobą opiekować. Nie miało to nic wspólnego z twoim zachowaniem - przerwałam, zastanawiając się, czy ukryta wiadomość została podchwycona. Została.

- To co ona robi? - odezwał się Adrian swoim właśnie zmu-towanym, męskim głosem.

- No cóż, wpada w furję i gdy jest zła, niszczy rzeczy. Ale jest *jeszcze* mała, więc jestem pewna, że gdy będziemy się trzymać razem, uda się nam ją zmienić.

- Widuje swoją mamę? - zapytała Paula ze swoimi szeroko otwartymi oczami, wyobrażającymi sobie to, co byłoby najgorsze: dziecko niewidujące swojej mamy.

- Tak, i swojego tatę. To będzie nadzorowany kontakt dwa razy w tygodniu w Ośrodku Pomocy Społecznej.

- Kiedy *przyjeżdża*? - zapytała Lucy.

— Jutro rano.

Najpierw wszyscy spojrzeli na mnie, później na każdego po kolei. Jutro w domu pojawi się nowy członek rodziny i z tego, co słyszeli, nie będzie to ktoś łatwy. Wiedziałam, że to ich zaniepokoiło.

— Nie martwcie się — uspokajałam. — Jestem pewna, że sobie poradzi.

Uświadomiłam sobie, że muszę się pospieszyć, bo jak tylko kolacja się skończy, każde przepadnie w swoim pokoju, więc od razu przeszłam do sedna, przypominając im o zasadach ostrożniejszej opieki, które obowiązywały zawsze, gdy pojawiała się nowe dziecko.

- Pamiętajcie, w tej sprawie jest wiele niewiadomych, więc dla własnego dobra musicie być ostrożni. Jeśli będzie się chciała z wami bawić, to tylko tu, na dole, nie na górze. Aha, Adrian, nie wolno ci wchodzić do jej pokoju, nawet jeśli cię poprosi, żebyś jej otworzył okno. Jeśli coś takiego się zdarzy, zwołaj mnie lub któraś z dziewczynek, I pamiętaj, żadnych zabaw z kontaktem fizycznym, nawet w ujeżdżanego, dopóki nie będziemy wiedzieć czegoś więcej. No i oczywiście nie wpuszczasz jej do swojego pokoju. Jasne?

- Tak, mamó - zadudnił, wyglądając jako nastolatek jeszcze bardziej nieporadnie. Słyszał to oczywiście za każdym razem. W domach wszystkich opiekunów zastępczych istnieje standardowy kodeks postępowania i moje *dzieci* dobrze wiedziały, jak się zachowywać. Ale Adrian, dla własnego dobra, powinien być czasem bardziej ostrożny.

- I rzecz jasna wszyscy - powiedziałam, zwracając się do całej trójki — macie mnie powiadomić, gdyby powiedziała wam o swojej przeszłości coś, co by was zastanowiło. Pewnie z wami szybciej nawiąże kontakt niż ze mną.

Wszyscy skinęli głowami. Pomyślałam, że na tę chwilę to wystarczy. Dostali ogólny obraz i raczej byli *nieźle* przygotowani. Dzieci zastępczych opiekunów zwykle dorastają szybko, bo są wystawione na *znacznie* więcej problemów i wyzwań, ale nie tak szybko jak dzieci, które pod taka opiekę trafiają, a których dzieciństwo jest zwykle walka o przetrwanie każdego następnego dnia.

Jak się można było spodziewać, po kolacji dzieci znikły w swoich pokojach i na dom spłynął spokój kolejnego cichego wieczoru. Przebrnęłam przez to tak dobrze, jak tylko mogłam, i byłam zadowolona z ich dojrzałości i umiejętności zaakceptowania sytuacji.

— A więc na razie jest dobrze — pomyślałam, wkładając naczynia do zmywarki. Potem usiadłam wygodnie przed telewizorem, nie mając pojęcia, kiedy przydarzy mi się kolejna taka okazja.

Przyjazd

Był mokry, zimny kwietniowy poranek. Deszcz walił w okna, a ja przygotowywałam się na przybycie Jodie. Miała być u mnie w południe, ale byłam pewna, że przyjedzie wcześniej. Stałam w przygotowanym dla niej pokoju i próbowałam go zobaczyć oczami dziecka. Czy był ładny i przyjemny? Do ścian przypięłam jasne, kolorowe plakaty zwierzątek, a na łóżko kupiłam nową narzutę z dużym nadrukiem pluszowego misia. Na pościeli ułożyłam też kilka przytulank, choć byłam przekonana, że Jodie, będąc pod opieką zastępczą już od jakiegoś czasu, zdążyła coś nazbierać. Pokój wyglądał jasno i wesoło, właśnie tak, jak wyobrażałaby sobie swoją sypialnię ośmioletnia dziewczynka. Teraz brakowało tylko mieszkanki.

Spojrzałam raz jeszcze na pokój, potem wyszłam i zamknęłam drzwi, zadowolona, że dałam z siebie wszystko. Przechodząc korytarzem, zamknęłam drzwi do pozostałych sypialni. Gdy zaczęła jej pokazywać dom, ważne, by wiedziała, co oznacza prywatność. Łatwiej będzie ustalić reguły od początku.

Na dole napełniłam czajnik i krzątałam się po kuchni. Zapowiadał się gorączkowy dzień i nawet po tylu latach wychowywania innych dzieci wciąż byłam zdenerwowana. Dla zastępczej rodziny przybycie nowego dziecka to spore wydarzenie, podobnie jak dla samego dziecka. Miałam nadzieję, że Jill przyjedzie wcześniej i będziemy miały czas, by we dwie porozmawiać spokojnie jeszcze przed głównym gościem.

Dzwonek do drzwi rozległ się tuż przed 11:30. Otworzyłam i ujrzałam Garyego, przemokniętego po przejściu z dworca na piechotę. Zaprosiłam go szybko do środka, podałam ręcznik i kawę, i zostawiłam w salonie, żeby się wytarł. Sama wróciłam do kuchni. Zanim zagotowała się woda w czajniku, dzwonek do drzwi odezwał się ponownie. Pospieszyłam do drzwi w nadziei, że ujrzę Jill. Nic podobnego. To była Deirdre, łącznik z OPS-u, którą poznałam wczoraj, i druga kobieta, uśmiechająca się dziwnie.

— To Ann, moja znajoma — powiedziała Deirdre, obywając się krótkim wstępem - a to Jodie. Spojrzałam w dół, ale dziewczynka chowała się za Ann i wszystko, co widziałam, to para grubiotkich nóg w jaskrawo-czerwonych rajtuzach.

- Cześć, Jodie - powiedziałam wesoło. -Jestem Cathy. Bardzo się cieszę, że cię poznam. Chodźmy do środka.

Musiła się kurczowo trzymać płaszcza Ann i nie zamierzała nigdzie iść, bo kobieta nagle odchyliła się do tyłu, niemal tracąc równowagę.

— Nie bądź niemądra — warknęła Deirdre i sięgnęła za znajomą. Jodie była szybsza i - jak się domyśliłam - silniejsza, bo Ann znów się przechyliła, tym razem na bok. Na szczęście w dobrym momencie do akcji wkroczył nasz stary kot, przechodząc leniwie przez przedpokój. Skorzystałam z okazji.

- Zobacz, Jodie, kto przyszedł cię zobaczyć! - zawołałam, a entuzjazm w moim głosie nijak się miał do naszego grubego, ospałego kociska. - To jest Toscha. Przyszła się z tobą przywitać! Zadziałało - nie mogła się powstrzymać, żeby nie zerknąć. Zza pleców Ann wyjrzała para szaroniebieskich oczu, osadzonych pod szerokim czołem. Słomkowe blond włosy Jodie związane były w dwa warkoczyki i z samego stroju dziewczynki było widać, że wcześniejsi opiekunowie stracili nad nią kontrolę. Pod płaszczkiem miała jaskrawozielony T-shirt, czerwone ogrodniczki i gumowce. Żaden rozsądny dorosły nie ubrałby dziecka w taki sposób. Było jasne, że Jodie sama decydowała, co ma na siebie włożyć.

Gdy już wzbudziłam jej ciekawość, postanowiła przyjrzeć się kotu bliżej i jeszcze raz popchnęła Ann, tak że wchodząc do przedpokoju, obie potknęły się na progu. Za nimi weszła Deir-dre, a kot roztropnie się wycofał. Szybko zamknęłam drzwi.

- Poszedł sobie! - wrzasnęła Jodie, a jej twarz skurczyła się ze złości.

- Nie martw się, zaraz wróci. Zdejmijmy ci najpierw płaszcz. - I zanim zniknięcie kota mogło się przerodzić w scenę, rozpięłam jej zamek, próbując odwrócić uwagę. - W salonie czeka na ciebie Gary, Patrzyła na mnie przez chwilę tak, jakby mnie chciała naprawdę uderzyć, ale wspomnienie znajomego imienia w nieznanym otoczeniu zaciekawiło ją. Uwolniła niezgrabnie ręce z rękawów *plaszcz*, i przemaszerowała ciężko przez przedpokój, znikając w salonie. — Chcę tego kota — warknęła do Gary ego.

Deirdre i Ann wymieniły spojrzenia, które mówiły jedno: „Niech Bóg ma w opiece tę kobietę. Jak szybko możemy stąd pójść?”.

Zaproponowałam im kawę i wprowadziłam do salonu. Jodie znalazła pudełko lego i siedziała teraz na środku podłogi ze skrzyżowanymi nogami, próbując niezdarnie połączyć ze sobą dwa klocki.

Wróciłam do kuchni, wyciągnęłam cztery kubki i zaczęłam do nich łyżką nasypywać rozpuszczalną kawę. Usłyszałam ciężkie kroki, zaraz potem w drzwiach pojawiła się Jodie. Wyglądała dziwnie jak na dziecko, nie ujmowała od razu swoją osobą, ale pomyślałam, że to głównie przez agresywny sposób trzymania głowy i postawę ciała, tak jakby była ciągle na straży.

— Co tu jest? — zapytała, otwierając jedną z kuchennych szuflad.

- Sztućce - odpowiedziałam bez potrzeby, bo sam brząk oznajmił, co było w środku.

— Co? — zapytała, piorunując mnie spojrzeniem.

- Sztućce. No wiesz: noże, widelce, łyżki. Będziemy nimi jeść później kolację. Musisz mi powiedzieć, co lubisz.

Zostawiając tamtą szufladę, podeszła do następnej i następnej, pochłonięta otwieraniem ich wszystkich. Pozwoliłam jej się rozejrzeć. Nie byłam zaniepokojona jej ciekawością, to było naturalne, martwiła mnie raczej złość widoczna w każdym jej ruchu. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałam.

Z otwartymi wszystkimi szufladami i z gotującą się w czajniku wodą, wyjęłam talerz i paczkę herbatników.

- Chcę jednego - zażądała, sięgając po paczkę. Delikatnie ją powstrzymałam. — Za chwilę.

Najpierw

chciałabym, żebyś mi pomogła pozamykać te szuflady, bo inaczej na nie wpadniemy, tak?

Patrzyła na mnie wzrokiem wyzywającym i buntowniczym. Nikt nigdy jeszcze niczego jej nie zabronił czy tylko świadomie wystawiała mnie na próbę? Nastąpiła kilkusekundowa *przerwa*., chwila, kiedy Jodie rozważała moja prośbę. Zauważyłam, że ma spora nadwagę. Było jasne, że albo lubiła jeść, albo dawano jej jedzenie po to, by ja uciszyć. Najprawdopodobniej i to, i to.

- Chodź - powiedziałam zachęcająco i zaczęłam zamykać szuflady. Najpierw się przyglądała, później z całej siły zatrasnęła oburącz najbliższa szufladę.

- Delikatnie, o tak - zademonstrowałam, ale nie wykazała już chęci pomocy, a ja nie forsowałam tematu. Dopiero przyjechała, no i zgodziła się zamknąć przynajmniej te jedna.

— A teraz herbatniki — powiedziałam, układając je na talerzu. — Pomożesz mi? Jestem pewna, że umiesz pomagać, prawda?

Znów przeszła mnie swoim prowokującym, niemal szyderczym wzrokiem, ale było w nim coś intrygującego, iskierka *zainteresowania* odpowiedzialnością, która chciałam jej powierzyć.

— Jodie, zanieś to, proszę, do salonu i poczęstuj wszystkich ciastkami, a potem weź jedno dla siebie, dobrze?

Umieściłam odważnie *talerz na jej* rozpostartych pulchnych rączkach i zastanawiałam się, jakie były szansę na doniesienie całych herbatników do salonu. Gdy tylko Jodie się odwróciła, ciastka zjechały na lewa stronę, przełożyła więc *talerz* do lewej ręki, a prawa położyła na ciastkach. Nawet jeśli nie było to higieniczne, to przynajmniej *bezpieczne*.

Poszłam za nią, niosąc napoje, zadowolona, że Jodie zrobiła to, o co ja poprosiłam. Rozdawałam kubki z kawą, gdy zadzwonił dzwonek do drzwi. Jodie podskoczyła i rzuciła się do wejścia.

Zareagowałam szybko. To nie była dobra praktyka, by dziecko otwierało drzwi, nawet jeśli goście byli spodziewani. Wytlumaczyłam to Jodie, ale i tak drzwi otworzyłyśmy razem.

Na progu stała Jill. Gdy drzwi się otworzyły, uśmiechnęła się *zachęcająco*, spoglądając w dół na ponurą buzię dziecka, wpatrującego się w nią buńczucznie.

— Cześć — powiedziała Jill wesoło. — Ty musisz być Jodie.

- Ja to chciałam zrobić! - zaprotestowała Jodie i ciężkim krokiem wróciła do salonu.

- Wszystko w porządku? - zapytała Jill, gdy tylko weszła.

- Na razie OK. A przynajmniej bez katastrofy. - Wzięłam od Jill płaszcz, a ona weszła do salonu.

Przyniosłam jeszcze jedną kawę i rozpoczęła się papierkowa robota. Gdy dziecko powierza się nowym opiekunom, *trzeba* wypełnić mnóstwo formularzy. I wypić sporo kawy. Gary pisał zawzięcie.

— Skończyłem właśnie ostatnią przeprowadzkę — powiedział radośnie. — Nie wspominając tej przedostatniej, trzydniowej. Cathy przez C?

Przytaknęłam, potem podałam swój kod pocztowy, nazwisko *lekarza* i adres. Jodie, która do tej pory była w miarę zadowolona, *przyglądając* się Garyemu, i która oczywiście wiele razy uczestniczyła w takiej procedurze, zdecydowała, że nadszedł czas dalszych poszukiwań. Podniosła się z trudem i poszła do kuchni. Nie mogłam pozwolić, by została tam sama. Poza ryzykiem, że zaatakuje szafki, było tam sporo przyrządów, które w niewłaściwych rękach mogły być niebezpieczne. Zawołałam ją, ale nie odpowiedziała. Gdy weszłam do kuchni, Jodie szarpała szafkę pod zlewem, w której były różne środki czystości, dlatego była *zabezpieczona przed* dziećmi specjalną blokadą.

- Daj spokój, Jodie, zostaw to teraz. Chodźmy do salonu - powiedziałam. - Później cię oprowadzę.

Będziemy mieć mnóstwo czasu, gdy wszyscy sobie pójdą.

— Chcę pić! — zażądała, jeszcze mocniej ciągnąc drzwi szafki,

- Dobrze, ale tam nie ma picia.

Otworzyłam właściwą szafkę, w której trzymałam różne soki. Rzuciła okiem na rząd różnokolorowych butelek.

- Pomarańczowy, cytrynowy, z czarnej porzeczeki czy jabłkowy? — zaproponowałam.

- Colę - zażądała.

- Przykro mi, nie mamy coli. To bardzo niezdrowe dla zębów. (Nie wspominając o nadpobudliwości — pomyślałam sobie). Co powiesz na sok jabłkowy? Paula, moja najmłodsza córka, lubi jabłkowy. Poznasz ją później.

— Tamten. — Jodie próbowała wejść na blat, żeby sięgnąć po wybraną butelkę.

Wyjęłam butelkę soku porzeczkowego i nalałam do szklanki, potem zaniiosłam do salonu i postawiłam na stoliku. Przysunęłam małe wiklinowe krzesło, zwykle ulubione przez dzieci.

- To jest w sam raz dla ciebie - powiedziałam. - Twoje osobiste krzesło.

Jodie zignorowała mnie, złapała szklankę i klapnęła na kanapie obok Jill, na miejscu, które sama wcześniej zwolniłam. Usiadłam obok Gary ego, podczas gdy Jill uspokajała Jodie grą na telefonie komórkowym. Przyglądałam się dziewczynce przez chwilę. A więc to było dziecko, które miało z nami mieszkać. Trudno było tak na gorąco coś więcej o niej powiedzieć; większość dzieci ujawniała prawdziwy charakter podczas pierwszych dni w nowym domu, Niemniej jednak było w niej coś dziwnego, czego nie potrafiłam zrozumieć. Były to, oczywiście, złość i upór, zmieszane z czymś jeszcze, czego do tej pory chyba nigdy nie widziałam. Czas pokaże - pomyślałam.

Obserwowałam nieskoordynowane ruchy Jodie i sposób, w jaki wysuwała język na dolną wargę.

Zauważyłam, niemal się za to obwiniając, że dodawało jej to tępego, nieobecnego wyglądu, i przypomniałam sobie, że została zaklasyfikowana jako dziecko o raczej „umiarkowanych”, a nie „poważnych” trudnościach w nauce.

Kwadrans później wszystkie formularze dotyczące przeprowadzki zostały wypełnione. Podpisałam je i Gary zostawił dla mnie kopie. Deirdre i Ann natychmiast podniosły się, żeby wyjść.

- Rozpakujemy samochód - powiedziała Ann. - Raczej sporo tego.

Zostawiając Jodie z Garym i Jill, szybko założyłam kurtkę i buty, ale i tak zmokłyśmy, kursując tam i z powrotem od samochodu do domu. „Raczej sporo” okazało się delikatnym określeniem. Nigdy nie widziałam tylu toreb i walizek u dziecka trafiającego pod opiekę. Upchałyśmy je wzdłuż jednej ściany przedpokoju, potem Deirdre i Ann szybko pożegnały się z Jodie.

Zignorowała je, ewidentnie czując odrzucenie. Gary został jeszcze dziesięć minut, gawędząc z Jodie o mnie i o nowym domu, a potem wstał do wyjścia.

— Chcę iść — uśmiechnęła się przymilnie, stając obok niego. - Zabierz mnie ze sobą. Chcę pójść do twojego samochodu.

- Nie mam samochodu - odpowiedział Gary łagodnie. -A ty musisz zostać z Cathy. Pamiętasz, rozmawialiśmy o tym. To jest teraz twój piękny, nowy dom. — Podniósł swoją teczkę i przeszedł połowę drogi do drzwi, gdy Jodie otworzyła szeroko buzię i wrzasnęła tak, że uszy zabolowały. Podbiegłam do niej i objęłam ramionami, a Garyemu skinęłam, żeby wyszedł.

Wyślizgnął się, a ja trzymałam Jodie, dopóki się nie uciszyła. Nie płakała, ale jej wcześniej blade policzki były teraz *rozpalone* do czerwoności.

Ostatnią osobą, która miała wyjść, była Jill. Przeszła do *przedpokoju* i wzięła swój płaszcz.

- Poradzisz sobie, Cathy? - zapytała, szykując się do wyjścia na deszcz. — Zadzwońię koło piątej. — Wiedziała, że im szybciej zostaniemy z Jodie same, tym szybciej dziewczynka się uspokoi.

- Poradzimy sobie, prawda Jodie? - powiedziałam. - Pokażę ci dom, a później cię rozpakujemy.

Już spodziewałam się kolejnego wrzasku, ale Jodie wpatrywała się we mnie obojętna i nieobecna. Serce mi się do niej wyrывało. Musiała się czuć taka zagubiona. W ciągu ostatnich czterech miesięcy to był jej szósty dom. Jill wyszła, a ja trzymałam Jodie za rękę.

Tak więc teraz zostałyśmy tylko we dwie. Byłam w takiej sytuacji wiele razy, witając w domu zakłopotane i zranione *dzieci*, czekając cierpliwie, aż się zaaklimatyzują w nowym, nieznanym otoczeniu, ale tym *razem* było jakoś inaczej. W pustce oczu Jodie było coś, co przyprawiało mnie o *dreszcz*. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałam ani u dorosłego, ani u dziecka.

Otrząsnęłam się z tych myśli. Daj spokój — przekonywałam siebie sama. -To mała dziewczynka, a ty masz dwudziestoletnie doświadczenie w wychowywaniu dzieci. No, jak trudne to może być? Zaprowadziłam Jodie z powrotem do salonu i jak na zawołanie pojawiła się Toscha. Pokazałam Jodie, jak należy ją głaskać, ale jak tylko zaczęłam, straciła zainteresowanie.

- Jestem głodna. Chcę ciastko. - Rzuciła się do kuchni. Poszłam za nią i już miałam zacząć tłumaczyć, że niezdrowo

jest jeść tyle ciastek, gdy poczułam kwaśny zapach. - Jodie, chcesz do ubikacji? - zapytałam, jak gdyby nigdy nic. Potrząsnęła głową.

- Chcesz zrobić kupę?

— Nie! — Wyszczrzyła zęby w uśmiechu i zanim się zorientowałam, co robi, włożyła rękę do spodni i rozsmarowała kał na swojej buzi.

- Jodie! - Przerazona, złapałam ją za nadgarstek.

Skuliła się natychmiast, osłaniając twarz. - Uderzysz mnie?

- Nie, Jodie. Oczywiście, że nie. Nigdy bym tego nie zrobiła. Weźmiesz kąpiel, a następnym *razem* powiesz mi, gdy będziesz chciała pójść do ubikacji. Jesteś już dużą dziewczynką.

Powoli poprowadziłam swoją nową podopieczną na górę. Jodie szła za mną niezgrabnie, ciężko, z *twarzą* usmarowaną kałem.

Co ja takiego zrobiłam?

Moja siostrzyczka

Zastępczy opiekunowie to nie świeci. Jesteśmy zwykłymi rodzicami z wolnym miejscem w domu i sercu, by przyjąć jeszcze jedną latorośl. Ale gdy odkręcałam prysznic i pomagałam Jodie wydostać się z ubrań i ubrudzonej bielizny, zastanawiałam się, czy moje serce było faktycznie wystarczające duże. Wzięłam ją pod ciepły strumień prysznica i zaczęłam myć gąbką. Temperatura spotęgowała smród i mój żołądek zaczął się buntować; musiałam zamknąć usta i oddychać przez nos. Umyłam jej twarz i ręce, potem fałdki bladej skóry na brzuchu. Jodie miała gruszkowo wata figurę, co u dzieci spotyka się raczej rzadko, a biodra niemal jak u kobiety w średnim wieku. Była przy tym uległa. Podniosła ręce cło góry, ale nie zamierzała mi pomóc. Wydawała się zadowolona, że traktuję ją jak małe dziecko. Pocieszała mnie myśl, że przynajmniej nie było w domu reszty rodziny i nie byli świadkami powitalnej sztuczki nowego przybysza. Nie mogłam przestać o tym myśleć. Jodie w ogóle nie była zawstydzona tym incydentem. Poza tym dzieci w jej wieku potrafią już panować nad potrzebami fizjologicznymi i *wiedzą*, kiedy chcą się wypróżnić. Więc to było umyślne? Z pewnością nie. Prawdopodobnie był to efekt zdenerwowania.

Pomogłam jej wyjść z wanny i owinęłam ręcznikiem. - Wytrzymaj się, Jodie, a ja włożę te rzeczy do prania. - Zebrałam brudne ubrania i zaniiosłam je na dół do pralki. Dodałam do proszku kilka kropel środka dezynfekującego i włączyłam pranie na 80 stopni. Z góry dobiegał mnie głos Jodie, która mówiła do siebie, a właściwie mamrotała pojedyncze słowa i frazy, które się ze sobą nie łączyły i nie miały żadnego sensu.

Wracając przez przedpokój, wzięłam największą walizkę i wytargałam ją na górę. - Wszystko w porządku, Jodie? - zawałam, przechodząc przez półpiętro.

Cisza, potem usłyszałam: — Taaa — i Jodie wróciła do swojego gadania.

W jej pokoju rozpięłam walizkę, wyciągnęłam dres, bluzkę i majtki, i zaniiosłam je do łazienki. Jodie stała tak, jak ją zostawiłam, ciągle owinięta ręcznikiem i mokra.

- Chodź - zachęciłam ją. - Wytrzymaj się. Jesteś już duża. Nadąsana, potrząsnęła głową, więc zaczęłam ją wycierać.

Była jak 45-kilogramowe niemowlę, w dodatku bardzo nieporadne. Byłam pewna, że przynajmniej częściowo wynikało to z jej wałków tłuszczu,

- Nie chcę tych - powiedziała, dostrzegając ubrania, które przyniosłam.

- W porządku, jak się wysuszysz, poszukamy czegoś innego. Masz z czego wybierać. A teraz chodź, zanim zmarzniesz.

Odrzuciła ręcznik i *rzuciła*, się biegiem do swojego pokoju, gdzie zaczęła *przetrząsać* ubrania.

Wyciągnęła różowe krótkie spodenki i T-shirt. Próbowałam jej wyjaśnić, że to nie był dobry strój na chłodne dni, ale równie dobrze mogłabym mówić do niej po chińsku, bo i tak nie uzyskałam żadnej odpowiedzi.

- A co powiesz na te dzinsy? - zaproponowałam, pokazując je. - I tę niebieską bluzkę, jest ładna i ciepła. A teraz *znajdź* sobie jakąś bieliznę i ubierz się, no chodź, szybciej.

Wyciągnęła parę majtek i z trudem się w nie wcisnęła, potem znów zaczęła przetrząsać ubrania. Ciągle coś do siebie mówiła, a kiedy spróbowałam włączyć się w rozmowę, popatrzyła na mnie obojętnie i wróciła do szukania ciuchów, prowadząc dalej niezrozumiały monolog. W końcu zgodziła się na czarne spodnie i szara bluzę i stała, czekając, aż je na nią włożę. Żeby już przyspieszyć całą sprawę, poddałam się i ją ubrałam. Później wzięłam się za sprzątanie stert rozrzuconych ubrań, składając je i wieszając w szafie lub układając w szufladach. Jodie nie powiedziała nic na temat swojego pokoju, a gdy zapytałam, czy się jej podoba, odpowiedziała mi pustym, odpychającym spojrzeniem. Podniosła pluszaka i rzuciła nim w drzwi. — To nie moje! Nie chcę tego! - Jej twarz wykrzywiła się ze złości.

- Dobrze, ale nie rzucaj tym. Jestem pewna, że masz mnóstwo swoich zabawek. Odłóż te, a przyniosę trochę twoich. Tak wolisz, prawda? - Pozbierałam inne zabawki i położyłam obok drzwi.

- Gdzie idziesz? - zapytała, jeszcze *bardziej* wykrzywiając twarz.

— Wynieść te zabawki i przynieść parę twoich. — Uśmiechnęłam się i wyszłam, *wiedząc*, że właśnie uniknęłam kolejnej sceny.

Rzuciłam niechciane zabawki na swoje łóżko, zeszłam na dół i otworzyłam kilka kolejnych toreb. Były wypełnione ubraniami w nieprawdopodobnej ilości. Nie mogła ich wszystkich mieć na sobie, nawet gdyby przebierała się trzy razy dziennie przez dwa tygodnie. Kolejna torba, którą otworzyłam, była wypchana małymi plastikowymi zabawkami: lalkami, zwierzątkami i prezentami z McDonalda. Niczym szkolna loteria świąteczna. Wytargałam torbę na górę.

- Przejrzyj te - powiedziałam wesoło - a ja wypakuję resztę twoich ubrań. Pod łóżkiem jest pudełko na zabawki, możesz je tam włożyć.

Twarz Jodie złagodniała i przez kilka minut każda z nas miała swoje *zajęcie*, chociaż czułam, że spokój jest kruchy. Nie myliłam się. Pięć minut później wrzuciła do pudełka plastikowego krokodyla, a potem wybiegła z pokoju i wparowała do sypialni Adriana.

Poszłam za nią. - Jodie, chcesz się teraz rozejrzeć? Dokończymy rozpakowywanie później. - Jodie *zaczęła* wystukiwać coś na telefonie Adriana, zostawionym do ładowania przy łóżku.

Podeszłam bliżej i próbowałam łagodnie wziąć od niej telefon. - Nie możemy tego dotykać, to nie jest nasze. To jest pokój Adriana. — Popatrzyła na mnie niepewnie. — Adrian to mój syn. Jest teraz w szkole. Poznasz go później.

Upuściła telefon na podłogę, potem wskoczyła na łóżko i zaczęła po nim ciężko skakać. Wyciągnęłam do niej rękę. - Chodź, pokażę ci resztę pokoi, a później zrobię ci coś do zjedzenia.

Wzmianka o obiedzie *zadziałała*. Jodie wykonała jeszcze jeden skok, ale tym *razem* w moją stronę.

Podłoga *zadrżała*. Dziewczynka stała już obok mnie, ale po to, by zaraz wypaść z pokoju na korytarz i wparować do następnej sypialni.

— To jest pokój Lucy — powiedziałam, doganiając ją. — Ma piętnaście lat. Jest z nami od dwóch lat i też poznasz ją później.

Wybiegła z pokoju Lucy i wpadła do Pauli, gdzie od razu zauważyła szmaciana lalkę w pizamie, ułożona na łóżku.

- Moja, moja! - zaczęła krzyczeć, przyciskając lalkę do piersi.

- Chce ja!

— To Pauli — powiedziałam łagodnie. — Jest wyjątkowa, dostała ja na urodziny.

- Moja! - odburknęła. - Chcę ja. Daj mi taka albo cię kopnę!

Zmarszczyłam brwi i delikatnie wyciągnęłam lalkę z jej objęć. Czy w taki sposób udało jej się zebrać te wszystkie zabawki: kup mi albo cię kopnę? Odłożyłam lalkę z powrotem na poduszkę, wzięłam Jodie za rękę i wyprowadziłam z pokoju. Otworzyłam drzwi do swojego pokoju na tyle, by mogła tam zajrzeć.

- A tutaj śpię ja, ale to oczywiście prywatny pokój. Wszystkie nasze sypialnie są prywatne i nie wchodzimy do nie swojego pokoju, chyba że ktoś nas poprosi.

Wyszczrzyła się w dziwnym grymasie, który nadawał jej nieprzyjemny, wrogi wygląd. Patrzyła na podwójne łóżko. — Masz mężczyznę?

Potrząsnęłam głową. - Nie, rozwiodłam się. Mam duże łóżko tylko dla siebie.

Rzuciła mi żalose spojrzenie. Stwierdziłam, że jak na mój pokój to wystarczy, i zamknęłam drzwi.

Na korytarzu jeszcze raz podkreśliłam zasadę prywatności w naszym domu. - Jodie, wszyscy mamy swoje sypialnie, a w nich nasze wyjątkowe rzeczy. Nikt nie wejdzie do twojej sypialni, ale tobie też nie wolno do nikogo wchodzić bez pozwolenia. Rozumiesz?

Przytaknęła żywo, ale podejrzewałam, że jej zgoda wynikała bardziej z chęci przyspieszenia posiłku niż z prawdziwego zrozumienia. — Jestem głodna! Chcę chipsy i czekoladę! — Zbiegła po schodach, wpadając na poręcz. Dogoniłam ją w kuchni, gdzie zaczęła otwierać wszystkie szafki i szuflady.

— Dobrze, poczekaj chwilkę, coś ci znajdę. — Wyjęłam torbę różnych chipsów i pozwoliłam jej wybrać jeden rodzaj. Rozerwała paczkę o smaku wędzonego boczku i zaczęła je wpychać całymi garściami do buzi. — Z czym chcesz kanapkę? Z szynka, serem, masłem orzechowym czy z pikantną pasta?

- Z pastą pikantna i czekoladowa. Roześmiałam się. — Chyba nie na jednej kanapce?

Ale Jodie tylko na mnie patrzyła, nie rozumiejąc. — Chcę pić.

- Poproszę coś do picia? - poprawiłam ją, uważając, że nie przyniesie to nikomu krzywdy, jeśli wprowadzę kilka dobrych zwyczajów. Zrobiłam jedną kanapkę z pikantną pasta i jedną z nutella.

Potem wyjęłam szklanę, nalałam trochę soku pomarańczowego i chciałam dolać wody.

- Ja zrobię - powiedziała Jodie, wyrwijąc mi szklanę z ręki.

— OK, ale delikatnie. Nie łap tak, to nieładnie. — Pokazałam jej, jak odkręcić kran, i poczekałam, aż napełni szklanę. - Lubisz pomagać, Jodie? Czy pomagałaś w domu? I u innych opiekunów? Postawiła szklanę z brzękiem na kuchennym blacie i przyjęła pozę przepracowanej gospodyni domowej, z rękami na biodrach, wysuniętym podbródkiem i wyrazem rezolutnego nadasania. — Gotowanie! Sprzątanie! A wy, cholerne dzieciaki, ciągle się za mną pętacie! Nie wiem, po co ja was miałam! Wrzód na dupie!

Widziałam, że gra. Prawdopodobnie powtarzała słowa matki, ale podejrzewałam, że było też w tym trochę prawdy. Jako najstarsza z trójki rodzeństwa pewnie uczestniczyła w wychowywaniu siostry i brata, gdy rodzice byli zbyt pijani lub nać-pani, żeby się nimi zająć. Przypomniało mi to, dlaczego przez to wszystko przechodziliśmy. Przeblýsk wglądu w przeszłość Jodie, jaki przed chwila mi pokazała, pomógł mi zebrać siły i stawić czoła zmiennym nastrojom i nieustannym zadaniom, o których wiedziałam, że nadciągają.

Popołudnie minęło, nawet nie wiem jak. Nie rozpakowałyśmy Jodie, bo przez cały czas starałam się zająć jej uwagę na dłużej niż dwie minuty. Pokazałam jej szafki pełne gier, które przejrzałyśmy kilka razy, próbując znaleźć coś, co by ją zainteresowało. Lubiła układanki, ale jedyne, które potrafiła ułożyć w całości, składały się zaledwie z garści elementów i były przewidziane dla dwulatków. Przez lata pracy jako opiekun zastępczy widziałam dzieci, które były w jakimś stopniu opóźnione w rozwoju, i miałam doświadczenie w radzeniu sobie z ich trudnościami w nauce. Zaczęłam jednak podejrzewać, że w przypadku Jodie trudności były raczej „poważne”, a nie „umiarkowane”, jak opisywał je Gary.

Siedziałyśmy razem na dywanie, ale Jodie jakby nie była świadoma mojej obecności. Mruczała bezmyślne dygresje do ludzi takich jak Paul, Mikę i Sean: - Zobacz ten kawałek. Tam w środku. To koń. Mówiłam ci! Wiem. Gdzie?

Nie były to imiona nikogo z najbliższej rodziny, o kim bym słyszała. Doszłam więc do wniosku, że Jodie bawiła się z wyimaginowanymi przyjaciółmi. Takie zachowanie wcale nie jest rzadkością wśród dzieci, nawet ośmioletnich, ale nigdy nie widziałam dziecka do takiego stopnia wyłączonego z rzeczywistości.

- Kim są ci ludzie? - zapytałam w końcu. Popatrzyła na mnie obojętnie.

- Paul, Mikę i Sean.

- Czy to twoi przyjaciele z wyobraźni? Bawisz się, że tylko ty ich widzisz?

Spotkało mnie kolejne nierozumiejące spojrzenie. Potem Jodie spojrzała groźnie przez moje ramię. - Mikę, jeśli nie będziesz uważał, co robisz, zatłukę cię na śmierć!

Gdy Paula i Lucy wróciły ze szkoły o wpół do czwartej, próbowałam właśnie usadzić Barbie obok Kena w jej sportowym samochodzie. Usłyszałam zamknięcie drzwi i zaraz potem reakcję Lucy na widok walizek, których nie zdążyłam zabrać: -Chryste! To ile ich się do nas wprowadza?

- Tylko jedna - odpowiedziałam.

Na dowód Jodie podskoczyła i pobiegła do przedpokoju. — Kim jesteście? - zapytała ostro, kładąc ręce na biodrach i ponownie udając naburmuszona gospodynię domowa.

Dziewczynki nic nie odpowiedziały, ale wiedziałam, co myślały. Z jej dziwnym zachowaniem i agresywną postawą, nie była zupełnie tą przybraną siostrzyczką, która miały nadzieję poznać.

- To jest Jodie - powiedziałam pozytywnie. - Przyjechała w południe. Jodie, to Lucy i Paula.

Wysunęła policzek w taki sposób, jakby mówiła: spróbujcie tylko do mnie podejść!

- Cześć - powiedziała Lucy z wysiłkiem.

- Cześć - dodała Paula słabo.

Jodie zagradzała im drogę, więc delikatnie położyłam dłoń na jej ramieniu, żeby się przesunęła. Odepchnęła mnie.

- Wynośćcie *siei* - wybuchła w stronę dziewczynek. - To mój dom! Idźcie sobie!

Zamurowało mnie. Jak mogła tak pomyśleć, skoro opowiadałam jej o dziewczynkach i pokazywałam ich pokoje. Zaśmiały się, co było zrozumiiałe, ale niezbyt rozsądne. Zanim zdołałam ja powstrzymać, Jodie dopadła do Pauli i kopnęła ją w goleń. Ta odskoczyła z krzykiem.

- Jodie! Co ty robisz?! - krzyknęłam i obróciłam ją w swoją stronę. - To *niegrzeczne*. Nie wolno kopać. To jest tak samo ich dom jak twój. Wszyscy mieszkamy razem. Rozumiesz?

Wyszczrzyła się w uśmiechu,

- Nic ci nie jest? - zapytałam Paulę. Doświadczyła już agresji ze strony przybranego rodzeństwa, jak my wszyscy, ale nigdy tak szybko i wyraźnie.

Paula skinęła, a ja przytrzymałam Jodie do czasu, aż dziewczynki weszły na górę. Zawsze po szkole idą najpierw do swoich pokoi, rozpakowują się, a ja w tym czasie przygotowuję kolację. Zaprowadziłam Jodie do kuchni i *jeszcze raz* podkreśliłam, że wszyscy mieszkamy razem, jak jedna rodzina. Zapytałam ja, czy chce pomóc, ale założyła ręce i oparła się o blat, mruczając pod nosem komentarze, z których większość była niezrozumiała. -Nie są moje - wyburczała.

- Ziemniaki? - zapytałam. - Nie, obieram je na kolację dla nas wszystkich.

- Kogo?

- Dla kogo są? Dla nas wszystkich.

- W samochodzie?

- Nie. Ty przyjechałaś w samochodzie. A teraz jesteśmy w kuchni.

- Gdzie? - zapytała, uchylając przykrywkę garnka, w którym właśnie nastawiłam wodę.

- Ostrożnie, Jodie - powiedziałam. - To bardzo gorące.

- Szłam - powiedziała, i gdy tak wymawiała niespójne frazy, wydawało się, jakby miała jakiś zapas słów, które wyrzucała przypadkowo.

Pomogła mi nakryć do stołu i pokazałam jej, gdzie będzie miała swoje miejsce. Zawsze siedzieliśmy na tych samych miejscach — tak wołały dzieci, a poza tym ułatwiało to życie.

- Paula! Lucy! Kolacja! - zawołałam. Adrian grał tego wieczoru w rugby, więc kolacja czekała na niego w piekarniku. Dziewczynki zeszły i wszystkie usiadłyśmy na swoich miejscach. Jodie od razu się rozłożyła, że nie może siedzieć na miejscu Lucy.

- Jodie, Lucy zawsze tutaj siedzi - wyjaśniłam. - To jest jej miejsce. A to jest twoje.

Popatrzyła na Lucy, a potem złośliwie dała jej kuksańca w *zebra*.

- Jodie, nie! To boli. Nie rób tego. *Grzeczna* dziewczynka. Wiedziałam, że powinnam jej powiedzieć, żeby przeprosiła

Lucy, ale to był nasz pierwszy wspólny posiłek, więc sobie darowałam. Jodie dalej wpatrywała się w Lucy, która odsunęła się nieco dalej. - No dalej, Jodie, jedz kolację - zachęciłam ja. - Mówiłaś, że lubisz piezzonego kurczaka.

Drzwi frontowe otworzyły się i wszedł Adrian, *jeszcze* umorusany błotem po meczu rugby. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, więc przygarbił się, wchodząc do kuchni. Miałam nadzieję, że Jodie nie poczuje się nim onieśmielona, wiedziałam *przecież*, że Adrian zawsze był łagodny i dzieci zwykle go lubiły.

- Adrian, to jest Jodie - powiedziałam.

- Cześć, Jodie - uśmiechnął się, wyjmując swój talerz z piekarnika i siadając naprzeciwko Jodie. Ta przeniosła wzrok z Lucy na niego, zsunęła się z krzesła i zaczęła go kopać pod stołem.

- Jodie, przestań - powiedziałam stanowczo. - Żadnego kopania i żadnych kuksańców. To nieładnie. Popatrzyła na mnie groźnie. W końcu wzięła nóż i widelec i zaczęła jeść. Obserwowałam ją katem oka. Ledwo mogła utrzymać sztućce w dłoniach, a jej ruchy były tak nieskoordynowane, że aby w ogóle coś zjeść, musiała trzymać buzie tuż nad talerzem.

- Może chcesz łyżkę? - zapytałam po chwili. - Albo może będzie ci łatwiej, jeśli najpierw ci to pokroję?

- Moje okulary - powiedziała. - Gorące. - Po czym bez żadnej widocznej przyczyny zeskoczyła z krzesła, trzy razy obiegła stół, opadła ciężko z powrotem na swoje miejsce i zaczęła jeść palcami. Dałam znak całej reszcie, żeby nic nie mówili, i kolacja upłynęła w nienaturalnej, napiętej atmosferze.

Ulżyło mi, gdy posiłek się skończył. Zasugerowałam Jodie, że może chciałaby mi pomóc włożyć naczynia do zmywarki. Gdy weszła do kuchni, zauważyła zadowolona Toschę, siedzącą obok bojlera,

- Czemu się na mnie patrzy? - zapytała ostro, tak jakby kocica miała jakieś złe zamiary.

- Nie patrzy na ciebie, skarbie. Koty często tak siedzą i *patrzą* w przestrzeń. Znalazła dla siebie najcieplejsze miejsce.

Jodie zaczęła się zbliżać do kocicy długimi, agresywnymi krokami i wyczułam, że zaraz polecą kolejny kopniak. Szybko jej przerwałam. — Daj spokój, Toscha jest stara, pozwolimy jej się tu przespać.

Doszłam do wniosku, że zmywanie może poczekać do czasu, gdy Jodie będzie w łóżku, i zaprowadziłam ją do salonu. Kiedy Adrian, Lucy i Paula odrabiali na górze zadania domowe, ja starałam się zabawiać Jodie różnymi grami i puzzlami. O siódmej byłam już wykończona. Jodie potrzebowała bezpośredniej uwagi we wszystkim, co by ja miało zajmować, a jej nieustająca bezsensowna paplanina zaczęła mi działać na nerwy.

- Chodźmy na górę skończyć *przed* spaniem rozpakowywanie - zaproponowałam.

Jodie się podniosła. — Chcę do parku.

— Nie dzisiaj, jest za późno. Ale jeśli będzie ładnie, to pójdziemy jutro.

Odwróciła się plecami i zaczęła mówić do Davida, kolejnego wyimaginowanego przyjaciela.

Wychwyciłam dziwne słowa — „widzisz... tam, w środku!...” - ale nie było to nic związanego z parkiem czy naszą zabawą, więc pocieszałam się, że jej wymyślony przyjaciel z czasem zniknie, gdy Jodie zacznie się u nas czuć bezpiecznie. Musiałam użyć nieco przymusu i ciągłego powtarzania, żeby ją w końcu przekonać do wyjścia na górę, *gdzie* rozpakowałyśmy jeszcze jedną torbę. Potem pomogłam jej się umyć i *przebrać*, i o ósmej była gotowa na bajkę. Znalazła *Trzy małe świnki*, książkę, którą ze sobą przywiozła. *Przeczytałam jej ją* dwa razy, potem namówiłam, żeby się położyła, i powiedziałam „dobranoc”. Wychodząc, podeszłam, żeby zgasić światło.

— Nie! — krzyknęła przerażona. — Nie chcę ciemno! Boję się, jak ciemno! Zostaw!

- W porządku, skarbie. Nie denerwuj się. - Włączyłam z powrotem światło, potem nieco przygasiłam, ale *wciąż była niezadowolona*. Mogła zostać w łóżku tylko przy pełnym świetle.

- Chcesz, żebym zostawiła otwarte drzwi? - zapytałam tak, jak pytałam każde dziecko w jego pierwsza noc. To, jak dzieci śpią, jest bardzo ważne w pomaganiu im, żeby poczuły się bezpieczne i ustabilizowane.

- Zamknięte - powiedziała. - Zamknij dobrze.

Jeszcze raz powiedziałam „dobranoc”, posłałam jej całusa, zamknęłam drzwi i wyszłam.

Zatrzymałam się chwilę na pół-piętrze i nasłuchiwałam. Deski w podłodze zaskrzypiały, gdy Jodie wyszła z łóżka, sprawdziła, czy drzwi są dobrze zamknięte, i położyła się z powrotem.

O dziewiątej Adrian, Paula i Lucy zeszli coś przekąsić i usiedliśmy razem w salonie. Włączyłam telewizor, ale nie oglądałam programu. Wraciałam ciągle do wydarzeń całego dnia.

— No i co myślicie:¹ — zapytałam, uśmiechając się do Lucy, która przyniosła mi filiżankę herbaty.

- Jest dziwna - powiedziała Lucy, siadając obok mnie.

— Nie podoba mi się — powiedziała Paula i spojrzała na mnie zmieszana, spodziewając się, że ja skarcę.

- A ty, Adrian? Jakie jest twoje pierwsze wrażenie?

- Przypomina mi lalkę Chucky z tego horroru. Wiesz, tę opętana przez diabła.

- Adrian! - upomniałam go, ale poczułam zimny dreszcz, bo miał trochę racji. Ze swoim szerokim czołem, wytrzeszczonymi niebieskoszarymi oczami, brakiem empatii i oderwaniem od realnego świata, Jodie równie dobrze mogła być opętana. Chwilę później zrugiałam się za swoje myśli. *Przecież* była tylko dzieckiem, które przeszło trudne chwile i potrzebowało naszej pomocy. W tym wszystkim złowieszcze było tylko to, co ją spotkało. Podjęłam się tego wyzwania i teraz byłam winna Jodie, by wspierać ją. tak długo, jak długo będzie mnie potrzebowała. Bez wątplenia część jej problemów wynikała z tego, że ludzie, którzy decydowali się nią opiekować, zaraz po napotkaniu pierwszej przeszkody rezygnowali i oddawali ją w inne ręce. Nie mogłam jej tego zrobić jeszcze raz.

Staralam się wyglądać na spokojną. -Jestem pewna, że z czasem się poprawi.

Samookaleczenie

Może prześladował mnie powracający obraz opętanej lalki, bo nagle obudziłam się z otwartymi oczami i wytężonymi zmysłami. Przekręciłam się i spojrzałam na budzik. Była dopiero 2:15.

Nasłuchiwałam. W domu było cicho. Ale coś mi mówiło, że nie wszystko było w porządku — szósty zmysł, wykształcony w ciągu tych wszystkich lat wychowywania dzieci.

Wysunęłam nogi spod kołdry i poszukałam kapci. W domu było zimno, ogrzewanie wyłącza się automatycznie na noc. Płatałam się przez chwilę, żeby w końcu włożyć ręce w szlafrok, potem

lekko go zawiązałam i otworzyłam drzwi swojej sypialni. Z *przerażenia*, wciągnęłam powietrze. Przed drzwiami stała Jodie z twarzą umazaną krwią.

- Co to jest? Co ty zrobiłaś? - gorączkowo obmacywałam jej twarz i szyję w poszukiwaniu źródła krwi. - Gdzie się zraniłaś? No, powiedz! Chodź, szybko! - Nie mogłam niczego znaleźć, ale krew była świeża.

Niczym w transie Jodie podniosła powoli ręce i pokazała mi wnętrza dłoni. Były umazane krwią, ale wciąż nie widziałam żadnego śladu zranienia. Podciągnęłam rękawy jej piżamy i wtedy zobaczyłam. Miała na lewym przedramieniu przecięcie długości około dwóch centymetrów, z którego wolno *sączyła, się* krew. Zaprowadziłam ją do łazienki i włożyłam ręce do umywalki. Odkręciłam zimną wodę i wsunęłam pod nią przeciętą rękę Jodie. Nawet nie drgnęła. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie lunatykuje.

- Jodie?! - powiedziałam głośno. - Jodie! Słyszysz mnie? Uśmiechnęła się do swojego odbicia w lustrze. Już wiedziałam, że nie spała.

- Co się stało? Jak to zrobiłaś?

Spotkała mój wzrok w lustrze, ale nic nie odpowiedziała.

Obmyłam dokładnie ranę i przyjrzałam się jej. Nie była głęboka, szwy nie były potrzebne, nie powinno też być tyle krwi. Wyglądało na to, że Jodie celowo ją rozmasowała, by uzyskać większy efekt. Ale jak? I dlaczego? Nikt nie wspominał o tym, by Jodie kiedyś sama się zraniła, ale nie wierzyłam, by zdarzyło się to pierwszy raz. Przyjrzałam się bliżej i wtedy zobaczyłam inne cienkie, różowe blizny po cięciach na obu przedramionach. Trudno było określić, kiedy powstały. — Zostań tu, Jodie — powiedziałam. — *Zejdę* na dół i przyniosę bandaż.

Znów się wyszczerzyła. Ten dziwny, pozbawiony radości uśmiech wydawał się kryć znaczenia, których nie byłam w stanie pojąć, ale przyprowadziło mnie to o *dreszcze*. Przykryłam jej ramię czystym ręcznikiem i zeszałam do kuchni. Otworzyłam apteczkę i wyjęłam duży plaster. Nie mogłam zebrać myśli. Jodie nawet nie cierpiała i to zaczęło mnie martwić jeszcze bardziej. Dokładnie tak, jak wcześniej, gdy się wymazała kupą, były w niej tej chłodny spokój i oderwanie, tak dziwne w przypadku małego dziecka. Jakby nie czuła żadnego bólu. A może nawet nie była świadoma tego, co zrobiła? Nie mogła krzyknąć, gdy się zraniła, bo z pewnością bym ją usłyszała - po latach zajmowania się dziećmi spałam bardzo płytko. Nagle wyobraziłam sobie straszny obraz Jodie siedzącej cicho w swoim pokoju, wyciskającej krew z rany i smarującej się nią po twarzy.

Gdy wróciłam na górę, Jodie stała przed lustrem, wykrzywiając twarz, lecz nie z bólu. Jakby usiłowała zrobić minę, w której wyglądałaby tak brzydko, jak tylko mogła, marszcząc przy tym twarz na wszelkie sposoby i odsłaniając zęby w krzywym uśmiechu. Zdjęłam osłonę plastra, zakleiliśmy ranę, potem zmoczyłam myjkę i wytarłam Jodie twarz i szyję. Umyłam ręce mydłem i gorącą wodą, za późno przypominając sobie o tym, że przy opatrywaniu ran powinnam zakładać rękawiczki, by uniknąć ewentualnego zarażenia. Zapomniałam o tym w panice kryzysowej sytuacji.

Kiedy Jodie znów była czysta i sucha, poczułam, że wraca normalność. — Dobrze, Jodie — powiedziałam zachęcająco. — Chodź, położymy cię z powrotem do łóżka. -Jodie ciągle nic nie mówiła.

Prowadziłam ją przez korytarz, gdy w drzwiach swojej sypialni pojawiła się Lucy. - Wszystko w porządku, Cathy? -zapytała z na wpół otwartymi oczami.

- Tak, nie martw się. Jutro ci wszystko wytłumaczę.

Skinęła głowa i wróciła do łóżka.

W pokoju Jodie na podłodze w nieładzie leżała kołdra. Nie było na niej krwi, ale na wierzchu zobaczyłam mały nożyk do obierania warzyw, którego nigdy wcześniej nie widziałam. Podniosłam go. — Skąd to masz? — starałam się ukryć oskarżenie w głosie.

W końcu przemówiła: - Od Hilary i Dave'a. -Jej poprzedni opiekunowie.

— Czy oni wiedza, że go zabrałaś?

Potrząsnęła figlarnie głową, jakby została zdemaskowana w grze. Trudno mi nawet było ja skarcić. Bardziej zdenerwowali mnie opiekunowie, którzy umożliwili jej dostęp do takich *rzeczy*, ale mogłam zrozumieć, jak to się stało. Doświadczenie nauczyło mnie, że pozostawienie dziecka w kuchni nawet na piętnaście sekund mogło spowodować nieszczęście. Opiekowałam się kiedyś nastolatkiem, który sam się zranił, ale nigdy nie widziałam czegoś takiego u dziecka w wieku Jodie! Dziecko *fizycznie* molestowane w domu może prawie w ogóle nie szanować swojego ciała i skaleczenie się nie robi na

nim wrażenia. Ale świadome samo-okaleczenie jest *raczej* rzadkie i jeśli już, to zdarza się nastolatkom. Nigdy nie słyszałam o ośmioletnim dziecku, które z premedytacją pocięłoby się nożem. To było bardzo niepokojące.

- Wzięłaś coś jeszcze? - zapytałam łagodnie. Zaprzeczyła ruchem głowy, ale i tak przeszukałam pokój. Potem poprawiłam jej łóżko.

- Chodź, wskakuj do łóżka. Porozmawiamy o tym rano. Potrząsnęła ze złości głową. — Park! — zażądała. — Chcę iść do parku! Mówiłaś!

- Jest środek nocy, Jodie. Pójdziemy jutro. Nikt nie chodzi do parku w nocy, gdy jest ciemno. Wszystkie bramy są *przecież* zamknięte.

- To je otwórz!

- Nie mogę. Nie mam kluczy. - Zdałam sobie sprawę z absurdalności tej rozmowy. — Jodie, wchodź do łóżka i postaraj się zasnąć, zanim obudzisz wszystkich w domu.

- Nie, nie chcę! - Zrobiła krok w stronę drzwi. Złapałam ją lekko w pasie i delikatnie przysunęłam do siebie. — No, chodź.

Grzeczna dziewczynka. Wskakuj szybko do łóżka, *przeczytam* ci bajkę. A rano pójdziemy do parku. Jak będzie już jasno.

Przez chwilę mocowała się ze mną, potem się poddała. Pomogłam jej wejść z powrotem do łóżka i nakryłam ją kołdrą po samą brodę. Popatrzyłam na jej małą głowę na poduszce, otoczoną blond włosami, które opadały na buzię. Przysiadłam na łóżku i głaskałam ją po czole, aż poczułam, że się uspokoiła. - Jodie, musisz coś bardzo mocno w środku przeżywać, jeśli sama się zraniłaś. Czy jest coś, o czym chcesz mi powiedzieć?

Jodie już jednak zasypiała. Wymamrotała jeszcze tylko: -Bajka. Czi *finki*.

- Dobrze. - Ciągłe głaszcząc jej czoło, zaczęłam opowiadać bajkę, którą znałam już na pamięć. Jodie zamknęła oczy i zaczęła głęboko, równo oddychać. Pocałowałam ją w policzek, potem cichutko wyszłam i zamknęłam drzwi.

O piątej nad ranem obudził mnie głośny łomot. Wskoczyłam w kapcie i szlafrok i półprzytomna z niewyspania dopadłam drzwi Jodie. Szybko zapukałam i nie czekając na odpowiedź, wparowałam do środka. - Jodie! Co ty wyrabiasz?

Jodie nie spała, była już ubrana, a w ręce trzymała piłkę nożną. Wszystko to, co stało wcześniej na półkach, było zrzucone na podłogę.

- Odłóż to - powiedziałam zdecydowanie. - Tutaj nie gra się w piłkę.

- Ja gram. - Przycisnęła piłkę do piersi, jakby chcąc ją chronić. Podeszłam do niej, żeby jej zabrać piłkę, ale ścisnęła

ją jeszcze mocniej. Byłam na siebie zła, bo *przecież* wiedziałam, że to wywoła w niej tylko jeszcze mocniejszą reakcję obronna. Zmieniłam więc taktykę. - W porządku, Jodie. Odłóż piłkę i kładź się spać. Jeśli nie możesz spać, usiądź cicho i pooglądaj książkę. Powiem ci, kiedy będzie czas, żeby wstać.

Nie czekając na reakcję, wyszłam z pokoju i zamknęłam drzwi. Miałam nadzieję, że bez wywoływania otwartej konfrontacji Jodie zrobi to, o co poprosiłam. Czekałam i nasłuchiwałam. W pokoju zapadła cisza, więc wróciłam do siebie i położyłam głowę na poduszce. Pięć minut później usłyszałam, jak otwierają się drzwi pokoju Jodie, a potem następne. Przeleciałam przez korytarz w koszuli nocnej i zobaczyłam, że drzwi do pokoju Adriana są otwarte. Wpadłam do środka i zastałam Jodie próbującą wspiąć się na jego łóżko.

-Jodie! Odejdź! - krzyknęłam. - Tam nie wolno!

Odsunęłam ją. Była duża, a na dodatek strasznie ciężka i nieskoordynowana. Adrian stęknął i przewrócił się na drugi bok. Wzięłam ją pod pachy i wyprowadziłam na korytarz. Klapnęła na podłogę, założyła ręce i zrobiła nachmurzoną minę. Wzięłam głęboki oddech i kucnęłam obok niej.

— Jodie, nie możesz tu zostać, złotko. Wrócimy do twojego pokoju i włączymy ci telewizor. Wszyscy jeszcze śpią.

Pomyślała o tym przez chwilę, potem rzuciła się na czworaka i wałać nogami i rękami o podłogę, poraczkowała do swojego pokoju. Poszłam za nią, uspokojona, że przynajmniej tyle udało mi się

uzyskać. *Znów* siedziała na podłodze ze skrzyżowanymi nogami i założonymi rękami, wpatrując się z wyczekiwaniem w ekran telewizora. Włączyłam telewizję i przeleciałam szybko przez kanały. Było za wcześnie na programy dla dzieci, ale wyglądało na to, że Jodie zainteresował futbol.

- Tylko nie nastawiaj głośno - wyszeptałam - żeby nie obudzić pozostałych.

Założyłam jej kołdrę na ramiona i wróciłam do siebie po kaptur i szlafrok. Zeszłam na dół i włączyłam ogrzewanie. Nie było sensu kłaść się spać. Nawet nie mogłabym zasnąć, głowę miałam nabita milionem myśli o wszystkim, co się właśnie wydarzyło.

Zrobiłam sobie filiżankę kawy i zaniósłam ją do salonu. Pokój Jodie był dokładnie nade mną i było w nim cicho. Usiadłam na sofie, oparłam na niej głowę i pociągnęłam łyk kawy. Nagle ciszę rozdarł męski głos, tak głośny, że aż zniekształcony. Zachłysnęłam się - taki hałas musiał wszystkich obudzić. Pobiełam do pokoju Jodie i instynktownie wyłączyłam telewizor.

- To moje! - wrzasnęła i rzuciła się w moja stronę z rozczapierzonymi, zakrzywionymi jak szpony palcami. - Chcę to! Wynoś się! Wyłaż z mojego pieprzonego pokoju!

Objęłam ją od tyłu na wysokości ramion. - Jodie, uspokój się i posłuchaj mnie. Prosiłam, żebyś nie nastawiała głośno telewizora. Wszyscy śpią, a teraz, po tym hałasie, pewnie się obudzili. Jak się uspokoisz, włączymy telewizję z powrotem. Rozumiesz:¹

Spojrzała na mnie. - Chcę telewizor!

- Wiem, ale krzyki i przekleństwa nie pomogą.

Byłam zbyt zmęczona na dłuższe wykłady. - Teraz usiądź, włączę ci telewizor, ale musi być cicho.

Przyjęła znów pozycję ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, a ja włączyłam odbiornik.

Wsunęłam do kieszeni pilota i wróciłam do salonu. Usiadłam i ziewnęłam. Za oknem wschodzące słońce zwiastowało piękny wiosenny dzień. Pierwsza wspólna noc była za nami.

Bardzo niespokojne dziecko

Nie wolno skakać, kopać, gryźć ani popychać - powtarzałam już trzeci raz tamtego ranka. - To boli i jest złe. Rozumiesz, Jodie?

Nic nie powiedziała. Było prawie wpół do dwunastej, sobota, dzień po tym, jak Jodie do nas przyjechała. Dziewczynki schodziły na dół po długim weekendowym wylegiwaniu się w łózkach. Jodie na schodach przywitała Lucy kopniakiem.

- Nie chcę tego powtarzać, Jodie. Czy wyrażam się jasno? Zrobiła obrażona minę i zeskoczyła do przedpokoju.

- Przepraszam, Lucy - powiedziałam. Lucy wzruszyła ramionami. Wszyscy wiedzieliśmy, że w sprawie zachowania Jodie nie mogliśmy zrobić nic więcej oprócz ciągłego powtarzania i pokazywania, że to było złe i że nie wolno tak robić.

Chwilę później Jodie pojawiła się z zaciśniętymi pięściami, którymi wygrażała w powietrzu. - To oni! Zatłukę was na śmierć! Wynoście się! Nienawidzę was wszystkich!

Jej oczy płonęły, gdy tym razem próbowała kopnąć Paulę, która *zręcznie* usunęła się z jej drogi.

Podeszłam do niej, unikając przy okazji kopniaka wymierzonego we mnie. - Jodie - powiedziałam spokojnie. - Jodie, uspokój się i chodź do mnie.

Wrzasnęła *przeciagle*, potem upadła na kolana i zaczęła ze złości okładać się po twarzy i głowie.

Konieczność chciała sobie zrobić krzywdę. Gdy waliła się pięściami po głowie, uklęknęłam za nią,

objęłam ją wpół i skrzyżowałam jej ręce na klatce. Ciągle krzyczała i wierzgała nogami, ale z

zablokowanymi rękami nie mogła zrobić krzywdy ani sobie, ani mnie. Trzymałam ją blisko. Jej plecy dotykały mojej piersi. Krzyki i konwulsje osiągnęły szczyt i w końcu osłabły. Czekałam cierpliwie, aż Jodie uspokoi się, i poluźniłam ramiona.

- W porządku? - zapytałam, zanim zwolniłam uścisk. Skinęła głową. Obróciłam ją ku sobie. Obie byłyśmy ciągle

na podłodze. Policzki Jodie były czerwone i pokryte plamami. Była zaskoczona. Pewnie dlatego, że udało mi się opanować jej gniew, a nie uciekłam dla bezpieczeństwa do innego pokoju. Chwilę później pomogłam jej wstać, potem zaprowadziłam do kuchni. Umyłam jej twarz i dałam się napić. Była teraz spokojna - nie widziałam jej spokojniejszej, od kiedy się u nas pojawiła. Miałam nadzieję, że wyrzuciła z siebie coś, co jej ciążyło.

W kuchni pojawiła się Paula. - Jodie, chcesz ze mną poukładać *puzzle*? - zapytała, jak gdyby nigdy nic.

— To świetny pomysł! — powiedziałam, zaskoczona taką elastycznością i wspaniałomyślnością. Paula rozumiała, że agresywne zachowanie Jodie nie było wymierzone w nią osobiście. Jodie chciała uderzyć w cały świat, bo bardzo cierpiała, i ktokolwiek stał na jej drodze, miał odczuć impet jej złości. Paula to wyczuła i była gotowa nie tylko o tym zapomnieć, ale co więcej, zaoferować Jodie przyjaźń i swój czas. Byłam z niej bardzo dumna.

- Może podejmiemy do szafki i wybierzemy jakieś? - zapytała Paula.

W trójkę wybrałyśmy *puzzle* i przeszłyśmy do salonu, gdzie Paula i Jodie usiadły razem, żeby je ułożyć. Zostawiłam dziewczynki i wróciłam do kuchni przygotować coś do *zjedzenia*.. Słyszałam Paulę podpowiadającą Jodie, gdzie powinna położyć dany kawałek, i Jodie mówiącą: - No właśnie, maleńka. Potrafisz to zrobić. - Zachowywała się jak stara maleńka, ale przynajmniej zwracała się do Pauli w pozytywny sposób.

Przy krótkim okresie koncentracji Jodie nie *trzeba* było długo *czekać*, żeby się znudziła *puzzle*mi. Paula rozłożyła więc na kuchennym stole kilka kartek papieru i pomagała jej malować. Ja zrobiłam sobie filiżankę herbaty, jej ledwo trzymała pędzel i nie mogła zrozumieć pomysłu namalowania obrazu czegoś lub kogoś.

- Co malujesz, Jodie? - zapytała Paula.

- Ciemno.

- To owca czy koń? To wygląda bardziej na dużego konia. Jodie nie odpowiedziała, pochłonięta swoim bezkształtnym projektem.

- Może namalujesz niebo tym ładnym niebieskim?

- Nie. Czarny - powiedziała Jodie.

Mimo zachęt Pauli, Jodie dalej malowała tylko duże, ciemne plamy, bez żadnego zainteresowania innymi kolorami i bez specjalnej chęci malowania „jakiegoś” wizerunku. Widziałam to już wcześniej. Zdarza się, że *dzieci, które* były molestowane i cierpią z tego powodu, używają tylko bardzo ciemnych kolorów. To tak, jakby ich zmysły zostały zatrzaśnięte. Nie zauważają wtedy niczego w otaczającym ich świecie, nie postrzegają -jak robią to normalne dzieci - ani kolorów, ani kształtów.

Zjedliśmy obiad we względnie spokojnym. Byłam na nogach od tak wczesnej pory, że właściwie czułam się jak przy kolacji.

Spokój trwał jeszcze po południu, więc pomyślałam, że to dobry moment na zrobienie Jodie zdjęcia, które potrzebowałam dołączyć do akt dla pomocy społecznej. Przyniosłam aparat i wytłumaczyłam Jodie, dlaczego chciałam je zrobić.

- Mogę ci zrobić zdjęcie, skarbie? - zapytałam. Ważne było, by dać Jodie jak najwięcej kontroli, by podnieść jej poczucie stabilizacji i bezpieczeństwa.

Wzruszyła ramionami, więc zdecydowałam, że uznam to za zgodę. Paula odsunęła się bardziej na bok. W kadrze miałam tylko Jodie. Zrobiłam małe *zbliżenie*, żeby na zdjęciu była tylko głowa z ramionami na tle ściany i patrząc przez wizjer, wyśrodkowałam obraz.

- Możesz się uśmiechnąć Jodie? - poprosiłam. Miała bardzo surowy wyraz twarzy.

Zobaczyłam, jak jej usta ściągają się do zakłopotanego uśmiechu, potem jedno ramię uniosło się do góry i znikło z kadru. - Bardzo śmieszne, Jodie. No już, stój spokojnie. - Patrzyłam wciąż przez wizjer. Za chwilę w kadrze nie było już drugiego ramienia, potem zobaczyłam, że Jodie zdejmuje bluzkę. Obniżyłam aparat.

- Jodie, co ty robisz?

- Ściągam ubrania.

- Dlaczego? - zapytała Paula i szybko naciągnęła bluzkę z powrotem na Jodie.

Jodie nie odpowiedziała. Wpatrywała się we mnie, ale bez grymasu, więc szybko zrobiłam *zdjęcie* i schowałam aparat. -Jodie, zwykle nie zdejmujemy ubrań do zdjęcia - powiedziałam. — Dlaczego to zrobiłaś?

Wzięła jednego puzzla i próbowała go ułożyć na właściwym miejscu. - Chcę - powiedziała, *zniżając* głos, - Tak chcę! Moje ubranie.

- Wiem, skarbie, ale po co je ściągać do zdjęcia? Przecież nie prosiłam o to.

Odwróciła się do Pauli. — Pomagasz, dziewczyno, czy nie?

Uśmiechnęłam się do Pauli i skinęłam do niej, żeby bawiły się dalej. Poszłam do swojego „gabinetu” pod schodami i otworzyłam go. Nie zamierzałam wyciągać pochopnych wniosków z zachowania Jodie, ale musiałam zrobić z tego notatkę w dzienniku. Wyjęłam z biurka okazały zeszyt, który dostałam z agencji opieki *zastępczej*, i usiadłam, żeby opisać wszystko, *co* się do tej pory wydarzyło. Dziennik to codzienne zapiski dotyczące postępów dziecka; prowadzi go wszyscy opiekunowie zastępczy. Jest on potrzebny do informowania opiekunów społecznych i monitorowania postępów dziecka. Czasem dziennik jest też wykorzystywany jako dowód w postępowaniu sądowym dotyczącym opieki nad dzieckiem. Byłam wytrwała w prowadzeniu go na bieżąco, bo wiedziałam zbyt dobrze, jak jeden incydent może się *zazębić* z innym i jak nieprzespane noce mogą po jakimś *czasie stać* się podobne jedna do drugiej. Ważne były szczegóły. Tylko dzięki prowadzeniu skrupulatnych notatek można było wyłonić schemat zachowania: samo-okaleczenie w nocy i dziwne wyobcowanie, napaści na inne osoby i gwałtowne napady złości, znamionujące *chęć zadania* bólu samej sobie. Do tego ta dziwna i niepokojąca reakcja podczas robienia zdjęcia. Dlaczego *zaczęła się* rozbierać?

Stanowczo nie chciałam się spieszyć i wydawać pochopnej oceny. Napoczątkpotrzebowałam zaakceptować Jodie taką, jaka była, potem dopiero mogłam doszukiwać się jakiegoś schematu w jej zachowaniu. Byłam jednak niespokojna i przelanie tego wszystkiego na papier *zadziało jak* katharsis.

Podczas gdy Adrian i Lucy byli poza domem, Paula i ja wymieniałyśmy *się*, zabawiając Jodie przez całe popołudnie. Pomimo to bez widocznej przyczyny Jodie wpadła w kolejny atak hysterii. Pozwoliłam jej się wykrzyknąć *przez* parę minut, mając nadzieję, że atak ustąpi. Gdy tak się nie stało, a piskliwy krzyk był już nie do zniesienia, objęłam Jodie tak jak wcześniej i trzymałam, dopóki się nie uspokoiła. Potem zrobiłam w dzienniku jeszcze jeden wpis o jej nienaturalnym zachowaniu. Sporo było już tych notatek...

*

Nasz pierwszy weekend z Jodie był doświadczeniem wyczerpującym i poruszającym. Chociaż nikt z nas tego nie powiedział, było oczywiste, że wszyscy myśleli to samo. Ale to były tylko pierwsze dni. Wszyscy wiedzieliśmy z doświadczenia, że po początkowym wybuchu dziwacznych zachowań dzieci mogą się jeszcze uspokoić.

- To bardzo niespokojne dziecko - powiedziałam do Jill, gdy ta zadzwoniła do mnie w poniedziałek, żeby się dowiedzieć, jak się sprawy mają. Opowiedziałam jej o samookalecze-niu i ściągnięciu bluzki przy robieniu *zdjęcia*.

- Tak, to niedobrze - powiedziała Jill. - To bardzo niezdrowe zachowanie, zwłaszcza w przypadku tak małej *dziewczynki*. Sądysz, że dasz radę się nią opiekować?

— Jestem zdecydowana próbować — odpowiedziałam. — Dopiero co do nas przyjechała. Chcę jej dać największe możliwe szansę. Poza tym wiedziałyśmy od początku, że nie będzie to łatwe, więc nie możemy się dziwić, że na wejściu sprawia tyle kłopotów. Ale robię szczegółowe notatki ze wszystkiego, co się dzieje.

- Dobrze. Musimy to monitorować i zobaczymy, co się będzie działo. Z pewnością jesteś najlepszą osobą, do jakiej mogłaby trafić, dopóki więc ty jesteś dobrej myśli, to wiem, że Jodie jest w dobrych rękach.

Wyteżyłam słuch, czy Jodie przypadkiem się nie *zbliza*., ale była zajęta oglądaniem bajek na wideo. Zapoznałam więc Jill z treścią dziennika, myśląc o tym, co pozytywnego mogłabym dodać. — Dużo je. Właściwie to pochłaniajedzenie. Muszę to trochę ograniczyć. Wczoraj o mało nie *zwymiotowała* z *przejedzenia*.. Obawiam się jednak, że poza dobrym apetytem nie można na tę chwilę powiedzieć o niej jeszcze czegoś dobrego.

- Cathy, czy myślisz, że Jodie może się wychowywać w rodzinie? Bo jeśli nie, to gmina będzie musiała zacząć szukać dla niej jakiegoś ośrodka terapeutycznego, a takich jest niewiele i są bardzo różne. Polegam zupełnie na twojej opinii.

Doceniałam komplement, ale było to małe pocieszenie. Już teraz byłam zmęczona. Martwiłam się, czy będę w stanie przez to przejść, a myśl o tym, że mogłabym się poddać, zanim tak naprawdę zaczęłam, nie napędzała moich sił witalnych. -Jutro ma „kontakt” ze swoimi rodzicami, a w następnym tygodniu przyjdzie do niej na kilka godzin nauczycielka. Być może znajoma twarz pomoże jej odzyskać równowagę, miała lekcje ze swoją nauczycielką od września.

- W porządku, Cathy, zobaczymy, jak się sprawy będą toczyć. Poinformuję o wszystkim Eileen. Co dzisiaj robisz z Jodie?

— Terapia detaliczna. Dzięki uprzejmości Tesco.

Jill się zaśmiała. - Przygotowałam sporo miejsca w bagażniku. Jodie najwyraźniej uwielbiała zakupy, w przeciwieństwie do pozostałych członków rodziny, dla których nie było nic gorszego niż podróż do supermarketu. Kierując wózkiem i mówiąc mi ciągle, co powinniśmy kupić, a czego nie, była w swoim żywiole. W rzeczywistości była tak rozentuzjasmowana, że musiałam ograniczyć ten jej zapał i odłożyć niektóre artykuły na półkę.

Nie dziwiło mnie to. Przybrane dzieci często jakby uważały, że wszystkie ich problemy może rozwiązać portfel bez dna. *Dzieci*, którymi się wcześniej opiekowałam, miały nierzadko *rozpaczliwą* potrzebę posiadania rzeczy materialnych. W domach, z których do mnie trafiały, najczęściej brakowało pieniędzy, a kiedy już były, to z reguły szły na alkohol, narkotyki lub papierosy. Gdy zaczęłam kupować swoim przybranim dzieciom małe nagrody, zwykle bardzo się tym ekscytowały i było to dla nich miłe. Niezmiernie rzadko zdarzało się, by wcześniej dostawały jakieś nagrody w domu. Musiałam być jednak bardzo ostrożna i nie rozbudzać ich oczekiwań, bo wtedy szybko mogłyby zacząć żądać tych nagród i uważać, że mogą dostać, co tylko *zechcą*. Jodie była zupełnie innym przypadkiem. Z tego, ile przywiozła ze sobą bagażu i ile ważyła, można było z pewnością wnosić, że nagród nigdy jej nie brakowało. Oznaczało to, że była przyzwyczajona do otrzymywania tego, na co miała ochotę. Miałam nadzieję, że nie będę musiała stoczyć srogiej bitwy, żeby to ograniczyć do rozsądnych granic, ale doświadczenie nakazywało *raczej* przygotować się na walkę.

- Trzy paczki płatków to zdecydowanie za dużo - powiedziałam. - Wybierz jedno, które lubisz, a pozostałe odłożymy.

Oczywiście chciała wszystkie, spędzałam więc tyle samo czasu na wyciąganiu rzeczy z wózka, co na wkładaniu ich do środka. Ale Jodie była przynajmniej czymś zajęta.

Zrobienie zakupów na tydzień zajęło nam prawie dwie godziny i kiedy w końcu dotarliśmy do kasy, Jodie wypatrzyła stojak ze słodyczami, kusząco ustawiony przy przejściu. Zaczęłam wypakowywać zawartość wózka na taśmę i powiedziałam Jodie, że w nagrodę za to, że była *grzeczną* dziewczynką i mi pomagała, może wybrać tabliczkę czekolady.

- Jedna - powtórzyłam, gdy w wózku zaczęły ładować kolejne paczki słodyczy. Zobaczyłam jednak, że wcześniejsza współpraca Jodie szybko topniała. Dodałam więc: - Weź te czekoladowe cukierki, lubisz je.

- Chcę wszystkie! - krzyknęła i usiadła obrażona na podłodze. Kobieta stojąca w kolejce za nami najwyraźniej nie była

zachwycona moimi talentami rodzicielskimi i *rzuciła*, mi jedno z „tych” spojrzeń. Wypakowałam wszystkie rzeczy z wózka na taśmę, *łącznie* z czekoladowymi cukierkami. Resztę słodyczy odłożyłam na półkę. Katem oka przyglądałam się Jodie. Jej złość rosła, bo skrzyżowała nogi, założyła ręce i wykrzywiła twarz w grymasie. Kopnęła wózek tak, że uderzył mnie w bok. Zagryzłam zęby, udając, że nie zabolalo. Przeciągnęłam wózek *przez* przejście i zostawiłam go na końcu, gotowa na przyjmowanie zakupów z kasy.

- Pomożesz mi pakować? - powiedziałam, starając się odwrócić jej uwagę. - Dużo mi wcześniej pomagałaś, może pomożesz mi i teraz?

Nawet na mnie nie spojrzała. Zaczęłam się zastanawiać, jak ja usunę z przejścia, ale postanowiłam, że nie dostanie tego, czego chce, robiąc scenę przed ludźmi.

- Nie chcę tych cukierków! - wrzasnęła nagle. - Nie lubię ich! Spojrzałam na nią. - Nie krzycz, proszę. Powiedziałam,

że możesz wybrać paczkę cukierków, ale się pospiesz. Już prawie skończyłyśmy.

„Teraz ludzie już się otwarcie gapili. Jodie z trudem podniosła się z podłogi, wzięła ogromną paczkę owocowych landrynek i *rzuciła* ją w kasjerkę.

- Jodie! - Odwróciłam się do kasjerki, która była zajęta wymienianiem porozumiewawczych spojrzeń z kobietą, stojącą za nami. - Bardzo przepraszam. - Zapłaciłam, *jeszcze raz* przeprosiłam i wyszłyśmy.

Na zewnątrz zignorowałam krzyki Jodie, upominającej się o landrynki, i szybko pchałam wózek w stronę samochodu. Otworzyłam drzwi i przypięłam ją pasem na siedzeniu. — Zostań tu, a ja załaduję torby do bagażnika. Jestem zła, Jodie. To było bardzo niegrzeczne.

Obserwowałam ją przez tylną szybę. Z zaciśniętą szczęką mamrotała coś pod nosem i waliła rękami w siedzenie obok. Wiedziałam, jak się czuła; sama byłam w takim nastroju, że mogłabym zacząć okładać fotel. To już mnie naprawdę wypompało, a wszystko, co mogłam zrobić, to przygotować się na jeszcze więcej huraganów i hysterii. Poddawanie się napadom złości nie pomoże na dłuższą metę ani Jodie, ani mnie.

Odwiozłam wózek, potem usiadłam na przednim fotelu.

- Daj mi cukierki - wyburczała. - Chcę je teraz!

— Kiedy się uspokoisz i przeprosisz, Jodie. Nie zamierzam tolerować takiego zachowania przed ludźmi.

- Dawaj je albo zrobię kupę na siedzenie! - zagroziła.

— Słucham? Z pewnością tego nie zrobisz! — A więc to tak — pomyślałam. Była gotowa zrobić w majtki, jeśli się jej nie da tego, czego chce. Czy tak było też pierwszego dnia? Może to było właśnie to, wymuszanie swojej woli, a nie niepokój czy brak kontroli nad zwieraczami: 'Tak jak nie chciałam, żeby upaprała mi tylne siedzenie, tak samo nie chciałam się poddać takiemu szantażowi.

— Jodie, jeśli specjalnie pobrudzisz siedzenie, nie dostaniesz swoich cukierków przez cały dzień. Nie możesz tak po prostu robić zamieszania i dostawać wszystkiego, czego chcesz. Jestem pewna, że nie robiłaś tak u wcześniejszych opiekunów.

- Właśnie że tak! Wszystko! Robiłam. Uruchomiłam silnik i ruszyłam w kierunku wyjazdu. Nie miałam wątpliwości, że to, co mówiła, było prawdą. Biorąc pod uwagę *przeróżające* zachowanie Jodie, nie dziwiło, że jej wcześniejsi opiekunowie poddawali się wszystkim jej żądaniom po to tylko, by siedziała cicho. Przypuszczalnie w ten właśnie sposób zgromadziła te sterty ubrań i zabawek, z którymi przyjechała. Zerknęłam we wsteczne lusterko. Pokazała język, a potem zaczęła kopać w oparcie mojego fotela.

- Jodie, wiem, że to trudna nauczka, złotko, ale jeśli będziesz *niegrzeczna* nie załatwisz tego, czego chcesz.

- W domu miałam wszystko, co chciałam - powiedziała nagle bardziej zrozumiale.

- Naprawdę? - powiedziałam spokojnie.

— Zmusiłam ich, że powiem. Zahałam się. - Co powiesz, Jodie?

Zapadła długa cisza. - Nic. Mogę teraz dostać cukierki, Cathy? Przepraszam. Już tak nie zrobię.

- Dobrze, jak tylko dojedziemy do domu.

Gdy podjechałyśmy pod dom, dochodzący z tylnego *siedzenia* kwaśny zapach uświadomił mi, że Jodie zrealizowała jednak groźbę. To była kolejna niemiła data *naznaczona* wspólnym prysznicem, gdy tylko przekroczyłyśmy próg domu.

Kontakt

Poprzedni opiekunowie nie wspominali o tym, że robiła pod siebie, kiedy chciała coś osiągnąć? - zapytałam Eileen, opiekunkę społeczną Jodie, gdy ta zadzwoniła następnego dnia.

Rozmawiałyśmy pierwszy raz, od kiedy poznałam ją na spotkaniu w Ośrodku Pomocy Społecznej, przed powierzeniem mi Jodie. Ucieszyłam się, że zadzwoniła. Dobry opiekun społeczny potrafi sporo pomóc i liczyłam na to, że Eileen i ja będziemy się wspierać w tych roboczych relacjach.

- Straszy, że zrobi kupę, jeśli nie dostanie tego, na co ma ochotę. U mnie zrobiła to dwa razy. Za pierwszym razem złożyłam to na karb jej niepokoju, ale za drugim zrobiła to w samochodzie, bo nie chciałam jej kupić wszystkich słodyczy, jakie wybrała. Zagroziła, że zapaskudzi całe tylne siedzenie, i to zrobiła.

Eileen zamilkła i byłam pewna, że odpowiedź będzie twierdząca, choć najpewniej powściągliwa. Schemat działania Jodie był zbyt dopracowany, by mógł zacząć *działać* dopiero po jej przyjeździe

do mnie. Było oczywiste, że już od jakiegoś czasu używała wypróżniania się jako sposobu szantażu. — Coś może być w aktach. A skąd pytanie? To jakiś problem?

Pomyśl, że dziecko straszące tym, że załatwi się, jeśli nie uzyska tego, czego chce, a potem faktycznie spełniające groźbę, nie jest problemem, niemal mnie rozbawił. W głosie Eileen usłyszałam nie tylko strach, że mogę *zechcieć* oddać Jodie, ale i chęć zasygnalizowania mi, że jeśli tak, to nieco przesadzam. Ciągłe brudzenie się mogło się jej wydawać niczym wielkim, tyle tylko, że to nie ona musiała to potem sprzątać.

-Jeśli ma mi się udać wyjść temu dziecku naprzeciw - odpowiedziałam — to muszę dostać wszelkie istotne informacje. Proszę, czy możesz to dla mnie sprawdzić i oddzwonić?

- *Przejrzę akta* - powiedziała, ale wątpiłam, by *zamierzała* to zrobić. Jeśli do tej pory nie zaznajomiła się z *ta* sprawą, pewnie nie będzie miała wyrzutów sumienia i nie zabierze się do tego teraz, gdy Jodie została umieszczona u mnie. Z długiego doświadczenia wiedziałam, jak to wszystko *działa*.

Eileen zmieniła temat. — Kontakt został potwierdzony na jutro - powiedziała, używając obowiązującego w środowisku opieki społecznej określenia *oznaczającego* spotkanie dzieckiem z jego biologicznymi rodzicami. — Ochrona odbierze ją jutro o szóstej, jeśli tak będzie dobrze?

- W porządku. Ale dlaczego tak późno?

— Ojciec Jodie nie może wyjść wcześniej z pracy, a to on najbardziej nalega, żeby się z nią zobaczyć. Nie opuścił jeszcze ani jednego kontaktu.

Usłyszałam w jej głosie konkluzję. Uważała najwyraźniej, że to dowodziło zaangażowania z jego strony, co z kolei sugerowało mocne przywiązanie między ojcem a córką. Jeśli przez najbliższe miesiące wszystko pójdzie dobrze i rodzice Jodie poukładają swoje życie, to istnieje spora szansa, że Jodie do nich wróci. Z reguły, gdy tylko było to możliwe, pomoc społeczna starała się resocjalizować rodziny. Ostateczną decyzję podejmował sąd na rozprawie opiekuńczej w sadzie rodzinnym.

— Wydarzyło się coś jeszcze? — zapytała Eileen, wyraźnie mając nadzieję, że nie.

- Jej zachowanie wygląda tak, jak mówię. - Powiedziałabym jej o wszystkim, co się wydarzyło, tak jak to powiedziałam Jill, ale nie spodziewałam się po Eileen, że odpowie cokolwiek na doniesienia o samookaleczeniu, gwałtownych napadach złości czy czymkolwiek innym. Czułam, że moje serce tonie, bo uświadomiłam sobie, że było mało prawdopodobne, by Jodie otrzymała od Eileen wsparcie, na jakie liczyłam. — Miejmy nadzieję, że sobie z tym poradzimy - skończyłam.

Następnego ranka o piątej obudziło mnie dudnienie Jodie, która schodziła na dół po schodach. Zaczynałam się przyzwyczajać do niespokojnych nocy - kilka razy wołała mnie i wydawało się, że męczą ją koszmary - i niezmiennie wczesnych poranków. Czułam, że to był schemat Jodie. Zwykle im dzieci są bardziej niespokojne, tym gorzej śpią i tym wcześniej rano wstają. Czasem wynika to z faktu, że w domu były przyzwyczajone do opiekowania się młodszym rodzeństwem, a niekiedy musiały nawet wcześniej wstawać, żeby obudzić rodziców i przygotować śniadanie dla wszystkich. W innych wypadkach jest to spowodowane tym, że są w ciągłym pogotowiu i w konsekwencji się nie wysypiają, bo ich wewnętrzny mechanizm obronny jest ciągle włączony. Nie dziwiło mnie więc, że Jodie wstawała o świcie.

Zerwałam się z łóżka i pobiegłam za nią. Ostatnią rzeczą, jakiej chciałam, było to, żeby znalazła się sama w kuchni. Udało mi się namówić ją do powrotu do łóżka, ale za każdym razem, gdy myślałam, że się uspokoiła, kilka minut później wszystko zaczynało się od nowa. Za trzecim *razem* byłam już całkiem rozbudzona, więc nie było sensu kłaść się z powrotem do łóżka. Usiadłam w salonie, próbując czytać, ale jednym uchem nasłuchiwałam, co się dzieje u Jodie.

Parę godzin później usłyszałam, jak wstaje Paula, a niedługo później Lucy i w końcu Adrian, Zaczęłam robić śniadanie, gdy nagle dobiegły mnie krzyki Jodie. Pobiegłam na górę i zastałam Paulę stojącą w drzwiach łazienki w samym ręczniku, podczas gdy Jodie siedziała na korytarzu, patrząc na nią groźnie.

- Co się tutaj dzieje? - zapytałam.

- Chcę *przejsć*, ale ona ciągle mnie kopie - odpowiedziała Paula, wyraźnie sfrustrowana i obrażona. Na to Jodie zaczęła wrzeszczeć i walić w podłogę rękami i nogami. Czekałam, aż się uspokoi, potem podeszłam, delikatnie podniosłam ją z podłogi i odprowadziłam do schodów.

- Chodź, Jodie, może pomożesz mi przy śniadaniu? Musisz być już bardzo głodna.

Początkowo się opierała, ale ostatecznie poszła za mną na dół, *czując* najprawdopodobniej, że wygrała tę bitwę. Paula z kolei mogła się spokojnie szykować do szkoły.

Na dole Jodie zgodziła się nakryć do stołu, podczas gdy ja zagotowałam wodę w czajniku i przygotowałam cztery filiżanki. Tego ranka była niewiarygodnie pomocna, ale gdy patrzyłam, jak nakrywa do stołu, przypominałam sobie, jakie trudne było jej życie. Ograniczenia Jodie były widoczne nawet podczas wykonywania tak prostych czynności. Jej sprawność ruchowa była tak ograniczona, że nie mogła nawet utrzymać wszystkich sztućców, zamiast tego przyciskała je do piersi. Nie zdziwiłam się, gdy w drodze do stołu zdążyła upuścić jedną z łyżek. Wydała z siebie jęk niezadowolenia, a potem z głośnym brzękiem rzuciła resztę sztućców na stół. Podniosła zgubiona łyżkę z podłogi, oblizała ją z obu stron, wytarła w rękaw i zaczęła układać sztućce przy każdym talerzu.

Nic dziwnego, że była tak nieporadna. Niskie zdolności motoryczne i słaba koordynacja były częścią rozwojowego opóźnienia. Nie byłam w tej kwestii ekspertem, ale wiedziałam, że brak stymulacji mózgu niemowlęcia może mieć poważny wpływ na jego wzrost i rozwój. Nawet gdy dziecko dostaje grzechotkę do potrzymania, pomaga mu to zrozumieć funkcjonowanie świata, uczy mięśnie i mózg reakcji, w efekcie czego dziecko poznaje najbliższe otoczenie. Później w dalszym wdrożeniu i nauce pomagają mózgowi czytanie książek, układanie puzzli i rozwiązywanie łamigłówek. Nawet jeśli nie chciałam wyciągać pochopnych wniosków na temat tego, co działo się z Jodie w przeszłości, to nie mogłam przestać się zastanawiać, czy to właśnie zaniedbanie i brak stymulacji nie przyczyniły się do jej nieporadności i poważnych zaburzeń koordynacji ruchowej. Nie był to z pewnością pierwszy raz, kiedy widziałam coś takiego. Nigdy jednak nie było to tak poważne.

- Świetnie, Jodie - powiedziałam z przesadnym entuzjazmem. - Bardzo mi pomogłaś.

Prawie nie zareagowała na moją pochwałę, a to było raczej niecodzienne. Trudno było spotkać dziecko nie lubiące okazywania mu uznania. Jodie robiła wrażenie zamkniętej w sobie i bardzo odległej. Wydawało się, że nic z tego, co mówię, nie dociera do niej.

Może i wcześniej spodziewałam się czegoś podobnego, ale stopień tego odosobnienia zaczynał mnie zastanawiać i niepokoić.

Wyspałam Jodie trochę chrupek ryżowych i skończyłam przygotowywać herbatę. Paula i Lucy zeszły razem i usiadły przy stole. Nastrój Jodie natychmiast się zmienił. Miałam wrażenie, że zawsze tak było, gdy do pokoju wchodziły inne dzieci. Zobaczyłam, że zaczyna być spięta, a oczy zwężają się jej ze złości. Popatrzyła na Paulę z niemiłym grymasem, potem zaczęła ją szturchać w bok.

- Nie rób tego, Jodie! - powiedziałam, ale ona nie przestawała. Paula próbowała ją odsunąć, ale w końcu puściły jej nerwy i oddała jej kuksańca. Jodie zaczęła krzyczeć, robiąc z błahego szturchnięcia aferę.

- Paula, nie wolno ci tego robić! - powiedziałam, złościąc się, że straciła nad sobą panowanie. - A teraz obie macie się uspokoić!

- Przepraszam, mamó - powiedziała Paula.

- Przepraszam, proszę, również Jodie - powiedziałam i poczułam się nieco winna. Wiedziałam, że Paula odbierze to jako niesprawiedliwe, i będzie miała rację, ale w interesie nas wszystkich było pokazanie Jodie, że nie wolno nikogo szturchać i że należy przeprosić, jeśli zrobi się coś złego.

- Przepraszam, Jodie - wymamrotała Paula bez podnoszenia głowy. Jodie wciąż melodramatycznie trzymała się za bok, więc doszłam do wniosku, że wyciągnięcie od niej przeprosin nie będzie zbyt realne, i tak to zostawiłam.

- Dziękuję, Paula. Zachowałeś się bardzo dojrzałe. Dzieci poszły do szkoły, a Jodie pomogła mi posprzątać

stół i powkładać naczynia do zmywarki. Na szczęście bez żadnych wypadków. Potem usiadłyśmy w salonie i próbowałam zająć ją jakimiś gramami. Zdecydowałam, że to był dobry moment, by właśnie teraz poruszyć z nią temat kontaktu. Miała widywać swoich rodziców w ośrodku kontaktowym dwa razy w tygodniu przez godzinę, zawsze w obecności opiekuna społecznego. Spotkania z biologicznymi rodzicami są zwykle aranżowane z pewnym wyprzedzeniem, ale ja miałam w zwyczaju mówić o tym dzieciom dopiero w dniu spotkania. Przekonałam się z doświadczenia, że dzieci były zwykle przed kontaktem rozdrażnione, więc dla dobra nas wszystkich maksymalnie skracałam czas takiego emocjonalnego wstrząsu.

- Jodie - powiedziała wesoło - dziś po południu przygotowujemy ci kąpiel, bo wieczorem spotkasz się ze swoimi rodzicami.

Spojrzała na mnie obojętnie. Czy na pewno zrozumiała? Nie przestała się bawić, tłukąc o siebie dwa klocki z układanki. Po chwili zapytała: — Pojadę furgonetką?

- Nie, ochrona zabierze cię stąd samochodem, tak jak to było u poprzednich opiekunów. Zabiorą cię na spotkanie z rodzicami, a potem przywiozą cię z powrotem tutaj.

- Nie jadę furgonetką. Nienawidzę! Cholerne furgonetki! - odpowiedziała, nieco się ożywiając.

— No właśnie, Jodie, ochrona zabierze cię samochodem osobowym. Wiem, że twój tatuś nie może się doczekać spotkania z tobą. Będzie miło, prawda? - Najwidoczniej jednak straciłam jej zainteresowanie, bo wróciła do zabawy z zamyśloną miną. Trudno było powiedzieć, co myśli o perspektywie ponownego zobaczenia matki i ojca.

Jak się spodziewałam, przez resztę dnia Jodie była rozdrażniona. Przed obiadem dwa razy wpadła w złość i *nieźle* mnie nastraszyła, tłukąc talerz, a później próbując zebrać szkło. Po południu zajęłam ją w salonie oglądaniem kasyty wideo z karaoke, a sama przygotowywałam kolację. O czwartej ostrożnie wszedł Adrian i odetchnął z ulgą, że nie dostał na powitanie kopniaka.

Przyszedł do mnie do kuchni i opowiedział mi swój dzień. Choć Jodie była z nami od niespełna tygodnia, miałam wrażenie, że już od bardzo dawna nie mieliśmy okazji porozmawiać sobie w spokoju, bez histerycznych krzyków czy gwałtownych ataków. Wspaniale było spędzić chociaż chwilę z synem. Wiedziałam, jak ważne w pierwszych, zwykle bardzo ciężkich tygodniach pobytu nowego przybranego dziecka było chwywanie każdej okazji spędzenia czasu z rodziną.

Adrian poszedł zanieść torbę do swojego pokoju i ucieszyłam się, że najpierw zajrzał do salonu, żeby się przywitać z Jodie. Moja radość była jednak krótka, bo nagle usłyszałam wołanie: -

O Boże! Mamo! Chodź tutaj!

Wpadłam do przedpokoju. Adrian wchodził na górę. W salonie zastałam Jodie siedzącą na sofie z nogami w górze i jedną ręką w majtkach. Masturbowała się.

- Jodie, przestań! - powiedziała stanowczo.

- Czemu? - odburknęła.

- Jeśli chcesz to robić, to idź do swojego pokoju. To sprawa osobista. Wyrażam się jasno? A teraz *grzecznie* proszę: albo idź na górę, albo zachowuj się odpowiednio.

Przyglądała mi się *przez* parę sekund i przygotowałam się na kolejny atak hysterii, ale ostatecznie obciągnęła spódniczkę

i usiadła prosto.

Byłam zaskoczona i zmartwiona nowym przykładem niecodziennego zachowania, tym razem mocno seksualnego.

Wiedziałam, że przypadki masturbowania się przez małe *dzieci* nie były odosobnione, nawet jeśli zwykle się o tym nie mówiło, ale ośmioletnie dziecko, nawet z trudnościami w uczeniu się, powinno już wiedzieć, że jest to coś, czego nie robi się na oczach innych. Czy Jodie chciała, by ktoś ją oglądał? Jeśli tak, to miała pewność, że ktoś ja zobaczy, bo ciągle przechodziliśmy przez salon. Chciała nas zaszokować czy było to coś zupełnie nieświadomego? Akt samozadowolenia czy *fizyczne przyzwyczajenie*, równie nieszkodliwe co ssanie palca? Nie znałam odpowiedzi, ale wszystko, co miało podtekst seksualny, musiało być odnotowane. Postanowiłam, że później zapiszę to w dzienniku i poruszę ten temat z Eileen przy następnej rozmowie.

Gdy dziewczynki wróciły ze szkoły, obie zostały powitane przez Jodie złośliwym walnięciem i z trudem udało mi się ją od nich odciągnąć. *Znów* wpadła w pełnowymiarową furję i ponownie musiałam ją przytrzymywać. Wreszcie uspokoiła się, a ja skończyłam przygotowywanie wieczornego posiłku. Podałam spaghetti bolognaise. Usiedliśmy przy stole i pokroiłam dla Jodie jej porcję makaronu.

- Chcę burgera - zażądała, wykrzywiając twarz.

- Burgera będziemy jeść innym *razem*. Dzisiaj przygotowałam to.

Podniosła *talerz* i rzuciła nim w ścianę. Talerz uderzył z trzaskiem i rozpadł się w kawałki, które wyładowały na posadzce. Na ścianie została jaskrawa bryzga ciemnego sosu bolognaise z kawałkami nitek makaronu, które zaczęły się powoli zsuwać i w końcu plasnęły na podłogę. Wszyscy przez chwilę obserwowaliśmy to w milczeniu, a potem poczułam, że *dzieci patrzą na mnie zszokowane*.

Poczułam uderzenie złości i frustracji. Cały dzień zmagalam się z jej zachowaniem i byłam wykończona i tym, i sama Jodie. A teraz wyrzuciła dobre jedzenie, narobiła straszego bałaganu i zdenerwowała nas wszystkich bez żadnego wyraźnego powodu.

- Marsz do pokoju! - wysapałam. - Za dużo już tego jak na jeden dzień!

Zwlokła się niezdarnie z krzesła, a odchodząc od stołu, szturchnęła Lucy w tył głowy, mocno, zaciśnięta pięścią. Wypadła z pokoju, trzaskając drzwiami z taką siłą, że z sufitu odpadł kawałek gipsu. Lucy nic nie powiedziała, ale widziałam, że w oczach zakręciły się jej łzy. Przytuliłam ją. — Przepraszam — powiedziałam, zamierając na myśl, że mogłam przysporzyć swoim dzieciom tyle bólu. — Myślę, że popełniłam błąd. Nie powinnam jej przyjmować. To zbyt trudne dla nas wszystkich. Z samego rana porozmawiam z opiekunem społecznym.

I uż po szóstej zadzwonił dzwonek do drzwi. Rozczochrany młody *mężczyzna* przedstawił się jako ochrona Jodie na kontakt, i dziewczynka zbiegła z hukiem po schodach i wyszła *rozradowana*, machając ręką na pożegnanie, gdy maszerowała ogrodową ścieżką. Czy ona w ogóle nie czuje żadnej skruchy? — zastanawiałam się. Czy była chociaż świadoma, jak złe było jej zachowanie i jaka przykra atmosfera panowała teraz w domu?

To była pierwsza chwila prawdziwego spokoju prawie *od* tygodnia. Dzieci były na górze i odrabiały lekcje. Usiadłam w salonie i włączyłam telewizję, choć i tak jej nie oglądałam. W moim umyśle panowało zamieszanie. Życie z Jodie nie tylko było dalekie od łatwego, ale było wręcz bardzo bliskie niemożliwego, i po raz pierwszy zaczęłam czuć, że mogę nie dać rady do niej dotrzeć. Jodie była najbardziej niespokojnym i wymagającym dzieckiem, jakie kiedykolwiek poznałam. Była tak zimna i obojętna. Bez najmniejszej chęci bycia lubianą. Nie można było znaleźć sposobu na jakiegokolwiek negocjacje, bo nie była zainteresowana wychodzeniem mi na spotkanie. Wyglądało to tak, jakby nie chciała się zmieniać, bo dobrze jej było w tym stanie odosobnienia, zamkniętej we własnym świecie, wyrażającej się przez napady złości i agresji. Z mojego doświadczenia wynika, że ludzkie relacje opierają się na dawaniu i braniu oraz wspólnych potrzebach bycia lubianym i akceptowanym. Jeśli jedna strona nie ma absolutnie żadnych potrzeb w zakresie niczego, co druga strona ma do zaoferowania, to gdzie jest miejsce na kompromis? Tak właśnie było z Jodie. Nigdy nie widziałam dziecka tak zamkniętego w sobie i tak nieszukającego ciepła czy uczucia. Wyglądało na to, że zadanie opiekowania się Jodie, jakie sobie postawiłam, i próby przebicia się przez tę ogromną barierę emocjonalnej oziębłości wokół niej jeszcze stukrotnie tę barierę powiększyły. Sytuacja była bez wyjścia. Nie mogłam zatrzymać Jodie, bo byłoby to nie w porządku wobec moich dzieci. Jej zachowanie było po prostu zbyt destrukcyjne. Nie mogłam znieść patrzenia, jak ich rodzinne życie i bezpieczeństwo są podkopywane i niszczone, a *przecież* one potrzebowały tyle samo miłości i stabilizacji co Jodie, nawet jeśli nie było to tak widoczne.

Z drugiej strony wiedziałam, co będzie oznaczało odesłanie Jodie. Nie tylko byłoby to kolejne odrzucenie i kolejna *czarna*. plama przy nazwisku, *czyniąca z niej* obiekt koszmarnych opowieści w stylu „Sześciu opiekunów w ciągu czterech miesięcy!

Pomyśl tylko, jaka musi być okropna!", ale byłoby to też skazanie jej na dom dziecka. Wiedziałam, że dom dziecka nie był dla Jodie właściwym miejscem i że prawdopodobnie oznaczałby pogrzebanie wszelkich jej szans na życie w normalnej rodzinie, jeśli jej nie zatrzymam, nikt już jej do siebie nie weźmie. Jaki był sens bycia zastępczym opiekunem, jeśli nie można było pomóc najbardziej udręczonym dzieciom?

Gdy tak siedziałam i rozmyślałam, usłyszałam trzy pary stóp schodzących na dół. Lucy i Paula weszły i usiadły po moich dwóch stronach, podczas gdy Adrian zniknął, by zrobić nam herbatę. Byłam wzruszona. Dzieci przyszły pocieszyć mnie w poczuciu porażki. Adrian wrócił z tacą kubków. — Proszę, mamó - powiedział.

— Dzięki, kochanie.

Adrian popatrzył na dziewczynki, potem odchrząknął. — Mamó, myśleliśmy... - powiedział i przerwał.

- Tak? - odpowiedziałam, spodziewając się usłyszeć kolejną prośbę o przesunięcie godziny, o jakiej mieli najpóźniej wracać do domu.

- Chcemy, żeby Jodie została, przynajmniej jeszcze jakiś i zaś. Myślimy, że powinniśmy *jeszcze* poczekać i zobaczyć, co z tego wyniknie.

Gdy to do mnie dotarło, przez chwilę nie mogłam wypowiedzieć słowa. Byłam zaskoczona ich wspaniałomyślnością. Przez ostatni tydzień życie w domu wyglądało *raczej* marnie. Zamiast stanowić

ostoję bezpieczeństwa i zadowolenia, dom srał się miejscem, gdzie na porządku dziennym były siarczyste kopniaki, szturchania, a także nagłe ataki, przeszywające skowyty, piskliwe wrzaski i nieprzespane noce. Czy moje *dzieci* naprawdę były przygotowane na znoszenie tego przez nie wiadomo jeszcze jak długo? Czy nie powinnam oddać Jodie i przywrócić w naszym domu spokoju i ciszy? Kolejny raz zaskoczyli mnie swoja wyjątkowa uprzejmością i dorosłością w sprawach dotyczących przybranych dzieci. Spojrzałam na Lucy i Paulę. - Jesteście pewni? - zapytałam z obawą. Nie chciałam, by żalowali tej decyzji. - Czy naprawdę tego chcecie? W najbliższym czasie Jodie będzie raczej bardziej niż mniej nieznośna.

- Wszyscy chcemy, żeby została - powiedziała Lucy stanowczo. - Wiemy, że się poprawi. A jeśli nie, następnym razem sami ja wykopiemy! — Lucy uśmiechnęła się psotnie.

Poczułam falę ulgi i niezmiernego podziwu dla swoich dzieci. Wiem, że nie jestem obiektywna i inni rodzice czują z pewnością to samo w stosunku do swoich pociech, ale w momentach takich jak ten, nie mogłam nie urosnąć z dumy.

Było po ósmej, gdy Jodie wróciła ze spotkania z rodzicami, i była w świetnym nastroju. Podobnie jak my. Mieliśmy prawie trzy godziny wytchnienia i teraz kierowaliśmy się jakby nowym celem. Jodie dumnie pokazała nam lalki i słodycze, które dostała od ojca. Dobitnie powiedziała mi też, że dwa razy kupiła sobie burgera z frytkami. Uśmiechnęłam się. Byłam przyzwyczajona, że przybrane dzieci zwracały się przeciwko mnie w obronie swoich rodziców. Bez wątplenia tak samo działali rodzice, zwracając dziecko przeciwko opiekunowi. Poza chwaleniem się, Jodie nie miała nic więcej do powiedzenia na temat kontaktu z rodzicami.

Było już dawno po *czasie*., kiedy powinna pójść spać, więc jak zwykle łącząc przymus z ciągłym powtarzaniem, zaprowadziłam ją do łazienki, a później do łóżka. Nie chciała nowych lalek, wybrała za to dużą pandę, która ze sobą przywiozła, i wtuliła się w nią. Przeczytałam jej krótkie opowiadanie, a potem życzyłam dobrej nocy. Zostawiłam światło włączone, wyszłam i zamknęłam drzwi. Byłam nastawiona optymistycznie. Teraz, gdy Jodie widziała się z rodzicami, może *zacznie* się uspokajać, z dwiema połówkami życia biegnącymi równolegle. Usiadłam w salonie i wzięłam do ręki książkę, która próbowałam czytać od dwóch tygodni. O wpół do dziesiątej Paula zawołała mnie z góry, że mogę przyjść utulić ją do snu. Był to rytuał, na który nie była *za duża*, dopóki nie wiedzieli o tym jej koledzy.

Gdy weszłam, zauważyłam, że jej szmaciana lalka w piżamie nie *leżała* na łóżku. - A gdzie Betsy? - *zapytałam*.

Popatrzyła na mnie dużymi, błagającymi oczami. — Nie złość się mamó, ale wydaje mi się, że wydarzył się wypadek.

- Jaki wypadek?

Skinęła głowa na szafę. Podeszłam i odsunęłam drzwi. Na dole *leżała* Betsy, z oderwaną głową i wylazłą z szyi wata.

- To nie był wypadek, kochanie, prawda? - Podniosłam rozerwane części lalki. — Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej?

— Nie chciałam więcej nerwów, mamó. To tylko zabawka. Naprawdę. To nieważne.

Usiadłam na łóżku; dotarło do mnie raz *jeszcze, ile rzeczy* rodzina musiała znosić. - Przepraszam, kochanie. *Przyglądałam się jej* dzisiaj jak jastrząb. Jedyne moment, gdy została sama, to gdy byłam w toalecie. Jutro postaram się *znaleźć* taka sama lalkę, ale w przyszłości musisz mi mówić o takich rzeczach. Wiem, że jest ci szkoda Jodie, ale jeśli możemy jej jakoś pomóc, to musi zacząć się uczyć. Dobrze?

Przytaknęła na zgodę, uścisnęłyśmy się, potem wyszłam i kontynuowałam swój nocny obchód. Zapukałam do drzwi Lucy i czekałam na jej głośne „Proszę!”. Była już w piżamie, oparta na poduszkach.

Od razu wyczułam, że coś było nie tak. - Nie czujesz się dobrze? - zapytałam.

Otworzyła stojąca przy łóżku toaletkę i wyjęła pudełko z przyborami do makijażu. Spojrzałam na zaschniętą grudę czarnego tuszu do rzęs, niebieskiego cienia do powiek i beżowego podkładu.

- To moja wina - powiedziała szybko. - Nie powinnam tego zostawiać na łóżku.

— Oczywiście, że powinnaś. Masz wszelkie prawa zostawiać swoje rzeczy, gdzie chcesz, w swoim pokoju. Porozmawiam z nią z samego rana. - Powtórzyłam Lucy to, co powiedziałam już Pauli, że kupię jej nowe przybory i że musi mi mówić od razu, gdy coś takiego się dzieje, żebym mogła zareagować we właściwym czasie. Wyglądało na to, że Jodie nie wzięła sobie zbyt do serca mojego tłumaczenia kwestii prywatności.

Lucy wzięła mnie za rękę i ścisnęła. - Cathy, czyja też byłam taka niegrzeczna, gdy pierwszy raz tu przyjechałam? Nie pamiętam tego.

- Nie. Miałaś trudniejsze chwile, ale nie spodziewałam się czegoś innego. Przeszłaś sporo przeprowadzek, ale szybko doszłaś do siebie. To, co widzimy u Jodie, to poważne zaburzenia zachowania.

Spojrzała w inną stronę. - Wiem, że nie powinnam tego mówić, ale ona czasem przyprawia mnie o dreszcze. Gdy się we mnie wpatruje, to jest to takie zimne, że mam wrażenie, że mogłaby mnie zabić.

- Możesz mi wszystko powiedzieć. Rozumiem. Jodie nie doznała zbyt wiele miłości, i mam nadzieję, że my możemy to zmienić. A teraz spać. Jutro masz chyba klasówkę z matematyki, prawda?

Uśmiechnęła się nieśmiało. - Tak, i dziękuję, że się mną opiekujesz. Ja cię naprawdę kocham, wiesz to, prawda?

To był pierwszy raz, gdy Lucy to powiedziała, i jak na ironię, nasza relację scementowała nienawiść zaburzonego dziecka. - Ja też cię kocham, skarbie. Jesteś dobrą dziewczynką. Jodie nie mogłaby mieć lepszego przykładu.

Julie

Jodie mieszkała z nami niewiele ponad tydzień, gdy nadeszły jej urodziny. Bardzo przyzwyczałam się już do myślenia o niej jako o ośmiolatce - tak przecież mówili o niej już w OPS-ie - a tymczasem Jodie, gdy do nas przyjechała, kończyła siedem lat. Ponieważ widywała rodziców, miała dwie imprezy urodzinowe, jedną na sesji kontaktowej, a kilka dni później zorganizowaliśmy coś w gronie naszej rodziny, poza domem. Gdy wróciła z urodzin z rodzicami, była obładowana kolejnymi torbami dużych, tanich, błyszczących zabawek z rodzaju tych, które wytrzymują pięć minut, a skupiają uwagę dziecka przez dwie. Ale jeśli chodziło o ilość, to Jodie z pewnością była przyzwyczajona do dostawania mnóstwa tego, czego chciała. Mimo tego, podobnie jak rzeczy, które przyniosła z wcześniejszych kontaktów, nowe błyskotki i zabawki nie urzekały jej. Wydawało się, że lubiła je dostawać, ale po minucie czy dwóch nie miały już dla niej żadnego znaczenia.

Zapytałam Jodie, co chciałyby robić na swoje urodziny. Oświadczyła, że chce zagrać w kręgle. Byłam zaskoczona. Kręgle nie wydawały mi się czymś, co mogłoby sprawić frajdę dziecku z tak złą koordynacją ruchową, ale to było jej święto, jeśli więc tego właśnie chciała, dokładnie to powinniśmy zorganizować. A więc były to kręgle. Ponieważ Jodie nie chodziła do szkoły, nie miała koleżanek ani kolegów, byliśmy tylko Jodie, Paula, Lucy, Adrian i ja.

Przed wyjściem z domu otworzyliśmy prezenty. Długo myślałam, co jej kupić. Wiedziałam, że lubi rzeczy dla lalek, i wydawało mi się, że szczególnie lubiła lalkę, która była wielkości niemowlaka, więc kupiłam jej zabawkowy samochodowy fotelik, niemal jak prawdziwy, i wysokie krzeselko. Odwinęła prezenty bez emocji, których zwykle oczekiwałam u dziecka, obejrzała je, a potem odsunęła na bok bez żadnego komentarza. Ukłuło mnie to nieco, ale jeszcze bardziej zdziwiło. Bo nie chodziło o to, że prezenty jej się nie podobały. To było tak, jakby nic nie miało dla niej wartości, i nie rozumiałam dlaczego. Postanowiłam jednak jak najszybciej odsunąć od nas ten dziwny nastrój i pojechać na kręgielnię.

Jak podejrzewałam, Jodie nie zbilaby fortuny, grając w kręgle. Mimo to chyba dobrze się bawiła, choć nie obyło się bez stałego lejtymotywu: kładzenia rak na biodrach i rozkazywania wszystkim naokoło. Ale nie było napadów złości. Ani przy torze do kręgli, ani później w McDonalddie, bo

tam chciała iść na kolację. Ponieważ były jej urodziny, posłusznie robiliśmy wszystko, co chciała. W nagrodę nie uraczyła nas żadnym wrzaskiem czy kuksańcem. Wróciliśmy do domu zadowoleni, że urodziny Jodie przebiegły tak spokojnie, jak tylko można było to sobie wymarzyć.

Pewnego ranka, gdy Jodie była u nas już dwa tygodnie, dzień po spotkaniu z rodzicami, zostawiłam ją bawiącą się w swoim pokoju do czasu, gdy wszyscy poszli do szkoły. Nie była z tego powodu zadowolona, ale musiałam ustalić w domu jakieś zasady, a *zjedzone* w spokoju śniadanie wydawało się dobrym początkiem. Jak tylko reszta dzieci poszła do szkoły, wyszłam na górę i powiedziałam Jodie, że może się ubrać, zapytałam też, co chce na śniadanie.

- Nic. Nienawidzę cię! - odwarknęła i wystawiła język. -Odpieprz się.

- Szkoda - powiedziałam, ignorując przekleństwo - bo ja cię lubię.

Patrzyła na mnie, jakby czekając, że w końcu odpuszczę. -Dlaczego? Dlaczego mnie lubisz?

- Bo pod ta rozzłoszczona Jodie jest Jodie miła i szczęśliwa, która czeka, żeby wyjść. A teraz się ubierz i *zejdź* na śniadanie.

I zrobiła to. Bez kłótni. Wychwaliłam ją, a. w myślach nam obu przyznałam złota gwiazdę.

Nauczycielka miała przyjechać na lekcję do Jodie dopiero o wpół do drugiej, więc rano wybrałyśmy się na zakupy, żeby kupić nowa szmaciana lalkę dla Pauli i przybory do makijażu dla Lucy. W samochodzie wyjaśniłam Jodie, gdzie jedziemy i dlaczego. Nie skomentowała tego i nie spodziewałam się jakiegoś wyznania. Powtórzyłam tylko nasze zasady dotyczące prywatności i własności innych, i zostawiłam to na tym etapie. Znalazłam w supermarkecie to, czego szukałam, potem wjechałyśmy ruchomymi schodami na ostatnie piętro i poszłyśmy do kawiarni. Wzięłyśmy sobie po szarlotce i usiadłyśmy przy oknie, obserwując ulicę w dole. Mogłyśmy być normalnymi mama i córka, które zrobiły sobie małe wyjście. Zastanawiałam się, nie pierwszy raz, co się takiego stało, że życie Jodie zostało tak daleko sprowadzone na boczny tor. Wyglądało na to, że jest *znacznie* głębiej zraniona, niż pozwolił mi się spodziewać Gary, opowiadając historię przypadku Jodie na spotkaniu *przed jej* przeprowadzka do mnie. Za każdym razem, gdy się zastanawiałam, co się jej przytrafiło, karciałam się w myślach, że nie powinnam tego robić. Wyciąganie pochopnych wniosków nie tylko było nieprofesjonalne, ale wiedziałam też, że było za wcześnie na odkrycie schematów w zachowaniu Jodie. Do tej pory dziewczynka tak bardzo mnie absorbowwała, że nie mogłam stanąć z boku i uchwycić szerszej perspektywy. Przynajmniej tamtego popołudnia, gdy Jodie była z nauczycielką, miałam dwie godziny, żeby uzupełnić sprawy papierkowe.

Dopiłyśmy nasze napoje, potem zajrzałyśmy jeszcze do kilku sklepów na *parterze*. Widziałam, że jej zaczynała być zmęczona, więc na tym zakończyłyśmy wyprawę na zakupy i ruszyłyśmy w kierunku wind. Pokazałam Jodie, jak nacisnąć guzik, i wytłumaczyłam, jak działa winda. Zanim przyjechała, zdążyło się już zebrać parę osób, ale stałyśmy w pierwszej linii. Weszłyśmy do windy i stanęłyśmy z tyłu. Jodie *trzymała*, się mojej ręki, ale gdy tylko drzwi zamknęły się, pociągnęła mnie za ramię i *zaczęła krzyczeć*: - Nie! Zatrzymaj to! Nie chcę!

Szybko przepchnęłam się między dwiema kobietami, nacisnęłam guzik, by zatrzymać windę, i *przepraszając*, wysiadłam z Jodie. Schyliłam się i położyłam ręce na jej ramionach. - Co się stało, Jodie? Nie ma się czego bać.

- Nie chcę -jęknęła. - Nie wejdę tam!

- W porządku, nie musimy tego robić, jeśli nie chcesz. Zamiast tego *zejdziemy* schodami.

Poszłyśmy do schodów, a gdy schodziłyśmy, Jodie *złapała* mnie za rękę. - Wezmę tam tatę - powiedziała, marszcząc buzię.

— Co, do windy?

Skinęła głową. - Przestraszę go. Zobacze, czy mu się spodoba. Pokażę mu!

- Dlaczego chcesz go przestraszyć, Jodie?

Ale Jodie wzruszyła tylko ramionami. Znów się zamknęła i drzwi do jej przeszłości, które ledwo się otworzyły, huknęły Z trzaskiem.

Jodie szybko otrząsnęła się ze strachu i zanim wróciłyśmy do domu, znów byłam pozytywnie nastawiona. Nie szczędziłam jej pochwał, mówiąc, jak miło spędziłyśmy czas i jak dobrze czułam się w jej towarzystwie. Powiedziała, że była głodna, więc zostawiłam ją, żeby się pobawiła swoją lalką, Julie, a sama poszłam do kuchni. Chciała kanapkę z masłem orzechowym, więc

rozsmarowałam cienką warstwę. Koniecznie chciałam zrobić coś z jej nadwaga. Postawiłam talerz na śniadaniowym blacie i nalałam szklankę świeżego soku, potem poszłam do salonu, żeby jej powiedzieć, że śniadanie gotowe.

Coś powstrzymało mnie przed wejściem. Być może była to cisza. Nie słyszałam zwykłego mamrotania, które towarzyszyło wszystkiemu, co Jodie robiła. Zajrzałam przez wpółotwarte drzwi i zamarłam. Jodie dalej bawiła się lalką, ale podciągnęła jej sukienkę do góry i lizła ją między gołymi nogami. Wydawała przy tym niskie, chrapliwe odgłosy, jakby z przyjemności, i sprawiała wrażenie zupełnie nieświadomej mojej obecności. Weszłam do salonu. Jodie podniosła głowę.

- Dziwnie wygląda ta zabawa, Jodie - powiedziałam spokojnie. - Co robisz? - Wiedziałam, że podnoszenie alarmu czy okazywanie zdumienia nie było dobrą drogą, a krzyk poskutkowałby odmową współpracy. Poza tym musiałam wiedzieć, czy rozumiała, co robiła.

Spojrzała w dół, między nogi lalki, potem znów w górę, na mnie. Nie było żadnego zawstydzenia.

- Całuję - powiedziała z szerokim uśmiechem. - Ona lubi, jak się ją całuje, naprawdę.

- Czy to nie dziwne miejsce, żeby ją całować?¹ Zwykle całujemy innych w policzek.

Wyglądała na zdziwioną. - Ale ty nie masz mężczyzny. Mężczyźni całują tutaj - wskazała na nagie krocze Julie - a *dziewczynki* tutaj. - I palcem wskazującym dotknęła policzka.

Podeszłam i usiadłam obok niej na podłodze. Musiałam zachować spokój, żeby Jodie też go zachowała, i postarać się, żeby mówiła tak długo, jak tylko mogła. Musiałam się dowiedzieć, jakie rzeczy widziała, zrobić coś z tym i powiadomić opiekuna społecznego. Nie była pierwszym dzieckiem, które oglądało kasety wideo dla dorosłych lub spało w tym samym pokoju co rodzice. Miałam nadzieję, że to było tylko to, czyli że Jodie odgrywała to, co widziała, a czego nie powinna widzieć. Musiałam to jednak zanotować w dzienniku, na wypadek gdyby wypłynął jeszcze jakiś inny fakt. Staralam się pozostać profesjonalna: spokojna, ale bezpośrednia.

- Jodie, możesz mi powiedzieć, skąd wiesz, że *mężczyźni* tam całują?

Wzruszyła ramionami. - Po prostu wiem. Dziewczynki to lubią i *mężczyźni* to robią. Mamusie, tatusiowie i dziewczynki.

- A udawałaś, że Julie to jakaś mamusia czy dziewczynka?

- Nie wiem. Jakaś pani.

— Dobrze, w takim razie jeśli Julie to pani, to kogo ty udawałaś?

- Mężczyznę! - Zmarszczyła czoło, zniecierpliwiona powolnością mojego myślenia.

- Jakiegokolwiek mężczyznę?¹ Czy miałaś kogoś konkretnego na myśli?

Zawahała się, podnosząc jedną brew. - Nie wiem. Jakiś tatuś. Duży, duży tatuś.

Nic jeszcze z tego nie rozumiałam. Wszyscy mężczyźni byli dla niej tatusiami, tak jak są nimi dla większości małych dzieci. Potrzebowałam naprowadzić ją na opisanie tego, co widziała i gdzie, ale zanim cokolwiek zrobiłam, Jodie nagle podskoczyła i zaczęła ze złością kopać lalkę.

- To jej wina! - krzyczała z płonącymi oczami. - To jej wina! Mówiłem jej „nie"! Teraz zobacz, co narobiłaś! Mówiłem, żebyś trzymała gębę na kłódkę!

Skuliłam się, gdy plastikowa głowa lalki brzęknęła o grzejnik. Jodie krzyczała na Julie, jak gdyby powtarzając coś, co kiedyś usłyszała. Wzięłam ją za ramię, podniosłam lalkę i zaprowadziłam nas wszystkie trzy na sofę. - Chodź, skarbie. Uspokój się. Krzywdzenie Julie nic nie da.

Ułożyła lalkę na kolanach i pogłaskała ją po czole, *szeptając* słowa uspokojenia i próbując ją udobruchać. - Nie martw się - powiedziała. - Ze mną jesteś bezpieczna. Ciii. Ciii. To było złe, co ten *mężczyzna*, zrobił, prawda?

- Tak - powiedziałam, nie będąc pewna, czy Jodie mówiła do lalki czy do mnie. - To, co zrobił ten *mężczyzna*, wyglądało na bardzo złe. - Zrobiłam przerwę. - Jodie, czasem widzimy rzeczy, których nie rozumiemy. Wygląda to tak, jakby ludzie robili sobie krzywdę, i sprawia nam to przykrość. Czy widziałaś *mężczyznę* całującego kobietę w miejsce - pokazałam nogi lalki - które nazywa się intymnym? -Tak.

- Gdzie to widziałaś? W telewizji?

- W sypialni i w samochodzie - odpowiedziała jasno.

- W samochodzie? Nie rozumiem. W samochodzie był telewizor?

Potrząsnęła głową.

- Ale widziałaś to w sypialni i w samochodzie? Skinęła na potwierdzenie.
- Czyj to był samochód?
- Tego mężczyzny. To była duża furgonetka. Poczekalam chwilę. - Czy to był film, Jodie, czy to było naprawdę?
- Zmrużyła oczy, jak gdyby chciała zobaczyć wyraźniejszy obraz. Jej odpowiedź była ledwie słyszalna.
- Naprawdę. On tam był. Dziewczynka i tatuś.
- A kim była dziewczynka? Znasz jej imię? Przycisnęła twarz lalki do piersi. - Jodie. Ja. Sypialnia Jodie.
- Samochód tatusia.
- Twój tatuś? -Tak.

Wyznanie

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Ja obejmowałam ramieniem Jodie, a ona obejmowała Julie. Serce waliło mi jak oszalałe, zaschło mi w ustach. To było najstraszliwsze potwierdzenie moich podejrzeń. Różne drobne fakty wskazywały ten kierunek, ale zmuszałam się, żeby nie wyciągać pochopnych wniosków, i wbrew wszystkiemu miałam nadzieję, że to, czego się najbardziej obawiałam, nie okaże się prawda. Teraz wiedziałam, że Jodie powiedziała mi coś bardzo ważnego. Dała mi klucz do wszystkiego - jej cierpienia, nienawiści wobec siebie i rozpacz.

Musiałam dalej zadawać Jodie pytania i wykorzystać maksymalnie moment, kiedy chciała mówić, ale odsuwałam to od siebie. Nie chciałam słyszeć odpowiedzi, nie chciałam znać rozmiaru tego, co się wydarzyło temu biednemu dziecku, ale moje zawodowe, praktyczne podejście mówiło mi, że to, co teraz powiedziała Jodie, będzie decydujące w określaniu jej przyszłości, nie tylko w kwestii, czy wróci do swoich rodziców, ale również w perspektywie prawdopodobnego złożenia oskarżenia. W ramach szkolenia opiekunów zastępczych uczestniczyłam w zajęciach poświęconych aspektom wykorzystywania seksualnego. Nauczyłam się wtedy, że istotne jest pierwsze wyznanie, bo dzieci rzadko kłamią, dlatego to, co powiedzą, powinno zostać zanotowane słowo w słowo, tak żeby można było to wykorzystać w sadzie. Ważne było, abym właściwie do tego podeszła. Podczas szkolenia mówiono nam, że nie można dziecka naprowadzać, ale trzeba zadawać pytania w sposób, który pozwoli mu własnymi słowami opowiedzieć o tym, co się wydarzyło. Niestety, poza tym nie dowiedziałam się wiele więcej i nigdy wcześniej nie znalazłam się w podobnej sytuacji. Nauczyłam się jednak, jak delikatnie radzić sobie z dziećmi, które wyjawiały mi swoje doświadczenia przemocy i zaniedbania, i wiedziałam, że tego powinnam się teraz trzymać i mieć nadzieję, że to będzie właściwa droga, by pomóc Jodie się otworzyć.

Spojrzałam na lalkę. Jodie użyła jej, by przedstawić samą siebie, i to, że nadała jej imię podobne do swojego, nie było przypadkowe. By zobrazować sprawy, których nie potrafią wyrazić werbalnie, dzieci wykorzystują czasami zabawę w teatrzyk,

- Jodie - powiedziałam cicho - byłaś bardzo dzielna, mówiąc mi o tym. Wiem, jakie to trudne. Teraz chcę, żebyś spróbowała mi powiedzieć wszystko, co pamiętasz. Wtedy będę mogła ci pomóc. Dobrze? Skinęła głową.
- Grzeczna dziewczynka. - Przerwałam i wzięłam oddech. Musiałam być ostrożna. Nie mogłam jej poprowadzić, bo inaczej unieważniłoby to wszelkie dowody, które mogłyby być wykorzystane później w sadzie. - Kiedy weszłam przed chwilą do pokoju, 11 dawałaś, że Julie to ty, a ty to twój tatuś. - Słowa uwięzły mi w gardle. — Myślisz, że gdybyśmy spróbowały, mogłabyś mi jeszcze raz pokazać, co się wydarzyło:¹ Wiem, że to trudne, kochanie.

Znów skinęła głową. Przytuliłam ją, a potem wzięłam lalkę z jej ramion i położyłam na sofie między nami. Założyłam lalce majtki i zakryłam je sukienką. Jeśli to wszystko miało być wiarygodne, to Jodie musiała mi pokazać krok po kroku, co się stało, bo później i tak musiałoby to być przedmiotem przesłuchania.

- W porządku. Więc teraz Julie to Jodie. Gdzie ona jest? W samochodzie, sypialni, kuchni czy w ogrodzie? Powiedz.
- Nie, nie w ogrodzie, głupia - uśmiechnęła się Jodie. -W sypialni.

— Jasne, więc czyja to sypialnia?

- Moja. Sypialnia Jodie. W domu.

- A co Jodie ma na sobie?

— Swoją piżamę.

- Będziemy więc udawać, że to jest piżama Jodie. - Wskazałam na majtki Julie. - Czy Jodie jest w łóżku, czy *jeszcze nie* położyła się spać?

- W łóżku - stwierdziła kategorycznie.

- A światło jest zapalone czy zgaszone?

- Zgaszone.

- A teraz powiedz, czy Jodie śpi, czy nie?

- Śpi. - Jodie zmrużyła oczy, żeby to zademonstrować.

- Dobrze, *grzeczna*, dziewczynka. Więc Jodie śpi w swoim łóżku. I co się teraz *dzieje*?

Obie popatrzyłyśmy na lalkę. Jodie pomyślała przez chwilę, potem wstała i podeszła do drzwi. - Wchodzę - powiedziała grubym głosem, unosząc ramiona, żeby wyglądać na większą, i przeszła dużymi krokami przez pokój, naśladując na swój sposób dorosłego mężczyznę.

- Wchodzisz do sypialni Jodie? Kim jesteś?

— Tatusiem, Moim tatusiem. Teraz jestem w sypialni Jodie. Ciężkimi krokami podeszła do lalki, potem *się* zawahała i spojrzała na mnie.

- Chcesz, żebym *się* przesunęła? - zapytałam.

— Tam. — Jodie wskazała odległy kat pokoju, blisko drzwi. Przeszkadzając najmniej, jak mogłam, przeszłam do wskazanego kata i stanęłam tam. Próbowałam się upewnić, że zapamiętam każdy szczegół, bo później musiałam wszystko możliwie najwierniej zapisać. Patrzyłam, jak Jodie pochyliła się nad lalką, podniosła jej sukienkę, później gwałtownie ściągnęła z niej majtki. Gdy rozchyliła jej nogi i wsunęła głowę głęboko między rozwarte uda, nie widziałam w niej żadnego skrępowania. Wydawała z siebie niskie, chrapliwe odgłosy, tak jak przedtem; później, przykrywając głowę lalki, położyła się na niej twarzą do sofy. Jej biodra zaczęły się poruszać w górę i w dół w rytmicznych szarpnięciach i zaczęła coraz głośniejsz odychać. Uniosła głowę i wydała przeciągły pomruk. Potem nieruchomo opadła na lalkę. To było dokładne odtworzenie stosunku seksualnego. Tak rzeczywiście, że aż zrobiło mi się niedobrze.

W pokoju było cicho. Patrzyłam na zgwałconą lalkę i próbowałam ukryć swoją odrazę i nieopisane współczucie dla tej biednej dziewczynki. *Żadne* ośmioletnie dziecko nie powinno umieć tego zrobić, wiedzieć o takich *rzeczach* ani tym bardziej ich przeżyć. Nie mogłam znieść myśli o tym, co Jodie przeszła. Napełniał mnie straszliwy gniew na zwierzę, które zrobiło to swojej własnej córce! Oczy szczypały mnie łzami złości i smutku, ale ukryłam je pod powiekami. Wzięłam głęboki oddech. To nie był czas na moje emocje. Dla dobra Jodie musiałam być spokojna i beznamiętna. Jodie nie była zawstydzona. Zeszła z Julie i podeszła do mnie.

- Dobrze to zrobiłam? - zapytała niewzruszona. Uśmiechnęłam się słabo. - Jesteś odważna dziewczynka, Jodie.

Ale dla niej to nie była odwaga. Nie wykazała żadnego zawstydzenia ani zawahania. Wyglądało to niemal tak, jakby to była część życia, która Jodie uważała za normalną. Wzięłam ją za rękę i podprowadziłam do sofy, gdzie usiadłyśmy obok siebie, patrząc obie na Julie. Wiedziałam, że musiałam jeszcze wyjaśnić kilka wątpliwości.

- Spisałaś się bardzo dobrze, Jodie, ale jest jeszcze kilka rzeczy, których nie jestem pewna.

Chciałabym, żebyś spróbowała cofnąć się w myślach do tamtych chwil i odpowiedziała na moje pytania. Jeśli nie wiesz lub nie pamiętasz, to powiedz. Nie zgaduj ani nie wymyślaj niczego, dobrze?

Skinęła głową.

Trzymałam ją wciąż za rękę, ale przesunęłam się bokiem, żeby na nią patrzeć. Wyraz jej twarzy był zupełnie obojętny. -Przed chwilą udawałaś swojego tatusia, tak?

Skinęła głową jeszcze raz.

- A prawdziwa Jodie spała w łóżku przy zgaszonym świetle?

Kolejne skiniecie.

- Jeśli spałaś, to skąd wiesz, że wszedł do sypialni tak, jak mi to pokazałaś? Mógł się skradać na palcach albo nawet przejść przez pokój na czworaka. Spałaś z zamkniętymi oczami, tak?

Pomyślała przez moment.

— Jeśli nie wiesz lub nie pamiętasz, to powiedz - przypomniam jej.

- Pamiętam - powiedziała. - Czasami spałam, a czasami nie.

- Rozumiem. Pamiętasz, w co był ubrany?

- W dzinsy i koszulkę - powiedziała bez zastanowienia. - Zawsze to nosi.

- Miał je na sobie czy coś z siebie ściągnął?

- Ściągnął rozporek.

Przypuszczałam, że miała na myśli to, że rozpiął rozporek, ale znów musiałam to sprecyzować. -

Mozesz mi pokazać, co masz na myśli?

Wstała, rozpięła guzik w swoich dzinsach i rozsunęła zamek.

- Dobrze. I tak został, gdy leżał na tobie?

- Nie. Więcej. - Opuściła spodnie do kostek i zamierzała zsunąć majtki.

- W porządku. Nie ściągaj ich. Powiedz mi tylko.

- Jego majtki na dole razem z dzinsami - powiedziała.

- Wokół kostek? - Tak.

- Rozumiem. Włóż spodnie. Dobra dziewczynka. - Pomogłam jej zapiąć spodnie i posadziłam ją obok siebie na kanapie.

- Czy tatuś był niegrzeczny, Cathy? - zapytała. Myśląc o tym, zmarszczyła brwi.

- Tak, Jodie. Bardzo niegrzeczny. - Zwykle nie wolno mi wygłaszać opinii oceniających rodziców *dziecka*, ale bez żadnego zastanowienia wiedziałam, że Jodie powinna natychmiast dowiedzieć się, że to było bardzo złe i że ona w żaden sposób nie była temu winna.

- Niegrzeczny tatuś! - powiedziała i uderzyła mocno pięścią w kolano. - To bolało! Chce, żeby jego bolało. Zobaczmy, czy mu *się* to spodoba.

Objęłam ją ramieniem i przyciągnęłam do siebie. Chciałam mieć moc, która potrafiłaby odjąć jej cierpienie i ją uleczyć. - W porządku, Jodie. Teraz jesteś bezpieczna ze mną. To już się nie powtórzy, obiecuje,

- Dobrze, Cathy - powiedziała, zdecydowanie zbyt łatwo uspokojona. Wiedziałam, że ta spokojna zgoda i brak emocji oznaczały, że nie zbliżyłyśmy się w żaden sposób do sedna jej cierpienia.

- Jodie, powiedziałaś przed chwila, że cię bolało. Możesz powiedzieć co?

Pytanie było przerażające, ale wiedziałam, że takie samo zada jej oficer z Wydziału do Spraw Ochrony Praw Dziecka, i *ważne* było, żeby zanotować jej pierwszą odpowiedź.

- Bolał mnie tu brzusek. - Wsunęła rękę między nogi, na samej górze. — I sikał, i smakował ohydnie.

- Smakował? Wkładał ci coś do buzi?

Wykrzywiła buzię i zrobiła ruch, jakby chciała splunąć. - Gdy był w samochodzie, sikał mi do buzi. Odwróciłam się, by ukryć swoją reakcję. Płonęłam ze złości i upokorzenia; upokorzenia, które Jodie powinna czuć, ale nie czuła. Nie zamierzałam jej mówić, że to nie było sikanie. Nie było sensu, a naiwna terminologia i używanie jedynego punktu odniesienia, jaki Jodie miała, nie tylko sprawiały, że było to *jeszcze* bardziej żalosne, ale też podkreślały autentyczność wyznania. Nie miałam wątpliwości, że Jodie mówiła prawdę.

Odwróciłam się, żeby znów na nią spojrzeć. — Już ostatnia rzecz, Jodie. Muszę wiedzieć. Czy to zdarzyło się raz czy wiele razy?

- Wiele, Cathy. Niegrzeczny tatuś. Cathy, czemu płaczesz? Dłużej już nie mogłam się powstrzymywać. Szlochałam. -

Bo usłyszałam coś smutnego, skarbie.

- Czemu to jest smutne?

Fakt, że nie rozumiała przerażającej natury tego, co ją spotkało, *jeszcze* wszystko pogarszał. — Bo to bardzo zła rzecz, Jodie, i to nigdy nie powinno się nikomu przydarzyć.

- Tak. Niegrzeczny tatuś - powiedziała raz *jeszcze*. - Mogę teraz coś zjeść?

Relacja

Zastanawiałam się, czy nie odwołać nauczycielki, ale była chyba w drodze do nas. Poza tym Jodie czekała na nią, a ja potrzebowałam chwili, żeby zadzwonić do Jill i powiedzieć jej, co się stało, ale tak, żeby mnie nikt nie słyszał.

Głowa pękała mi od tych wyznań. Nie mogłam przestać w myślach odtwarzać ich ciągle na nowo, słysząc i widząc ohydna prawdę przedstawioną słowami i gestami niewinnej ośmiolatki. Nawet podczas zwykłych domowych czynności, normalnego przygotowywania obiadu, trudno było wyrzucić z głowy przerażające obrazy, które wywołała opowieść Jodie. Horror tego, o czym się dowiedziałam, położył się na wszystkim, co robiłam. Czułam, jakby do atmosfery została wypuszczona okropna trucizna. Nie mogłam z siebie zrzucić przerażenia i *odrazy*, które mnie ogarnęły.

Jodie natomiast wydawała się szybko o tym zapomnieć. Wręcz pochłonęła kanapki, chrupki i jogurt, i poprosiła o więcej.

- Już wystarczy - powiedziałam, ignorując natychmiastowe protesty.

Przygotowując się na *przyjazd* Nicoli, na przeszklonej werandzie uprzątnęłam niewielki stolik, który miał służyć jako biurko, i położyłam kilka kartek i kredki. Jodie chodziła wokół mnie, podekscytowana faktem, że *znów zobaczy* swoją nauczycielkę. Gdy zadzwonił dzwonek do drzwi, Jodie pobiegła je otworzyć, ale przypomniała sobie moje ostrzeżenie i poczekała, aż podejść.

- Grzeczna dziewczynka - powiedziałam do niej i ja przytuliłam.

Poznałam Nicolę pobieżnie na spotkaniu przed powierzeniem Jodie mojej rodzinie. Od razu byłam pod jej wrażeniem. Spokojne, zdecydowane podejście nauczycielki było właśnie tym, czego potrzebowała mała. Jodie najwyraźniej podzielała mój entuzjazm, bo przywitała Nicolę jak niewidzianego od lat przyjaciela. Nicola również wydawała się zadowolona, że widzi Jodie, gawędziła sobie z nią, gdy ściągała płaszcz i zbierała swoje rzeczy.

Przeszliśmy na werandę, Jodie wdrapała się na krzesło i *zaczęła* zaciekle gryzmolić coś na papierze, który wcześniej rozłożyłam. Jako dobre wydanie *Mary Poppins*, Nicola sięgnęła do swojej przestronnej, znoszonej torby i *zaczęła* wyciągać pełen asortyment zeszytów ćwiczeń, arkuszy i pomocy naukowych w jasnych kolorach. Jodie była zahipnotyzowana.

— No to *zaczynamy* — powiedziała zdecydowanie nauczycielka. — Zwykle robię w połowie przerwę, może wtedy porozmawiamy o postępach Jodie f

- Dobrze. Przyniosę jakieś picie i przekąski na pierwszą połowę lekcji.

Dopilnowałam, żeby Nicola miała wszystko, co *trzeba*, potem zostawiłam je obie, *wdzięczna*, że byłam zwolniona z odpowiedzialności, choćby tylko na kilka godzin. Na górze zamknęłam drzwi do swojej sypialni, żeby nikt mnie nie słyszał, potem przysiadłam na łóżku i wzięłam do ręki telefon. Pomyślałam szybko, co mam powiedzieć. Do tej pory nie miałam czasu zrobić notatek w dzienniku, ale wszystko w głowie było jeszcze wyraźne i przygnębiająco żywe. Wybrałam numer. Odebrała sekretarka.

- Poproszę z Jill. Mówi Cathy.

- Już panią łącze.

Trzask, potem głos Jill: - Cześć, Cathy. Co tam, wszystko w porządku?

- Nie. Nie jest w porządku. Jodie była wykorzystywana seksualnie. Jestem pewna. Nie mogłaby zmyślić tej historii. - Szybko opowiedziałam o wyznaniach dziewczynki, tłumacząc, w jaki sposób Jodie wykorzystwała swoją lalkę, żeby mi to opowiedzieć. Niemal słowo w słowo powtórzyłam to, co usłyszałam od Jodie.

Jill przez chwilę nic nie mówiła, potem zapytała: - Jak ty się trzymasz, Cathy? Nikt nie miał bladego pojęcia...

Bladego pojęcia? Wiedząc, co już teraz wiedziałam, trudno mi było uwierzyć, że nikt nawet nie przypuszczał, co się działo, ale musiałam oddać pomocy społecznej przywilej niedowierzania. Oczywiście, gdyby ktoś podejrzewał, co się działo, to Jodie zostałaby zabrana od rodziców wcześniej. Ale jak można było nie zauważyć tych wszystkich oznak, i to przez tak długi czas? Możliwe, że skupiano się na ewidentnej przemocy fizycznej, czyli sińcach, oparzeniach i złamaniach, a nie na tej głębszej i bardziej brutalnej.

Teraz, gdy nie musiałam kontrolować swoich emocji przed Jodie, czułam, jak rośnie we mnie szok i *przerażenie*. Oczy zaczęły mnie szczypać, potem obraz rozmyły napływające do nich gorące łzy. W imieniu Jodie czułam okropną mieszkankę bezsilnej furii i nieopisanego smutku. Nie mogłam jednak pozwolić sobie na załamanie. Dla dobra Jodie musiałam być silna. Wzięłam głęboki oddech.

- Jestem oczywiście przerażona, ale przynajmniej to wszystko wyszło na jaw. I jak najbardziej tłumaczy, dlaczego jest taka niespokojna. Właściwie to tłumaczy mnóstwo rzeczy. Jeśli przeszła przez taką gehennę, to nic dziwnego, że się chce ranić i zamyka w sobie *przed* światem. No i wygląda na to, Jill, że to się działo od lat. W sposobie, w jaki to opisywała, była bardzo rzeczowa, zupełnie jakby to było normalne.

Znów nastąpiła chwila ciszy. Wiedziałam, że Jill jest poruszona tym, co jej powiedziałam. Historie o wykorzystywaniu seksualnym są czymś, z czym spotyka się każdy pracujący w pomocy społecznej z dziećmi, ale nigdy nie przestają szokować i przerażać, a opowieść Jodie była wyjątkowo bulwersująca. Myśl, że małe dziecko mogło przechodzić taką przeprawę *przez* lata, była tak straszna, że nie chce się nad nią zastanawiać.

Po chwili ciszy Jill przystąpiła do działania. - Dobra, jak tylko skończymy, zadzwonię do Eileen. Musimy się natychmiast *przyrzec* kontaktowi. Potrzebuję twoich notatek. Możesz je spisać, póki jest u was nauczycielka, i przesłać mi mailem?

— Postaram się.

- Jodie najwyraźniej ci ufa, Cathy, bardziej niż komukolwiek wcześniej. *Przez cztery* miesiące była pod opieką zastępcza i nic nie powiedziała. Nie rozumiem tylko, gdzie była matka, gdy to się działo?
— Właśnie. Ze sposobu, w jaki przedstawiła to Jodie, trudno sobie wyobrazić, że jej matka nie miała o tym żadnego pojęcia. Ale nie wiem tego. Jodie o niej nie wspominała.

- Gdybyś zadała bezpośrednie pytanie, myślisz, że by ci odpowiedziała:¹

- Nie jestem pewna. Powiedziała mi o tym, ale w rezultacie zabawy z lalka. Myślę, że wywołał to incydent w windzie?

— W windzie?

- Tak. Przestraszyła się w windzie, gdy byliśmy na zakupach. I to tak bardzo, że musiałam windę zatrzymać i zeszyliśmy schodami. To było tak, jak gdyby porównała ten strach z tym, który czuła przy ojcu. Sadze, że to mogło zadziałać jak katalizator jej wyznania. Chcesz, żebym ja zapytała o matkę?

- Tak, ale nie naciskaj. Może jak już zaczęła mówić, to wszystko wyjdzie na jaw, ale może to też trochę potrwać. Zobacz, czego uda ci się dowiedzieć, i w miarę możliwości zbierz jak najwięcej informacji, rzecz jasna najdelikatniej, jak się da. - Słyszałam, jak Jill szybko wciągnęła powietrze.

- Na litość boska! Była *przecież* na liście ryzyka od urodzenia i nic nie znaleźli?! Czyjaś głowa za to poleci.

Zrozumiałe, że Jill była zła, podobnie jak ja. Chociaż jej rolą było głównie nadzorowanie, to bardzo troszczyła się o *dzieci*, które trafiały do nas pod opiekę. Nie można było wykonywać tej pracy bez emocjonalnego zaangażowania.

- Wiesz, Jill - dodałam - Jodie bardzo często rozmawia ze sobą i swoimi wyimaginowanymi przyjaciółmi. Mówi jakieś nonsensy. Czasami trudno z tego wyłowić choćby jedno dorzeczne słowo. Ale nigdy nie widziałam jej tak konkretnej i skupionej jak wtedy, gdy to opisywała.

Wyglądało to, jakby była inną osobą.

- Dzięki Bogu, że jest z tobą. Zadzwonię do ciebie później, muszę teraz uruchomić sprawę. Jeśli wydarzy się coś jeszcze, zadzwoń do mnie natychmiast.

— W porządku.

Odłożyłam słuchawkę i padłam na łóżko, porażona odpowiedzialnością. Jodie wreszcie się otworzyła. Nie było mowy o zakończeniu mojej opieki nad nią, czymkolwiek by mnie zaskoczyła. Jodie, nie uświadamiając sobie tego, kiedy powiedziała mi o wszystkim, obdarzyła mnie ogromnym zaufaniem. Nie mogłam pozwolić, by pomyślała, że zleje zainwestowała. Wstałam i zesłam na dół. Przechodząc przez salon, słyszałam Nicolę czytającą serię krótkich słów, które Jodie powtarzała swoim dziecięcym głosem - można było sadzić, że to czterolatka. Przeszłam przez przedpokój do gabinetu pod schodami, wyjęłam z biurka dziennik i zaczęłam robić notatki. Pisałam szybko, starając się opisać wszystko najdokładniej, jak potrafiłam. Zapisałam półtorej strony, gdy zadzwonił telefon. Natychmiast odebrałam, spodziewając się, że to Jill lub Eileen.

- Halo? - powiedziałam. Nikt się nie odezwał.

- Halo? - powtórzyłam.

Znow nic, choć połączenie nie zostało przerwane. Ktoś był po drugiej stronie. Nasłuchiwałam dalej, wydawało mi się, że słyszałam jakiś szmer, jak gdyby ktoś potrząsnął słuchawką. Może to jakieś dzieci próbowały się gdzieś dodzwonić i nie były pewne, czy to właściwy numer. A może to moja przyjaciółka Pat, która mieszkała teraz w Afryce Południowej i dzwoniła do mnie raz w miesiącu - często bywały problemy z połączeniem. Spróbowałam jeszcze raz: - Halo?

Na linii było głucho. Przerwałam połączenie i wybrałam numer informacji telefonicznej. Głos z automatu powiedział: -Otrzymałeś połączenie dzisiaj o 14:20. Numer telefonu dzwoniącego nieznany.

Przez chwilę stałam, zastanawiając się, potem wróciłam do pisania. Czy to mogli być rodzice Jodie? Teoretycznie nie powinni mieć żadnych moich osobistych danych, ale lata opieki nad dziećmi nauczyły mnie być naturalnie podejrzliwa. Skończyłam notowanie uwag, potem zaczęłam je przepisywać do dokumentu Worda. Kilka minut później usłyszałam biegnącą przez przedpokój Jodie.

- Cathy! Jest przerwa! Gdzie jest te trampki! Idziemy do parku.

- Ogrodu - poprawiła ja Nicola z pokoju na tyłach domu. Kliknęłam „zapisz” i wyszłam do przedpokoju pomóc Jodie

założyć trampki i kurtkę. Pobiegła na werandę, a ja otworzyłam drzwi, żeby ją wypuścić. Nicola podeszła do mnie i stojąc przy przeszklonych oknach, razem przyglądałyśmy się nieskoordynowanym próbom Jodie rozbijania huśtawki.

- Biedne dziecko... - powiedziała Nicola, potem odwróciła się w moja stronę. - Cathy, Jodie powiedziała przedtem coś bardzo niepokojącego i myślę, że powinnaś o tym wiedzieć. -Spojrzałyśmy na siebie. - Pracowałyśmy wtedy nad literką S. Jedno ze słówek, jakie jej podałam, to było S jak spodnie. Pokazałam jej obrazek z para spodni i wtedy bardzo się zdenerwowała, nie chciała na niego *patrzeć*. Potem powiedziała: „Mój tatuś ściąga spodnie. Jest *niegrzeczny*, tak?”.

- Wiem, skąd u niej taka *reakcja* - powiedziałam i pokrótce, bez wdawania się w szczegóły, wytłumaczyłam naturę przejść Jodie. Poufność należało uszanować nawet w rozmowie z nauczycielem. - Zaalarmowałam społeczną opiekunkę Jodie - dodałam. - Rozumiem, że wcześniej nic podobnego nie mówiła?

- Do mnie nie, ale był ten epizod u Hilary i Davea. Pewnie ci powiedzieli.

-Nie.

- Ach, tak... Nie jestem pewna, co się dokładnie wydarzyło, ale Dave mówił społecznemu opiekunowi, że Jodie czasami zachowywała się tak, jakby go podrywała. Flirtowała i wchodziła do jego sypialni, gdy nie było Hilary. Zrozumiałam, że zrezygnowali z opieki nad Jodie po tym, jak próbowała go dotknąć przez spodnie.

- Nie, nikt mi o tym nie powiedział! - powiedziałam zdecydowanym głosem. — A powinien! Mam siedemnastoletniego syna. To bardzo zły zwyczaj w pracy społecznej.

Wiedziałam z doświadczenia, że współpraca z Ośrodkiem Pomocy Społecznej oznaczała *radzenie* sobie z niekończącą się serią drobnych pomyłek i zaniedbań. Sam ogrom tej maszyny i ilość pracujących w niej trybów powodowały, że błędy były popełniane nieustannie. Przyzwyczaiałam się do tego i jakoś sobie z tym radziłam. Rozumiałam, że człowiek może się pomylić i że przy tylu przypadkach, którymi się zajmowano, błędy się zdarzają. Niemniej jednak chciałam ufać, że gdy działo się coś ważnego, coś, co bezpośrednio odnosiło się do stanu ducha lub zdrowia dziecka, lub gdy

podejmowano istotne decyzje w imieniu tegoż dziecka, to ludzie będą uważać i dodatkowo się upewnia, że sprawy zostały właściwie załatwione.

Patrząc wstecz, dostrzegłam, że już przed dzisiejszym wyznaniem zdarzały się Jodie zachowania z wyraźnym podtekstem seksualnym. Widziałam ją z ręką w majtkach, masturbującą się gwałtownie na oczach innych, czego żaden normalny ośmiolatek by nie zrobił. Widziałam, jak usiłowała wejść do łóżka Adriana i jak od czasu do czasu podchodziła do niego, próbowała obok niego usiąść, uśmiechała się lub nawet trzepotała do niego rękami. Gdy zaczęłam się nad tym zastanawiać, flirtowanie było właściwym słowem. Problem był w tym, że Jodie zabierała mi tyle czasu, energii i umysłowej siły, że rzadko miałam okazję stanąć z boku, obiektywnie się jej przyjrzeć i przeanalizować jej zachowanie. Teraz było oczywiste, że traktowała Adriana w sposób seksualny, bo jej doświadczenia z ojcem nauczyły ją postrzegać przedstawicieli płci męskiej tylko i wyłącznie jako istoty seksualne. Wszystko zaczynało się układać w całość. Teraz uświadomiłam sobie, że to było częścią schematu i że inni również zdążyli to zauważyć.

Jeżeli wcześniej zdarzały się jej już przypadki zachowań seksualnych, to dlaczego nikt nie zaczął się domyślać oczywistej konkluzji, że ktoś wykorzystywał Jodie seksualnie:¹ I dlaczego, na Boga, nikt nie powiedział mi o jej zachowaniu względem poprzedniego opiekuna?!

Powstrzymałam złość. Nic z tych rzeczy nie było wina Nicoli i nie chciałam przerzucać na nią swojej frustracji.

Po piętnastu minutach zawołałyśmy z ogrodu Jodie. Pomogłam jej zdjąć trampki i kurtkę, potem wróciłam do gabinetu pod schodami i dalej przepisywałam notatki z dziennika do Worda, a Nicola i Jodie wróciły do zajęć. Gdy tylko skończyłam, wysłałam plik Jill. Niezłe wycucie czasu! Zdążyłam właśnie wyłączyć komputer, gdy do pokoju weszła Jodie.

- Skończyłyśmy! Chodź zobacz mnie prace!

Poszłam więc za nią i podziwiałam jej ćwiczenia literek i cyferek, potem umówiłam następne zajęcia na czwartek i razem odprowadziłyśmy Nicolę do wyjścia. Gdy tylko zamknęłam drzwi, rozdzwonił się telefon. I tak już było przez całe popołudnie. Jill powiedziała mi, że kierownik zespołu zwołuje pilne spotkanie strategiczne i że niedługo da nam znać, kiedy i gdzie się ono odbędzie. Miała do mnie zadzwonić, jak tylko dowiedziałyby się czegoś więcej.

Potem zadzwoniła Eileen. Ucieszyłam się, gdy ją usłyszałam, lecz niestety jej reakcja nie była zupełnie taka, jakiej bym oczekiwała. Jakoś nie wydawała się zbyt zszokowana ani przerażona tym, co przeżyło dziecko, za które była odpowiedzialna.

- Słyszałam, co się stało - powiedziała swoim beznamiętnym głosem. — Czy od tamtej pory Jodie powiedziała coś więcej:¹

- Nie tyle więcej, ile zrobiła pewien komentarz przy swojej nauczycielce — zauważyłam i wyjaśniłam jej, co Jodie powiedziała Nicoli. Przypomniłam sobie, że opiekunowie socjalni często musieli zachować nieco dystansu i zbudować mur między nimi samymi a sprawami, które prowadzili, by ochronić siebie przed zbyt emocjonalnym zaangażowaniem i niemożnością właściwego wykonywania pracy. Mimo to nie mogłam pozbyć się wrażenia, że Eileen po prostu nie przejmowała się tym zbyt i w ogóle nie próbowała wczuć się w sytuację Jodie.

- Taaak - powiedziała Eileen, wzdychając i notując to, < o powiedziałam. Wydawało się, że dla niej najbardziej dołują- (y m aspektem całej sprawy była dodatkowa praca, jaka musiała przy tym wykonać.

Wzięłam głęboki wdech i zapytałam o relacje Jodie / . ji-j poprzednim opiekunem, Daveem.

Jeśli coś w tym jest, to z pewnością będzie to w aktach — odpowiedziała, używając tej samej wymówki co ostatnio.

Już miałam powiedzieć: - No więc przeczytaj w końcu te cholerne akta! - ale zamiast tego pozwoliłam sobie na bardziej dyplomatyczne przypomnienie: — Byłabym wdzięczna, gdybyś mi mogła przekazać jakieś informacje dotyczące przeszłości. Teraz to bardzo ważne.

Odłożyłam słuchawkę sfrustrowana. To absolutnie nie było to, co powinnam jej powiedzieć!

Dlaczego do tej pory opiekunka społeczna Jodie nie zaznajomiła się z historią jej przypadku?!

Oczywiście nadal nie przeczytała tych akt, podobnie jak jeszcze nie odwiedziła Jodie, a *przecież* dobrym zwyczajem pracy społecznej powinno być nawiązanie relacji z dzieckiem, za które jest się odpowiedzialnym. Eileen nawet teraz nie zaproponowała, że wpadłaby do nas, by zaoferować Jodie wsparcie i okazać troskę.

Na szczęście była Jill. Ona zdawała się dostrzegać powagę sytuacji i zadzwoniła ponownie, żeby mi powiedzieć, że spotkanie zostało zwołane jeszcze na ten sam dzień. Ponieważ Jodie nie chodziła do szkoły i było za późno, żeby szukać opiekunki, Jill zaproponowała, że mnie zastąpi na spotkaniu, a potem opowie, co z niego wyniknie.

Następnie zadzwoniła Sally, kuratorka z urzędu ustanowiona przez sąd do reprezentowania interesów Jodie. Od samego początku mi się spodobała: okazała dokładnie takie połączenie profesjonalizmu i troski, które uspokoiło mnie, że w sprawie Jodie zostaną podjęte właściwe kroki. Zadzwoniła, by bezpośrednio ode mnie usłyszeć szczegóły tego, co przeszła Jodie, i mówiła, jak bardzo było jej przykro i jak *przeróżające* jest to, że nikt wcześniej nie odkrył problemu. Musiała być, *rzecz jasna*, obiektywna, ale czuć było *wyraźnie*, że sprawa Jodie bardzo ją poruszyła, i doceniłam, że to okazała. Raz jeszcze powtórzyłam szczegóły wyznania Jodie. Sally podziękowała za wszystko, co robiłam, i dała mi swój numer domowego telefonu na wypadek, gdyby pojawiły się dodatkowe informacje.

W końcu telefon przestał dzwonić. Nastawiłam wodę w czajniku i próbowałam uspokoić Jodie zabawa plasteliną, ale jej to nie interesowało. Była podekscytowana ilością wydarzeń, które, jak właściwie się domyślała, dotyczyły jej osoby. Na szczęście Paula i Lucy wróciły ze szkoły i zajęły ja wystarczająco długo, bym mogła pozbierać myśli.

Chwilę później znowu rozległ się dzwonek. To była Jill.

- Cześć, Cathy. Dzwonię, żeby cię powiadomić o wynikach spotkania strategicznego. Kontakt z obojgiem rodziców Jodie został zawieszony ze skutkiem natychmiastowym, do odwołania. Możesz o tym powiedzieć Jodie?

- Więc nie zobaczy się też z mama? - zapytałam.

- Nie, dopóki nie dowiedzą się czegoś więcej, chcą *zachować ostrożność*.

— W porządku. Wytlumaczę jej to. Pojęcia nie mam, jak 10 przyjmie.

- Tak jak mówiłyśmy wcześniej, byłoby świetnie, gdybyś spróbowała dowiedzieć się, gdzie była jej matka, gdy dochodziło do wykorzystywania.

- Spróbuję.

- A tak zupełnie między nami, to wygląda na piekielną bombę w OPS-ie. Rozgorzało piekło. Próbują się dowiedzieć, j.i k to wszystko mogło się zdarzyć.

Rozłączyłam się i spojrzałam na zegarek. Było już prawie wpół do szóstej, a ja *jeszcze* nawet nie pomyślałam o kolacji.

Zmęczona przeszłam przez werandę, *gdzie* Paula i Lucy nieźle radziły sobie w pomaganiu Jodie przy modelowaniu plaste-liny. Zdecydowałam, że zacznę od sprawy spotkań z rodzicami, bo nie chciałam, by Jodie w jakikolwiek sposób czuła się winna tego, że nie będzie ich widywać.

- Musze porozmawiać z Jodie - powiedziałam do dziewczynek, — Potem wszystko wyjaśnię. — Zrozumiały mnie i wyszły. - Dziękuję za pomoc! - zawołałam jeszcze za nimi.

- Potem wszystko wyjaśnię - powtórzyła Jodie. Usłyszałam śmiech dziewczynek.

Przykucnęłam obok Jodie i zaczęłam jej mówić o tym, jak to jest być bezpiecznym, dawać bezpieczeństwo i jak bezpiecznie czuła się ze mną.

Jakby wyświadczając mi przysługę, Jodie powiedziała: -Nie byłam *bezpieczna* ze swoim tatusiem, tak, Cathy?

- Nie byłaś, skarbie. I właśnie dlatego Eileen uważa, że będzie lepiej dla ciebie, jeśli przez jakiś czas nie będziesz widywać swoich rodziców, dopóki wszystko się nie wyjaśni.

- Dobrze, Cathy - powiedziała, w najmniejszym stopniu nieporuszona. — Powiem jej.

Potem podniosła się i zaczęła rozmowę ze sobą, w której to powiedziała Jodie, że nie będzie widywać swojej mamusi ani tatusia, bo musi być *bezpieczna*,

To było zbyt łatwe - pomyślałam. To nie jest normalne. Mimo wszystko była z nimi przez osiem lat.

Miałam do czynienia z wieloma *dziećmi*, które były zaniedbywane czy nawet wykorzystywane, ale niezależnie od tego, przez co przeszły, zawsze łączyły je jakieś emocjonalne więzi z rodzicami. Nigdy nie widziałam reakcji takiej jak ta. Przeszłam do drugiej sprawy, czyli obecności mamy w trakcie wykorzystywania. Jodie znów usiadła i podniosła kulę różnokolorowej plasteliny.

- Jodie, wiesz, co mi wcześniej powiedziałaś? Czy pamiętasz, gdzie była mamusia, gdy tatuś był w twojej sypialni?

- To kot! - krzyknęła, rozciągając plastelinę w wydłużony kształt gruszki,
— Tak? Bardzo ładny. — Przysunęłam się bliżej. — Jodie, kiedy tatuś był w twojej sypialni i robił te wszystkie *niegrzeczne* rzeczy, gdzie była mamusia?
Wzruszyła ramionami i w zamyśleniu przesuwając językiem po górnej wardze.
- Była w domu, Jodie, czyjej nie było? Mówiłaś jej, co robił ci tatuś?
— Mówiłam — odpowiedziała, *uderzając* w plastelinę otwartą, dłonią drugiej ręki. - Mówiłam jej. Mówiłam, że chcę kota. Daj mi go teraz! - I znikła w poszukiwaniu Toschy. Nie ciągnęłam tego. Musiałam poczekać, aż będzie gotowa.

Gotowanie i sprzątanie

W środku nocy obudziły mnie *przeraźliwe* wrzaski. Nie było czasu na zakładanie kapci czy szlafroka. Wskoczyłam z łóżka i wybiegłam na korytarz tak szybko, że aż zakręciło mi się w głowie. Gwałtownie otworzyłam drzwi do sypialni Jodie. Rzuciła się po podłodze z boku na bok, wrzeszcząc wniebogłosy, owładnięta atakiem strachu.

- Jodie! - krzyknęłam, próbując przebić się *przez jej* koszmar. - Jodie, to ja, Cathy! - ale jej wrzaski zagłuszały mój krzyk.

Upadłam na kolana i wzięłam ją za ręce. Twarz miała wykrzywiona, paznokciami drapała swoje oczy, jakby je chciała wydłubać. Jedno jej ramię przytrzymałam swoim kolaniem, drugie założyłam jej za głowę. Walczyła ze mną z całej siły, a miała jej nieprawdopodobnie dużo. Jakby obudziły się w niej jakieś demony i walczyły za nią.

- Jodie! Otwórz oczy! To ja, Cathy. Ze mną jesteś bezpieczna.

Zgrzytała zębami, a nogami waliła w podłogę. Trzymałam ją, powtarzając ciągle: - Jodie! Jesteś *bezpieczna*, w swoim pokoju. To tylko koszmar. Nic ci się tutaj nie stanie. Wrzask jeszcze bardziej się podniósł, potem nagle ucichł. Ciało Jodie opadło bezwładnie. Usłyszałam szum wypływającego moczu, zaraz potem na piżamie pojawiła się plama. Jodie najpierw zamrugła bezładnie oczami, potem je otworzyła i wolno przekręciła głowę. Spojrzała na mnie sztywno, szeroko otwartymi oczami, odwróciła się i zwymiotowała.

Wymamrotała coś niewyraźnie, a jej oczy złapały wreszcie kontakt. Zwolniłam uścisk i przytuliłam ją do siebie. Zapach moczu i wymiocin przyprawił mnie o mdłości. - Jesteś *bezpieczna*, Jodie. Nic ci się tutaj nie stanie. Zaopiekuję się tobą. Nie martw się, złotko. - Delikatnieją pogłaskałam.

Zapłakała i oplotła mnie w pasie ramionami. - Nie chcę tego w buzi. Powiedz mu. Powiedz mu, że robi mi się niedobrze, Cathy.

- To już się nigdy nie zdarzy, skarbie. Obiecuję ci. Jesteś bezpieczna.

— Mówiłam jej, żeby mu zabroniła. Mówiłam. Ale mnie nie słuchała.

- Kto, Jodie? Komu mówiłaś? - Znów *zaczęła* płakać. -Już dobrze. Nie martw się. Powiesz mi, gdy będziesz na to gotowa. Dopiero wtedy, kochanie.

Trzymałam ją, dopóki się zupełnie nie uspokoiła. Potem pomogłam jej wstać i zaprowadziłam do łazienki. Umyłam nas obie i założyłam Jodie czystą piżamę. Nic nie mówiła, była wycieńczona. Odprowadziłam ją do pokoju i ułożyłam do snu. Usiadłam na podłodze przy jej łóżku i głaskałam po włosach.

W końcu zasnęła. Zostawiłam włączone światło, wymknęłam się z pokoju i delikatnie zamknęłam drzwi. Wróciłam do siebie po czystą koszulę nocną, założyłam kapcie i szlafrok, i *zeszłam* na dół. Była *trzecia*, w nocy. Krzyki Jodie musiały obudzić pozostałych, ale wyglądało na to, że przewrócili się na drugi bok i zasnęli na nowo.

W kuchni naląłam do wiaderka gorącej wody, dodałam trochę środka piorącego i włożyłam do namoczenia swoją koszulę i piżamę Jodie. Nie było sensu wracać do łóżka. Nie mogłabym zasnąć. Byłam zbyt przejęta cierpieniem Jodie i obawiałam się, że w każdej chwili może się obudzić. Nigdy czegoś takiego nie widziałam u dzieci, którymi się opiekowałam. Byłam oszołomiona i wykończona. Oparłam się ciężko o blat kuchenny i wpatrywałam się w przeskakujące co minutę cyfry zegara na

piekarniku. Toscha zakręciła się koło moich nóg, niepewna, czy to już czas na śniadanie. Nalałam jej mleka na spodek, a sobie zrobiłam kubek herbaty.

Moje myśli pobiegły do paczki papierosów na *szafce* z przyborami do sprzątan. Położyłam ją tam pół roku wcześniej, gdy rzucałam palenie. Udało mi się przestać palić, bo pozwalałam sobie tylko na jednego w kryzysowych sytuacjach, i papierosy leżały w miejscu trudno dostępnym. Przyciągnęłam do szafki taboret i wspięłam się na niego. Gdy wysunęłam z paczki papierosa, poczułam się winna. Zapalki leżały w szafce pod zlewozmywakiem, tej *zabezpieczonej przed* dziećmi, a wszystkie zapalniczki wyrzuciłam. Otworzyłam drzwi na tyłach domu i wyszłam na zewnątrz. Nigdy nie paliłam w domu.

Noc była *zimna i* przejrzysta. Nie widziałam księżycy, ale *czarne niebo* było jak dywan migoczących gwiazd. Chłodne powietrze przynosiło ulgę od ciężkiej atmosfery, która teraz wypełniała dom.

Zapalka rozbłysła w ciemności, jakby podświetlając mój *grzech*. Podniosłam ją do końca papierosa i się zaciągnęłam. Poczułam to dobrze *znane* uczucie przyływu odurzenia i pewności siebie. Zaraz potem kolejne ukłucie poczucia winy, ale znów się zaciągnęłam, koncentrując się na rytuale i pozwalając sobie na komfort niemyślenia o niczym więcej. Gdy skończyłam, nie byłam pewna, czy zrobiło mi się lepiej czy gorzej. Wróciłam do środka, odłożyłam zapalki do szafki, a sekretna paczkę papierosów wrzuciłam do najmniej dostępnej szuflady. Na górze ciągle było cicho, więc poszłam do salonu i włączyłam telewizor. Na piątce był hokej na lodzie. Wyłączyłam głos i wpatrywałam się w ekran, nieobecna. Moje myśli były szybsze od krążka. Ileż to dziecko musiało wycierpieć? Mogłam tylko zacząć się domyślać. I kim była „ona”, której Jodie o wszystkim powiedziała? Jej mama? Ciocia? Nauczycielka w szkole? Zastanawiało mnie, że niczego nie dostrzeżono wcześniej. Jodie była na liście ryzyka od urodzenia, więc opiekunowie socjalni powinni ją odwiedzać co kilka tygodni. Nie mogłam uwierzyć, że żaden z nich nie zauważył niczego niewłaściwego w jej relacjach z ojcem, bo wyglądało na to, że ten wykorzystywał ją od lat. Jej matka z pewnością musiała wiedzieć, ale to była kolejna możliwość, której na razie nie chciałam dopuścić do świadomości. W którymś momencie chyba się zdrzemnęłam, bo nagle lodowisko zamieniło się w mapę pogody, na której ciemne chmury pokrywały większość południowej Anglii. Zegar w rogu ekranu wskazywał prawie wpół do siódmej. W domu ciągle było cicho. Może wyznanie o wykorzystywaniu podziałało na Jodie oczyszczające i w efekcie tego *będzie teraz* spokojniejsza? Weszłam cichutko na górę, skorzystałam z okazji i wzięłam długi, relaksujący prysznic. Czułam, jak wraz z gorącą wodą spływająca mi po karku i ramionach schodzi ze mnie napięcie. Przygotowywałam się na nowy dzień.

Ubierając się, poczułam się jak nowo narodzona i gotowa do działania. Gdy wieszalałam ręczniki, usłyszałam, że Jodie się obudziła. Za chwilę była już na nogach, wykrzykując obelgi i demolując pokój. Weszłam do środka i próbowałam ją uspokoić. Nie podziałało, więc ją skarciłam. Gdy i to nie przyniosło efektu, za karę pozbawiłam ją telewizora.

Bojąc się, że jeśli zostanie sama, narobi jakichś szkód, pozwoliłam jej zejść na śniadanie z Lucy i Paula, co okazało się fatalna decyzja. Od chwili, gdy tylko zasiadła do stołu, zaczęła dziewczynki szturchać, kopać, wkładać im swoją łyżkę do jedzenia, jednym słowem — była nie do zniesienia. Paula prawie w ogóle nie tknęła swoich płatków, Lucy w końcu pacnęła Jodie po rękach i porwała kanapki, żeby je skończyć u siebie w pokoju. Zanim przyszedł Adrian, moje nerwy były już w strzępach, a poranny spokój znikł bez śladu.

- Na co się gapisz? - warknęła, jak tylko Adrian usiadł. Jodie wydawała się owładnięta szczególnym strachem przed tym, że ktoś na nią patrzy. Zawsze się denerwowała, gdy tylko wyczuła, że ktoś ją obserwował, i była zła bez względu na to, kto to był. Już wcześniej zauważyłam, że unikała kontaktu wzrokowego, a gdy ktoś do niej mówił, wołała patrzeć na jego klatkę piersiową. Podobnie nigdy nie potrafiła się zrelaksować - gdy ktoś wchodził do pokoju, zawsze podskakiwała, jakby była w ciągłym pogotowiu, żeby w razie czego móc uciec. Nigdy się tak naprawdę nad tym nie zastanawiałam, ale teraz, w świetle tego, co mi powiedziała, wszystko zaczęło mieć złowieszcze znaczenie.

Adrian odsunął się niezgrabnie, próbując się zająć śniadaniem.

Zobaczyłam uśmiech Jodie, ten jej makabryczny wyraz twarzy, a potem szybki jak błyskawica rzut pełnej garści owsianki w Adriana.

- Jodie! Przestań! - krzyknęłam i zabrałam jej miskę z owsianką. - To było niegrzeczne. Teraz muszę wyczyścić mu bluzę. Popatrz, jakiego bałaganu narobiłaś.

Wyszczrzyła zęby. — Przecież od tego jesteś. Zęby sprzątać i gotować. No dalej, dziwko! Adrian nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał, podobnie jak ja.

— Słucham? — powiedziałam, ale Jodie wyglądała tak, jakby chciała to powtórzyć, więc przerwałam jej, mówiąc: - Nie waż się tego mówić. Jeśli sadzisz, że nie mam nic lepszego do roboty niż sprzątanie po tobie, to bardzo się mylisz. Nie ma dziś oglądania telewizji, a jeśli zdarzy się coś więcej, to nie będziesz jej oglądać do końca tygodnia.

Umyłam jej ręce, wyczyściłam gąbką bluzę Adriana i posprzątałam po śniadaniu. Nie odzywałam się do Jodie i nie patrzyłam na nią. Chciałam, żeby poczuła moja dezaprobatę. Współczułam jej, że tyle w swoim dziecięcym życiu już wycierpiała, ale jedyna nadzieja na jej przyszłość leżała w tym, by Jodie spróbowała i zrozumiała, jak funkcjonuje życie w normalnej rodzinie i społeczeństwie. Musiała się nauczyć, które zachowania są akceptowane, a które niedopuszczalne w sposobie traktowania innych ludzi.

Odezwałam się do Jodie w ramach rozejmu dopiero, gdy włożyłam naczynia do zmywarki i pożegnałam Adriana, Lucy i Paulę wychodzących do szkoły. — Żadnych więcej przekleństw i rzucania rzeczami naokoło. Rozumiesz? To niegrzeczne, a ty jesteś niegrzeczna dziewczynka.

- Nie jestem. Przepraszam, Cathy - powiedziała, chwilowo zawstydzona,

— No dobrze. Chcesz, żebym ci teraz przeczytała opowiadanie:¹

- Tak, Cathy, proszę.

Przytuliłam ją i poszłyśmy do salonu, gdzie wybrała kilka bajek i rzuciła mi na kolana. Siedziałyśmy obok siebie na kanapie. Jodie poprosiła, żebym ja jeszcze raz przytuliła. Objęłam ją i pomyślałam, że to może być dobry moment, żeby zapytać o mamę. Jodie była bowiem wyciszona i względnie chętna do współpracy.

- Zanim zacznę, Jodie, chcę cię zapytać o ostatnią noc. Pamiętasz:¹ Byłaś bardzo niespokojna, a ja przyszedłam do twojego pokoju. - Jodie spojrzała na mnie obojętnie, co nie było niczym nowym, więc zdecydowałam ciągnąć dalej: — Powiedziałas, że mówiłaś komuś o tym, co robił ci tatuś. Powiedziałas, że mówiłaś jej, by go powstrzymała. - Próbując sobie przypomnieć, Jodie patrzyła na mnie i marszczyła brwi z koncentracji. - Jodie, o kim mówiłaś? Pamiętasz? Wiem, że to była kobieta, bo mówiłaś „jej”.

Odsunęła się nieco i wzięła ode mnie pierwszą książkę z wierzchu, - *Czi finki*. Powiedziałam „czi finki”, a one zburzyły mój dom.

Uśmiechnęłam się do siebie na tę dość sprytna dywersję. — Nie, nie powiedziałaś. A teraz zastanów się. To ważne.

- Nie pamiętam. Po prostu nie pamiętam, Cathy, naprawdę.

— Dobrze, kochanie, poczytajmy sobie.

Tamtego popołudnia zadzwoniłam do Jill, żeby jej powiedzieć, że mi się nie udało.

- Naprawdę wydaje się nie pamiętać. Muszę poczekać, aż będzie gotowa.

- W porządku, Cathy, robisz *przecież*, co możesz. Takie sytuacje ponoć się zdarzają. W niektórych przypadkach, gdy dziecko miało jakieś dramatyczne *przeżycia* emocjonalne, jego mózg może się zamknąć, by chronić je przed strasznymi wspomnieniami. Kiedy na nowo poczuje się *bezpieczne*, może się nieco otworzyć, ale tylko na tyle, na ile mózg uzna, że sobie z tym poradzi.

To wyglądało na mechanizm, z którym mogę mieć do czynienia — pomyślałam. Skończyłam rozmowę z Jill, *czując* się nieco pocieszona. Mogłam mieć tylko *nadzieję*, że był to przełomowy czas dla Jodie. Teraz, gdy była w stanie wyjawic, przez co przeszła, może zacznie czuć się lepiej. Nie mogłam mylić się bardziej.

Potwory

Zanim Jodie poczuła się wystarczająco bezpiecznie, ujawnić cokolwiek więcej, minęło kilka długich tygodni. W tym czasie jej zachowanie nie tylko się nie polepszyło, ale wręcz *znacznie* pogorszyło. Stała się niezwykle agresywna, i to już nie tylko względem mnie czy dzieci, ale też wobec siebie. Z jakiegoś powodu często bywała niespokojna podczas obiadu. W środku posiłku potrafiła nagle zacząć się drapać aż do krwi po twarzy albo wrywać sobie włosy. Innym razem mogła zacząć się ranić paznokciami i szczypać po rękach, robiąc sobie blizny i siniaki. Oczywiście szybko ją powstrzymywałam, obejmując ramionami i *czekając*, dopóki się nie uspokoi.

Jako metody przejmowania kontroli Jodie używała też często wypróżnień. Po kilku *razach* na początku pobytu u nas uspokoiła się i przestała zanieczyszczać, ale teraz wszystko *zaczęło* się na nowo, i to ze zwiększona siłą. Po prostu rozsmarowywała kupę po całej sobie, a potem, jeśli nie byłam wystarczająco szybka, po domu. I znów nie było żadnej widocznej przyczyny lub motywu. Jodie jakby rozumiała, że ubrudzenie tkanin prowadziło do większej mojej złości niż umazanie jakichś powierzchni łatwych do zmycia (choćby ścian *czy poręczy*), więc zaczęła uważać, żeby nie brudzić sofy rzy zasłon. Jak zwykle nie można było stwierdzić, co nią kierowało ani czy była naprawdę świadoma tego, co robiła.

W rezultacie ekscesów Jodie w domu nieustannie czuć było środek dezynfekujący. Pewnego wieczoru, gdy kładłam się spać, zauważyłam, że skóra na moich dłoniach była popękana i zaczerwieniona, a opuszki palców pomarszczone od detergentów. Ten „zwyczaj” Jodie był, delikatnie mówiąc, nieprzyjemny dla wszystkich domowników, mimo że i tak, w efekcie lat opiekowania się różnymi dziećmi z podobnymi problemami, mieliśmy nieco podwyższoną tolerancję na nieład i niedociągnięcia w higienie. Nie sadzę, żebym kiedykolwiek zapomniała dzień, gdy próbowałam w pokoju mieszkającej z nami nastolatki znaleźć źródło uporczywej obrzydliwej woni. Gdy zajrzałam za szafę, znalazłam schowek na zużyte podpaski, *leżące* tam od dnia, kiedy do nas przyjechała, czyli od sześciu miesięcy.

Mimo przemocy, obelg, mazania kałem, braku snu i mnóstwa innych ciężkich przeżyć, *dzieci były nadzwyczaj* cierpliwe w stosunku do Jodie, bo znały już rozmiar jej problemów.

Niedługo po pierwszych wyznaniach Jodie usiadłam z nimi pewnego wieczoru i powiedziałam im o molestowaniu, uprzedziłam też, że mogliśmy się spodziewać jeszcze innych trudnych zachowań. Ponieważ Jodie sama mogła im coś powiedzieć, ważne było, żebym to ja ich na to przygotowała. Poza i ym i tak *zdążyły już* usłyszeć parę rzeczy, które Jodie mówiła, tak było na przykład z Nicola - w rozmowy z nią Jodie zaczęła wplątywać przypadkowe odniesienia do tego, co się jej przydarzyło. Musiałam więc uprzedzić *dzieci*, o czym opowiadała Jodie.

Paula miała tylko trzynaście lat. Niektóre fizyczne aspekty molestowania musiałam jej wytłumaczyć bardziej szczegółowo. Gdy Jodie na przykład wspominała swojego ojca sikającego jej do buzi, dzieci musiały wiedzieć, że ma na myśli seks oralny. Wszystko to nie tylko było dla nas bardzo żenujące, *ule jeszcze* raz uświadomiło mi, jak negatywny wpływ na moje dzieci mogła mieć opieka zastępcza. Czy mogło być zdrowe, żeby Paula uczyła się o seksie w takim kontekście:¹ Czy istniało ryzyko, że wpłynie to negatywnie na jej związki w przyszłości?

Dzieci, jak można się było spodziewać, były zszokowane i przerażone. Żałowałam, że musiałam to wszystko przenosić do ich świata. Czułam się okropnie, widząc ich zdumione twarze, gdy docierały do nich implikacje tego, co mówiłam. Fakt, że ojciec Jodie robił jej to wszystko, był dla nich czymś trudnym i właściwie niemożliwym do przyjęcia. Były już przyzwyczajone do opowiadań o trudnych warunkach, w jakich wychowywały się wcześniej *dzieci*, którymi się opiekowałam. Często uświadomienie im tego, co wydarzyło się w życiu moich podopiecznych, było ważne ze względu na ich własne bezpieczeństwo. Ale to, co spotkało Jodie, nie mieściło się w żadnej kategorii.

- Oczywiście wiecie, że to ściśle tajne, prawda? - przypominałam im, a wszyscy skinęli głowami, poważni jak małe kiedy. Moje dzieci zawsze rozumiały, że czeokolwiek dowiadywały się w domu, musiało tu pozostać i nie można tego powtarzać absolutnie nikomu. Mogłam im w zupełności ufać. Po tej rozmowie dzieci były nawet *jeszcze* bardziej tolerancyjne w stosunku do zachowania Jodie. Staraly się spędzać z nią więcej czasu na zabawie i współczuć jej nawet wtedy, gdy krzyczała „Wypierdalać z mojego domu!” albo gdy rzucała się na nich z kopniakami. Niemniej jednak ich cierpliwość miała pewne granice. Pewnego dnia, gdy Jodie podczas posiłku zaczęła obrazowo

opisywać, jak krew kapiała jej z palca, kiedy matka specjalnie jej go przecięła, Lucy straciła cierpliwość. - Ohyda! - krzyknęła, wzięła swój talerz i poszła dokończyć obiad w kuchni.

*

Pewnego letniego popołudnia, gdy Jodie była już z nami jakieś i cztery miesiące, wpadła do nas Jill. Widywałyśmy się co jakiś c zaś. Mimo że jako łącznik wcale nie miała obowiązku odwiedzania nas (w odróżnieniu od społecznej opiekunki Jodie), to dobry zwyczaj nakazywał, by zajrzeć co jakieś sześć miesięcy i sprawdzić, jak się sprawy rozwijają, zaoferować wsparcie i sprawdzić moje notatki w dzienniku.

Ponieważ był piękny, słoneczny dzień, zdecydowałyśmy zabrać Jodie do parku. Nawet jeśli przez większość nocy nic spała, dręczona -jak zresztą bardzo często - koszmarami i lękami, Jodie była pełna energii i nie mogła się doczekać wyjścia na spacer. Z kolei ja ledwo żyłam.

- No więc, jak ona sobie radzi? - zapytała Jill, gdy spacerowałyśmy po wspaniale utrzymanym ogrodzie kwiatowym. Jodie szła kilka metrów *przed* nami, spiesząc się na plac zabaw, najwyraźniej nieczuła na nieopisane bogactwo kolorów i zapachów wokół niej.

- Jest coraz *gorzej* — odpowiedziałam. - Ma coraz więcej napadów hysterii, bez żadnej uchwytnej przyczyny, a jak *mc* już uspokoi, to wygląda, jakby w ogóle nie wiedziała, co się wydarzyło. To dlatego Nicola nie została dziś rano na zajęciach

mniej więcej raz w tygodniu Jodie jest po prostu nie do opanowania, i wtedy musimy odwoływać lekcje.

— A jak sypia?

- Niezbyt dobrze. Budzi się o piątej, czasem wcześniej. Przedtem nauczyła się nawet zostawać w pokoju i bawić cicho, ale od kilku tygodni ma *przerazające* koszmary, które wyglądają bardziej na halucynacje. Są dla niej zupełnie realne, czasem mam wrażenie, że trwają, nawet jeśli Jodie się obudzi. To straszne!

Budzisz się, bo słyszysz jej krzyk, biegniesz do niej i znajdujesz ją wijącą się na podłodze, i tak jest do rana. Doszło już do tego, że postawiłam sobie krzesło na korytarzu, pod jej drzwiami, i jak ją uspokoję za pierwszym *razem*, to potem siadam i czekam na kolejny atak. Jeśli mam szczęście, to udaje mi się zdrzemnąć kilka minut, zanim Jodie nie *zacznie* znowu.

- Musisz być kompletnie rozbita!

Dotarliśmy do placu zabaw, gdzie Jodie bujała się już na huśtawce, coraz wyżej i wyżej.

— Uwważaj, Jodie! — ostrzegłam ją i stanęłam z Jill na skraju trawnika tak, aby Jodie mogła widzieć, że ją obserwuję. Nie miała w ogóle poczucia niebezpieczeństwa ani instynktu samozachowawczego, więc jeśli by się na to pozwoliło, mogła się zbyt wysoko rozhuścić i spaść.

- A jak badania słuchu? - zapytała Jill. Tydzień wcześniej wzięłam Jodie do laryngologa, bo momentami wydawało się, że zupełnie nie słyszy, co się wokół niej dzieje.

- Myślę, że w porządku. Czekamy na oficjalne wyniki od *lekarza*, *ale* pielęgniarka dawała do zrozumienia, że Jodie *raczej nic* nie dolega.

- Więc się zamknęła? - zapytała Jill, odnosząc się do przykładu bardzo skrzywdzonych dzieci, które jakby wyłączały zmysły, aby chronić same siebie. Jeśli niczego nie widzisz, nie słyszysz .mi nie czujesz, to jakby się to nie wydarzyło. Gdy dzieci zamykają się w ten sposób, są mniej świadome tego, co się wokół nich *dzieje*, i nie odbierają tego, co dla innych jest oczywiste, jak choćby wyczuwanie, że *jedzenie* smakuje czy woda w wannie jest za gorąca.

- Tak myślę - odpowiedziałam. - Z pewnością są tego oznaki. Prawie nic nie sprawia jej przyjemności i zdaje *się nie* odczuwać temperatury. Nawet gdy jest naprawdę zimno, muszę z nią codziennie walczyć, żeby włożyła na siebie coś więcej niż tylko T-shirt i krótkie spodenki. Bywają dni, że jest w stanie względnej równowagi - przynajmniej tak mi się wydaje - ale nawet tych J ni nie nazwałabym dobrymi. Jeśli uda się nam przeżyć dzień bez pełnowymiarowego ataku hysterii, to znaczy, że spisałyśmy się wyjątkowo dobrze. A to *zdarza*, się niezmiernie rzadko.

Jill popatrzyła na mnie współczująco. — Pracujesz niewyobrażalnie ciężko, wiem o tym. Odwalasz kawał znakomitej roboty, naprawdę.

Uśmiechnęłam się słabo. Komplementy były miłe, ale ja potrzebowałam się wyspać w nocy. Byłam nieustannie przemęczona. Mimo że wykrzesywałam z siebie jeszcze jakieś resztki cierpliwości, to czułam, że jestem u kresu wytrzymałości.

Zacząłyśmy wracać do domu, zadowolone, że wyjście obyło się bez żadnego incydentu. Słońce stało jeszcze wysoko, a ja już byłam gotowa podsumować dobre zachowanie Jodie, Gdyby udało się nam dojść

do domu bez żadnego dramatu, mogłabym ją pochwalić i nagrodzić, mogłybyśmy podać Jodie ten dzień jako przykład, jak wygląda normalne życie. Wzięłyśmy Jodie za ręce i powoli szłyśmy przez park.

- Przyznam, że martwi mnie brak jakiegokolwiek poprawy -powiedziałam, celowo używając ogólnych sformułowań, żeby Jodie nie zorientowała się, że rozmawiamy o niej. - *Zakłócenia*. są coraz poważniejsze, zwłaszcza w nocy.

- A czy któreś z wyznań dotyczyło matczynej obecności, o której dyskutowałyśmy?

- Nie. Wspomina tamte wydarzenia od czasu do czasu, ale nie ujawnia prawie żadnych nowych informacji. Szczerze mówiąc, jestem przerażona. Sprawy *raczej* idą ku gorszemu niż lepszemu. Możesz mi coś doradzić z praktyki? - Staralam się, by przynajmniej w głosie nie było czuć mojej desperacji.

- Nic więcej poza tym, co robisz - powiedziała Jill ze współczuciem. — Ale jeśli mam być szczerą, to nie można od ciebie oczekiwać, że dasz sobie radę ze wszystkim. Całkiem możliwe, że emocjonalna trauma jest na tyle poważna, że można jej zaradzić tylko w ośrodku terapeutycznym. Wiesz co, zorientuję się, jakie są możliwości. Nic nie będę robić, po prostu się *rozejrzę*.

Gdy doszłyśmy do rogu mojej ulicy, pozwoliłam Jodie pobiec przodem i szłyśmy z Jill w milczeniu. Miałam nadzieję na jakąś praktyczną radę, ale poziom zaburzeń, jakie wykazywała Jodie, był chyba nawet poza doświadczeniem Jill. Byłam zawiedziona, ale przysięgłam sobie nie ustawać w wysiłkach. Zobaczyłam, że Jodie zatrzymała się i przykucnęła plecami do mnie, najwyraźniej zainteresowana czymś w kanale ściekowym. - Jodie! -zawołałam. - Co robisz? Chodź tutaj!

Odwróciła się uśmiechnięta szeroko, podnosząc martwego gołębia i pokazując go jak trofeum. Głowa ptaka kiwała się na boki, z rozciętego brzucha wystawały zakrwawione wnętrzności. Przeraziłam się. Jodie wpatrywała się w gołębia zafascynowana.

— Jodie! Odłóż to natychmiast! — powiedziałam stanowczo. Popatrzyła na mnie, a potem, szturchając palcem krwawe wnętrzności gołębia, odwróciła się powoli i wyrzuciła go z powrotem do kanału.

- Blee! - Jill nie potrafiła ukryć obrzydzenia. Trzymając Jodie od tyłu za szeroko rozstawione łokcie, pod-

prowadziłam ją pod dom. Jill, nie wchodząc już do nas, wsiadła do samochodu i pojechała na kolejne spotkanie. Wprowadziłam Jodie przez frontowe drzwi i ruszyłam prosto do zlewozmywaka w kuchni. Gdy napełniałam go gorącą wodą z mydłem, Jodie podniosła głowę i patrzyła na mnie.

- Było miło w parku, Cathy, prawda?

Jej twarz była zarumieniona i szczęśliwa jak nigdy w ciągu ostatnich tygodni. Uśmiechnęłam się do niej. Nie mogłam być na nią zła, na dobrą sprawę nie zrobiła nic złego. Niepokoili mnie tylko makabryczna fascynacja, jaka wywołał w Jodie martwy ptak.

*

Następnego dnia od samego rana było inaczej. Jodie nie krzyczała ani o piątej, ani o szóstej, ani nawet o siódmej. Miałam czas, żeby wziąć prysznic, ubrać się i wysuszyć włosy. Zapakowałam dzieciom drugie śniadanie do szkoły i wypiliśmy spokojnie filiżankę kawy. Potem zaczęłam się niepokoić.

Weszłam cicho na górę, podeszłam na palcach do drzwi Jodie i nasłuchiwałam. W środku było cicho. Jodie nawet nie mówiła do siebie, co *przecież* robiła zawsze, nawet gdy była spokojniejsza.

Zapukałam i weszłam do środka. Leżała na kołdrze, na wznak, z szeroko otwartymi oczami wpatrzonymi w sufit. Była tak nieruchoma, że przez moment przestraszyłam się, że umarła.

-Jodie? - potrząsnęłam ją. -Jodie? - Zauważyłam drgnięcie po zewnętrznej stronie oka. -Jodie? Co się dzieje? Jesteś chora?

Nie poruszyła się. Ręce i nogi leżały wyprostowane i sztywne, jakby były zalane betonem.

Wiedziałam, że nie udaje, albo przynajmniej nigdy nie widziałam, żeby ktoś coś takiego udawał.

Położyłam dłoń na jej czole. Było ciepłe, ale nie rozpalone.

- Jodie? Słyszysz mnie?

Znów nią potrząsnęłam, tym razem nieco mocniej. - Jodie, popatrz na mnie. Powiedz, co się stało. To ja, Cathy. Jodie? Słyszysz mnie?

Zamrugnęła oczami, potem powoli odwróciła się i spojrzała na mnie. Miała rozszerzone *źrenice*, a wokół oczu duże ciemne kręgi. Odezwała się równym, monotonnym głosem: - Przyszedł tu w nocy. Mówiłaś, że tego nie zrobi, ale zrobił. Wiem, wiem, kto to był.

Ukłęklam i wzięłam ja mocno za rękę. — Nie, kochanie, nikogo tu nie było. Coś ci się przypomniało i wydawało ci się, że to się *dzieje* naprawdę.

- Nie powiedziałam. Nie powiedziałam, bo ona widziała. Ona widziała, Cathy. Widziała i mu nie zabroniła.

- Ktoś widział, jak tatuś robił ci *niegrzeczne rzeczy*? Skinęła głową.

- Kto, kochanie? Kto to był?

Popatrzyła wprost na mnie. Oczy miała szerokie ze strachu, policzki blade jak ściana. *Przez skórę* na szyi było widać, jak pulsuje jej krew.

— Mamusia. Mamusia widziała. Mówiłam „Każ mu *przestać*”, ale nie kazała. Śmiała się i patrzyła. Wszyscy patrzyli.

Zmroziło mnie. - Wszyscy? Czy ktoś *tam jeszcze* był?

— Wujek John i Ken, i ciocia Bell. Cykali *zdjęcia.*, gdy robił to wujek Mikę.

- Wujek Mikę?

Twarcz Jodie była obojętna. Patrzyła na mnie i mówiła, ale wyglądała tak, jakby była w szoku.

- Położył się na mnie tak samo jak tatuś. Nie chciałam. Bolało. Tatuś mnie *trzymał*, gdy była kolej wujka Mike'a. Krzyczałam i płakałam, wtedy tatuś włożył mi swoją rzecz do buzi. Ciocia Bell powiedziała „To ja zatka!”. I wszyscy się śmiali. -Jodie mówiła, trzęsąc się ze strachu.

Próbowałam ukryć odrazę i skupić się na tym, co usłyszałam. Podczas gdy Jodie mówiła, ja musiałam być pewna, że zapamiętam wszystkie imiona i szczegóły, żeby zebrać jak najwięcej dowodów. Nie wiedziałam, kiedy ani czy w ogóle Jodie jeszcze się otworzy. Głaskałam ja po czole i szeptałam słowa ukojenia,

- Jodie, teraz jesteś *bezpieczna*. Drzwi są zamknięte i zaryglowane. Mamy w domu bardzo dobry alarm. Nikt nie może tu wejść. To, co oni zrobili, było najohydniejszą rzeczą, jaką dorosły może zrobić dziecku. To są bardzo źli ludzie, Jodie.

Przytaknęła, ale bez przekonania. - Dali mi pełno słodyczy i zabawek. - Zerknęła na wszechobecne pudła z zabawkami.

- To oni ci to wszystko kupili? - zapytałam. Jodie znów przytaknęła. A więc tym były te zabawki - nie prezentami, nie czymś, co miało sprawiać radość, to były łapówki, żeby kupić milczenie i uległość. Nic dziwnego, że nie miały dla niej żadnej wartości. — Jodie, dobrzy dorośli nie kupują dzieciom prezentów, bo zrobili im coś złego. Czy to miało cię powstrzymać przed mówieniem?

— To był nasz sekret. Powiedzieli, że jeśli powiem, to stanie się coś strasznego. *Zabiorą mnie* do ciemnej piwnicy i *przyjdzie* do mnie potwór, żeby mi odgryźć rękę. *Przyjdzie, Cathy?*

- Głos Jodie podniósł się i teraz był bojaźliwy. - Czy przyjdzie tu i odgryzie mi rękę?

- Nie, w żadnym wypadku. Jedyne potwory to ci ludzie, a oni nie *zbliżą*, się już do ciebie! Nigdy! Obiecuje, Jodie.

Pomyślała przez chwile i na jej buzi pojawił się smutny uśmiech. - Ciocia Bell była miła. Nie robiła żadnych rzeczy. Tylko patrzyła.

Wzdrygnęłam się na tę pogmatwana logikę. - To tak samo źle, Jodie. Patrzyła, jak działa ci się krzywda, i ci nie pomogła. Powinna ich powstrzymać. Ja bym tak zrobiła. Gdzie stali ci ludzie, gdy patrzyli?

- W mojej sypialni.

- A samochód? Kiedyś powiedziałaś coś o samochodzie? Kto był w samochodzie, Jodie?

- Mamusia z tatusiem. Mamusia robiła zdjęcia tatusia ze mną. To bardzo duży samochód. Byliśmy z tyłu. Było ciemno. Nie lubię ciemno. Aparat robił światło. Czy zostanie ukarany, Cathy?

- Mam głęboką nadzieję, kochanie. Wszyscy zostaną ukarani. Powiem to twojej opiekunce społecznej, a ona powiadomi policję. Policja *będzie* chciała z nami rozmawiać, ale nie martw się, będę przy tobie.

Trzymałam ją ciągle za rękę i głaskałam po czole. Nie chciałam wychodzić. Było już dobrze po siódmej i powinnam budzić resztę dzieci do szkoły. — Czy chcesz mi jeszcze coś powiedzieć, Jodie? Byłaś bardzo odważna. Ważne, żebyś mi wszystko powiedziała, jeśli coś jeszcze jest.

Potrząsnęła głową. Tuliłam ja przez chwilę, potem delikatnie przykryłam kołdra. Próbowałam zebrać myśli.

- Cathy? - powiedziała nagle.

— Tak, kochanie?

- Czy twój tatuś robił ci te rzeczy?

- Nie. Absolutnie nie. Nigdy w życiu. To dobry, miły człowiek. Większość dorosłych taka jest.

- A tatuś Pauli i Lucy?

- Nie. Tatuś Pauli nigdy jej nie skrzywdził. Tatuś Lucy bił j;j i dlatego Lucy jest z nami. Ale nie krzywdził jej w taki sposób, jak twój tata ciebie.

- Czy to moja wina, Cathy? Nie chciałam. Mamusia mówiła, że miałam szczęście. Mówiła, że to dlatego, że tak bardzo mnie lubił. Mówiła, że mam się zamknąć i cieszyć z tego. Mówiła, że jestem córeczką tatusia.

— Nie miała racji, Jodie. Zęby okazać miłość, rodzice tulą dzieci, a nie krzywdzą. I to nie była twoja wina, Jodie. Nigdy nie wolno ci tak myśleć! - Jeszcze raz ją przytuliłam. Jodie poprosiła, żebym jej włączyła telewizję, i po raz pierwszy, od kiedy u nas była, wydawała się zadowolona, zostając w łóżku, gdy inni wstawali.

Wyszłam z pokoju Jodie i przez chwilę stałam na korytarzu, próbując zebrać się w sobie. Było mi strasznie zimno i trzęsłam się z wściekłości. Widziałam, jak ojciec Jodie ją przytrzymał. Widziałam innych, którzy się temu przyglądali. Słyszałam ich śmiech. Trudno się dziwić, że Jodie była w takim stanie, w jakim była. Teraz wiedziałam, skąd pochodził jej gniew, i dzieliłam go z nią. Nie chciałam wcześniej wierzyć, że mogło być jeszcze coś gorszego od ojca zmuszającego ją do ohydnych aktów, o których mówiła, ale teraz, ku mojemu przerażeniu, zdałam sobie sprawę, że to było o wiele, wiele gorsze, niż ktokolwiek mógł przypuszczać. Jodie była ofiarą najbardziej odrażającego rodzaju molestowania, jaki mogłam sobie wyobrazić, gdzie nie tylko ojciec zmuszał ją do najbardziej upokarzających rzeczy, jakie dziecko kiedykolwiek mogłoby wycierpieć, ale także matka brała w tym udział, a do tego jeszcze inni dorośli. Czułam, jak zbiera mi się na mdłości, gdy dotarło do mnie, że nie tylko jej rodzice, udając troskę i korzystając z zaufania, ale wiele innych osób zmówiło się, by zmienić świat Jodie w koszmar cierpienia i perwersji. Zniszczyli wszystko, co mogło być dobre w życiu dziecka, i zamienili je w coś tak głęboko haniebnego i złego, że nie mogłam nawet znaleźć słów, żeby opisać to, o czym myślałam.

Nic dziwnego, że to biedne dziecko odcięło się od świata. Nic dziwnego, że nie wyobrażała sobie, by nawiązać relacje z innymi ludźmi, skoro wszystko, czego doświadczyła, to było okrucieństwo i ból.

Nic dziwnego, że próbowała się bić, kaleczyć i smarować nieczystościami - czy kiedykolwiek знаła coś więcej niż to?

Jakimś cudem zrobiłam śniadanie i pożegnałam Adriana, Lucy i Paulę wychodzących do szkoły. Jak tylko wyszli, zadzwoniłam do Jill i wszystko jej opowiedziałam.

— Jest gorzej, niż myślałyśmy — powiedziałam. — Znacznie gorzej.

Kiedy powtórzyłam, co mówiła Jodie, wyczułam, że do Jill dotarła skala tego, co się wydarzyło. Gdy powiedziałam, że Jodie była wykorzystywana przez cały krąg współdziałających ze sobą dorosłych, że była fotografowana, oglądana i wyśmiewana, Jill wzięła gwałtowny oddech.

- O mój Boże, Cathy! Nie mogę uwierzyć, przez co to dziecko przeszło. To powinno wystarczyć, żeby wszcząć policyjne dochodzenie - powiedziała. - Wiem, że słuchanie tego wszystkiego musiało być straszne, ale wykonałaś kawał świetnej roboty.

Ale ja nie czułam się, jakbym wykonała kawał świetnej roboty. Czułam się tak, jakbym była współwinna cierpienia Jodie. Wstydziałam się, że byłam dorosła osoba.

- Wiadomo, jak długo to trwało:¹ - zapytała Jill.

- Myślę, że dość długo. Jodie pytała, czy mój ojciec mi to robił, i była zdziwiona, że nie. Ze sposobu, w jaki to opisuje, wynika, jakby to była norma, część codziennego życia, i dopiero teraz do Jodie dociera, że to było złe. - Przerwałam na chwilę. - Jill, czy dziecko można zgwałcić w każdym wieku?

- W każdym. Zdarzają się przypadki dzieci sześciomiesięcznych.

Skuliłam się.

- Cathy, to ma wszelkie znamiona kręgu pedofilii. Czy ona widziała kiedyś te zdjęcia?

- Z tego, co wiem, to nie. Nie mówiła.

- Dobrze, jak tylko będziesz mogła, zapisz to wszystko. Bileen jest na urlopie...

— Znowu?

- Tak, porozmawiam w takim razie z Daveem Mumbym. Będą chcieli medycznego badania kontrolnego dla celów sadowych i policyjnego wywiadu. Oddzwonię do ciebie. Jak sobie radzisz, Cathy?

- Lepiej, cholera, niż Jodie! Co za gnoje!

Integracja

Wśród opiekunów zastępczych krąży taki dowcip: ilu opiekunów społecznych jest potrzebnych do zmiany żarówki? Trzynastu. Jeden pójdzie po żarówkę, a dwunastu będzie dyskutować o tym, jak najlepiej ja zmienić. Nie jest on może zbyt śmieszny, ale należy przyznać, że dobrze oddaje to, jak często czujemy się bezsilni wobec niezdolności pomocy społecznej do podjęcia działań wtedy, gdy są one absolutnie konieczne. Po ostatnich wyznaniach Jodie, Dave Mumby chciał zwołać zebranie, ale dopiero, gdy wróci Eileen - co oznaczało koniec przyszłego tygodnia - bo ta faktycznie była na urlopie. Jako opiekun socjalny Jodie, Eileen miała prawny obowiązek odwiedzania Jodie co sześć miesięcy, a do tej pory jeszcze u nas nie była. Nawet jeśli dzwoniła od czasu do czasu, żeby się dowiedzieć o postępy Jodie, to odnosiłam wrażenie, że robiła to raczej, żeby zaoszczędzić sobie trudu przyjeżdżania do nas niż w wyniku faktycznego zainteresowania sprawą. Tak czy inaczej, było mi przykro, że Jodie nie miała opiekuna socjalnego, który by się nią interesował i bronił jej sprawy, ale też było to bardzo nieprofesjonalne. Zastanawiałam się, czy Dave Mumby, szef zespołu, w którym pracowała Eileen, wiedział o tym.

Jill oddzwoniła z informacją, że charakter zebrania nie wymaga mojej obecności i że w związku z tym będzie reprezentowała nas obie. A tymczasem, powiedziała, Dave poprosił, żebym zajęła się znalezieniem szkoły dla Jodie, bo jej rodzice •łożyli pisemne zażalenie na brak jej edukacji. Jodie przestała chodzić do swojej wcześniejszej szkoły, gdy została przekazana pod opiekę zastępczą, a tempo kolejnych zmian uniemożliwiało znalezienie jej nowej szkoły.

Byłam zszokowana. Rodzice Jodie wiedzieli, o co są podejrzewani. W przypadku oskarżenia przez dziecko rodzice są zawsze informowani o naturze zarzutów. Co więcej, gdy zawieszono wszelkie kontakty Jodie z rodzicami, musiano ich poinformować o przyczynach. I taka była ich odpowiedź? Tym bardziej dziwiło mnie, że Dave potraktował to jako priorytet, a zebranie odwlekał w czasie.

Jill zasugerowała, że mogłabym spróbować w Harvest-bank, lokalnej podstawówce, która zyskała pochlebne opinie ze względu na przyjmowanie dzieci z trudnościami wychowawczymi i w nauce. Jodie miała już zaświadczenie o specjalnej trosce edukacyjnej, w którym to dokumencie na podstawie badania przez szkolnego psychologa stwierdza się szczególne potrzeby dziecka. Potrzeby Jodie były na tyle poważne, że jej zaświadczenie upoważniało do sfinansowania dla niej stałej asystentki, bez względu na to, w jakiej szkole by się znalazła. Oznaczało to, przynajmniej w teorii, że szkoła mogłaby mieć dodatkowy powód, by zechcieć ją przyjąć, jeśli brakowało jej funduszy.

Zadzwoiłam do Harvestbank. Rozmawiałam z zastępcą dyrektora, miła kobieta, która wyjaśniła mi, że szkoła ma już więcej dzieci specjalnej troski niż zwykle i jest wypełniona do granic możliwości. Powiedziała, że mogę spróbować za sześć miesięcy. Podziękowałam i się rozłączyłam. Otworzyłam gruba książkę telefoniczną, podkreśliłam wszystkie szkoły podstawowe w rozsądnej odległości od naszego domu i zaczęłam dzwonić. Kolejne cztery szkoły dały mi taką samą odpowiedź: każda przyjęła już liczbę dzieci ponad stan i można się było wpisać na listę oczekujących. Aż tyle za osłodę dodatkowego dofinansowania. Odłożyłam słuchawkę i wzięłam głęboki oddech.

Zastanawiałam się, czy powinnam się zwrócić do szkoły, do której kiedyś chodzili Adrian i Paula. Był w niej niewielki dział specjalnej troski, a znali tam mnie i moją rodzinę, i byłam w dobrych kontaktach z personelem. Wzięłam kolejny głęboki oddech i wykręciłam numer.

Sekretarka pamiętała mnie, co *zresztą*, było miłe, i przelączyła mnie do dyrektora, pana Rudmana. Wymieniliśmy uprzejmości na temat upływającego czasu, a pan Rudman zapytał, jak radzili sobie Adrian i Paula. Powiedziałam, że *nieźle*, kładąc mu nieco, że mają bardzo dobre wspomnienia ze szkoły.

- Ciągłe zajmuję się opieką zastępczą - powiedziałam i wyjaśniłam, o co chodzi mi z Jodie, dodając, że mimo jej trudności wychowawczych udawało mi się nad nimi zapanować. Wspomniałam o szybkich zmianach opiekunów i powiedziałam, że to była pierwsza szkoła, jaka przyszła mi na myśl - niewielkie przekłamanie, ale w zbożnym celu.

- Zobaczę jej zaświadczenie - odpowiedział - choć proszę pamiętać, że to nie znaczy, że oferuję jej miejsce. To *będzie* zależało od poziomu *zabezpieczenia*, i od tego, czy będziemy mogli sprostać wszelkim jej potrzebom.

Podziękowałam mu wylewnie i zadzwoniłam do Jill, żeby /organizowała przesłanie faksem do szkoły zaświadczenia Jodie. Podniesiona nieco na duchu i *czując* natychmiastowa potrzebę jakiegoś ruchu po tej godzinie spędzonej przy telefonie, wyłuskałam Jodie ze sterty zastygłego papieru, kleju i farby, które przez ten czas ja zajmowały.

- To pies! - krzyknęła.

- Bardzo ładnie, Jodie! Chodź, pójdziemy teraz na spacer i pocztę.

Pomogłam jej umyć ręce, uczesałam ją i zmieniłam jej koszulkę. Gdy wychodziłyśmy z domu, Jodie wyglądała bardzo ładnie, w eleganckim żółtym T-shircie, który był jej ulubionym.

Na dworze wiał delikatny wiaterek. Szłyśmy wzdłuż ulicy, i Jodie była niespokojna, a gdy obok nas przejechał samochód, /łapała mnie za rękę.

- Cathy? - powiedziała.

- Tak, Jodie?

- Czy mój tato krzywdzi moją mamę?¹

- Mam *nadzieję*, że nie, Jodie - odpowiedziałam, niepewna, o co tak naprawdę pytała Jodie.

- Krzywdzi - odrzekła Jodie. - Biedna mamusia. Szłyśmy dalej, ale widziałam, jak Jodie zmarszczyła czoło,

najwidoczniej myśląc nad tym. W końcu podniosła głowę i spojrzała na mnie.

- Nie chcę, żeby ja krzywdził - powiedziała, potem wysunęła podbródek i zacisnęła pięści. - Zabiję go!

Wciąż nie byłam pewna, co powiedzieć. Czy Jodie *czuła*, się winna, zostawiając matkę, żeby sama radziła sobie z ojcem?

Czy powinnam załagodzić jej gniew czy *zachęcić*, by *zmierzyła się* z tymi sprawami? Może nie było to zbyt profesjonalne, ale osobiście czułam, że Jodie miała absolutne prawo czuć wściekłość i wszelkie powody, żeby go zabić. Postanowiłam odnieść się do ewentualnej winy. - Jeśli on ją krzywdzi, Jodie, to myślę, że powinna go zostawić i zawiadomić policję. Ale ona jest dorosła i sama za siebie decyduje. Miałam nadzieję, że Jodie zrozumiała, co chciałam powiedzieć, ale na dobrą sprawę nie byłam nawet pewna, o czym mówi. Miała na myśli przemoc domowa? Może *widziała* kiedyś, że ojciec bił matkę? Albo może była świadkiem, jak uprawiali seks, i pomyślała, że matka musiała cierpieć tak samo jak ona.

Doszłyśmy do głównej ulicy, więc zmieniłam temat na lżejszy. Przechodziłyśmy obok różnych witryn sklepowych z kolorowymi napisami i nęcącymi wystawami i przypomniałam sobie, jaka byłam podekscytowana, będąc małą dziewczynką, gdy rodzice brali mnie na zakupy. Pamiętałam wciąż *dreszcz*, jaki *czułam*, gdy pierwszy raz zobaczyłam dziwne rzeczy w wystawie sklepu rybnego i poczułam tajemnicze zapachy u szewca. Spojrzałam ze smutkiem na Jodie, która patrzyła przed siebie, wyczulona na niebezpieczeństwa i obojętna na przyjemne bodźce zmysłowe, które ją otaczały. Świat nie był miejscem, z którego potrafiła się cieszyć tak, jak każde normalne dziecko; dla niej brakowało w nim ekscytacji i stymulacji. Przez to, co wycierpiała, została na wszystko ogłuszona. Ta myśl łamała mi serce.

Zrobiłam na poczcie to, co miałam zrobić, a ponieważ Jodie stała ze mną *grzecznie* w kolejce, kupiłam jej w nagrodę paczkę czekoladowych pastylek. Gdy wracałyśmy do domu, zauważyłam, że Jodie znów zamilkła.

- Co będziemy robić, gdy wrócimy do domu, Jodie? - *zapytałam*. Nie odpowiedziała. Widziałam, że ma zamyślona twarz.

- Coś się dzieje, Jodie?

- Na co oni się gapili? - wymamrotała. - Nie gapcie się na mnie.

— Kto, Jodie? Na poczcie? — *zapytałam*. Nie zaprzeczyła, więc mówiłam dalej: - Ale nikt ci się nie przyglądał, kochanie, może tylko patrzyli na ciebie, bo wyglądasz bardzo elegancko w rym ślicznym T-shircie.

Znów nie odpowiedziała, więc zdecydowałam to zostawić. Nigdy nie można było Jodie do niczego przekonywać ani z nią

o czymkolwiek dyskutować. Opiekowanie się nią polegało *raczej* na sprostaniu jej potrzebom i próbach odwrócenia jej uwagi (ni tego, co mogło ją zbyt denerwować. Przeszłyśmy jesz-

l ze kawalek, gdy z przeciwka nadszedł mężczyzna w średnim wieku, w garniturze.

- Na co się pieprzony gapi? - wymamrotała Jodie, gdy się zbli-..it. Nie wydawało mi się, żeby

mężczyzna w ogóle na nas *patrzył*.
— Jodie, nie przeklinaj.

Gdy *mężczyzna* podszedł bliżej, Jodie powtórzyła to, tym r.izem głośniej: - Na co się, kurwa, patrzysz?

Musiał to teraz usłyszeć. Uśmiechnęłam się do niego przepraszająco, a on odwrócił się, zawstydzony.

- Jodie, to było *niegrzeczne*. Nie masz powodu, żeby się denerwować, nikt ci się nie przygląda.

- Pokażę im - mamrotała pod nosem. - Nikt się nie będzie n.i mnie patrzył. Pozabijam ich wszystkich!

Nastrój Jodie nie poprawił się, gdy dotarliśmy do domu, .ile dla wytchnienia pozwoliłam jej obejrzeć

na wideo *MaryPoppins*, jej ulubiony film. Sama zabrałam się do domowych obowiązków. Nastawiłam

pranie i zaczęłam wyciągać naczynia ze zmywarki, cały czas zastanawiając się na dziwnym zacho-

waniem Jodie. Zauważyłam już wcześniej, że miała jakaś szczególna obawę przed byciem oglądana.

Dlatego między innymi wspólne posiłki stały się udręka: Jodie ciągle warczała swoje „Na co się

gapisz?” do wszystkich, którzy nawet bezwiednie popatrzyli w jej stronę. Podejrzewałam, że niepokój

ten wiązał się z molestowaniem, ale teraz, gdy wyjawiała już jego rozmiar, fobia Jodie była jeszcze

bardziej zrozumiała: jeśli kilka osób stało i przyglądało się jej, gdy była wykorzystywana, to nic

dziwnego, że teraz panicznie bała się, gdy ktoś na nią patrzył.

Zrobiłam to, co musiałam, w pół godziny i dołączyłam do Jodie w salonie, przynosząc ze sobą

kartonik soku. Jodie wpatrywała się obojętnie w ekran, na którym Bobi śpiewał Mary serenadę

podczas wspólnego spaceru wśród magicznych krajobrazów namalowanych przez Bobiego kreda na

chodniku. Po chwili odwróciła się w moja stronę, spojrzała na mnie i podeszła, siadając obok mnie na

sofie.
- Wiesz co, masz takie malutkie oczka - powiedziała.

- Naprawdę? - odpowiedziałam zaskoczona. Co jak co, ale zawsze uważałam, że właśnie oczy były

jednym z moich większych atutów, i byłam z nich bardzo dumna,

- Nooo, takie świńskie, malutkie oczka. Jak mała świnka. Kwi! Kwi! - Wyszczерzyła zęby, jakby

zapraszając, żebym się przyłączyła do tego żartu.

- To niezbyt miłe, co powiedziałaś, Jodie. Nie bądź niegrzeczna. W tym domu nie robi się uwag na

temat czyjego wyglądu.

- Ale naprawdę masz! Głupie, małe oczka. To dlatego nawet nie widzisz, gdzie idziesz. Głupia!

Było dziwne, że Jodie tak mówiła, i brzmiało to *raczej* jak roś, co kiedyś usłyszała; obelga, którą ktoś

do niej skierował, .l która teraz odtwarzała. Pomimo że uwaga nie była celna, miała w sobie pewien

poziom szczegółowości i logiki, których Jodie sama by nie wymyśliła. Czy ktoś powiedział coś

takiego Jodie w domu? Zanim zdążyłam się nad tym zastanowić, zadzwonił iclefon. O nie,

pomyślałam, pewnie dzwonią ze szkoły z wiadomością, że jednak nie mają miejsca. Tylko odmowa

mogła przyjść tak szybko. Uśmiechnęłam się i próbowałam zabrzmieć wesoło: — Halo?

— Dzień dobry, czy to pani Margaret Brown z Bowham (:iose?

Spojrzałam z niepokojem na Jodie. Adres się zgadzał, .ile nazwisko nie było moje, tylko matki Jodie.

— Nie, to nie ona. Kto mówi?

- Oj, przepraszam. To widać pomyłka. Dzwonię z przy-(hodni laryngologicznej przy szpitalu

św.Jana. Chodzi o Jodie lirown.

- Tak. Mówi Cathy Glass, opiekuję się Jodie.

- Przepraszam, przed chwilą znalazłam notatkę na karcie pacjenta. Wysłaliśmy poczta diagnozę

lekarska wraz z recepta na krople do uszu. Doktor chciałby za miesiąc zobaczyć Jodie na wizycie

kontrolnej.

Umówiłam nas na wizytę, zapisałam to w kalendarzu i się rozłączyłam. Nie byłam zbyt

zadowolona. Dałam wyraźne instrukcje w szpitalu, żeby przechowywali moje dane jako poufne i

dotatkowo, by uniknąć pomyłek, z dala od danych rodziców Jodie. Było jasne, że tak *się* nie

stało. Tym razem zadzwonili do mnie, pytając o Margaret, ale następnym razem również

dobrze mogą zadzwonić do Margaret i zapytać o Cathy Glass. Wystarczyłoby wtedy, żeby

poprosiła recepcjonistkę o potwierdzenie jej ostatniego adresu, i wraz z mężem przyjechaliby pewnie prosto pod moje drzwi. Miałybyśmy wtedy z Jodie o wiele większe zmartwienie niż moje małe, świńskie oczka.

Park

Eileen wróciła z wakacji i Dave mógł w końcu zwołać strategiczne zebranie. Jill wzięła w nim udział w moim imieniu. Sprawy ruszyły z miejsca. Poproszono mnie, bym umówiła Jodie na kilka spotkań. Po pierwsze, by pomoc społeczna mogła zdecydować, w jaki sposób najlepiej poprowadzić sprawę Jodie, dziewczynka musiała zostać zbadana przez psychologa dziecięcego. Musiała też mieć tak zwany wywiad memorandum. Jest to nagrywana na wideo rozmowa z oficerem z Wydziału do Spraw Ochrony Praw Dziecka, w tym przypadku stanowiący punkt wyjścia do oskarżenia o przestępstwo ojca Jodie, a jeśli sprawy dobrze by poszły, również pozostałych oprawców. Jodie musiała również spotkać się z policyjnym lekarzem, który w celu zweryfikowania jej zarzutów miałby przeprowadzić badanie kontrolne dla celów sądowych - badanie ginekologiczne.

Od razu zaczęłam się martwić sądowym badaniem medycznym. Nawet dla dorosłego takie badanie było wystarczająco traumatycznym przeżyciem, a co dopiero dla molestowanego dziecka - to mogło wyglądać jak kolejny akt przemocy. Obiecałam Jodie, że nigdy już nie spotka jej coś takiego, i bałam się, iż teraz pomyśli, że złamałam dane słowo, i przestanie mi ufać.

Tymczasem nasze dni zaczęły się układać w pewien schemat. W poniedziałki, środy i piątki rano przyjeżdżała do Jodie nauczycielka, po południu wychodziłyśmy na spacer, zwykle do parku. We wtorki i czwartki jechałyśmy na zakupy, chociaż miałyśmy do nich nieco inny stosunek. Jodie lubiła robić zakupy jak nic innego, podczas gdy dla mnie była to rutynowa czynność. Jodie zdawała się im zasmakować w urządzaniu scen przed ludźmi, bo wiedziała, że niewiele mogłam wtedy zrobić. Takie ataki złości miały zwykle na celu zmuszenie mnie do kupienia czegoś, ale nigdy się nie poddawałam, bo to oznaczałoby precedens w nagradzaniu złego zachowania. Niemniej jednak nie sadziłam, by Jodie szybko mogła się odczyścić tej praktyki, używała jej bowiem prawdopodobnie przez lata. Pod względem zachowania Jodie zajęcia z Nicola poprawiły się, ale w nauce robiła niewielkie postępy. Moim zdaniem brak postępów tylko częściowo można było przypisać trudnościom, jakie Jodie miała w uczeniu się, i jej opóźnionemu rozwojowi, w znacznie większej mierze powodem był jej stan emocjonalny. Kolejnym problemem było to, że Jodie wydawała się w ogóle nie zainteresowana nauką, nigdy nie widziała sensu w zadaniach przygotowywanych przez Nicolę i bardzo trudno było ją zmotywować, bo najzwyczajniej nie miała ochoty na zdobywanie pochwał.

Moje zmartwienia *jeszcze* się zwiększyły pewnego popołudnia, gdy wreszcie zadzwoniła do mnie sekretarka pana Rudmana: było mu niezmiernie przykro, ale nie mógł zaproponować Jodie miejsca w swojej szkole.

- *Znów* jestem pod ścianą - powiedziałam do Nicoli i spędziłam drugą połowę jej zajęć przy telefonie, próbując zainteresować innego dyrektora szkoły, niestety bez skutku.

- Problem w tym - powiedziała Nicola - że Jodie naprawdę potrzebuje specjalnej szkoły, ale nie ma na taką szans, dopóki nic zostanie jej zmienione zaświadczenie.

- Jak długo może trwać taka zmiana?

- To zależy, ale nawet do roku.

Zgodziłyśmy się więc, że to nie było żadne rozwiązanie, i gdy Nicola wyszła, rozłożyłam dla Jodie papier, farby i klej, a ja spędziłam kolejną godzinę nad książką telefoniczną. To było żenujące zajęcie, ale ostatecznie znalazłam jednego dyrektora, który zechciał zobaczyć zaświadczenie Jodie. Szkoła podstawowa RImacre była pięć mil od mojego domu i trzeba byłoby przebijać się do niej przez korki, ale przynajmniej mieli wolne miejsce.

Najmilsze chwile, jakie spędzałam z Jodie, zdarzały się podczas spacerów do parku. Na otwartej przestrzeni była spokojniejsza, najprawdopodobniej dlatego, że wokół było mniej ludzi. Lubiała się bawić na huśtawkach i powoli zachęcałam ją do odkrywania świata wokoło, pokazując na przykład ładne kwiaty i *drzewu* lub podając nazwy poszczególnych ptaków.

Często spotykałyśmy ludzi, których znałam, i miałam nadzieję, że taki rodzaj miłego kontaktu pomoże Jodie. Mieszkałam w tej samej okolicy od dwudziestu lat, więc co rusz wpadałyśmy na kogoś, kogo widziałam już kiedyś na spacerze. Przedstawiałam wtedy Jodie, tak jak w przypadku reszty *dzieci*, którymi się opiekowałam, ale Jodie, zamiast powiedzieć „cześć” lub uśmiechnąć się nieśmiało, wysuwała do przodu podbródek, mrużyła oczy i rechotała jak wiedźma. Wynałazła ten rechot niedużo wcześniej i zastanawiałam się, czy nie był to mechanizm obronny, by powstrzymać ludzi przed zbliżaniem się do niej.

Jeśli tak, to z pewnością działał, bo tylko najodważniejsi próbowali podjąć rozmowę. Na szczęście większość osób wiedziała, że prowadzę rodzinę *zastępczą*, więc nikt nie czuł się zbyt obrażony. Pomimo różnych moich pomysłów na poszerzenie jej horyzontów, jak choćby wyjścia do zoo, kina czy miejscowego muzeum, Jodie zdawała się lubić tylko park, a zwłaszcza tamtejszy plac zabaw. Gdy tylko dochodziłyśmy do bramy, puszczała się biegiem prosto do huśtawek. Rzadko bawiła się z innymi dziećmi lub choćby zauważała, że tam są. Raczej mnie to nie dziwiło, bo nawet ze mną prawie w ogóle nie nawiązywała kontaktu. Zamiast tego huśtała się w górę i w dół, mówiąc do siebie lub podśpiewując aż do czasu, gdy trzeba było wracać do domu. Tak samo zachowywała się w domu, gdy próbowałyśmy ją wciągnąć w jakieś zabawy czy gry - wołała bawić się sama, w swoim małym świecie.

Jeśli zdarzyło się kilka razy, że zainicjowała kontakt z innym dzieckiem, to zwykle wynikało to z jej ciekawości. Gdy zauważyła mniejsze dziecko robiące coś interesującego lub ubrane w coś, co przykuło jej uwagę, podchodziła do niego, stawała naprzeciwko i patrzyła gdzieś na wysokości piersi (ciągle unikała kontaktu wzrokowego). Trudno się dziwić, że takie dziecko po chwili czuło się zastraszone, choć nie było to intencja Jodie. Niemniej jednak prowadziło to często do scen, bo dziecko biegło do mamy i skarżyło się na „tamtą dziewczynę”.

Któregoś razu byliśmy na placu zabaw, gdy przyszedł jakiś młody ojciec z dwiema córeczkami. Na placu wydzielone jest miejsce do zabawy dla bardzo małych dzieci, jak tamte dwie dziewczynki, więc tam właśnie poszły. Z jakiegoś powodu wzbudziło to ciekawość Jodie i ruszyła za nimi, a potem stała i przyglądała się, jak wspinały się po miniaturowym zamku /c zjeżdżalnią. Stałam kilka metrów dalej, śledząc Jodie wzrokiem. W pewnej chwili jedna z dziewczynek chciała *zjechać w dół*, a Jodie podeszła, żeby się *przyjrzeć*. Stała jednak zbyt blisko podstawy zjeżdżalni i zagradzała małej drodze. Wtedy podeszedł ojciec dziewczynek, położył ręce na ramionach Jodie i powiedział: — Usuń się z drogi.

Pomyślałam, że chyba trochę przesadził, ale podeszłam szybko i powiedziałam: - Przepraszam.

Chodź, Jodie, możemy pobawić się na huśtawkach.

Odwróciłyśmy się i odeszłyśmy, a wtedy usłyszałam tamtego mężczyznę, jak krzyknął: - Powinna pani lepiej pilnować swojego dziecka.

To z pewnością było już niepotrzebne, ale nie odpowiedziałam i bawiłyśmy się z Jodie dalej. Kilka minut później na plac zabaw weszła elegancko ubrana kobieta w średnim wieku. Szła prosto w naszym kierunku.

- Przepraszam - zwróciła się do mnie - to Jodie, prawda? - Pochyliła się do Jodie z uśmiechem. — Cześć, Jodie, ogromnie się cieszę, że znów cię widzę. - Jodie spojrzała na nią, ale huśtała się dalej leniwie. Kobieta wyciągnęła do mnie rękę. - Witam! Przepraszam, jestem Fiona. Uczyłam kiedyś Jodie.

Ucisnęłam jej rękę. - Miło mi, jestem Cathy, zastępcza opiekunka Jodie. — Normalnie nie wspominałabym, że Jodie jest pod opieką zastępczą, obawiając się, że to mogłoby ją wprowadzić w zakłopotanie, ale w tej sytuacji przypuszczałam, że nauczycielka Jodie i tak wiedziała, iż dziewczynka została umieszczona w rodzinie *zastępczej*. — Jak długo uczyła pani Jodie?

- *Przez rok* - odpowiedziała Fiona, uśmiechnęła się do Jodie, która popatrzyła na nią obojętnie. Czy w ogóle ją rozpoznała? Wątpiłam w to.

- Muszę powiedzieć - ciągnęła dalej Fiona - że bardzo mi miło zobaczyć Jodie wyglądającą tak dobrze i taka czysta. To świadczy że świetnie sobie pani radzi.

- Ach, dziękuję - odpowiedziałam. - Tak, jakoś dajemy sobie powolutku radę, prawda, kochanie? Jodie skinęła głową, niezupełnie rozumiejąc.

- Jak długo jest u pani? - zapytała Fiona.

- Od kilku miesięcy. Przede mną była u kilku opiekunów, ale wygląda na to, że teraz się uspokoiła.

— Świetnie! Jestem pewna, że tego właśnie potrzebuje. No dobrze, zostawiam was i życzę miłego popołudnia. Jodie, naprawdę miło było cię zobaczyć, i poznać panią, Cathy.

Odeszła, a ja przyglądałam się Jodie ze skraju trawnika. Zobaczyłam, że idzie w moim kierunku ojciec tamtych dwóch dziewczynek. Zaniepokoiłam się.

- Przepraszam - powiedział, podchodząc bliżej. - Nie chcę przeszkadzać. Chciałem tylko przeprosić za swój ton.

- Ach, tak - powiedziałam z ulgą. - No cóż, nie szkodzi.

- Usłyszałem, jak pani mówiła, że jest pani rodzicem zastępczym, a ja myślałem, że to pani córka.

- Nie ma sprawy, przepraszam, że weszliśmy w drogę. Uśmiechnął się przepaszająco i wrócił do córeczek.

W drodze powrotnej zastanawiałam się nad podwójnymi standardami, jakie stosują ludzie. Będąc opiekunem zastępczym, często można spotkać nieznajomych, którzy natychmiast obarczają nas odpowiedzialnością za trudne zachowanie dziecka. Gdy tylko dowiadują się, że ktoś ma to dziecko pod opieką zastępczą, od razu zmieniają front. Tylko dlaczego najpierw czują potrzebę krytykowania? Bycie rodzicem, zastępczym czy nie, jest i tak wystarczająco trudne, bez konieczności wysłuchiwania krytyki obcych.

Kilka dni później zadzwonił do mnie dyrektor z Elmacre. Powiedział, że *jest* mu bardzo przykro, ale nie może zaproponować Jodie miejsca w szkole. Załamałabym się, gdyby zaraz nic dodał, że ma kolegę w innej szkole, który mógłby ją przyjąć. Tym kolega był Adam West ze szkoły Abbey Green. Dostał moje namiary i miał się ze mną wkrótce skontaktować. Podziękowałam wylewnie i z uśmiechem na twarzy przekazałam dobre wieści Jodie.

- Nie idę! - odpowiedziała krótko. - Nienawidzę szkoły! Nienawidzę ciebie! Nienawidzę wszystko! - Pokazała język i wyszła do przedpokoju.

Przeszłość i terażniejszość

Około drugiej nad ranem obudziły mnie krzyki Jodie. Wrzuciłam na siebie szlafrok i przebiegłam przez korytarz, czując się, jakbym dopiero co położyła się spać. Jak zwykle zapukałam szybko do drzwi, ale nie czekając na odpowiedź, weszłam do środka. Jodie leżała w łóżku, mocno ściskając kołdrę rękami i naciągając ją na głowę. Usiadłam na brzegu łóżka i Jodie przestała krzyczeć. - Co się dzieje, kochanie:¹ - zapytałam. — To te oczy! — jęknęła z przerażeniem.

- Jakie oczy, skarbie? Wyjdź spod tej kołdry, to cię przytulę.

- Nie! Są wszędzie! Oczy w ścianach, *patrz* na mnie! Położyłam rękę na kołdrze, na stopach Jodie, starając się ją uspokoić. - Jodie, kochanie, wiem, że się boisz, ale to tylko twoja wyobraźnia. Nie ma tu żadnych oczu. Nikt się na ciebie nie patrzy. Przytul się, proszę.

- Są tu! - odkrzyknęła. - Widzę je, idą do mnie! Nie jestem głupia. Zatrzymaj je, Cathy!

— Jodie, uspokój się — powiedziałam zdecydowanie. — A teraz wyjdź stamtąd, to ci pokażę. Niczego tu nie ma, obiecuję. Jestem tu z tobą i nie pozwoliłabym *przecież*, żeby ci się cokolwiek stało. Jestem tu, żeby cię chronić. To moja praca, prawda?

Uciszyła się na sekundę, potem zwołniła uścisk na kołdrze. Ściągnęłam ją nieco, a Jodie wygramoliła się spod niej i przytuliła do mnie.

- Teraz popatrz, Jodie. Widzisz, niczego tu nie ma. - Podeszłam do ściany i przejechałam po niej ręką.

- Widzisz? Nikogo tu nie ma. - Usiadłam z powrotem na łóżku. Policzki Jodie były czerwone, a czoło rozpalone i spocone. Była naprawdę *przerażona*. - czymkolwiek byłyby te jej wizje, dla niej były prawdziwe. To, co początkowo było nocnymi koszmarami, zaczęło się przekształcać w coś bliższego halucynacjom. Coraz częściej, gdy przychodziłam do niej, żeby ją uspokoić, znajdowałam ją w dziwnym stanie, jakby była na wpół śpiąca i na wpół przytomna. Czasem wydawało mi się, że już nie

spała, ale *wciąż* tkwiła w sennym koszmarze. Nie byłam w stanie powiedzieć, czy Jodie była świadoma tego, co się działo, ale wyglądało na to, że cokolwiek widziała, przybierało to dla niej postać jak najbardziej realną.

- Przeczytasz mi bajkę? - zapytała.

- Tak, dobrze, ale potem pójdziesz spać, *zgoda?*

- *Zgoda,*

Przeczytałam jej bajkę i ułożyłam do snu, ale o czwartej znów krzyczała. Wróciłam, uspokoiłam ją, lecz za godzinę było to samo. *Teraz już nie było szans, żeby zasnęła, co znaczyło, że i ja już się nie położę, więc zeszłam na dół po filiżankę kawy i upragnionego papierosa.* Stałam na patio w szlafroku i kapciach. Było ciemno; wiedziałam, że słońce wzejdzie za pół godziny. Uśmiechnęłam się do siebie na myśl, jak dużo mam wie, kiedy wstaje słońce.

Był zimny jesienny dzień. Lato już minęło, a Jodie mieszkała z nami od sześciu miesięcy. Trudno było mi sobie już przypomnieć, jak wyglądało życie przed Jodie, albo *czasy, gdy* żyłam nie tak intensywnie. Nieustannie byłam *zajęta Jodie i jej problemami.* W moim życiu z Jodie niewiele było chwil, które nie polegały na doglądaniu jej i zaspokajaniu jej potrzeb.

Wybierałyśmy się z Jodie na zakupy. Teraz, gdy było już naprawdę zimno, przekonanie Jodie, żeby włożyła odpowiednie ubranie, stawało się nie lada wyzwaniem. Wyszłyśmy z domu, ale gdy zamykałam drzwi, przypomniałam sobie, że zostawiłam rękawiczki. Jodie została na schodach, a ja wróciłam po nie do domu. Nagle drzwi trzasnęły z hukiem, a Jodie biegła do mnie przez przedpokój.

- Co się nagle stało?

- Mój tata. Jest na zewnątrz!

- Co? Gdzie jest? - Nagle oblał mnie strach. Biorąc pod uwagę pomyłki i błędy, do których zapewne doszło, możliwość, że rodzice Jodie mnie wytropią, nie była wcale taka nieprawdopodobna.

Wyjątkowo bałam się spotkania z ojcem Jodie. Nie obawiałam się o siebie - nie sadziłam, żeby mógł mi cokolwiek zrobić - byłam *raczej przerażona* tym, że *bezpieczne miejsce Jodie* w moim domu mogłoby zostać skażone i zagrożone, gdyby tylko zobaczyła w tym domu swojego ojca. Co więcej, ja sama nigdy nie chciałabym widzieć go na oczy. Na sama myśl o nim robiło mi się niedobrze. - Gdzie go widziałas, Jodie?

- W jego samochodzie. Jechał ulica.

- Idź do swojego pokoju i nie ruszaj się stamtąd.

Wyszłam na zewnątrz, zamykając za sobą drzwi. Rozejrzałam się ze schodów, ale nie widziałam *żadnej* furgonetki. Przeszłam ścieżką przed domem, weszłam na chodnik i zerknęłam na ulicę. Z tego, co mówiła Jodie, wiedziałam, że jej ojciec jeździł białą furgonetką, ale nie widziałam *żadnej*.

Rozejrzałam się dokładnie w obie strony, ale z pewnością nie było tam takiego auta. Sprawdziłam jeszcze raz i nie widząc żadnego niebezpieczeństwa, wróciłam z ulgą do domu.

- W porządku, Jodie. Nie ma żadnego samochodu i nie ma (u twojego ojca. Nie wie, gdzie mieszkamy, więc jestem pewna że to nie był on. To musiał być samochód kogoś innego. - Przytuliłam ja. - Jedziemy do sklepu teraz czy chcesz chwilę poczekać?

- Pojadę - powiedziała biernie.

Jeszcze raz ja uspokoiłam i trzymając blisko siebie, zaprowadziłam do samochodu. Podczas *jazdy* obserwowałam /.) we wstecznym lusterku. Nerwowo rozglądała się na wszystkie strony, wypatrując pewnie furgonetek.

Zaparkowałam na wielopoziomowym parkingu i wykupiłam kartę parkingowa na dwie godziny. Gdy tylko weszłyśmy do hali zakupowej, przeniosłyśmy się do bajecznej krainy rozświetlonych choinek, mieniących się foliowych girland i ogromnego Mikołaja, który huczał swoje: „Ho, ho, ho!”. Poczulałam ukłucie paniki, bo porównałam przedświąteczne przygotowania, i sklepowe do swoich. Jeszcze nic nie zrobiłam, a nagle uświadomiłam sobie, że do Wigilii zostało tylko pięć tygodni. Wzięłam koszyk i ruszyłyśmy w trasę po supermarkecie.

Jodie jak zwykle była zapalonym, choć niezbyt uważnym klientem, z zadowoleniem łapiąc wszystkie wesole zapakować paczki, jakie były w jej zasięgu. Gdy robiłyśmy zakupy, opowiadałam Jodie o świętach Bożego Narodzenia i o różnych drobnych *zwyczajach*, których mogła się u nas spodziewać, jak i choćby przystrajanie domu, ubieranie choinki, rodzinna msza w kościele w Wigilie czy wieszanie poszewki na poduszkę na drzwiach swojego pokoju przed położeniem się spać. Powiedziłam też o szklaneczce sherry i pierożku z bakaliami, które zostawialiśmy dla Mikołaja, i o marchewce dla renifera. Jodie słuchała z umiarkowaną uwagą, ale nie dodała nic ze swoich doświadczeń. Nie

wspomniała nawet o ostatnim Bożym Narodzeniu spędzonym z rodzicami, co dzieci w rodzinach zastępczych zwykle bardzo przeżywają. Zamiast tego podchwyciła materialny aspekt świąt i zaczęła mi wymieniać długą listę prezentów, jakie chciała w tym roku dostać, a która można było streścić jako „wszystko, co miało żywe kolory, najlepiej różowe, i było błyszczące”.

- Co dostałaś na ostatnie święta? - zapytałam, przerywając jej.

- Buty - powiedziała Jodie. - Czarne buty do szkoły. Ale nie były zapakowane.

- A co robiłaś w Boże Narodzenie? Bawiłaś się? Przytaknęła. - Poszliśmy do pubu i graliśmy w rzutki. Mama wypiła dużo piwa i się przewróciła, to musieliśmy wrócić do domu. Oni poszli spać, więc włożyłam pizzę do piekarnika i potem ja zjadłam.

Westchnęłam. Co za smutne święta, a na dodatek Jodie poczuwała się do takiej odpowiedzialności za swoich rodziców, zwłaszcza z jej problemami! Szybko się domyśliłam, że mając siedem lat, Jodie wzięła na swoje barki łwia część prowadzenia domu. Z jej marna koordynacja i słabymi zdolnościami moto-rycznymi - powiedziała mi kiedyś, jak wymieszać butelkę dla dziecka, i wiedziała, jak przygotować paluszki rybne w piekarniku. Ze świętami, które w ogóle nie były radosne, nie różniła się zbytnio od innych dzieci, którymi się wcześniej opiekowałam; dzieci, które nigdy nie zaznały emocji i przyjemności znajdowania wypchanych poszewek i prezentów pod choinką.

- A więc w tym roku Boże Narodzenie będzie zupełnie inne, Jodie, i wiem, że ci się spodoba.

- Spodoba mi się, Cathy? - zapytała Jodie i buzia się jej rozpromieniła.

- Tak, obiecuję. - Robiliśmy dalej zakupy, a ja postanowiłam sobie, że Jodie będzie miała najlepsze Boże Narodzenie, jakie mogłam jej dać - był to jeden ze sposobów, w jaki mogłam spróbować przywrócić jej część dzieciństwa. Chociaż został jeszcze ponad miesiąc, nie mogłam się już doczekać, żeby zobaczyć jej radość w dzień Bożego Narodzenia.

Znalazłam prezenty dla swoich bratanic i bratanków, potem wypatrzyłam parę kapci Kubusia Puchatka, które zamierzałam włożyć do torby Pauli. Nie chcąc psuć niespodzianki, włożyłam je dyskretnie na dno koszyka i odwróciłam uwagę Jodie przy kasie. Tak samo zrobiłam z *resztą*, prezentów, które miały się znaleźć w skarpetach pod choinką, czyli z układanką z Teletubi-si.imi dla Jodie i wymyślną odżywką do włosów dla Lucy, o której mi kiedyś wspominała. W tym roku miałam robić wszystkie zakupy z Jodie, trzeba więc było to kupować ukradkiem i stopniowo, ale na pewno było warto.

Gidy przyjechałyśmy do domu, Lucy i Paula właśnie weszły. Były w przedpokoju, gdzie zdejmowały kurtki i rozpakowywały plecaki

- Byłyśmy na Bożym Narodzeniu! - krzyknęła Jodie podekscytowana.

- Na zakupach - dodałam. - Zaczęłam je w końcu robić.

- Tak, na zakupach - powtórzyła Jodie. - A mój tatuś był niegrzeczny, ściągnął ubranie i nasikał na mnie.

Dziewczynki zaśmiały się niezręcznie. Żadna z nich nie wiedziała, co powiedzieć.

-Jodie - zaczęłam - na zakupach byłyśmy dziś po południu. To, co zrobił twój tatuś, działo się ponad rok temu. Nie łącz tych dwóch rzeczy. To wprowadza zamieszanie.

Ale często to robiła, mieszając przeszłość z teraźniejszością. Od początku nie miała poczucia czasu, ale jej niemożność rozróżniania między przeszłością, teraźniejszością a przyszłością wydawała się pogłębiać.

— Chcesz w coś zagrać? — zapytała Paula.

Jodie obejrzała się obojętnie.

Paula nalegała: - Chodź, ułożymy razem układankę!

- A może Barbie? - zapytała Lucy. - Tak bym chciała pobawić się twoimi lalkami Barbie.

- Nie! - krótko ucięła Jodie. - Moje lalki! Cathy, mogę oglądać wideo?

- A nie wolałabyś *raczej* pobawić się teraz z dziewczynkami, Jodie? - zapytałam. - Jestem pewna, że to byłoby o wiele zabawniejsze, i wiem, że dziewczynki chętnie posłuchałyby, jak wyglądał twój dzień na zakupach.

Jodie westchnęła, *zmęczona* moimi nierozsądnymi prośbami. - Proszę, Cathy - nalegała. - Byłam dobra?

Zgodziłam się niechętnie i pozwoliłam jej wziąć do swojego pokoju jedną z kaset z edukacyjnymi zabawami dla sześć-ciolatków. Dziewczynki poszły do swoich pokoi. Widziałam, że czuły się nieco dotknięte. Oczywiście żadna z nich nie miała zapewne specjalnej ochoty na zabawę lalkami Barbie z Jodie, ale nikt nie lubi odrzucenia. Paula i Lucy próbowały spędzać z Jodie więcej czasu i się z nią

zaprzyjaźnić, ale Jodie za nic w świecie nie pozwalała zbliżyć się do siebie. Większość dzieci, bez względu na to, jak źle się zachowuje, przede wszystkim chce być lubiana i czuć akceptację tych, którzy są wokół. Jodie natomiast w ogóle na tym nie zależało. Gdy dziewczynki chciały się z nią bawić, nie było jej przyjemnie, nie schlebiali jej to i nawet nie przyszło jej do głowy, że odmowa mogła zranić ich uczucia. Było jej to absolutnie obojętne.

jeszcze słabsze były jej relacje z Adrianem. Ze względu na naturę molestowania, jakie Jodie wycierpiała, wszystkich przedstawicieli płci męskiej traktowała w sposób seksualny, a więc próbowała z nimi flirtować lub ocierać się o nich prowokacyjnie. Nie było w tym żadnej premedytacji, był to dla niej najzwyczajniej sposób zachowania, który w przeszłości charakteryzował jej *relacje z mężczyznami*, i odwrócenie tego schematu mogło zająć wiele lat. W związku z tym Adrianowi było bardzo trudno dogadać się z Jodie i z reguły usuwał się jej z drogi.

Gdy zaczęłam obierać ziemniaki na kolację, usłyszałam z góry głośnie tupanie. Byłam już przy schodach, gotowa wbiec na górę i stawić czoła kolejnej awanturze, gdy uświadomiłam sobie, skąd pochodził ten hałas. Film Jodie zawierał różne zabawy z piosenkami i tańcami, do których oglądające dzieci mogły się dołączyć. Jodie po prostu tańczyła do kasetki wideo.

Wróciłam do kuchni i zrobiło mi się straszliwie smutno. Mając wybór między zabawą z moimi córkami i samotnym oglądaniem wideo, Jodie bez wahania wybrała film. I to nawet nie dlatego, że nie lubiła dziewczynek. Jodie zawsze wybierała samotność. Jej historia nauczyła ją, że towarzystwo innych przynosiło tylko ból i odrzucenie, i właśnie ta lekcja odizolowała ją od świata.

Mój smutek wynikał z obawy, że ta straszna spuścizna najprawdopodobniej zostanie z nią do końca życia. Wrogość Jodie, jej obronna postawa i opóźnienie w rozwoju oznaczały, że nic nie przemawiało na jej korzyść. Nie była ładna, inteligentna ani utalentowana. Nie była miła, ciepła czy wrażliwa. Mimo moich wysiłków wciąż miała nadwagę. Była niegrzeczna, nieprzyjemna, agresywna i porywcza i nie miała najmniejszej ochoty, żeby ktokolwiek ją lubił. To była mieszanka, która z pewnością odsuwała ją od ludzi. Jodie nie miała żadnych atutów, żeby zdobyć przewagę nad innymi, nie miała w zanadrzu niczego, co sprawiłoby, że inni chcieliby przebywać w jej otoczeniu lub zdobyć jej uczucie.

Z tego, co wiedziałam, nikt w całym jej dotychczasowym życiu nie interesował się nią, poza tymi, którzy chcieli ją skrzywdzić. Nikt nigdy jej nie kochał. Ale gdy usłyszałam te jej podskoki na górce, zupełnie nie w rytmie, poczułam się do niej przywiązana jak nigdy do tej pory. Czy na pewno nie było dla niej za późno? Na litość boska, miała tylko osiem lat! Czy można było przekreślić całe jej życie?

Miałam głęboką nadzieję, że był jeszcze czas, by uleczyć jej złamaną osobowość, i pragnęłam poskładać ją z powrotem po to, by mogła mieć jeszcze jedną szansę w dzieciństwie, którego w tak okrutny sposób została pozbawiona. Byłam zdecydowana dać z siebie temu dziecku wszystko, i jeśli miłość, troska, uprzejmość i ciężka praca mogły przynieść jakiś efekt, to nie zamierzałam ustawać, dopóki Jodie nie poczuje się lepiej.

Pajęczyna

Był piękny, rześki zimowy poranek na początku grudnia. Słońce było piękną złocistą kulą na czystym niebie. Blade zazwyczaj policzki Jodie poczerwieniały z zimna i wysiłku jazdy na rowerze. Raz po raz zatrzymywała się, by *zarzucić* do tyłu szalik - część liliowego kompletu, jaki jej kupiłam: kapelusik, szalik i rękawiczki z puszystym obszyciem. Tylko długie naleganie mogło ją powstrzymać przed zakładaniem ich do łóżka. W końcu zrobiłam coś dobrze!

Bliżej bramy parku przyspieszyłam kroku, ale prawdziwą gonitwę miałam w głowie. Byłam niespokojna i pierwszy raz mój niepokój nie dotyczył wyłącznie Jodie. Dzień wcześniej wybrałyśmy się do szkoły Green Abbey na spotkanie z dyrektorem, panem Adamem Western. Mimo że wizyta przebiegła dobrze, pan West powiedział, że nie *zaferuje* Jodie miejsca w szkole, dopóki

dotacja na jej nauczanie nie zostanie zatwierdzona, a to mogło potrwać nawet trzy miesiące. Jodie musiała więc dalej uczyć się w domu z Nicolą, a to - niestety - było za mało. Przeraziłoby potrzebowała nie tylko nauki, ale też szkolnej rutyny i towarzystwa innych dzieci.

Zatrzymałam się przy wejściu do parku i zawołałam Jodie, żeby do mnie wróciła. Między dwoma krzewami rozciągała się olbrzymia pajęczyna. Jeszcze ukryta przed słońcem w cieniu, mieniła się białymi kroplami rosy.

- Spójrz na to, Jodie! Pajęczyna. Czyż nie jest piękna? - powiedziałam. - Wygląda podobnie jak te dekoracje, które widzieliśmy w sklepach.

- Piękna - powtórzyła Jodie. - Naprawdę piękna.

- A słyszysz to szeleszczenie w krzakach? Założę się, że to jakiś ptak. — Stanęliśmy cichutko i nasłuchiwaaliśmy.

Chwilę później zostaliśmy nagrodzone, bo duży kos z jaskrawopomarańczowym dziobem szybko przeskoczył przez ścieżkę.

Twarz Jodie się rozpromieniła.

- Piękny. Naprawdę piękny - znów powiedziała Jodie, a ja wiedziałam, że będzie tę frazę powtarzać do końca dnia.

Zrobiliśmy cztery okrążenia parku i zaczęliśmy wracać do domu. Po spacerze zawsze czułam się lepiej, a dla Jodie takie spalanie energii było konieczne, bo *inaczej przez cały* dzień byłaby nadmiernie aktywna. *Czekała na mnie przy* bramie, razem przeszliśmy przez ulicę, a potem Jodie pognęła przede mną drogą, by dojechać do domu i zeskakując z rowerka, rzucić go przed schodami. Obserwującemu ja nieznanemu, który nie znałby jej przeszłości, Jodie mogła się wydawać normalna dziewczynka - *przyjeżdżając* do domu z policzkami zaróżowionymi od zimnego powietrza, nie mogąca się doczekać na domowe ciepło i przyjemność wypicia gorącego napoju. *Przez* moment grałam taka właśnie osobą, więc mogłam chwilę napawać się przyjemnością zobaczenia Jodie taka, jaka mogłaby być, o ile wszystkie nasze starania dałyby efekt. Zdjęliśmy kurtki i wprowadziłam rower Jodie na werandę. Podgrzałam trochę mleka i zrobiłam nam po kubku gorącej czekolady. Usiadliśmy po przeciwnych stronach kuchennego stołu. Podałam Jodie pudełko z herbatnikami. Zanurzyła w nim rękę, uśmiechając się szeroko.

- Jeden - powiedziałam. - *Zjadłaś* spore śniadanie. - Pociągnęłam łyk czekolady i odstawiłam kubek na stół. Jodie zrobiła tak samo.

Wzięłam głęboki oddech. Nadszedł moment, żeby podjąć temat, o którym myślałam cały ranek. Niewinne chwile naszej wycieczki do parku zaraz zostaną pobrudzone przez ciemną stronę życia dorosłych, na którą Jodie została tak brutalnie wystawiona. - Jodie - *zaczęłam*.

Moje spojrzenie spotkało się z jej niebieskoszarymi oczami, jak zwykle obojętnymi.

— Muszę ci coś wyjaśnić. Możesz mnie uważnie posłuchać?

Przytaknęła.

- Kiedy skończymy pić czekoladę, wyjdziemy do samego chodu. Pamiętasz Eileen?

Oczywiście nie pamiętała Eileen, mimo że ta w końcu *raczyła* nas odwiedzić. Przyjechała się przedstawić Jodie kilka tygodni wcześniej. Było mało prawdopodobne, żeby Jodie zapamiętała

tamtą wizytę, która była, najdelikatniej mówiąc, przelotna. Po kilku krępujących minutach Eileen znalazła jakąś wymówkę i wyszła. Najwyraźniej nie czuła się dobrze w towarzystwie swojej podopiecznej.

Jodie popatrzyła na mnie pusto, więc ciągnęłam: — Eileen jest twoją opiekunką społeczną, pamiętasz? No więc, Eileen chce, żebyś zrobiła coś, co nazywa się badaniem kontrolnym. Podczas takiego badania będzie cię oglądał lekarz, ale nie masz się czym martwić, bo będę z tobą. W idealnych warunkach to Eileen przyjechałaby do Jodie i wyjaśniłaby jej, co się będzie działo, ale już dawno przestałam oczekiwać, że mogłoby się stać coś podobnego.

- Będiesz, Cathy? To fajnie. - Jodie zamoczyła ciasto i zaczęła zlizywać roztopioną czekoladę.
- Doktor *zbada*, cię, żeby się upewnić, że wszystko jest w porządku. Pamiętasz, miałaś takie badania kontrolne, gdy pierwszy raz trafiłaś do rodziny zastępczej. To *będzie* podobne badanie, tylko dokładniejsze.

- Będę musiała ściągnąć ubranie, Cathy? - zapytała Jodie, bardziej zainteresowana ciastkiem niż naszą rozmową.

— Tak, ale to będzie miła pani doktor. Zna dużo *dzieci*, więc *nie* musisz się niczym martwić. Będzie chciała cię obejrzeć, zwłaszcza te miejsca, gdzie tatuś i wujek Mikę zrobili ci krzywdę. No wiesz, to, co nazywamy miejscami intymnymi.

Czekałam na reakcję: strach, *przerażenie* lub zdecydowany sprzeciw, ale nic takiego nie nastąpiło. Skończyła pić czekoladę, wytarła buzię wierzchem dłoni i wstała, zostawiając mnie z pytaniem, czy wszystko zrozumiała.

- Jeśli będziesz chciała mnie o coś zapytać - dodałam -to powiedz, a wszystko ci wytłumaczę. Przypięta pasami na tylnym siedzeniu, Jodie paplała o wszystkim i o niczym, *łącznie* z badaniami kontrolnymi, ogólnie rzecz biorąc. Czy ja miałam kiedyś badania kontrolne? Czy Lucy i Paula miały? Czy musiały ściągać ubranie i pokazywać swoje miejsca intymne? Czy Adrian miał? Powstrzymałam tę lawinę pytań i włączyłam radio. Leciał jakiś skoczny, popularny utwór.

- Moja mama lubi tę piosenkę - powiedziała Jodie. - Lubi tego piosenkarza. Słuchamy tego, jak jesteśmy w pubie.

- Słuchałaś tego, jak byliście w pubie - poprawiłam ją. Jak Zwykle Jodie wydawała się nie robić różnicy między dawniej a teraz, ale starałam się tę różnicę podkreślać, gdy tylko mieszała czasy, w nadziei, że w końcu zostawi za sobą to, co już się skończyło. Martwiłam się, że emocjonalnie ciągle tkwiła w złym układzie, z którego przyszła, a jeśli tak było, to wyciągnięcie jej stamtąd było mało prawdopodobne. - *Teraz nie* chodzimy do pubu. To było w przeszłości.

- Czemu, Cathy? Czemu nie chodzimy do pubu?

- Nie sadzę, żeby to było dobre miejsce dla dzieci. Na spacer zdecydowanie wolę park.

- Moja mama myśli, że tak, tak jak tatuś i ciocia Bell. — Nie wątpię.

- Cathy, czy moja mamusia też będzie miała badania kontrolne i będzie pokazywała miejsca intymne?

- Nie. Przynajmniej z tego, co wiem.

Zamilkła, jakby *ważąc* słowa. Potem odezwała się piskliwie: - Powinna. Jej też mój tatuś robi *niegrzeczne rzeczy*, -Byłam pewna, że miała na myśli to, że widziała ojca i matkę w trakcie uprawiania seksu, i nie dziwiłam się, że nie potrafiła odróżnić tego od rzeczy, które spotkały ją sama. Czy mówiąc „*niegrzeczne*”, *zaczynała* akceptować fakt, że to, co się jej przydarzyło, było złe? Czy tylko powtarzała to, co ja jej mówiłam? Niezwykle trudno było przy Jodie określić, ile rozumiała i akceptowała. w białym fartuchu siedziała za niewielkim biurkiem, bardziej wyglądając na lekarza, jakiego się spodziewałyśmy. Podeszła do mnie i uściśniła moją dłoń.

- Witam jestem doktor Pratchet - powiedziała. - Z pomocą doktor Marshall przeprowadzę dziś badanie. Proszę usiąść.

Zajęłam jedyne wolne krzesło i rozejrzałam się wokół. Zobaczyłam długi, uchylony fotel z oparciami na nogi. Przy jego podstawie, na regulowanym metalowym uchwycie zawieszona była duża punktowa lampa, póki co wyłączona. Wzdrygnęłam się na myśl, co miało niedługo nastąpić.

Doktor Pratchet wróciła do biurka, a Linda Marshall oparła się o brzeg fotela. Jodie podeszła od razu do stojącego w rogu pudła z zabawkami, przewróciła je do góry nogami i wysypała zawartość na podłogę. Posłałam jej ostrzegawcze spojrzenie.

— Chciałabym na początek zadać pani kilka pytań — powiedziała doktor Pratchet. - Pobawisz się sama przez kilka minut, Jodie?

Jodie uśmiechnęła się szeroko, wyciągając ze sterty jedna z zabawek. - Popatrz, Cathy!

- Tak, to pudełko niespodzianka, takie, jakie mamy w domu. Gdy skończysz się bawić, odłóż je na miejsce.

Lekarka otworzyła kartotekę i wyciągnęła masę dokumentów. - Jodie ma teraz osiem i pół roku? I jest z panią od trzeciego kwietnia?

Wyglądało na to, że dobrze znała zawartość akt Jodie i wiedziała dokładnie, dlaczego tam byliśmy. - Tak, *zgadza się*.

— Jaka jest ogólnie? W jedzeniu? Spaniu? Zachowaniu?

Podalam jej krótką, charakterystykę stanu Jodie: że jadła dobrze, ale jej noce i ogólne zachowanie stawały się coraz trudniejsze. - Czy ona rozumie, dlaczego tutaj jest?

- Wyjaśniłam jej, że będzie miała kontrolne badania i że pani doktor przyjrzy się jej intymnym miejscom, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

Skinęła głowa, więc doszłam do wniosku, że akceptowała moje tłumaczenie. — Poza tym, co mówiła Jodie, czy zauważyła pani jakieś inne objawy? Bolesność, wysypkę, upławy?

Opiekunowie zastępczy nie mogą być przewrażliwieni. — Nie, ale często załatwia się w majtki, chociaż teraz nie jest to celowe, tak jak było wcześniej. Wygląda bardziej na to, że nie potrafi na czas dojść do ubikacji. A jeśli już zdąży, to nie umie się dobrze podetrzeć. Często zmieniam jej ubranie i myję ją, więc nie powinno to wywołać podrażnienia.

- Jasne - zgodziła się ze mną Linda Marshall.

Doktor Pratchet zapisała coś, potem spojrzała na Jodie. — W porządku, Jodie. Zaczniemy od tego, że cię zmierzmy i zważymy. Myślisz, że mogłabyś wskoczyć na tamtą wagę?

„Wskoczyć” nie było dobrze dobranym słowem, bo Jodie wzięła je dosłownie i energicznie wskoczyła na podest wagi. Dociśnięta metalowa płyta zabrzęczała i zadrgała.

— Delikatnie — dorzuciła lekarka poniewczasie.

Linda odczytała wskazania, a doktor Pratchet je zanotowała. - Grzeczna dziewczynka. A teraz mogłabyś się dla mnie wspiąć na ten fotel? Jest trochę wysoki, pomóc ci?

Jodie, nieświadoma, co ją czekało, i chętna do zademonstrowania swojej zwinności, wgramoliła się fotel. Usiadła na nim ze swoimi pulchnymi nóżkami dyndającymi na brzegu i z dumą uśmiechała się do mnie. Patrząc, jak doktor Pratchet otworzyła szufladę biurka i wyjęła z niej stetoskop i drewnianą szpatułkę. Zakładając stetoskop na szyję, wsunęła szpatułkę do kieszeni fartucha.

Odsunęłam swoje krzesło, żeby mogła przejść. Czułam, jak gwałtownie rósł we mnie niepokój.

- Jodie, najpierw zajrzę ci do buzi - powiedziała. - Powiedz:

aaaaa.

Jodie otworzyła szeroko buzię. Doktor Pratchet położyła szpatułkę na jej języku i obie kobiety zajrzały do środka. Domyślałam się, czego szukały. Jeśli Jodie była zmuszana do seksu oralnego, to istniało prawdopodobieństwo, że mogła się nabawić w buzi jakiejś choroby przenoszonej drogą płciową, ale gdy pomagałam jej szczotkować zęby, nigdy nie zauważyłam żadnych ran czy białej wysypki grzybiczej.

- Świetnie - powiedziała doktor Pratchet. - Znakomita robota.

Jodie zamknęła buzię i uśmiechnęła się do mnie. Odwzajemniłam uśmiech, dodając jej otuchy.

- Mogę teraz posłuchać twojego serduszka?

Linda Marshall delikatnie podciągnęła koszulkę Jodie, czekając aż ta przyzwoli na badanie, podnosząc ramiona do góry. Doktor Pratchet osłuchiwała Jodie za pomocą stetoskopu. Widząc, że obie z pewnością wiedziały, jak należało się obchodzić z dzieckiem, by było spokojne, trochę się rozluźniłam.

- Świetnie - powtórzyła pani doktor. - Znakomicie sobie radzisz, Jodie. Jesteś już *przecież* duża dziewczynka, prawda?

Jodie promieniała, jakby właśnie zdobyła medal, ale wiedziałam, że zbliżamy się do kolejnego etapu badania, i modliłam się, żeby Jodie współpracowała tak dalej. Lekarki nie zmusiłyby jej do przechodzenia przez to badanie, ale bez tego dowodu szansę na oskarżenie były nikłe.

- Czy możesz się teraz oprzeć, Jodie? - zapytała Linda, klepiąc w oparcie mebla.

Jodie niezgrabnie odchyliła się do tyłu i głośno zarechotała.

- Musimy cię mieć bliżej tego brzegu - powiedziała Linda i nieco zsunęła Jodie, tak że jej nogi zwisały luźno z fotela. Doktor Pratchet włączyła lampę.

- Może chce pani podejść i trzymać Jodie za rękę? - zapytała Linda, patrząc w moją stronę.

Przesunęłam krzesło tak, by siedzieć obok głowy Jodie, i wzięłam małą za rękę. Byłam zadowolona, że mogłam coś zrobić. Doktor Pratchet podała Lindzie prześcieradło i ta przykryła Jodie.

- Teraz zsunę ci spodnie i majtki - powiedziała i delikatnie zdjęła je pod prześcieradłem. -

Grzeczna dziewczynka. Opuść luźno nogi, a ja ułożę je we właściwej pozycji.

Podniosła kolana Jodie. To była niewygodna, bezbronna pozycja, ale przykryta prześcieradłem Jodie zachowała przynajmniej jakąś godność.

Linda Marshall dołączyła do doktor Pratchet przy brzegu fotela. Obie kobiety założyły gumowe rękawiczki i zaczęły badanie. Głaskałam Jodie po czole i mocno trzymałam ją za rękę. Na jej policzki wystąpiły rumieńce, zaczęła przygryzać dolną wargę.

- To nie potrwa długo - powiedziałam - zaraz potem pojedziemy do domu.

Kobiety zaczęły rozmawiać o tym, co zobaczyły. Rozpoznałam słowo „uszkodzenie”, ale żadne inne określenia nie były mi znane. Ich ton był spokojny i profesjonalny, niczego niezdradzający.

- Boli - powiedziała Jodie. Ścisnęłam jej rękę, chcąc już, żeby się pospieszyły.

Doktor Pratchet nagle się wyprostowała. - Gotowe. Byłaś bardzo odważną dziewczynką. Możesz się teraz ubrać.

Westchnęłam głęboko z ulgą i pomogłam Jodie usiąść i ubrać się, podczas gdy lekarki wyrzuciły rękawiczki do kosza.

- Wyślemy raport z badania do opiekuna socjalnego - powiedziała doktor Marshall. — Może pani zapewnić Jodie, że jest całkiem zdrowa.

To było tyle, ile miałyśmy się w tym momencie dowiedzieć. Opiekun socjalny miał przekazać mi wszystko, co potrzebowałam wiedzieć. Jill mówiła, że może to potrwać od dziesięciu dni do miesiąca. Podziękowałam im serdecznie, wzięłam Jodie za rękę i wyszłyśmy *razem* na zimowe popołudniowe słońce,

— Byłaś bardzo dzielna — powiedziałam do Jodie. — Nie będziesz już musiała przez to przechodzić. To już koniec.

- Wolałabym, żeby to był pan - powiedziała, podskakując lekko obok mnie.

- Co? Żeby pan robił badanie? - byłam zaskoczona. Po tym wszystkim, co przeszła, mężczyzna przeprowadzający takie badanie to była z pewnością ostatnia rzecz, jakiej potrzebowała Jodie.

- Dlaczego?

— Panie bolą bardziej niż panowie, bo nie mają ptaszka. Zatrzymałam się gwałtownie i odwróciłam do Jodie, bo

dotarło do mnie znaczenie jej słów. — Co masz na myśli? Jakie panie? Co ci robiły?

Zmarszczyła brwi, przeszukując swój ograniczony zasób słów, by spróbować mi to wyjaśnić.

— Mama i ciocia Bell używały rzeczy, bo nie miały ptaszków.

- Używały rzeczy? Jak to, w twoich intymnych miejscach?

- Tak. Tak jak lekarki. Wkładały rzeczy do środka. Zmroziło mnie. O nie, proszę, nie! Ile jeszcze to dziecko

mogło znieść? -Jakie rzeczy, Jodie?

- Łyżki, takie jak pani doktor wkładała mi do buzi. Tylko srebrne.

- Jodie, czy ty chcesz powiedzieć, że mama i ciocia Bell wkładały ci metalowa łyżkę w intymne miejsca?

Skinęła głowa. - Była zimna. Tatuś rozgrzewał ją najpierw w rękach. Był czasem miły, tak, Cathy?

Tego już było za dużo. Nie mogłam dłużej ukryć wściekłości na ludzi, którzy jej to zrobili. - Nie, Jodie, nie był! Był zły. Oni są zwierzętami. Wszyscy. Mam nadzieję, że będą gnić w piekle!

Wściekła krowa

Siedziałam przy swoim biurku, notując w dzienniku wszystkie obrzydliwe szczegóły seksualnego upodlenia Jodie. Było mi na wskroś niedobrze. Aktywny udział matki w molestowaniu Jodie był tak przerażającym odwróceniem roli i wszystkiego, czym matka powinna być, że nie mogłam w to uwierzyć. Opiekunowie zastępczy nie powinni oceniać, ale są jednak pewne granice, i dla mnie to była właśnie taka granica. Z trudem notowałam dziecięcą konkluzję Jodie, że ponieważ ojciec ogrzewał rzecz, którą była potem gwałcona, to ten akt czynił go mniej winnym.

Jill zadzwoniła, gdy tylko otrzymała przesłany przeze mnie raport. - Jezu! - powiedziała. - Dziwię się, jak to biedne dziecko może po tym wszystkim w ogóle funkcjonować.

- Właściwie nie funkcjonuje albo funkcjonuje coraz słabiej z każdym nowym wyznaniem. - Kiedy to powiedziałam, dotarła do mnie cała prawda. Patrząc na tą sytuację z dnia na dzień, można było *uznać*, że bywały wzloty i upadki, gorsze i lepsze dni, ale gdy przez moment spojrzałam na to z dystansu i dokładnie przeanalizowałam, zobaczyłam, że w rzeczywistości była to równia pochyła. Z Jodie było coraz *gorzej*. - Jestem u kresu sił, Jill.

Jill nie usłyszała w moim głosie narastającej paniki. Powiedziała uspokajająco: — Dobrze, nie martw się. W przyszłym tygodniu widzisz się z psychologiem, tak?

- W poniedziałek.

— Dlaczego nie zapytasz jej o jakieś strategie, które mogłyby ci pomóc? Wiem, że ona nie jest od tego, ale może będzie ci mogła coś zaproponować. Warto spróbować.

- Dzięki, Jill, to dobry pomysł. - Poczulałam małe ślad pociechy. — Zobaczę, co powie.

Jill miała rację. Psycholog została wyznaczona przez sąd do zbadania Jodie w ramach toczącego się procesu o ustalenie opieki, i nie było jej rolą udzielanie mi rad lub proponowanie terapii dla Jodie.

Mimo to była to iskierka nadziei, bo z pewnością psycholog miałaby jakiś pomysł na to, co mogłabym zrobić.

Gdy sprawa Jodie przebiła się w końcu przez system, biurokratyczne koła zaczęły się powoli kręcić. Jodie została objęta zastępczą opieką na podstawie nakazu opieki tymczasowej, co oznaczało, że sąd miał w późniejszym czasie zdecydować, czy dziewczynka powinna wrócić do rodziny, czy też *należy* wydać nakaz opieki stałej. Przed wysłaniem swojego raportu psycholog miała się spotkać z Jodie kilkakrotnie, *gdyż jej* uwagi były bardzo istotne przy podejmowaniu decyzji przez sąd.

Sąd wyznaczył daty dwóch „rozpraw kierunkowych”: w styczniu i w marcu, po czym w maju miała się odbyć „rozprawa ostateczna”. Celem rozprawy kierunkowej było umożliwienie sędziemu rozpatrzenia dowodów, które w danej chwili były już zgromadzone, tak aby w interesie dziecka można było podjąć jakieś postanowienia tymczasowe, bez konieczności czekania na ostateczny werdykt sądu. Podczas procesu kurator z urzędu spotykał się ze wszystkimi stronami i powiadamiał sąd o swojej ocenie, przekazując zalecenia kroków, które byłyby zgodne z najlepszym interesem dziecka. W praktyce sędziowie często kierowali się opinią kuratorów i działali zgodnie z ich zaleceniami.

Jeśli na końcowej rozprawie sąd wydawał nakaz opieki stałej, to faktycznym kuratorem dziecka stawały się lokalne władze, a pomoc społeczna umieszczała je w długoterminowej rodzinie *zastępczej* lub w stałym ośrodku opiekuńczo-wychowawczym, a jeśli dziecko miało szczęście, pomoc społeczna mogła mu nawet znaleźć rodzinę adopcyjną. W przypadku Jodie jednak, biorąc pod uwagę jej wiek, agresywne zachowanie i trudności w nauce, ta ostatnia opcja była mało prawdopodobna.

Przed pierwszym spotkaniem z psychologiem Jodie była *jeszcze* umówiona na wywiad policyjny.

Rozmowa ta, poza tym, że stanowiła część procesu o ustalenie opieki, miała być wykorzystana w

policyjnym dochodzeniu, z myślą o oskarżeniu rodziców i pozostałych oprawców. Jodie miała być przesłuchiwana przez specjalnie przeszkolonych policjantów z Wydziału Ochrony Praw Dziecka i miałam nadzieję, że będzie równie rozmowna w stosunku do nich, jak była w odniesieniu do mnie.

Przyjechałyśmy na spotkanie z policjantami z Wydziału Ochrony Praw Dziecka na tyle wcześnie, że Jodie miała jeszcze możliwość pozagladania do policyjnych radiowozów zaparkowanych przed posterunkiem. Nacisnęłam guzik przy wejściu i podałam nasze nazwiska dyżurnemu w recepcji. Wyszedł zza biurka i pokazał nam drogę do specjalnego pokoju. Gdy weszłyśmy do środka, poczułam ulgę: pomieszczenie było najwyraźniej zaprojektowane tak, by *dzieci* czuły się w nim dobrze. Pokój był jasno umeblowany, z dużą czerwoną sofą, mnóstwem zabawek i kolrowa tapetą z bohaterami z *Króla Lwa* na ścianie. Dwie policjantki w cywilnych ubraniach wstały i się przedstawiły.

- Cześć, ty musisz być Jodie - powiedziała jedna z nich wesoło. - Ja mam na imię Kelly, a to jest Harriet.

Jodie uśmiechnęła się, a ja uściśnęłam im ręce.

- Kawa? - zapytała Harriet.

- Tak, proszę.

- I sok dla Jodie?

- Dziękuję - powiedziałam.

Harriet wyszła z pokoju, a Jodie przyniosła z pudła na zabawki *puzzle*, które zaczęłyśmy w trójkę układać. Harriet wróciła z napojami i paczka herbatników. Siedziałyśmy przez chwilę, podczas gdy policjantki próbowały zająć uwagę Jodie, pytając o jej zainteresowania, ulubione programy telewizyjne i tym podobne. Jodie pozostawała jednak obojętna na ich pytania - wolała siedzieć sobie w kacie i przeszukiwać pudełka z zabawkami. Po chwili Kelly usiadła na podłodze obok Jodie i próbowała przyłączyć się do zabawy, ale i to nie przyniosło spodziewanego rezultatu. Nie sadzę, by Jodie była celowo *nieprzyjazna*, po prostu nie widziała potrzeby kontaktu, choć wytłumaczyłam jej znaczenie tej wizyty przy śniadaniu i poprzedniego wieczora.

Wyjaśnienie Jodie tego, co miało się wydarzyć, było sprawą bardzo delikatną. Próbowałam jej wytłumaczyć, że jakieś miłe, uprzejme osoby będą jej zadawały pytania o rzeczy, o których mi mówiła, że się jej przydarzyły, ale w obawie przed wpływaniem na przebieg jakichkolwiek możliwych spraw sądowych nie mogłam dodać nic więcej. Nie mogłam powiedzieć: „Jodie, musisz opowiedzieć na policji o niegrzecznych *rzeczach, jakie robił* ci tatuś” żeby nie wkładać jej niczego do głowy. Wszystko, co mogłam zrobić, to poprosić ją o powiedzenie prawdy. Gdyby w trakcie wywiadu wyszło na jaw, że zasugerowałam Jodie jakiś najmniejszy szczegół, mogłoby to być wykorzystane przez obrońcę do podważenia zarzutów.

Miałam nadzieję, że Jodie zrozumiała, jak ważne było, żeby rozmawiała z policjantkami otwarcie i szczerze, ale -jak zawsze — trudno było mi stwierdzić, ile dotarło do niej z tego, co powiedziałam. Trzymałam kciuki, żeby była w zgodnym nastroju, podobnie jak podczas badań kontrolnych, i miałam nadzieję, że spodoba się jej bycie w centrum uwagi. Wiele dzieci, które trafiają pod opiekę zastępczą, tak właśnie się zachowuje: wcześniej były często zaniedbywane i ignorowane, więc gdy poświęca im się mnóstwo uwagi i gdy w ich sprawę angażuje się i wkracza w ich życie cały sztab profesjonalistów, to mogą się czasem poczuć jak małe gwiazdy. Zdarzało się już, że będąc w centrum wydarzeń, Jodie radziła sobie znakomicie, więc liczyłam po cichu, że zadziała to i dzisiaj.

Minęło kolejnych dziesięć minut i wtedy Kelly zaproponowała, żeby zacząć. Dotknęła delikatnie ramienia Jodie i powiedziała: - Za chwilę przejdziemy do takiego pokoju, który nazywa się pokojem przesłuchań. Wiem, że Cathy ci o tym wspominała. To jest tu obok. - Pokazała na drzwi. Jodie podniosła głowę. - Czy Cathy idzie z nami?

- Tak, żebyśmy mogły zacząć, ale potem wróci tu i będzie na ciebie czekać, a my sobie pogawędzimy w środku. I teraz, jak będziemy tak sobie rozmawiać, to jeden bardzo miły pan będzie nas nagrywał na wideo, żebyśmy mogły zapamiętać wszystko, o czym rozmawiałyśmy. Może tak być? Być może Jodie straciła zainteresowanie zabawkami, bo nagle, bardzo grzecznie i

ku mojej wielkiej uldze, podniosła się, wzięła Kelly za rękę i powiedziała: — No to chodźmy, chcę być na wideo.

Weszłam za nimi do pokoju obok, gdzie przywitał nas młody policjant, również w cywilnym ubraniu.

- Cześć, Jodie - powiedział. - Jestem John. Obsługuję kamerę. Chcesz podejść i zobaczyć? Pokój przesłuchań był mały i pusty, z trzema plastikowymi krzesłami, centralnym oświetleniem i ciemna żaluzja na jedynym oknie. Byłam zaskoczona, jak bardzo był surowy; wyobrażałam sobie, że będzie bardziej przyjazny dla dziecka.

John pokazał Jodie i mnie, gdzie została zamontowana kamera i gdzie będzie stał, ukryty za zasłoną. - Będziemy nagrywać na wideo ciebie i to, co będziesz mówić. W porządku, Jodie? Przypomniałam sobie moment, kiedy chciałam Jodie zrobić zdjęcie, jak tylko do nas przyjechała, i jak próbowała się wtedy rozbierać. Czy teraz zdenerwuje się tym dziwnym człowiekiem, który chciał ją nagrywać na wideo? Nie wydawała się tym przejmować, gdy starałam się jej to wcześniej wytłumaczyć, i jak do tej pory wyglądała na niewzruszona, bo skinęła głową na zgodę.

- Możesz usiąść na tym krześle? - powiedziała Kelly, pomagając jej, podczas gdy John usunął się dyskretnie za zasłonę.

— Cathy poczeka w pokoju obok, a ty zostaniesz z nami, dobrze? - powiedziała Harriet.

Jodie poprawiła się na krześle i delikatnie skinęła głową, a ja wyszłam z pokoju. Jako jej zastępcza opiekunka nie mogłam być obecna podczas przesłuchania, na wypadek gdyby miało to wpłynąć na zeznania Jodie. Wywiady tego typu muszą być przeprowadzone w warunkach kontrolowanych, by można je było dopuścić jako dowód w sadzie.

Wróciłam do jasnego, wesołego pomieszczenia, które tak bardzo różniło się od małego, ciemnego pokoju przesłuchań. Usiadłam, ale nie mogłam się uspokoić, więc zdecydowałam się wyjść na zewnątrz na papierosa. Wiatr był przeraźliwy. Schowałam się nieco w przejściu, zaciągając się ukradkiem i martwiąc się tym, co mogło się dziać w pokoju przesłuchań. To, co powie teraz Jodie, będzie decydujące, bo bez jej *zeznania*, na taśmie szansę na oskarżenie były niewielkie. W jej wieku i z jej trudnościami nie było mowy o tym, by mogła składać *zeznania na sali* sądowej. Natura naszego systemu prawnego sprawiała, że nawet w przypadku spraw o molestowanie seksualne *dzieci*, jako świadek Jodie musiałaby być przesłuchana przez adwokata strony przeciwnej. W żadnym wypadku nie poradziłaby sobie z tym - zresztą które dziecko poniżej dziesięciu lat, po przejściu przez podobny koszmar jak Jodie, mogłoby coś takiego wytrzymać:¹ W efekcie nie dziwiło specjalnie, że tak mało spraw trafiało do sadu, a tylko pojedyncze kończyły się skazaniem oprawców. Wypaliłam pół papierosa, zgasiłam go i poczułam się tylko w połowie winna. Nacisnęłam guzik, by wejść z powrotem na posterunek, i sama już ruszyłam do pomieszczenia obok pokoju przesłuchań. Przechadzałam się trochę, potem usiadłam, potem znów zaczęłam chodzić tam i z powrotem. Po dwudziestu minutach otworzyły się drzwi i wyjrzała z nich Kelly.

- Jeszcze dziesięć minut i kończymy na dzisiaj. Obawiam się, że nie mieliśmy zbyt dużo szczęścia. Skinęłam, a moje serce tonęło, podczas gdy Kelly wróciła na przesłuchanie. Podeszłam do okna, które wychodziło *na podwórze* z tyłu posterunku. Patrzyłam, jak podjechał wóz patrolowy i wysiadło z niego dwóch policjantów, *racząc* się jakimś dowcipem. Prowadzać opiekę *zastępczą*, często mam do czynienia z policja, nie tylko w sprawach ochrony praw dziecka, ale też w przypadku nastolatków uciekających z domu czy też popełniających wykroczenia. Praca policjantów była trudna i zawsze miałam dla nich najwyższe uznanie, zwłaszcza dla zespołu Wydziału Nieletnich Przesiępców, który musiał wykazywać anielską wręcz cierpliwość.

Ogarnęło mnie przygnębienie. Mogłam przypuszczać, że jeśli Jodie nie otworzyła się do tej pory to *raczej już* tego nie robi. Wiedziałam, jaka była, gdy nie chciała mówić. Nie było mowy, żeby forsować temat, Jodie była niewzruszona jak skała. Zostało jej już tylko kilka minut, żeby powiedzieć policji to, co musieli wiedzieć, by była jakakolwiek szansa na ukaranie ludzi, którzy tak bardzo ją skrzywdzili.

Czekając tam, myślałam, nie pierwszy *zresztą raz*, o braciszku i siostrzyczce Jodie. Czy oni też musieli *cierpieć tak jak* Jodie? Miałam nadzieję, że nie, ale było też mało prawdopodobne, bym się tego kiedykolwiek dowiedziała. Informowano mnie jedynie o tym, co dotyczyło Jodie, więc wiedziałam tylko, że jej rodzeństwo było obecnie u innych opiekunów. Myślałam z nadzieją, że ze względu na to, iż byli *znacznie* młodszy od Jodie, mogli uniknąć tego, przez co ona *przeszła*.

Chwilę później usłyszałam za drzwiami głos Jodie. Drzwi się otworzyły i Jodie wybiegła w podskokach. - Zrobiliśmy wideo - powiedziała, uśmiechając się szeroko. - To było super! - Pobiegnęła do pudełek z zabawkami. Spojrzałam z *nadzieją*, na Harriet i Kelly, które potrząsnęły głowami, Harriet skinęła na mnie, bym do niej podeszła, podczas gdy Kelly pomogła Jodie ubrać płaszcz.

- Obawiam się, że nic nie powiedziała - odezwała się do mnie Harriet. — Powtarzała ciągle, jak bardzo chce roztrzaskać głowę ojcu, ale nie powiedziała dlaczego i nie podała żadnych szczegółów. Dopóki jest taka mała, nie będziemy więcej próbować, ale zostawiamy sprawę otwartą na przyszłość. Miejmy nadzieję, że któregoś dnia będzie gotowa.

- Dziękuję - powiedziałam, nie potrafiąc ukryć rozczarowania. — Przykro mi, że nie była bardziej pomocna, ale na dobrą sprawę nie jest to takie zaskakujące.

- Nie. Z pewnością nie. Nie wszystko się udaje. Miałam do czynienia z tą rodziną kilka lat temu. Jeden Pan Bóg *raczy wiedzieć*, dlaczego tak długo zostawiono tam Jodie.

Zaintrygowało mnie to, ale policjantka nie powiedziała nic więcej, *zresztą nie* pozwalała jej na to poufność prowadzonych spraw. Najwyraźniej policja interweniowała już kiedyś w tej rodzinie, ale to mogło być cokolwiek, od nieprawidłowego parkowania po drobne przestępstwa lub handel narkotykami. Niemniej czułam, że Harriet zasugerowała, że cokolwiek działo się w domu Jodie, było złe... ale nigdy się o tym nie dowiedziałam.

Zapięłam Jodie płaszcz i obie policjantki odprowadziły nas do wyjścia. Gdy tylko doszliśmy do rogu, dobry nastrój Jodie prysnął.

- Cathy, czy *przyjdzie* po mnie potwór? Czy *przyjdzie i zrobi* to, co mówili? - Powiedziała to niespokojnie, niemal na *bezdechu*. - Myślę, że ten potwór przychodzi. Jest pod moim łóżkiem i chce mi odgryźć ręce, jak śpię.

- Nie, kochanie, nic takiego nie robi, obiecuję. Dlaczego tak myślisz?

- Tatusi i wujek Mike mówili, że jeśli komuś powiem, to on *przyjdzie*. — Niepokój w jej głosie wzrastał tak, że po chwili wyrzucała słowa jak z karabinu: - *Przyjdzie i odgryzie* mi ręce i nogi! To właśnie się stanie!

— Nie, skarbie — powiedziałam, próbując ją uspokoić. — Nie *przyjdzie*. Spisałaś się bardzo dobrze na policji, wiem o tym. Byłaś *grzeczną* dziewczynką i nikt cię nie skrzywdzi. Jesteś ze mną *bezpieczna*., wiesz o tym, prawda? Nie ma żadnego potwora.

Gdy tak próbowałam ją uspokoić, zdałam sobie sprawę, że to właśnie ten strach spowodował, że nie powiedziała na policji. Nagle rozgorzała we mnie złość na władzę, jaka ciągle mieli nad Jodie jej oprawcy. Mała bezwiednie ich broniła, bo strach, jaki w niej zasiali, był na tyle silny, że zagłuszał wszystko inne.

- Jesteś ze mną bezpieczna, Jodie - powiedziałam, gdy wracaliśmy do domu. — Obiecuję.

Tamtej nocy, gdy o dziesiątej włączyłam telewizyjne wiadomości, ciągle mówili o gwiazdorce rocka aresztowanym w wyniku międzynarodowego dochodzenia w sprawie dziecięcej pornografii szerzonej w internecie. Policja skonfiskowała jego komputer i na twardym dysku znalazła pedofilskie *zdjęcia*, Ze złości aż się we mnie zagotowało. Czy ci zbrojenci nie mieli pojęcia, jak takie *zdjęcia* zostały zrobione? Każda fotografia oznaczała jedno wykorzystane dziecko i zniszczona osobowość, i złamane życie. Skutkiem były dzieci takie jak Jodie, rozbite na kawałki i zranione tak, że naprawa *nieraz* okazywała się niemożliwa. Jeśli o mnie chodziło, to osobę, która kupowała te sprośności, uważałam za równie winną, co bezpośredni oprawcy, i nie było we mnie grama współczucia dla złamanej kariery rockmana czy zrozumienia dla tłumaczenia, że to badania do książki.

Wizyta u pani psycholog została umówiona na poniedziałkowe popołudnie. Chociaż było to nasze pierwsze wspólne spotkanie z doktor Burrows, to Jodie widziała się z nią raz wcześniej, gdy była u drugich opiekunów. Z jakiegoś powodu wydawała się niezbyt chętna, by znów ja zobaczyć.

- Ale doktor Burrows będzie mogła ci pomóc - tłumaczyłam. — Wszyscy chcą ci pomóc, Jodie, ale najpierw musimy powiedzieć doktor Burrows to, o czym wiemy. Zęby ludzie mogli ci pomóc, musisz powiedzieć, co się wydarzyło.

- Nie jej pieprzony interes! - odwarknęła. - Wścibska krowa!

- Co nie jest jej interesem:¹ - zapytałam. Ale Jodie nie uważała. Podejrzewałam, że rodzice przestrzegali ją przed taką sytuacją i namawiali do odmowy współpracy, obawiając się, że psycholog może poważnie zagrozić ich wstydlivej tajemnicy.

Nie musieli się martwić. Od chwili, gdy przyjechałyśmy, Jodie była nieprzyjazna i niekomunikatywna. Nie odpowiadała na żadne pytania, nawet dotyczące tak niewinnych tematów, jak jej ulubione zabawki czy potrawy. Jedyne odpowiedzi, jakich udzielała, były monosylabiczne i bełkotliwe. Nie udawała. Po chwili przestała zadawać bezpośrednie pytania i próbowała innej metody. Przyniosła blok rysunkowy i kolorowe kredki.

- Jodie, czy mogłabyś mi trochę porysować? Chciałabym zobaczyć kilka twoich rysunków. Może narysowałabyś na przykład mamusię i tatusia w domu:¹

To wydawało się nieco zmiękczyć Jodie, bo wzięła kredkę i zaczęła rysować w swój niezgrabny, nieskoordynowany sposób. Przyglądałyśmy się, jak gryzmoła rysunek. Nie jestem psychologiem, ale nie potrafiłam zrozumieć, w jaki sposób rysunki Jodie mogły być przydatne. Były to dziecięce szkice z ludzikami jak szpilki o zbyt dużych głowach, bez żadnych szczegółów. Jodie jednak najwyraźniej *czuła*, że i tak zrobiła więcej, niż powinna, bo na wszystkie pozostałe pytania pani doktor odpowiadała: — Nie wiem. Odpieprz się!

W końcu godzinne spotkanie dobiegło końca. Miałam wrażenie, że było trochę powierzchowne, i skorzystałam z okazji zapytania pani psycholog, czy zechciałaby mi zasugerować coś, co pomogłoby mi *radzić* sobie z potrzebami Jodie.

- Jej główna potrzeba jest podstawowa opieka - odpowiedziała. - Widzę, że radzi sobie pani z tym wyśmienicie. Podziałają na *niq.* tylko stałość i zdecydowane granice. Bardzo się cieszę, że trafiła do pani. Wykonuje pani tę robotę rewelacyjnie!

Komplementy są zawsze miłe, ale ja prosiłam o radę. Czułam się doprowadzona do rozpacz i bardzo samotna. Brakowało mi odpowiedniego przygotowania pod kątem takich sytuacji, plątałam się w ciemności, dręczona zmęczeniem, niepewnością i poczuciem absolutnej beznadziei. Dotarło teraz do mnie, że *narzędzia*, i wiedza, które posiadałam, były po Doktor Burrows była profesjonalna i konkretna, i dobrze wiedziała, jak nawiązać kontakt z dzieckiem, ale z Jodie jej się prostu niewystarczające w porównaniu z potrzebami Jodie. Doktor Burrows z pewnością była świetna, ale chyba nie rozumiała, że nie mogłam rozdzielić podstawowej opieki nad Jodie od jej stanu psychicznego. Dzień w dzień nie tylko ją karmiłam, bawiłam się z nią i utrzymywałam w czystości, ale musiałam też reagować na jej ataki złości, przemoc, koszmary, poranne wizje, halucynacje i skrajne *przerażenie*. Wszystko to nie mogło się ładnie wkomponować w jednogodzinne okienko. Ja żyłam z tym nieprzerwanie, dzień i noc.

Gdy wyszłyśmy, poczułam się bardziej samotna niż kiedykolwiek.

Zanim się zorientowałam, od Bożego Narodzenia dzieliło nas już tylko kilka dni, ale teraz trudno mi było wykrzesać z siebie to podniecenie, które czułam jeszcze parę tygodni wcześniej. Wyglądało na to, że w tym roku święta nie będą tak wielkim wydarzeniem jak zwykle. Kupiłam już i opakowałam wszystkie prezenty, przystroiłam też dom, ale nie wkładałam w to serca. Dla dobra dzieci starałam się robić dobrą minę do złej gry, ale ograniczyłam rozmiar zwykłych przygotowań. Byłam najnormalniejszy wyczerpana, by zorganizować święta jak się patrzy. Moi rodzice mieli do nas przyjechać w Boże Narodzenie, podobnie jak mój brat z rodziną. W Wigilię zwykle przygotowywałam niewielkie przyjęcie dla przyjaciół i sąsiadów, ale w tym roku nie dałabym rady. Wytłumaczyłam im, że mam obecnie jednak zbyt dużo spraw na głowie, i obiecałam, że dam znać, gdy wszystko nieco się uspokoi. Miałam nadzieję, że *żadne* z nich nie poczuło się urażone.

W spokojniejszych momentach, gdy miałam czas, żeby się zastanowić, *zauważałam*, że zaczynałam być zbyt zaangażowana w Jodie i jej cierpienie. Wciągała mnie otchłań jej emocjonalnego niepokoju, i nawet jeśli byłam tego świadoma, to i tak nie potrafiłam się otrząsnąć. Jodie zajmowała moje myśli nieprzerwanie, *Czytając* książkę, łapałam się na tym, że przewracam kartki, ale nie śledzę żadnego wątku. Tak samo z radiem czy telewizją. Ciągle myślałam o Jodie, i teraz już nawet mój umysł cierpiał. Wypaczona percepcja Jodie *zabarwiała* moją. Czułam się tak, jakby zło, które zepsuło

świat Jodie, wypełzało i psuło teraz mój dom. Wydawało się, jakby powietrze wypełniała jakaś trucizna, a Jodie była jej niewinnym źródłem. Postanowiłam, że muszę szybko zrobić sobie przerwę, by móc zebrać się w sobie. Zadzwoiłam do Jill.

Wyjaśniłam jej, że *zaczynałam* być wyczerpana zarówno fizycznie, jak i psychicznie. - Jill, nie żartuję, potrzebuję przerwy. Po prostu trochę czasu, żeby przegrupować i zebrać siły, i pomyśleć przez chwilę o czymś innym. Moje własne dzieci też potrzebują nieco matczynego czasu i uwagi. Czy mogłabyś, proszę, dopilnować, żeby *zajęli* się moim urlopem.¹ Może być obojętnie który weekend w styczniu.

- Oczywiście - odpowiedziała. - Zaslugujesz na wakacje. Co więcej, potrzebujesz ich, jeśli miałabyś dalej opiekować się Jodie. *Zajmę się* tym dziś po południu. Jedyny problem, Cathy, jest taki, czy znajduję odpowiednich opiekunów na ten czas. Muszą być bardzo doświadczeni, bez dzieci młodszych czy w tym samym wieku co Jodie. Pomyślałam o jednej parze z Surrey. Sprawdzę, czy są wolni.

- Dziękuję ci. Będę wdzięczna. - Odłożyłam słuchawkę, podniesiona nieco na duchu.

Pozar

Następnego dnia zadzwoniła Jill, żeby się umówić na ostatnie spotkanie przed Bożym Narodzeniem. Rozmawiałyśmy dłuższą chwilę. Powiedziałam jej, jak trudne było spotkanie Jodie z doktor Burrows. Jill zapytała, czy Jodie wspominała kiedykolwiek o swoim rodzeństwie.

- Rzadko - odpowiedziałam - i zwykle w kontekście opowieści o domu.

- Nie pyta, czy ich zobaczy?

- Nie, nie pyta. - I nagle dotarło do mnie, jakie to było dziwne. Więzy między rodzeństwem, które trafia pod opiekę, często w wyniku separacji jeszcze się wzmacniają, więc nawet jeśli dzieci nie widują rodziców, to pomoc społeczna zwykle pilnuje ustalenia spotkań między braćmi i siostrami. - Są jakieś plany, by mieli się zobaczyć:¹ - zapytałam.

- W tej chwili nie. Były obawy co do tego, jak Jodie ich traktowała. Myślę, że przypuszczano, że bywała wobec nich agresywna, i dlatego wszyscy trafili do innych opiekunów.

Mogłam to sobie wyobrazić. Gdy była zdenerwowana, Jodie często atakowała innych. - A co z kartkami świątecznymi i prezentami? - zapytałam.

- Jeśli Jodie chce je wysłać, to oczywiście je przekazemy. Tamtego popołudnia zapytałam Jodie, czy nie chciałaby pojechać na zakupy po prezenty dla brata i siostry.

- Nie - odpowiedziała. - Nie chcę.

- To może wyślemy im kartkę? Pomogę ci napisać, jeśli chcesz.

- Nie. Nienawidzę ich!

- Dlaczego ich nienawidzisz, Jodie?

Zastanowiła się przez moment. - Mama lubiła ich bardziej niż mnie. Zabierała ich, gdy tato przychodził do mojej sypialni.

- W porządku, złotko, myślę, że rozumiem. - Nie byłam całkiem pewna, co Jodie chciała mi powiedzieć, ale bardzo możliwe, że młodsze rodzeństwo było w jakiś sposób chronione przed tym, co przechodziła Jodie. Nic dziwnego, gdyby miała do nich pretensje. Może nawet zdarzało się jej ich uderzyć, bo była zazdrosna, że im udało się tego uniknąć, i chciała ich za to ukarać. Były to, rzecz jasna, tylko przypuszczenia, choć dla dobra rodzeństwa Jodie miałam nadzieję, że faktycznie zostawiono ich w spokoju.

Jodie nie tylko została odcięta od rodziców, była też odizolowana od rodzeństwa. Nigdy nie wspominała o dziadkach, a ciotki i wujkowie byli jej oprawcami, zatem jedyna rodzina, jaka teraz miała, byliśmy my. Pomyślałam o swoich dzieciach i licznej rodzinie, która, jeśli tylko coś by mi się stało, bez wahania zaangażowałyby się i nimi zaopiekowała. Teraz już o tym nie myślałam, ale w przeszłości owszem. Gdy mój mąż odszedł, a Adrian był w wieku Jodie, w gorszych chwilach dobrze było otulić się bezpiecznym szalem świadomości, że gdybym na przykład wpadła pod autobus, to ktoś zająłby się moimi dziećmi i kochał je tak samo jak ja. Jodie natomiast nie miała na świecie nikogo poza nami.

Zamiast pójść na zakupy Jodie wolała trochę pomalować, więc wyłożyłam na stół kartki, farby, pędzle i kubek z wodą. Zawiązałam jej fartuszek i zostawiłam na chwilę sama, żeby popracowała nad

rysunkami. Gdy wróciłam, żeby sprawdzić, co u niej, byłam pod wrażeniem. Namalowała kilka obrazków, które rzeczywiście były do czegoś podobne.

- Podobają ci się, Cathy? - zapytała Jodie z dumą.

- Bardzo. Te obrazki są fantastyczne, Jodie. Możesz je dla mnie opisać? Powiedz mi, co na nich jest.

- Dobrze. Na tym jest dom.

- Bardzo ładny. A to są okna, tak?

- Tak, okna. Na tym jest samochód. A na tym jest mój pies - głupi, stary pies.

Poruszyłam się niespokojnie. Na spotkaniu przed umieszczeniem u mnie Jodie powiedziano mi, że mała podpaliła swojego psa, omal nie puszczając z dymem całego domu. To właśnie ten incydent doprowadził w końcu do zabrania Jodie i jej rodzeństwa i oddania ich pod opiekę.

- Aha - odpowiedziałam. - A możesz mi powiedzieć coś więcej o tym rysunku?

- Tak, mogę. To jest nasz pies, Sam. Jest duży, brązowy i zawsze szczeka.

- Ale dlaczego powiedziałaś, że jest głupi, Jodie?

- Nie wiem - odpowiedziała niecierpliwie.

— Musi być jakiś powód, dlaczego jest głupi. Możesz mi powiedzieć?

- Jest cały brzydki i spalony. Okropny!

- Ojej! A jak się spalił? - zapytałam, próbując mówić lekko i spokojnie. Stałyśmy cały czas obok siebie, patrząc na rysunki, i nie chciałam wywierać na Jodie presji. Pomachała pędzlem w wodzie, potem wypróbowała go na papierze. Widząc, że ciągle nie jest czysty, zanurzyła go ponownie w kubku i zamieszała.

- Jodie, możesz mi powiedzieć, jak Sam się spalił? Obiecuję, że nie będę zła.

— Jodie to zrobiła - wyszeptęła. - Okręciłam go całą srajtaśmą, a potem wzięłam zapalniczkę mamy. Podskakiwał i podskakiwał, i szczekał, i biegał naokoło, i wszystko zaczęło się palić.

— A gdzie byli twoja mama i tato, kiedy to zrobiłaś?

— Byli u wujka Mikea.

- Byłaś sama?

- Nie, byli też Ben i Chesi. - Jej siostrzyczka miała na imię Chelsea, ale Jodie ciężko było je wymówić. - Opiekowałam się nimi.

— I co stało się później?

- Podniosłam Chesi i wzięłam ja i Bena do ogrodu, a ten głupi pies przyszedł za nami i zaczął się tarzać po ziemi. Wyglądał cały brzydki, ze zwisającym futrem, i śmierział. No i narobił strasznie dużo hałasu. Poszłam do przedpokoju i zadzwoniłam na 998, i strażacy przyjechali, i wszystko ugasilili.

— To było rozsądne, żeby wezwać straż pożarną. Uratowałaś Chelsea i Bena.

— Nooo — powiedziała, łapiąc nową kartkę papieru.

- Jodie, powiesz mi, dlaczego chciałaś skrzywdzić swojego psa?

- Nie był mój pies - odwarknęła. - Pies tatusia. Mówiłam ci.

- Ach, tak. To powiesz mi, dlaczego chciałaś skrzywdzić psa tatusia? *Zmarszczyła czoło*, próbując się skupić. Stopniowo twarz zaczęła jej tężeć i piąstka zacisnęła się na pędzlu, - Nienawidzę go!

Nienawidzę ich i chciałam spalić dom i uciec. To okropny dom! - Uderzyła w stół. - I chcę, żeby tatusia aresztowali. On jest okropny, siedział mi na buzi. Powinni go zamknąć, zabić go!

- Ale dlaczego podpaliłaś psa, Jodie? Jeśli chciałaś podpalić dom i uciec, to dlaczego nie podpaliłaś zasłan albo kanapy?

- Głupia jesteś. *Przecież* by mnie złapali, gdybym podpaliła kanapę. Mogę teraz dostać ciastko, Cathy?

Kiedy poszłam przynieść jej ciastko, zastanawiałam się, czy Jodie podpaliła psa, żeby w ten sposób ukarać ojca, krzywdząc istotę, którą kochał. Albo może, mimo wszelkich jej trudności z nauką i opóźnienia w rozwoju, Jodie wymyśliła sposób, żeby wydostać się z tamtego domu. Przerazająca była myśl, że gdyby tego nie zrobiła, ciągle mogłaby tam żyć, przechodząc to brutalne poniżenie dzień po dniu.

Podczas kolejnych dni Jodie stawała się coraz bardziej odległa. Na nowo starałam się ją wciągnąć w życie naszej rodziny, ale ona pozostawała absolutnie oporna, zachowując się, jakby nikogo nie potrzebowała i mogła sobie *radzić* sama. Widziałam już takie zachowanie wcześniej - samowystarczalność nie jest czymś rzadkim u molestowanych i zaniedbywanych dzieci, ponieważ,

żeby przetrwać, dzieci takie często muszą być bardzo *zaradne - ale* Jodie rozwinęła to do niespotykanego poziomu. Jakikolwiek przejaw troski czy uwagi z naszej strony spotykał się ze stanowczym odrzuceniem lub *szyderczą*, kpiną. Jodie nie chciała żadnej formy codziennego wsparcia czy interakcji, jakie składały się na życie rodzinne, i budowała bariery, które podkreślały jej odrębność. Pewnego popołudnia Paula i Lucy przyłączyły się do naszej wyprawy na zakupy, ale Jodie odmawiała chodzenia z nami i maszerowała kilka kroków przed lub za *resztą*, *prawie* w ogóle się nie odzywając. Nazajutrz wzięłam Jodie do kina, na kreskówkę Disneya *Lilo i Stich*, *ale* ona ostantacyjnie usiadła dwa fotele ode mnie. Przysiadła się do mnie dopiero, gdy zgasły światła, ale tylko dlatego, że bała się ciemności. Nigdy wcześniej nie była w kinie, ale nie okazywała specjalnego podekscytowania ani przed, ani po seansie. Był to kolejny przykład tego, jak była przytępiona i odczulona. Schowała się w swojej samotności, a ja zupełnie nie wiedziałam, jak się do niej dostać. Miałam jedynie *nadzieję*, że Boże Narodzenie zacieśni nasze relacje. Nie ma *przecież* nic *bardziej* rodzinnego niż święta Bożego Narodzenia.

Córeczka tatusia

Nicola przyjechała na ostatnie przed świętami lekcje z Jodie, a następny dzień był ostatnim dniem dziewczynek i Adriana w szkole. Nagle nasza piątka była razem przez cały dzień! Słowa „razem” używam tu bardzo luźno, bo nawet jeśli wszyscy byliśmy pod jednym dachem, to unikaliśmy poczucia wspólnoty, i to nie tylko w odniesieniu do Jodie. Adrian, Paula i Lucy większość czasu spędzali w swoich pokojach, a kiedy już schodzili na dół, witał ich kopniak, kuksaniec albo potok słów w rodzaju: „Co tu robisz? Wynoś się! To mój dom teraz!” i tak dalej. Stosunek Jodie do innych niezbyt złagodniał od czasu, gdy z nami była. Wbrew logice, im więcej uwagi jej poświęcałam, tym bardziej była zazdrosna o innych.

Ciągle tłumaczyłam Jodie, że mieszkamy wszyscy razem, jako rodzina, ale nie trafiały do niej *żadne* rozsądne argumenty. Nawet jeśli nie potrzebowała rodziny, to wydawało się, że mnie naprawdę potrzebowała. Jej zaborczość wzmocniły długie tygodnie, kiedy całymi dniami byliśmy tylko we dwie, i zaczynało mnie to już złościć. Zadała mojej nieustannej uwagi. Zauważyłam, że robiła coś, czego jeszcze żadne dziecko nie zrobiło: osłabiała całą konstrukcję mojej rodziny. W normalnych okolicznościach zaradziłabym temu, wprowadzając między nami pewien dystans, ale w przypadku Jodie, z powodu specjalnej troski, której wymagała, było to praktycznie niemożliwe.

Wrogość i agresja Jodie miały silny wpływ na nas wszystkich i stwarzały nieprzyjemną atmosferę. Nawet kiedy była w swoim pokoju, czuliśmy to, jak obecność w domu kogoś obcego. Przy kolacji, jeśli jedliśmy wszyscy razem, musiałam prowadzić jakąś rozmowę, bo przez ciągłe warczenie Jodie dzieci stały się powściągliwe i w ogóle się nie odzywały. Rzadziej nawet na siebie patrzyliśmy, bo jeśli któraś z nas spojrzaloby na Jodie, to od razu podnosiła krzyk. Jedno spojrzenie mogło łatwo doprowadzić do hysterii, a nikt nie chciał być odpowiedzialny, nawet pośrednio, za zmarnowanie kolejnego posiłku.

Ponieważ rodzaj molestowania Jodie powodował, iż musieliśmy się wystrzegać wielu tematów, rzadziej także rozmawialiśmy. Nie mogliśmy na przykład pogadać z Lucy o jej nowym chłopaku, mimo że ta niemal nie przestawała o nim myśleć. W rzeczywistości *mężczyźni* w każdym wieku stali się w naszym domu tematem tabu, byliśmy nawet ostrożni w rozmowach o telewizyjnych gwiazdach. Kiedy dziewczynki były cały dzień w domu, uświadomiłam sobie dotkliwie, że Jodie stworzyła między sobą a rodziną fizyczny dystans. Przez pierwsze kilka miesięcy po *przyjeździe* potrzebowała mnóstwa przytulania i pocieszania, ale ostatnio ucięła niemal wszystkie formy fizycznego kontaktu, nawet gdy budziła się w nocy z krzykiem. Zawsze przytulałam i całowałam dziewczynki, Adriana *raczej* mniej, i teraz nagle jasno sobie uświadomiłam, jak odizolowana stała się Jodie. Oczywiście starałam się to zmieniać, ale gdy próbowałam przytulić ją przed pójściem spać lub gdy prosiłam, żeby usiadła obok mnie na kanapie, Jodie rzucała w żartach, że to wstrętne, albo kręciła głową i po prostu uciekała.

Zawsze się martwiłam, gdy tak się zachowywała, bo było oczywiste, że była bardzo smutna i samotna, i nie pragnęłam niczego więcej, jak tylko okazać jej czułość i miłość, które moje *dzieci*

traktowały jak coś oczywistego. Nie jestem psychologiem, ale przypuszczałam, że w efekcie cielesnego wykorzystania w umyśle Jodie koncepcja fizycznego kontaktu uległa zupełnemu wypaczeniu i stał się on dla niej przykry i przerażający. To był drastyczny przypadek paragrafu 22: Jodie potrzebowała czułości jak nikt, kogo znałam, ale wszelkie przejawy czułości powodowały u niej tylko lęk.

Odwiedziła nas Sally, kurator z urzędu, i poprosiła o chwilkę rozmowy sam na sam z Jodie.

Zostałam w salonie, a sama skorzystałam z okazji spędzenia odrobiny czasu z Lucy i Paula, podczas gdy Adrian wyszedł do kolegów. Zastałam Paulę siedzącą na łóżku, bardzo przygnębiona - cały ranek Jodie przeszkadzała i była agresywna. - Wolałabym chodzić już do szkoły - przyznała się. - Strasznie się boję Bożego Narodzenia. Ona wszystko zepsuje.

- Nie zepsuje, nie pozwolimy jej. I może się okazać, że właśnie takiego czasu potrzebuje, by móc otworzyć serce. Wiem, że to trudne, ale *przecież nie* może wiecznie tak się zachowywać.

- Nie może? Do tej pory znakomicie jej to wychodzi. Przez nią nie ośmieliłabym się nawet przyprowadzić do domu znajomych.

Zaskoczyła mnie. Moja zwykle towarzyska córka za bardzo się wstydziła, by zaprosić do własnego domu znajomych!

Podeszłam do niej, żeby ją przytulić. - Przepraszam. Nie zdawałam sobie z tego sprawy. A może zaprosisz koleżanki na którąś z nocy, kiedy Jodie będzie przez jakiś czas u innych opiekunów?

Oglądanie filmów, uczta o północy, pełno atrakcji?

Rozchmurzyła się nieco. - W porządku, mam, przepraszam.

- Nie ma za co. Rozumiem.

Weszłam do pokoju Lucy, ale gdy tylko wspomniałam imię Jodie, Lucy od razu na mnie naskoczyła.

- Tylko o niej ciągle się mówi! Jodie, cholerna Jodie! Rzygam już nią! Wolałabym, żeby nigdy do nas nie przyjechała. Nie zmienisz jej, Cathy, cokolwiek byś robiła. Chyba teraz to już widzisz? Ona jest zła. Potrzebuje cholernego egzorcysty, a nie opiekuna!

Zastanawiałam się, czy Sally zauważyła napięcie panujące w domu, bo tuż przed wyjściem zatrzymała się w przedpokoju i położyła mi rękę na ramieniu. - Cathy, robisz naprawdę świetną robotę, ale musisz być pewna, że twoja rodzina na tym nie ucierpi. Takie *dzieci* mogą wprowadzać kompletny zamęt w emocjach. Pamiętaj, to nie ty jesteś odpowiedzialna za jej krzywdę. Tylko i aż tyle możesz zrobić.

Słowa Sally mnie pocieszyły. Miło było usłyszeć od kogoś coś pozytywnego i przyznać się do tego, co się działo wokół. Darzyłam Sally szacunkiem - udawało się jej łączyć profesjonalizm z empatią, co pozwalało mi czuć, że mnie rozumiała.

Później tamtego popołudnia zadzwoniła Eileen. - Cześć, Cathy - powiedziała swoim beznamiętnym, ślamazarnym głosem. - Mamy chyba mały problem,

- Ach tak? - odpowiedziałam niewzruszona. Przyzwyczyłam się już do tego, że opiekunowie socjalni zwykli mówić, że „my” mamy problem. Zwykle oznaczało to, że miało mnie spotkać coś niemiłego.

- Gdy wysłaliśmy kopię *orzeczeniu* lekarskiego do rodziców Jodie, ktoś zapomniał zamazać twoje dane, więc obawiam się, że znają już twoje nazwisko i adres. - Jak zwykle, w ogóle nie zabrzmiało to tak, jakby jej było przykro. Byłam wściekła! Martwiłam się o przychodnię laryngologiczną, a tymczasem to pomoc społeczna podała na tacy moje dane. Przypomniałam sobie tamten głuchy telefon, kiedy była u nas Nicola - czy to mogli być rodzice Jodie?

- Rozumiem - powiedziałam. - To z pewnością zapewni Jodie bezpieczeństwo! Choć nie mogę powiedzieć, że jestem zaskoczona. Kiedy to się stało?

- Nie wiem dokładnie. Dowiedzieliśmy się dzisiaj rano, gdy zadzwoniła do nas matka Jodie z żądaniem spotkania. Groziła, że jeśli tego nie umożliwimy, pojedzie do twojego domu. Oczywiście powiedzieliśmy jej, że to niedopuszczalne, ale pomyślałam, że powinnaś *wiedzieć*.

— Dzięki - odpowiedziałam powściągliwie. - I co ona na to? Ciągle *zamierza*, się tu pojawić?

- Nie sadzę. Tylko raz o tym wspomniała. Ale nie martw się, gdyby się tylko pokazała, od razu wystąpimy o nakaz sadowy.

Tak - pomyślałam - tylko że nakaz sądowy to tylko kawałek papieru. Już sobie wyobrażałam, jak na progu mojego domu zjawiają się wściekli rodzice, a ja macham im *przed* nosem jakimś świstkiem. Nie zrobiliby to na nich większego wrażenia. Jeśli dziecko ma nakaz opieki tymczasowej lub gdy pracujemy nad jego rehabilitacją, by mogło wrócić do rodziny, a rodzice wykazują chęć współpracy, wtedy nie ma problemu, jeśli nawet się dowiedzą, gdzie mieszkają dziecko i zastępcza rodzina. Bywało już nawet tak, że spotkania odbywały się u mnie w domu. Ale w tym przypadku oczywiście nie było ku temu podstaw, a właściwie nie mogło być nawet o tym mowy. Było absolutnie oczywiste, że należało podjąć najwyższe środki ostrożności, by chronić moje dane, a tak się nie stało. Eileen pozostała nieczuła na moją frustrację, a poza tym w tej sytuacji nie mogłam już zbyt wiele zrobić. Nakaz sądowy był mi tak potrzebny, jak umarłemu kadzidło.

— OK — powiedziałam sztywno. — Dzięki za wiadomość. — I zakończyłam rozmowę.

Byłam oczywiście zła, ale - jak powiedziałam Eileen - nie bardzo zaskoczona. W trakcie postępowania o ustalenie opieki mnóstwo dokumentów krąży pomiędzy rodzicami, adwokatami, opiekunami socjalnymi, kuratorem z urzędu i innymi instytucjami. Jeśli system opiera się na kimś w Ośrodku Pomocy Społecznej, kto powinien pamiętać o zamazaniu poufnych danych w każdym dokumencie, to pomyłki są nieuniknione. W moim przypadku mniej więcej połowa rodziców w którymś momencie poznawała mój adres, co z założenia było niedopuszczalne.

W wyniku złamania zasady poufności my wszyscy jako rodzina musieliśmy podjąć szczególne środki ostrożności. Przed otwarciem drzwi do domu moje dzieci zawsze zaglądały najpierw przez judasza i jeśli *widzą*, kogoś nieznanego, nie otwierają, tylko mnie wołają. Dzieci objęte opieką w ogóle nie otwierają drzwi. Poza tym mamy w domu zainstalowany kosztowny system alarmowy i porządne zamki, a *przed* opuszczeniem domu zawsze rozglądałam się na drodze. Po jakimś czasie *stało się* to moją drugą naturą. Wszyscy nauczyliśmy się też, że *należy* po prostu zaakceptować ryzyko. Dzięki Bogu do tej pory, poza jakimiś niemiłymi słownymi napaściami, nikt z nas nie stanął w obliczu prawdziwego *zagrożenia*.

Ale kilka dni później moja cierpliwość w stosunku do Eileen została nadwyrężona do granic możliwości. Z przyczyn tylko im znanych, pomoc społeczna zdecydowała zwołać spotkanie, by przedyskutować groźby matki Jodie co do pojawienia się u mnie, i ja z Jill miałyśmy się na nim zjawić. Zdziwiłyśmy się, że mieli na to czas tak krótko przed Bożym Narodzeniem. A poza tym niby o czym mieliśmy dyskutować? Nikt nie mógł teraz cofnąć informacji, która została już wysłana. Uzyskiwanie nakazu sądowego zabraniającego rodzicom Jodie *zbliżania* się do mojego domu byłoby bezcelowe. Jedyną opcją było umieszczenie Jodie u nowych opiekunów, co najwyraźniej nie było w interesie żadnej ze stron, a już na pewno nie w interesie Jodie. A swoją drogą, kto by się nią zajął, z jej rozległymi potrzebami i w tak krótkim czasie:¹

Spotkanie przebiegło tak, jak się tego spodziewałam. Przedyskutowaliśmy wszystkie możliwe opcje po to tylko, bo wybrać najrozsądniejszą, czyli nie robienie niczego. Wysłałam stamtąd z ulgą, kręcąc przy tym głową na nieprawdopodobną stratę czasu, gdy na korytarzu dogoniła mnie Eileen.

Patrzyłam na nią zaskoczona, gdy wyciągnęła zużytą torbę z Tesco.

- Nie jestem pewna, czy to naprawdę stosowne, Eileen - powiedziałam, siląc się na dyplomację i przypominając sobie o zachowaniu profesjonalizmu. - Kontakt został zawieszony, a dawanie prezentów zwykle traktowane jest jako kontakt, zwłaszcza w sytuacji takiej jak ta. To chyba zrozumiałe, że Jodie jest teraz bardzo wrogo nastawiona do swoich rodziców.

- No, dobrze - odpowiedziała, rozmywając sprawę. - Chcesz zatem, żebym to zwróciła? - i wyciągnęła z torby nie-zapakowany prezent, chcąc mi najprawdopodobniej pokazać, jakie to krzywdzące i że jestem przewrażliwiona. Była to jasnoróżowa koszulka z długim rękawem z napisem „Córeczka tatusia” nadrukowanym na przodzie dużymi, świecącymi literami. Eileen spojrzała na koszulkę, potem mija *zaprezentowała, pytając*: - Więc uważasz, że Jodie by się to nie spodobało?

Niemal zabrakło mi słów, gdy patrzyłam na Eileen *trzymającą*, koszulkę, która była chyba najbardziej gorzką i ironiczną drwiną, jaką kiedykolwiek widziałam.

- Eileen - powiedziałam powoli i dobitnie. - Jodie była wykorzystywana seksualnie przez swojego ojca, prawdopodobnie przez większość życia. Nie sądzę, by koszulka mówiąca o tym, że

jest córeczką tatusia, była zbyt odpowiednia, a ty? Gdybym jej to dała, byłaby przerażona na sam widok.

W końcu to do niej dotarło. - Ach, tak, prawda. Masz rację. W takim razie zwrócimy to. Wesołych Świąt!

Jeszcze dochodząc do samochodu, nie przestawałam kręcić głową ze zdumienia.

Boże Narodzenie

Gdy się *zbliżały* święta, poprosiłam wszystkie dzieci o listę prezentów, jakie chciałyby dostać od świętego Mikołaja. Jodie, oczywiście, nie umiała pisać, więc usiadłyśmy *razem.*, *żeby* porozmawiać o rzeczach, które mogłyby się jej spodobać. Początkowo niezbyt to rozumiała i *zareagowała ze złością.* Ale to nie idea prezentów była jej nieznaną. Jodie nie rozumiała pomysłu planowania tego, co by chciała, wygładania celu, który miałby nastąpić w przyszłości. Wszystkie jej dotychczasowe prezenty były kupowane impulsywnie; słodczyce i tanie zabawki, które zobaczyła w sklepie, i krzyczała, dopóki ich nie dostała. Nie podobał się jej zbytnio pomysł upominków, których nie mogła mieć od razu. Żeby jej pomóc, wyciągnęłam katalog z domu towarowego, gdzie można było wszystko obejrzeć, a Jodie *przerzucała* go, wskazując to, co wpadło jej w oko. Zapisując sobie wybrane rzeczy, opowiadałam Jodie, co będziemy jeść na bożonarodzeniowy obiad i o wszystkich ekscytujących *rzeczach*, których mogła się spodziewać. Byłam zdeterminowana dopilnować, żeby Jodie spodobało się Boże Narodzenie i by w końcu poczuła się częścią rodziny. Wiedziałam ze swojego przykrego doświadczenia, że *dzieci trafiające pod opiekę zastępczą* wcześniej dość często uciekają z rodzinnych domów na czas świąt. Paradoksalnie, ponieważ są wtedy w domu przynajmniej dwa pełne dni, a rodzice *przeważnie piją* więcej niż zwykle, to może być dla wielu z nich najgorszy czas w roku. Gdy Jodie *przerzucała* katalog, przypomniałam sobie swojego poprzedniego wychowanka, Calluma, słodkiego dziesięciolatka. Callum mieszkał z matką, nie radząca sobie z niczym alkoholiczka. Nie była ona w stanie prowadzić normalnego życia, a w wyniku *uzależnienia* alkoholowego została też na jakiś czas zamknięta w więzieniu. Przed świętami, zanim *jeszcze* Callum do mnie trafił, ojciec wysłał mu czek, ale *przejęła* go matka i wydała pieniądze na alkohol. W Boże Narodzenie obudziła się w południe z kacem i próbowała przygotować świąteczny obiad. Nie zrobiła jednak wcześniej żadnych zakupów, więc zeszkrobała panierkę z jakichś paluszków drobiowych i próbowała je podać Callumowi jako pieczonego indyka.

Poza problemem z piciem matka Calluma nie była wobec niego agresywna czy obelżywa, *ale jej* alkoholizm urósł do takich rozmiarów, że to *raczej* Callum musiał się nią opiekować, a nie ona nim. Przez trzy ostatnie lata chłopiec nie dostał żadnego prezentu na Boże Narodzenie ani na urodziny. Na święta, które spędził już z nami, kupiłam mu deskorolkę, kask i ochraniacze na kolana, i kiedy otworzył prezent, wybiegł z pokoju, bo nie chciał, żebyśmy zobaczyli, jak *placze*,

W Boże Narodzenie Jodie obudziła się jak zwykle *przed* szóstą, ale wydawała się traktować ten dzień jak każdy inny. Poprzedniej nocy wszyscy wywiesiliśmy na drzwiach do swoich pokoi poszewki na poduszki, które były teraz pełne. Zaprowadziłam Jodie na dół i pokazałam jej, że szklanka sherry była pusta i znikły też pierożek z bakaliami i marchewki, co znaczyło, iż w nocy odwiedził nas święty Mikołaj.

- Fajnie, Cathy - powiedziała Jodie, jakby chciała mi sprawić przyjemność. Przez cały ranek, nawet gdy otwieraliśmy prezenty pod choinką, Jodie pozostawała dość obojętna, choć naprawdę wydawała się troszkę rozumieć doniosłość tego dnia. Dobrze się zachowywała i ogólnie łączyła się z rodziną. Gdy na nią patrzyłam, miałam nadzieję, że nawet jeśli nie wykazywała specjalnego entuzjazmu, to dobry duch tych świąt miał na nią jakiś wpływ, i że ten dzień zapadnie jej głęboko w pamięci.

Po południu przyjechali moi rodzice, mój brat Tom z żoną Chloe i sześciolatkiem synkiem Ewanem. Nagle cały dom był pełen odgłosów i podekscytowania. Uświadomiłam sobie, jak

bardzo wszyscy byliśmy odcięci od naszego normalnego życia. Choćby to, że przez ponad tydzień nie spotkałam się z nikim dorosłym. Jodie poznała już moich bliskich, gdy ci przyjechali do nas któregoś dnia, by się z nią zobaczyć - podobnie jak wszystkie inne *dzieci*, jakimi się opiekowałam, była traktowana jak członek rodziny. Niemniej jednak teraz, gdy zobaczyła ich wszystkich w jednej chwili, była nieco przestraszona i przez większość dnia pozostała powściągliwa.

Najpierw zrobiłam wszystkim coś do picia, a później zebraliśmy się w salonie, żeby wymienić się prezentami. Goście przynieśli podarunki dla nas i my też mieliśmy coś przygotowane dla nich pod choinką. Wszyscy byliśmy bardzo podekscytowani, ale widziałam, że ten rytuał również był dla Jodie czymś nowym. Gdy wręczaliśmy sobie prezenty, przyglądała się i uczyła, jak należy się zachować. Patrzyła, jak Ewan otwierał swój prezent, potem przyszła kolej na nią. Popatrzyła na prezent obojętnie i musiałam ja namówić, żeby okazała radość.

- Jest piękny, Jodie, prawda? Możesz się nim bawić dziś po południu. Powiesz „dziękuję“? Powiedziała, o co prosiłam, ale bez żadnego podekscytowania i lśniących oczu, które zwykle towarzysza dzieciom w Boże Narodzenie. Jodie nie sprawiała wrażenia niewdzięcznej za to, co dostała, a nawet chyba podobały się jej niektóre prezenty, ale przykro było patrzeć, jak musiała się zmuszać, żeby okazać swoje podekscytowanie i radość, które innym przychodzą tak naturalnie.

Po kolacji siedzieliśmy chwilę razem i bawiliśmy się w różne gry, żeby nieco odpocząć po posiłku. Dziewczynki bardzo się starały, by wciągnąć do gry także Jodie, ale ona była coraz bardziej rozdrażniona, a być może zmęczona emocjami całego dnia. Wykonywała jakieś ruchy, biorąc udział w różnych zabawach, ale nie widać było, żeby jej to sprawiało jakakolwiek przyjemność. Jeśli nie wygrywała, była zaraz zła i waliła pięścią w oparcie kanapy. Gdy wygrywała, była obojętna. Gdy jej kibicowaliśmy, dołączała do nas, ale było to jakieś powierzchowne.

W pewnym momencie wyglądało, jakby Jodie się zdenerwowała. Zaczęła trzymać się za nos. Początkowo to zignorowałam, podejrzewając, że to tylko sposób na zwrócenie na siebie uwagi, ale gdy nie przestawała, w końcu zapytałam, co się stało.

- Boli mnie nos - powiedziała głosem zniekształconym przez zasłanianie się ręką.

- Ojej - odpowiedziałam. - Mogę zobaczyć? - Odsunęła dłoń, ale przekręciła głowę, gdy próbowałam dotknąć jej buzi.

Niczego niepokojącego nie widzę. Mogę ci jakoś pomóc?

- Boli! - zaczęła lamentować coraz głośniejsze i wyglądało na to, że naprawdę coś sprawia jej ból.

- No, dobrze. To chodź ze mną, zrobię ci zimny okład na nos. - Zabrałam ją do łazienki i położyłam na twarzy zmoczony mały ręcznik, - Możesz mi powiedzieć, Jodie, co zrobiłaś, że zaczęło cię boleć?

- To był on. Uderzył mnie w buzię.

- Kto, Jodie?

- Tatuś! Zbił mnie! - *zawodziła*, bliska płaczu. Siedziałam obok niej w salonie, więc wiedziałam, że nie się

nie wydarzyło. Nawet jeśli ból był zmyślony - w takim sensie, że na pewno nikt tego dnia jej nie *zranił* - to dla niej był zupełnie realny. Wyglądało to tak, jakby Jodie przypomniała sobie, że kiedyś ktoś ja tak uderzył, i przeniosła to wspomnienie do rzeczywistości. Stałyśmy przez chwilę w *łazience*, dopóki Jodie się nie uspokoiła, a potem dołączyłyśmy do pozostałych w salonie.

O ósmej staliśmy na schodach do domu i machaliśmy do odjeżdżających gości. Zamknęłam drzwi. Odetchnęłam z ulgą, że Boże Narodzenie już się skończyło, chociaż przebiegło tak spokojnie, jak tylko mogłam sobie w tych warunkach wymarzyć. Jodie była nieco onieśmielona taką ilością osób w domu, ale zachowywała się rozsądnie i miałam *nadzieję*, że przeniknęło do niej chociaż trochę ciepła tych chwil. Święta nie okazały się przełomem i Jodie nie wzruszyła się podczas nich jak Callum, ale miałam nadzieję, że teraz będą oznaczały dla Jodie coś pozytywnego i że zasmakowała troszkę tego, czym cieszyły się inne dzieci każdego roku.

Nowy Rok

W miarę jak się zbliżał się Nowy Rok, mój nastrój się poprawiał. Zbliżała się kolejna okazja, by zacząć coś od nowa, w tym dniu bowiem wszystko wydaje się możliwe. Rzucenie palenia nie *znalazło* się jednak na liście moich postanowień, choć teraz wychodziłam już z domu nawet siedem razy, okłamując się, że rzucę znów, gdy wszystko nieco się uspokoi. Ale kiedy, na Boga, miałyby to nastąpić?

Mimo moich nadziei, gdy minął Nowy Rok, Jodie nadal nie wykazywała *żadnej* poprawy. Jej zachowanie ciągle było trudne i wrogie, a noce coraz częściej przerywane koszmarami i halucynacjami. Coraz częściej zdarzało się jej też odczuwać przypominany ból z przeszłości, co *łączyło* się z wyznaniem. Narzekała na przykład na ból w ramieniu - a z jej wyznań wynikało, że matka *uderzyła* w nie kiedyś popielniczką albo ojciec oparzył wrzątkiem. We wszystkich tych sytuacjach ból Jodie wydawał się zupełnie prawdziwy, mimo moich tłumaczeń, że rany, które opisywała, powstały wiele miesięcy, a czasem nawet lat temu.

Choć nie sądziłam, żeby Jodie udawała ten przypominany ból, to coraz bardziej uświadamiałam sobie, że w innych sytuacjach kłamała. Była często tak przekonująca, że łapałam się na podważaniu tego, co sama widziałam, i wątpieniu w świadectwo własnych zmysłów. Jeśli nawet złapałam ją za rękę przy jakimś przewinieniu, to tak stanowczo zaprzeczała temu, co się właśnie działo, że musiałam się zatrzymać i ponownie ocenić to, na co patrzyłam. Na początku, gdy do nas przyjechała, zdarzało się jej kłamać, ale sądziłam, że robi to, jakby jeszcze tkwiła w przeszłości i chciała uniknąć kary, więc poniekąd ją rozumiałam. Teraz jednak wiedziała już na pewno, że nie musiała się martwić i że nie groziło jej żadne ryzyko kary cielesnej czy emocjonalnej. Dlaczego więc czuła potrzebę tak gwałtownego zaprzeczania temu, co zrobiła?

Jodie zaczęła również wysuwać fałszywe oskarżenia, wymyślając różne historie przeciwko pozostałym dzieciom, nawet wtedy, gdy byłam w pokoju i widziałam, że nic podobnego się nie wydarzyło. Twierdziła na przykład, że Lucy albo Paula ją kopnęły, uszczypnęły lub zbiły, co było oczywistym absurdem. Co jak co, ale dziewczynki, co było całkiem zrozumiałe, po prostu się jej bały. Gdy podkreślałam, że byłam cały czas w pokoju i nie widziałam, by ktokolwiek choćby się do niej zbliżył, Jodie wybuchała.

- *Zrobiła* to! *Zrobiła*! Dlaczego nigdy mi nie wierzysz?

Mówiła to tak żarliwie i przekonująco, że często dawałam się nakłonić, by rozważyć sytuację jeszcze raz i przypomnieć sobie dobrze, co widziałam.

Czasem przyłapywałam też Jodie, jak celowo się raniła. Nie wyglądało to już tak, jak wtedy, gdy pocięła się z premedytacją. Teraz odnosiłam wrażenie, jakby robiła to w złości, w przypływie szału lub rozemocjonowania - wtedy się zdarzało, że się biła, szczypała, waliła w coś głową albo wyrwała sobie włosy. Potem winę zrzucała na jednego z wymaganych przyjaciół.

Niezły *przyjaciel* - myślałam wtedy. Musiałam jej cierpliwie tłumaczyć, że robiła to sama, że nikt inny jej nawet nie dotknął. To właśnie samookaleczenie było jednym z najbardziej niepokojących elementów zachowania Jodie. Uszczypnięcia, zadrapania i ciosy, jakie sobie zadawała, prowadziły czasem do blizn, które Jodie wykorzystywała do dalszego utwierdzenia się w przekonaniu, że ktoś na nią napadał.

A co było jeszcze bardziej niepokojące, tydzień po Nowym Roku dziwne głosy, których czasem używała, zaczęły nagle przybierać *niezależne*, własne osobowości. Kiedyś znikła komórka Adriana i po długich poszukiwaniach znalazłam ją w pudełku na zabawki Jodie, które stało na półce na werandzie. Mała niczego wcześniej nie ukradła, ale miewała problemy z poszanowaniem cudzej własności, mimo że tyle razy powtarzałam jej i przypominałam, że nie można po prostu wziąć sobie czegoś, co się chce, że trzeba wcześniej zapytać właściciela.

- To nie byłam ja, mówię prawdę! - powtarzała Jodie, *patrzac* mi prosto w oczy i przybierając dziecięcy ton głosu. - To naprawdę nie ja. Nie jestem taka duża, żeby tam dostać.

Popatrzyliśmy z Adrianem na półkę, na której Jodie właśnie z łatwością postawiła pudełko z zabawkami.

- Oczywiście, że jesteś - powiedział Adrian. - To prawie na wysokości twojego pasa.

- Nie - upierała się Jodie, podnosząc swój dziecięcy głosik. — To była ona. Wskazała w przestrzeń za sobą. — To była Jodie.

- Ty jesteś Jodie - powiedziałam ze znużeniem.

- Nie. Ja jestem Amy. Mam tylko dwa latka i nie mogę tam dostać. - Potarła piąstkami oczy i nadeła wargi jak mały szkrab.

Powtórzyłam jej raz jeszcze, że nie wolno jej zabierać telefonu Adriana, i póki co zostawiłam sprawę. Nazajutrz rozdwojenie jej osobowości przyjęło jeszcze jedna, poważniejsza formę. Obudziła się o wpół do szóstej, więc poszłam ją uspokoić. Siedziała na łóżku z pozytywką i głośno klaskała w dłonie. — Ciszej, Jodie — powiedziałam. — Jeśli się już wypałaś, to zajmij się czymś, byle cicho.

Odwrociła się gwałtownie w moją stronę. Jej rysy były ostre i zniekształcone. - Nie! - krzyknęła ochryplym, męskim głosem. - Wynoś się albo rozszarpie cię na kawałki! Wynoś się, dziwko! Instynktownie cofnęłam się o krok. - Jodie! Nie używaj takich słów. A teraz się uspokój. Zajmij się czymś, żebyś była cicho. Mówię poważnie. Już!

Wstała i wyprężyła się, jakby chciała wyglądać na większa. Zbliżyła się w moją stronę z rękami udającymi kocie łapy z wystawionymi pazurami, odsłaniając zęby. - Nie jestem Jodie

- odwarknęła. - Jestem Reg. Wynoś się albo cię, kurwa, zabiję!

Nie zamierzałam stawiać jej czoła w takim nastroju. Zamknęłam drzwi i czekałam na korytarzu. Serce mi łomotało. Słyszałam, jak chodzi tam i z powrotem po pokoju i przeklina mnie i resztę rodziny: - Zboczeńcy! Wściekli zboczeńcy! Łby im pouryvam!

- Jeszcze raz coś warknęła i potem się uciszyła. Otworzyłam drzwi i zajrzałam do środka. Jodie była w łóżku, spokojnie oglądając książkę. Najwidoczniej dawna Jodie wróciła.

Jako opiekunka zastępcza widziałam już bardzo skrajne zachowania u dzieci i w pewnym stopniu byłam do tego przyzwyczajona, ale nie spotkałam się z takim ekstremum. To było coś nowego.

Wyglądało to, jakby wymagani przyjaciele Jodie przejmowali nad nią kontrolę.

- Kto to jest Reg? - zapytałam później tego samego ranka, gdy wyciągałyśmy naczynia ze zmywarki. Jodie popatrzyła na mnie, nie rozumiejąc. - Znasz kogoś, kto nazywa się Reg? Wydało mi się, że wspomniałaś to imię dziś rano, gdy weszłam do twojego pokoju?

Potrząsnęła głową i dalej wycierała sztućce. - Mamusia ogląda w telewizorze jakiegoś Rega, ale on jest okropny. Nie rozmawiam z nim.

- I poza tym nie znasz żadnego innego Rega? -Nie.

Wierzyłam jej. Wyglądało na to, że Reg i Amy żyli w Jodie własnym życiem, bez jej wiedzy i zgody. Jill bardzo się zdziwiła, gdy jej o tym powiedziałam. — To bardzo niezwykle. Jeśli się nie mylę, to wygląda na DID, czyli osobowość dysocjacyjną.

Jill wyjaśniła, że zespół DID - Dissociative Identity Disorder - to rzadka i skomplikowana reakcja na stres, kiedy osobowość przybiera wiele różnych tożsamości po to, by sobie poradzić z napięciem. Często jedna tożsamość nie wie o istnieniu pozostałych.

- Jodie dokładnie tak się zachowuje - powiedziałam. -Strasznie to denerwujące. Dlaczego ona nam to robi? Do tej pory nic takiego się nie działo. Dlaczego zaczęło się właśnie teraz, gdy jest bardziej *bezpieczna niż* kiedykolwiek wcześniej?

- Być może właśnie dlatego, że dopiero teraz czuje się wystarczająco bezpiecznie, by przypomnieć sobie o molestowaniu. Podejrzewam, że wcześniej nie była nawet w stanie myśleć o tym, co się z nią działo. Wymazała to ze swojej pamięci, żeby przeżyć. Mówiłaś, że początkowo była bardzo spokojna i uległa - pamiętasz, jak biernie zaczęła ściągać z siebie ubranie, gdy chciałaś jej zrobić zdjęcie? Nie było w niej żadnej walki, bo musiała iść dalej, przetrwać. Ale teraz, gdy została zabrana od oprawców, może zacząć przypominać sobie i składać w całość to, co się wydarzyło.

Powiedziałam Jill o przypominanym bólu, który Jodie tak prawdziwie przeżywała.

- To też ma sens - powiedziała Jill. - Nie mogła sobie pozwolić na odczuwanie bólu wtedy, więc czuje go teraz. Jodie jest bombardowana informacjami, fizycznymi i mentalnymi. Ponieważ przypomina sobie te wszystkie ohydne rzeczy, jej mózg jest przeładowany i sobie z tym nie radzi. Przez rozdwojenie jaźni przynajmniej częśćka Jodie jest bezpieczna. Do tej pory widziałaś małą Amy i złego mężczyznę. A czy Jodie ma też jakaś dorosła kobieca stronę?

- Teraz, gdy o tym myślę, to tak. Sadziłam, że tylko udawała matkę, ale teraz nie jestem już tego pewna. Jodie upomina czasem Lucy i Paulę jako zła gospodyni.

- Czy Jodie nadała tej kobiecie jakieś imię?

- Nie słyszałam, nie.

- To klasyczny przypadek. Dziecko, dorosła kobieta i dorosły mężczyzna. Wszyscy mamy te składowe w naszych osobowościach, ale gdy jesteśmy zdrowi, wszystkie są splecione w jedną tożsamość - Jill ucichła na moment. - Jeśli mam być szczerą, bardzo mnie to martwi. - Teraz i ja czułam się poważnie

zaniepokojona. Wyglądało na to, że Jodie reagowała na te wszystkie okropności, które się jej przydarzyły. Nie miałam pojęcia, czego się spodziewać i czy będę w stanie poradzić sobie z objawami jej niezwyklej emocjonalnych przeżyć.

- Mówiłaś o tym Eileen? - zapytała Jill.

— Nie. Nie było jej ostatnio w OPS-ie.

- Postaram się z nią skontaktować. A ty powiedz o tym psychologowi. Podejrzewam, że to poważne zaburzenie osobowości.

- Jill? - zapytałam szybko, bo coś przyszło mi do głowy. - Jeśli Jodie jest w jednym z takich stanów, czy może zrobić coś, czego normalnie by nie zrobiła? Mam na myśli to na przykład, że Reg wygląda na bardzo złego typa, a Jodie wydaje się bardzo silna, gdy nim jest.

- Jeśli byłaby większa, kazałabym ją zabrać od ciebie. Dorośli z zespołem DID mogą wykazywać nadludzką siłę i robić rzeczy, których w innych okolicznościach by nie zrobili. Ale przypuszczam, że gdyby zaszła potrzeba, byłabyś w stanie ją powstrzymać, nawet wtedy, gdy jest Regiem?

Chwilę pomyślałam. - Tak mi się wydaje.

- A chcesz to kontynuować?

- Tak. - Im dalej szłam tą drogą, tym bardziej niemożliwe wydawało się zawrócenie z niej. - Teraz, gdy wiem, co to jest, nie wydaje mi się to już takie straszne.

— Dobrze. Wiesz, to naprawdę interesujące. Interesujące może dla Jill, z jej umiejętnością szybkiej oceny

sytuacji. Dla mnie... no cóż, „interesujące” nie było właściwym słowem.

Tamtego popołudnia poprosiłam Adriana, Paulę i Lucy, żeby usiedli. Wyjaśniłam im, co powiedziała mi Jill. Patrzyli na mnie z otwartymi buziami.

— Jodie ma kilka tożsamości, które w różnych momentach ja opanowują? - zapytał Adrian, starając się ułożyć to sobie jakoś prosto w głowie. — I nie ma pojęcia, że to robi?

Przytaknęłam. To brzmiało jak szaleństwo.

- Świr - odezwała się Lucy. - Totalnie odjechany świr! Ona kompletnie zwariowała!

Paula się zaśmiała: - Myślę, że zaraz będę królowa Saba, a wy możecie na mnie czekać i ofiarowywać mi podarki.

Uśmiechnęłam się. - Ale to nie jest jej decyzja, skarbie. Jodie tego nie wybiera. To się po prostu dzieje - w ten sposób jej mózg radzi sobie z tym, co kiedyś przeżyła.

- Czy będzie przechodziła terapię? - zapytał Adrian, wiedząc, że była już ze mną u psychologa.

Wszyscy patrzyli na mnie, czekając na odpowiedź.

- Nie, dopóki nie zostanie sformułowana ostateczna ocena psychologa, a to nastąpi dopiero w okolicach końcowej rozprawy. Jill mówi, że ten stan może samoistnie minąć, a do tego czasu najlepiej to ignorować. Nie ma sensu Jodie prowokować, bo - jak widzieliśmy - i tak nie pamięta, co inne tożsamości mówiły lub robiły.

A więc próbowaliśmy sprawę ignorować i żyć dalej w nadziei, że to minie, ale problem wręcz się nasilał. Trzy lub cztery razy dziennie Jodie była nagle przejmowana i niszczona albo przez małą Amy, albo złego Rega, albo bezimienna władczą kobietę. Czasem osobowości zmieniały się niesłychanie szybko - trwało to dziesięć do piętnastu minut. Zmieniał się wtedy nie tylko głos Jodie, każda tożsamość miała też własny język ciała. Gdy Jodie była pod postacią Rega, robiła się duża i męska: przeżyła się, ściągała ramiona do tyłu i wypinała pierś. Jako Amy kuliła się, a jej buzia robiła się dziecinna i nadęta. Jej zła gospodyni stawała się agresywna, wykonywała krótkie, nerwowe ruchy i miała nieprzyjemny grymas na twarzy. Zmiana mogła nastąpić w sekundzie i cofała się równie nagle, gdy wracała prawdziwa Jodie.

Kiedy przy kolacji pojawiła się mała Amy, Paula nie mogła się powstrzymać, żeby jej nie pokroić jedzenia i nie nakarmić. -Nigdy nie miałam młodej siostrzyczki - uśmiechnęła się, wycierając Jodie brodę. I odwrotnie, gdy pojawiał się zły Reg, wszyscy się chowaliśmy. Pomagała nam bardzo świadomość, czym był problem Jodie, chociaż gdyby zobaczył nas ktokolwiek z zewnątrz, pewnie by pomyślał, że to my jesteśmy „totalnie odjechanymi świrami”.

Powiadomiłam o tym nowym aspekcie stanu psychicznego Jodie zarówno Eileen, jak i psycholog, ale od *żadnej* niczego nie usłyszałam. Mogłam to zrozumieć, jeśli chodziło o psycholog - nie jej rola było dawanie mi rad czy wskazówek terapeutycznych - ale czułam się rozczarowana, że Eileen nadal nie była w stanie zaoferować żadnego wsparcia ani nawet okazać większego zainteresowania, chociaż znając ja do tej pory, nie powinnam już spodziewać się niczego innego. Przypisanie Jodie socjalnego opiekuna, który był tak - mówiąc najłagodniej - nieskuteczny, było jeszcze jednym małym przyczynkiem do jej tragedii.

Jill bardzo mnie wspierała i najlepsze, co mogliśmy zrobić, to czekać, że sytuacja jakoś się poprawi.

Rozpoczął się wiosenny semestr i ku mojej olbrzymiej uldze zadzwoniła w końcu sekretarka ze szkoły Abbey Green, żeby potwierdzić przyznanie dofinansowania i zapewnić, że Jodie mogła zacząć uczęszczać do szkoły od najbliższego poniedziałku. Zaproponowała, żebyśmy przyszły *jeszcze* w piątek po południu, tak by Jodie mogła spędzić trochę czasu ze swoją klasą i żebyśmy poznały jej nauczycielkę wspomagającą. Zastanawiałam się, czy powiedzieć o zespole DID. Powinnam ja ostrzec przed kapryśnym i dziwnym zachowaniem Jodie? Czy w szkole w ogóle słyszeli o DID?

Zdecydowałam, że nie będę o tym wspominać. Mieli zaświadczenie Jodie o potrzebie specjalnej troski i gdyby działo się cokolwiek nieprzewidzianego, byłam pewna, że by mnie wezwali. Poza tym chciałam, by Jodie zaczęła naukę z czystą kartą.

Teraz, kiedy Jodie miała miejsce w szkole, domowy nauczyciel nie był już potrzebny. Nicola zadzwoniła, żeby *zyczyć* małej powodzenia i się z nią pożegnać. Jodie rozmawiała z nią całkiem sensownie przez dobre dwadzieścia minut. Potem odłożyła słuchawkę i przyszła do mnie z poważną miną.

- Nicola jest dobrym dorosłym, prawda, Cathy?

- Tak, złotko, jest. Jak większość dorosłych, i przekonasz się *jeszcze* o tym.

Jodie przytaknęła zamyślona. Poczulałam iskierkę nadziei. Może małeńkimi, powolnymi, ale zdecydowanymi krokami zbliżała się do momentu, gdy znowu będzie mogła zaufać dorosłym.

Jeszcze tego samego dnia złożyła nam wizytę opiekunka socjalna Jodie, Eileen. To była druga jej wizyta w ciągu prawie dziesięciu miesięcy. Jak można się było spodziewać, spotkanie przebiegło bardzo podobnie do poprzedniego i nie było udane. Jodie od samego początku była wrogo nastawiona, a i Eileen miała ogromną trudność w zwracaniu się do niej. Zwykle zostawia się opiekuna socjalnego sam na sam z dzieckiem, żeby sobie mogli porozmawiać w cztery oczy, ale za każdym razem, gdy próbowałam zająć się czymś poza salonem, jedna z nich natychmiast wzywała mnie z powrotem. Jodie *chciała*, *jeszcze* coś do picia albo *puzzle*, albo żebym włączyła telewizor, a Eileen musiała zapytać o coś trywialnego. Z jakiegoś powodu Eileen mnie potrzebowała; podejrzewałam, że była zdenerwowana albo nawet mogła bać się Jodie. Po kilkakrotnym wychodzeniu i wracaniu zdecydowałam, że równie dobrze mogę się do nich przyłączyć, więc usiadłam z Jodie, próbując ją nieco uspokoić i mówić trochę ciszej. Kwadrans później Eileen podniosła teczkę, pożegnała się zdawkowo i z wymuszonym uśmiechem wyszła. Wypełniła swój obowiązek.

- Nareszcie sobie poszła! - powiedziała Jodie i trzasnęła za Eileen drzwiami.

Nie zaprzeczyłam.

Lis i Sowa

Była połowa stycznia. Po kilku dniach ocieplenia zrobiło się dokuczliwie zimno i przez trzy dni wciąż padał śnieg. Jodie rozkoszowała się nim podekscytowana, a gdy kilka razy zdarzyło się, że nie mogłam natychmiast zabrać jej na dwór na śnieg, stała przy oknie i patrzyła bez najmniejszego ruchu.

Nastroje dzieci również nieco się poprawiły. Teraz, gdy chodzili znów do szkoły, wydawało się, że znaleźli nowe pokłady empatii dla Jodie. Paula w szczególności skorzystała na wyładowaniu swoich emocji przed Bożym Narodzeniem. Chociaż nie zorganizowałyśmy jeszcze wizyty koleżanek z noclegiem, to i tak zaczęli ją znów odwiedzać znajomi, a Paula - chwała jej za to - postawiła sobie nawet za punkt honoru zachęcenie Jodie, by przyłączyła się do grupy.

Pewnego takiego popołudnia koleżanka Pauli, Olivia, przyszła do nas na obiad i dziewczynki postanowiły pójść na spacer po śniegu. Moja ulica leży na skraju sporej doliny i widoki są naprawdę wyjątkowe. Jodie nadymała wargi, gdy zobaczyła, że dziewczynki wychodzą, więc Paula zapytała, czy Jodie i ja nie zechciałybyśmy do nich dołączyć. Mała była bardzo podekscytowana, więc całą czwórka ubrałyśmy się ciepło i wyruszyłyśmy.

Gdy szłyśmy w górę, w kierunku głównej ulicy, Paula i ja wzięłyśmy Jodie za rękę, bo chodnik był oblodzony. Jednak mimo naszych starań Jodie ciągle się ślizgała i przewracała na pupę. Za trzecim razem nie wstała, tylko siedziała na chodniku. Skrzyżowała ręce, przewróciła oczami i westchnęła teatralnie: - No i znowu jazda!

Uśmiechnęłyśmy się z Paula do siebie z wielką przyjemnością. Normalna reakcja Jodie na taki rodzaj przeciwności byłaby znacznie ostrzejsza tyrada w stylu: - Kto tu położył ten cholerny lód? Dlaczego oni mi to robią? To wasza wina! Nienawidzę was! - i tak dalej. Zamiast tego dostrzegła śmieszna stronę sytuacji i starała się nas rozbawić. Może nie brzmiało to bardzo zabawnie, ale my poczułyśmy jakiś postęp i roześmiałyśmy się z wdzięcznością.

Zbliżał się pierwszy dzień Jodie w szkole, więc zabrałam ją na zakupy, żeby wybrać nowy mundurek szkolny. Kupiłyśmy dwie granatowe spódniczki, dwie bluzy z nadrukowanym logo szkoły i trzy białe koszulki z krótkimi rękawami. Jodie zachowywała się w sklepie grzecznie, zadowolona z poświęcaną jej uwagi, ale zdenerwowała się, gdy wolałam jej kupić podkolanówki zamiast rajstop. Chciała rajstopy, takie jakie nosiły Lucy i Paula, ale wiedziałam, że trudno jej będzie nakładać je po WF-ie. W końcu zaproponowałam rozsądny kompromis i kupiłam Jodie parę białych, koronkowych rajstop, które mogła nosić w weekendy.

Gdy wróciłyśmy do domu, zadzwoniła Jill i przepraszająco poinformowała mnie, że para, o której myślała, że mogłaby mnie na krótko zastąpić, odmówiła. Bez podania przyczyny.

- Świetnie - powiedziałam rozdrażniona. - Z powodu tak szerokich potrzeb Jodie obiecuje mi się regularne przerwy, ale ze względu na szerokie potrzeby Jodie nie można znaleźć dla niej opiekuna.

- Przykro mi, Cathy. Będę szukała dalej.

- Bardzo cię proszę. Jeśli to konieczne, *rozejrzyj* się poza agencja. - Miałam na myśli to, że w poszukiwaniu opiekuna na zastępstwo Jill powinna się skontaktować z inną agencją opieki zastępczej. Nie było to rozwiązanie idealne, bo agencje miały różne standardy i opiekunowie mogli mieszkać gdzieś daleko, ale chodziło tylko o weekend, a ja musiałam już zrobić sobie przerwę.

Nadszedł piątek i zaplanowana wizyta w nowej szkole Jodie. Chociaż miałyśmy tam pójść dopiero po południu, Jodie wstała jak zwykle bardzo wcześnie i od razu ubrała się w nowy mundurek.

Niespecjalnie mi się to podobało, ale bardzo chciałam uniknąć wszelkich niepotrzebnych konfrontacji, więc pozwoliłam jej tak zostać, tylko zawiązałam jej fartuszek, gdy jadła. Mimo moich wysiłków, po zjedzeniu śniadania, a później obiadu, na jej mundurku można już było znaleźć poważne ślady po obu posiłkach. Zmyłam gąbka plamy najlepiej, jak potrafiłam, i przed szkołą pojawiłyśmy się, wyglądając całkiem szykownie... jak na popołudniowe *zajęcia*..

Abbey Green nie było moim pierwszym wyborem, ale gdy tylko przyjechałyśmy na miejsce, byłam pod wrażeniem. Mała, wyłożona dywanem recepcja była jasna i przyjemna. Uśmiechnięta sekretarka przywitała nas ciepło.

— Witam, Jodie. Bardzo mi miło cię poznać — powiedziała i zadzwoniła do dyrektora, który pojawił się z uprzejmym pośpiechem.

— Adam West — przedstawił się, ściskając moja dłoń. — Cześć, Jodie. Bardzo się cieszę, że dołączasz do naszej szkoły. Mógł mieć tylko trzydzieści parę lat, a przy jego przyjaznym, nieoficjalnym sposobie bycia od razu poczułam się swobodnie. -Pomyślałem, że zacniemy od krótkiej wycieczki po szkole, a później mogłybyście spędzić chwilę z klasa Jodie. Może być?

- Świetnie - powiedziałam, a potem zwróciłam się do Jodie: - To brzmi bardzo dobrze, prawda? - Jodie schowała się za mną, trzymając się kurczowo mojej spódnicy, a cała jej odwaga gdzieś się ulotniła.

Pan West poprowadził nas przez podwójne drzwi i wzdłuż krótkiego korytarza. - Z głównego holu wchodzi się do sześciu klas oraz stołówki i sali gimnastycznej. — Gdy znaleźliśmy się w holu, poczułam zapach gotowanych warzyw i sosu do pieczenia - coś, co łączyło tysiące szkół w całym kraju. Na ścianach holu, podobnie jak w małym korytarzu, wisiało mnóstwo prac dzieci, a pan West dumnie opowiadał, jakimi projektami były inspirowane. Były tam malowanki, rysunki, opowiadania, wierszyki i wydruki komputerowe, wszystkie dotyczące różnych tematów, jak choćby odległe krainy, woda, zwierzęta czy projektowanie domu. Dyrektor był w swoim podejściu tak *entuzjastyczny* i skupiony na potrzebach dzieci, że pomyślałam sobie: jeśli ta szkoła nie może zaspokoić wymagań Jodie, to nie robi tego *żadna inna*.

Dotarliśmy do klasy Jodie. Przed wejściem dyrektor zapukał do drzwi. Wszystkie twarzązki podniosły się z *zaciekawieniem*, ale zaraz potem dzieci wróciły do swoich zajęć.

- Caroline Smith - powiedział dyrektor, prowadząc nas ku nauczycielce. - A to Cathy Glass i Jodie. - Uścisnęłyśmy sobie dłonie. - A to pani Rice, asystentka klasy. Będzie pomagała Jodie.

Zerknęłam ponad biurkiem i się uśmiechnęłam. Pani Rice wydawała się miłą kobietą tuż po pięćdziesiątce, miała na sobie wzorzysta sukienkę w kwiatki. Pomachała do nas dyskretnie. W trakcie krótkiej wycieczki Jodie odzyskała nieco pewności siebie i teraz zaczęła chodzić między stolikami, zaglądając dzieciom przez ramię. Jeden chłopczyk odsunął się nieswojo.

— Jodie, chodź tutaj — zawołałam, ale ona mnie zignorowała.

- Proszę się nie martwić - powiedziała pani Smith. - Dzieci kończą właśnie pisać opowiadanie z naszych zajęć literackich. Może popatrzeć.

Pan West wychodził. - Gdyby miała pani jakieś pytania, będę w swoim gabinecie do końca dnia. Podziękowałam mu, potem spędziłam kilka minut z panią Smith, która tłumaczyła mi, jak grupowane są stoliki. Zaproponowała, żebym się rozejrzała, więc to zrobiłam, choć czułam się trochę jak intruz. Chodząc między maleńkimi stolikami i krzeselkami, byłam jak olbrzym. Niebieska grupa była najwyraźniej najbystrzejsza; ich pismo było ładne i staranne, z niewielką ilością błędów. Co innego grupa pani Rice, czyli pomarańczowi. Dzieci te męczyły się, by napisać kilka dających się odczytać linijek tekstu, a ich prace roiły się od poprawek. Niemniej jednak nawet ci najślabi byli znacznie powyżej poziomu Jodie, której z trudem przychodziło napisanie własnego imienia.

— Chcesz się teraz przyłączyć do swojej grupy? — zawołała do Jodie pani Smith przez całą klasę. - Wolne krzeselko obok pani Rice to twoje miejsce. — Jej prośba była miła, ale stanowcza. Jodie, która najwidoczniej nie była jeszcze gotowa, zmierzyła ją wzrokiem. Widziałam, że na twarzy miała wymalowany jeden ze swoich grymasów w stylu „spróbuj mnie tylko tknąć”, i serce podskoczyło mi do gardła. Nie teraz, Jodie - pomyślałam - proszę, nie funduj nam odmowy i ataku hysterii pierwszego dnia!

Teraz pozostałe dzieci również zaczęły się przyglądać. Pewnie były przyzwyczajone do tego, że na prośbę nauczycielki odpowiadało się natychmiast. Jodie patrzyła na panią Smith, ale później, ku mojej wielkiej radości, przeszła z trudem do wskazanego stolika i klapnęła na swoim krześle z dramatycznym westchnieniem.

Pani Rice podała Jodie ołówek i kartkę. Przeszłam cichutko na skraj klasy i przysiadłam na taborecie pod oknem. Na dworze starsze *dzieci* miały właśnie WF. W klasie panowała cisza, od czasu do czasu słysząc było tylko skrzypnięcie krzesła lub przytłumiony głos pani Rice pomagającej swojej grupie. Zauważyłam, że było więcej chłopców niż dziewczynek, i zastanawiałam się, czy te ostatnie, mając już zawiązane przyjaźnie między sobą, pozwolą Jodie na przyłączenie się do nich. Biedna Jodie potrzebowała przyjaciół niemal tak bardzo jak kształcenia, a dzieci, jeśli tylko czują, że to uzasadnione, potrafią być bardzo wyrozumiałe.

Dzieci skończyły pisać opowiadania i pani Smith zapytała, czy ktoś zechciałby przeczytać swoje na głos. W górę wystrzeliło kilka rak, w tym Jodie. Jako pierwszy czytał chłopiec o imieniu James, który napisał opowiadanie o nocnych przygodach lisa Lance'a. Opowiadanie miało przejrzystą konstrukcję i było w nim mnóstwo przymiotników, więc gdy skończył, pozostali uczniowie nagrodzili go głośnymi oklaskami. Potem czytała Susie, kroj historia sprytnie toczyła się wokół obserwacji mądrej sowy, przesiadującej na uprzywilejowanej pozycji, wysoko na drzewie. Z treści opowiadań domyśliłam się, że dzieci miały napisać o nocnych zwierzętach. Susie również otrzymała brawa i nauczycielka powiedziała, że został czas na jeszcze jedno opowiadanie. Jodie znów wyrzuciła rękę do góry i machała nią z całych sił.

Pani Smith wymieniła spojrzenie z panią Rice. - A więc dalej, Jodie. Posłuchajmy twojego.

Skuliłam się z zawstydzienia, gdyż widziałam, że wyprodukowała jedynie kilka gryzmołów. - Dzieci, to jest Jodie - powiedziała nauczycielka. - Będzie chodzić do naszej klasy od poniedziałku. Jodie wstała i dumnie trzymała kartkę papieru na wysokości oczu, tak jak widziałam u pozostałych. Udawała, że czyta głośno i pewnie, ale jej opowiadanie było tylko ciągiem niepowiązanych ze sobą słów, z których raz po raz wyróżniały się „sowa” i „lis”, bez żadnej czytelnej treści pomiędzy. — Zobaczyłam lisa, zobaczyć, i mówię nie, a lis był nim, i on... Nie. A później sowa. Tam, gdzie on... Poszedł daleko, i pani Sowa. Zobacz to. Mówiłam ci, tam. Więc lis poszedł i w nocy, widzisz, mówiłam! Potem poszli. A potem lis był w nocy i sowa, ale on nie był, i powiedziałam. Więc idę do lisa, a sowa...

Na szczęście Jodie nie była świadoma nonsensów, jakie mówiła. Popatrzyłam na obojętne spojrzenia innych dzieci i modliłam się, żeby się nie zaczęły śmiać. Po kilku minutach, nie widząc końca, nauczycielka podziękowała Jodie i kazała jej usiąść. Nie było oklasków, ale nie było też żadnych chichotów, za co byłam naprawdę wdzięczna. Jodie jakby w ogóle nie czuła żadnego dyskomfortu, właściwie to była zupełnie szczęśliwa i triumfująca.

Ostatnia godzina poświęcona była dowolnym zadaniom. W tym czasie dzieci pracowały nad wybranym tematem, który szczególnie przypadł im do gustu spośród zagadnień opracowywanych w ciągu ostatniego tygodnia. Przeszłam się po klasie raz jeszcze. Niektóre dzieci pracowały przy komputerze, biegle wycinając i wklejając, inne wymyślały krzyżówki czy opowiadania, a jeszcze inne robiły ilustracje do swoich opowiadań. Jodie rysowała serię dużych pudełek i malowała je na pomarańczowo, niebiesko, zielono, czerwono i żółto. Wyjaśniła mi, że to różne grupy w klasie. Pochwaliłam ją, mile zaskoczona, że tak dużo zrozumiała, i podpisałam za nią nazwy kolorów pod spodem. Pięć minut *przed* dzwonkiem dzieci spakowały swoje rzeczy i usiadły na dywanie przed nauczycielką. Zaśpiewały „Miłego popołudnia, pani Smith”, a nauczycielka życzyła im radosnego weekendu. Gdy pozierały swoje plecaki i kurtki i wyszły z klasy, nauczycielka zapytała Jodie, jak się jej podobało pierwsze popołudnie w szkole.

- Wspaniale - powiedziała. - Chcę tu przychodzić codziennie. Już na zawsze!

Dziadziu

Niezwykłą cechą, którą zauważyłam u Jodie już na samym początku, było to, że zupełnie nie miała poczucia czasu. Potrafiła mówić o wydarzeniach, które *rozegrały* się kilka lat temu tak, jakby *działy* się w tej chwili. Z drugiej strony, gdy planowaliśmy coś na za parę tygodni, Jodie oczekiwała, że stanie się to natychmiast. Dzień po wizycie w szkole chciała tam iść z powrotem. Nieważne, ile razy tłumaczyłam jej, że szkoły nie pracują w soboty, Jodie tego nie rozumiała. Za to była przekonana, że to moja wina.

- Jest sobota - tłumaczyłam już piąty raz. - Nikt nie chodzi do szkoły w soboty. Bądź *grzeczną*, dziewczynka i zdejmij mundurek, powiesimy go, żeby był gotowy na poniedziałek.

- Nie! Nie chcę! Zamknij się! To moje i idę! - Usiadła na podłodze, krzyżując nogi i splatając ręce, zła i zbuntowana.

Przykucnęłam obok. - Wiem, że to twoje, skarbie, tak jak wszystkie te ładne ubrania. A może *założyłabyś* swoje nowe koronkowe rajstopy? Wybieramy się później do babci i dziadzia. -

Wyjęłam rajstopy z szuflady i położyłam na łóżku razem ze spódniczka i bluzeczka. - Jak chcesz, ale wyglądają bardzo ładnie z twoją dzinsową spódniczką.

Wysłałam z pokoju, zesłałam na dół i przygotowałam śniadanie. Pół godziny później Jodie pojawiła się w *rzeczach*, które położyłam jej na łóżku.

- Świetnie, Jodie. Mądry wybór.

Jeśli liczyło się na minimum współpracy ze strony Jodie, do każdej sytuacji *trzeba*, było podchodzić z ogromną uwagą. Nie mogłam po prostu powiedzieć: „Założ buty, bo musimy już wychodzić”. Jodie musiała uwierzyć, że to była jej decyzja i że to ona sprawowała kontrolę.

Wiedziałam, z czego to wynikało. Gdy była wykorzystywana, nie miała kontroli nad niczym, więc teraz, aby czuć się bezpiecznie, musiała ciągle przewodzić. Na nieszczęście dla mnie, bo w efekcie tego nawet najdrobniejsza prośba spotykała się z upartą odmową, chyba że przekonało się

Jodie, że to ona podjęła decyzję. Jeśli chciałam, by coś zrobiła, musiałam użyć dyplomacji i sprytu, a to bywało bardzo wyczerpujące.

Wizyta u dziadków była właśnie tym, czego wszyscy *potrzebowaliśmy*, żeby odsunąć na bok pewne napięcia panujące w rodzinie i podnieść wszystkich na duchu. Jodie lubiła moich rodziców, podobnie jak Adrian, Lucy, Paula czy każde inne dziecko, którym się opiekowaliśmy. Mama i tato byli nieco po siedemdziesiątce i byli typowymi dziadkami, nieskończenie cierpliwymi, poświęcającymi cały swój czas na dogadzanie wnukom.

Gdy przyjechaliśmy, Jodie była w *niezłej* formie i ciepło przywitała się z moimi rodzicami.

Weszliśmy wszyscy do salonu i wtedy Jodie zobaczyła ich psa, Cosmo, dość ponurego, ospałego, starego charta, który dawniej pracował w ratownictwie. Wrzasnęła nagle, *przebiegła*, przez pokój i zaczęła go okładać pięściami. Biedak zaskowytał, ale Jodie już na nim siedziała, tak że nie mógł się ruszyć. Tato i ja podbiegliśmy, żeby ja od niego odciągnąć. Zapytałam, co wyprawia, a Jodie na to:

- Patrzył na mnie! - krzyknęła, wciąż piorunując wzrokiem przestraszone zwierzę. Nigdy wcześniej nie okazała żadnemu zwierzęciu czułości, a do psów miała wyjątkowa awersję. Może to z powodu psa jej ojca, a może w świecie, do którego była przyzwyczajona, gdzie rządził silniejszy, pies był tym, komu mogła dokopać i sprawiać ból bez żadnej obawy o odwet. Z pewnością nigdy nie okazywała empatii nikomu i niczemu, co było bardziej bezbronne od niej. — Ale nie zamierzał ci zrobić żadnej krzywdy! — powiedziałam stanowczo, podczas gdy ojciec głaskał biednego psa, a potem wypuścił go do ogrodu. - A teraz się zachowuj. Mówiliśmy *przecież*, że to będzie dobry dzień, prawda?

Jodie skinęła markotnie głową.

- Wiesz co - powiedział mój ojciec - a może pomogłabyś mi nakarmić ryby? Jeszcze nie jadły, bo czekały na twój przyjazd. Możemy to zrobić razem, jeśli chcesz. Co ty na to?

Jodie spodobał się pomysł, więc wzięła Paulę za rękę i obie poszły za moim ojcem do ogrodu, a Cosmo patrzył na nie z bezpiecznej odległości. Adrian i Lucy uważali się za zbyt dorosłych na takie zabawy, więc usiedli w salonie, słuchając swoich odtwarzaczy mp3, przez które od Bożego Narodzenia prawie się nie odzywali.

Ja dołączyłam do mamy w kuchni i pomogłam jej przygotować poczęstunek. Jednocześnie wymieniliśmy się ostatnimi nowinkami. Jak zwykle, to ja mówiłam prawie cały czas, głównie o Jodie. Rozmawianie o nienormalnym zachowaniu Jodie w kontekście bardzo normalnego funkcjonowania mojej matki działało na mnie oczyszczające, a dodatkowo pomagał mi fakt, że mama była dobrym słuchaczem.

- W każdym razie - powiedziałam w końcu - miejmy nadzieję, że już niedługo wyjdziemy na prostą. Teraz powiedz mi, co u was?

Mama opowiedziała mi więc o różnych pasjach i zainteresowaniach, które wypełniały ich bardzo aktywne życie na emeryturze. W końcu w drzwiach kuchni pojawiły się dziewczynki z moim ojcem. Jodie głośno entuzjasmowała się, jak to rybki złote kulki podpłynęły do powierzchni wody, żeby się pożywić. Podałyśmy z mama obiad i posadziłyśmy Jodie między sobą. Na jej talerzu wyładowała niezła porcja kurczaka, opiekanych ziemniaków, warzyw i sosu.

- Szkoda, że tu nie mieszkam - powiedziała Jodie, wpatrując się z zachwytem w babcię. Moja mama uważa, że każdy powinien się najeść, nawet jeśli tak naprawdę powinien być na diecie. Podczas posiłku zauważyłam, że Jodie zwracała uwagę na mojego ojca, który siedział naprzeciwko niej. Przyglądała mu się bacznie, jak spoglądał na talerz zza okularów, a potem sponad nich, żeby sięgnąć po szklankę lub z nami porozmawiać. Przypuszczałam, że zastanawiała się nad jego sposobem używania okularów, które służyły mu tylko do patrzenia z bliska. Mama nałożyła nam dokładki, ale ograniczyłam nieco porcję dla Jodie. Nadała się za to, obrażając się, że ojciec nałożył sobie cały talerz - tyle że on tego potrzebował: z wiekiem raczej szczupłał, niż zyskiwał na wadze.

- Dziadziu? - zapytała nagle Jodie, odkładając sztućce. Popatrzył na nią znad swoich okularów. - Tak, złotko?

- Czy ty jesteś tatusiem Cathy?

- Zgadza się. To moja córka.

Pomyślała przez chwile, najwyraźniej próbując coś zrozumieć. - Wiec jesteś ich dziadziem? -

Wskazała na Adriana i Paulę. Uśmiechnęłam się do Lucy, mając nadzieje, że nie poczuje się urażona nietaktem Jodie.

- Tak, zgadza się - odpowiedział mój ojciec. - Bardzo dobrze.

Rozpromieniła się na te pochwałę, a ja byłam pod wrażeniem, że w końcu się jej udało połączyć fakty, z którymi sobie nie radziła, od kiedy poznała moich rodziców. - A więc jeśli jesteś ich dziadziem - powiedziała, wciąż na niego patrząc - to czy robiłeś im niegrzeczne rzeczy swoim ptaszkiem, kiedy byli mali, tak jak mój dziadziu robił mi?

Wszyscy zamilkli. Mój ojciec przestał jeść i spojrzał na mnie.

-Jodie! Oczywiście, że nie! - powiedziałam ostro. - Mówiłam ci już, że normalne rodziny nie robią takich rzeczy. Dziadziu jest dobrym człowiekiem. A teraz skończ *jedzenie*, porozmawiamy o tym później.

Jodie, błogo nieświadoma szokującego efektu, jaki wywołały jej słowa, podniosła nóż i widelec i zadowolona jadła dalej.

Moi rodzice byli zszokowani, widziałam to po ich twarzach. Jodie zadała to pytanie z taką łatwością, jakby to przypuszczenie było zupełnie naturalne. Szybko zmieniliśmy temat i głośno rozmawialiśmy o innych rzeczach, ale jednocześnie zaczęłam się zastanawiać nad tym, co Jodie rzeczywiście powiedziała. Jej dziadek? Nie wiedziałam nawet, że ma dziadków, w aktach nie było o nich żadnej wzmianki. Zastanawiałam się, czy myliła tatę z dziadkiem, czy też naprawdę brał w tym udział także dziadek? Czy to oznaczało, że w życiu Jodie obecny był jeszcze jeden oprawca? Popatrzyłam na swojego ojca, który nie otrząsnął się jeszcze po sensacjach Jodie, i znów rozmyślałam o ogromnej przepaści między rodziną zdrową a patologiczną. Czy sposób, w jaki Jodie postrzegała rodzinę, mógł się kiedykolwiek *zmienić*? Może któregoś dnia będzie w stanie *zrozumieć*, że to, co ja spotkało, było nienormalne i złe, i że większość rodzin funkcjonowała diametralnie *inaczej*. Ale czasami moja nadzieja gasła.

Do końca dnia uważnie obserwowałam Jodie. Mama pomagała jej trochę malować i robić wycinanki. Potem, jak zawsze na koniec naszej wizyty, wypiliśmy *jeszcze* herbatę i zjedliśmy po kawałku domowego ciasta. Gdy żegnaliśmy się z moimi rodzicami, było już po szóstej. W dodatku na autostradzie był wypadek, więc dotarliśmy do domu dobrze po czasie, gdy Jodie powinna już być w łóżku. Postanowiłam więc zostawić temat jej dziadka na następny *dzień*, ale gdy kładłam ja spać i przy-gasiłam nieco światła, Jodie nagle zapytała: - Dlaczego dziadziu nie robił *niegrzecznych rzeczy* Adrianowi i Pauli? Czy on ich nie kocha?

Patrzyłam na nią w półmroku. Wtuliła się głęboko pod kołdrę, widać jej było tylko blond włosy, opadające lokami na poduszkę. Jak miałam zacząć jej wyjaśniać różnicę między normalnym uczuciem a wynaturzonym zadowalaniem, które do tej pory znała?

- To inny rodzaj miłości, Jodie. *Zupełnie inny* od tej pomiędzy para dorosłych. A to, co spotkało ciebie, to nie była żadna miłość. To było okrutne i bardzo, bardzo złe. *Zrozumiesz więcej*, kiedy dorośniesz.

Wolałabym to już tak zostawić, zejść na dół, zrobić sobie filiżankę kawy, może usiąść w salonie i poczytać gazetę. Ale gdybym teraz tego nie pociągnęła, rano Jodie mogłaby o tym zapomnieć, wchłaniając okropne wspomnienia z powrotem w czarna otchłań *zaprzeczenia*.

Ze znajomym mi już ukłuciem niepokoju przed tym, co miałam usłyszeć, podkreśliłam trochę światło i usiadłam na krześle przy łóżku Jodie. Jej oczy wyjrzały spod kołdry, pogłaskałam ją po czole.

- Jodie, skarbie, czy twój dziadziu krzywdził cię tak samo, jak robili to tatuś i wujek?

Potrząsnęła głową. - Nie, Cathy. Byli miłsi.

— Oni? Ilu dziadziów miałaś?

- *Dziadzia*. Wilsona i *dziadzia* Pricea.

- A więc było ich dwóch. Co to znaczy, że byli miłsi, Jodie? Myślała przez chwile, bo zmarszczyła czoło. Miałam nadzieję,

że zaraz mi powie, że zabierali ja do zoo albo kupowali wielkanocne jajko, jakieś rzeczy, które robią normalni dziadkowie.

- Kładli się na mnie, ale mnie nie bołało. Sikali tylko na łóżko. To dlatego, że mnie kochali, Cathy. - Powiedziała to tak normalnie i rzeczowo, że równie dobrze mogłaby opowiadać o wycieczce do parku.

- Nie, to nie tak. To było złe, Jodie. Dorośli nie okazują miłości w ten sposób. To, co robili, było okrutne. To nie ma żadnego związku z miłością! — ale rozumiałam, że ejakulacja bez penetracji mogła się Jodie wydawać miłsza w porównaniu z innymi obelżliwościami.

— Gdy to się *działo*, mamusia z tatusiem byli w pokoju? — zapytałam.

- Czasami - skinęła głową. - I wujek Mikę, i ktoś, kogo nie znałam.

Trzymałam ją za rękę i głaskałam po czole. - Czy jest jeszcze coś? Pamiętasz coś jeszcze, Jodie?

Potrząsnęła głową. - Możesz mi teraz poczytać, Cathy? *Nowe buty Tosi i Tymka*,

Nie była zdenerwowana i zauważyłam, że ja też nie byłam. Stawałam się równie znieczulona jak ona.

Przeczytałam jej bajkę o Tosi i Tymku, potem powiedziałam „dobranoc” i zeszedłam na dół.

Odnutowałam w dzienniku naszą rozmowę, potem wyszłam na papierosa. Gdy tak stałam na mroźnym nocnym powietrzu, *zastanawiałam* się, czy nie mogłabym się wybrać na choćby podstawowy kurs psychoterapii. Ale zdecydowałam, że nie powinnam. Gdybym podjęła jakieś amatorskie kroki, by pomóc Jodie, mogłoby to przynieść więcej szkody niż pożytku. Wszystko, co mogłam zrobić, było dokładnie tym, co robiłam dotychczas, używając zdroworozsądkowego podejścia, które wprowadzało normalność, ale w małym stopniu, o ile w ogóle, wpływało na głębokie psychologiczne uszkodzenia, które już się dokonały. Nie po raz pierwszy od przyjazdu Jodie poczułam się kompletnie na to nieprzygotowana.

W niedzielny poranek Jodie *rozpierała* energia i musiałam stawić czoła gradowi pytań dotyczących szkoły. Czy będzie dostawała *zadania* domowe? Czy w szkole jest czas na zabawę? Czy nauczycielka miała męża? Tatusia? Czy będzie padał deszcz? Obierając swoją zwykłą taktykę próby skanalizowania części jej niespokojnej energii, zabrałam ją na rower.

- Jak zimno - zauważyłam, stawiając kołnierz. - Myślę, że znów może padać śnieg.

— Co to jest śnieg? — zapytała Jodie, gdy wspinałyśmy się na górkę. Próbowałam jej przypomnieć, najlepiej jak mogłam, mówiąc, jak bardzo się jej podobało, gdy nie tak dawno przez trzy dni padał śnieg, ale Jodie nagle zdecydowała, że chce śniegu natychmiast, i rozżościła się, gdy nie mogłam - a według niej: nie chciałam - jej go wyprodukować. A potem nastąpił regularny atak furii: Jodie położyła się zrozpaczona na chodniku, przed dobre piętnaście minut walać pięściami i żądając śniegu. Gdyby nie było tak zimno, może nawet byłoby to komiczne. Kiedy wróciliśmy do domu, posadziłam ją przed telewizorem, żeby ja czymś zająć do kolacji. Ale wieczorem również była nadmiernie aktywna i urządziła kolejną scenę wściekłości, gdy nie chciałam wyjść, żeby kupić jej lody. Zdołałam ją przekonać, żeby wzięła kąpiel, i to ją uspokoiło na tyle, że o siódmej była już w łóżku. Następnego dnia, pierwszy raz od ponad roku, miała spędzić cały dzień w szkole, a ja modliłam się, żeby ten dzień był udany.

Przyjaciele

Jodie cała noc się budziła, ale rano była ożywiona i podekscytowana, podczas gdy ja padałam ze *zmęczenia*. Ubrała się w szkolny mundurek i miałyśmy tylko niewielkie spięcie, gdy zażądała koronkowych rajstop, które w końcu udało mi się jej wyperswadować.

Przyjechałyśmy do szkoły wcześniej, więc siedziałyśmy przez chwilę w samochodzie, słuchając radia. Mimo że Jodie była rozemocjonowana, widziałam, że troszkę się też denerwowała. Ja byłam zdenerwowana podwójnie.

Gdy podchodziłyśmy do bramy szkoły, trzymałam Jodie za rękę. Ścisnęłam ją, gdy wkroczyłyśmy do budynku. Pani Rice podeszła przywitać nas w recepcji. Z powodu trudności, jakie miała Jodie, umówiłam się, że nauczycielka każdego ranka będzie ja ode mnie odbierała i przekazywała mi ją z powrotem pod koniec dnia. Przytuliłam Jodie i patrzyłam niespokojnie, jak pani Rice prowadziła ją korytarzem.

Gdy tylko dojechałam do domu, usłyszałam telefon. Dzwoniła Jill. Odebrała maila, którego wysłałam w niedzielę, z notatkami o dziadkach Jodie i rozmawiała już z Eileen. Sprawdzono akta i potwierdzono, że nie było w nich absolutnie żadnych wzmianek o dziadkach. Zrobiono to tak szybko, że zaczęłam się zastanawiać, czy Eileen nie miała przypadkiem jakiejś rozmowy ze swoim przełożonym. Babcia Jodie ze strony matki żyła, ale ponieważ poróżniła się z córkami wiele lat temu,

Jodie nie miała z nią żadnego kontaktu. Jodie nigdy nie poznała też swoich dziadków, z żadnej ze stron. Jill przerwała, czekając, aż dojdę do oczywistej konkluzji.

- Należą do tej samej kategorii co tak zwani wujkowie, pedofile w przebraniu członków rodziny? - przypuszczałam. Jodie opisywała wcześniej swoich oprawców jako wujków albo ciocie, ale okazało się, że nie byli to prawdziwi krewni. Byli to raczej przyjaciele rodziców Jodie, których przedstawiano jako członków rodziny, by móc łatwo wprowadzić nieznanym w domowe środowisko.

- Tak sadzimy. Wygląda na to, że rodzice Jodie musieli być częścią siatki. Policja sprawdza teraz rejestr przestępców - odpowiedziała Jill. - Jeśli natrafią w rejestrze na jakiegoś Wilsona lub Pricea, którzy mieszkaliby w okolicy, doprowadzą ich na przesłuchanie. Ale, żeby być zupełnie szczerą, Cathy, nie jestem optymistką. Jeśli ci ludzie nie zostali nigdy skazani, nie będzie ich w rejestrze. Jest jeszcze coś. Eileen dostała wyniki badania ginekologicznego.

- Tak?

Jill zniżyła głos: - Potwierdza ono, że Jodie była penetrowana, ale bez DNA lub zeznania trzeciej strony nie mamy wiele, by sformułować oskarżenie. Była wykorzystywana, ale żeby kogoś skazać, musiałabyś udowodnić, kto jest za to odpowiedzialny.

- A kto, na Boga, mógł być odpowiedzialny? Czy nie jest oczywiste, że Jodie mówi prawdę? Badanie tylko potwierdza wszystko, o czym Jodie opowiada - westchnęłam. - Wiec co teraz?

- Nie poddajemy się i mamy nadzieję, że coś w końcu wyjdzie. Eileen zorientowała się, że sprawa Jodie powinna zostać poddana wywiadowi LAC, którego termin właściwie już minął. Zgodzisz się, żeby się to odbyło u ciebie w domu? zaproponowała czwartkowe popołudnie, o drugiej.

- OK, w porządku.

- Eileen chce, żeby Jodie też była. Wiem... zarwane popołudnie w szkole teraz, gdy dopiero zaczęła, wiem też, że nie będzie w stanie niczego wniesić w ten wywiad. Ale Eileen nagle zaczęła się strasznie przejmować przepisami, a zgodnie z prawem może na to nalegać.

Poczułam mieszaninę złości i frustracji, która tak często mnie prześladowała, gdy tylko chodziło o Eileen. - Dobra, odbiorę ją ze szkoły w czasie przerwy obiadowej - powiedziałam i po szybkim pożegnaniu odłożyłam słuchawkę.

LAC to skrót od Looked After Children, czyli oficjalnego określenia dzieci znajdujących się pod opieką. Wywiad LAC to regularne spotkanie, wymagane przez Ustawę o Prawach Dziecka, na którym obecni są wszyscy zaangażowani w przypadek danego wychowanka. Osoby te decydują, jakie działania należy podjąć na danym etapie. Rodziców Jodie oczywiście nie będzie, bo kontakt został zawieszony, ale będą kurator z urzędu, opiekunka socjalna dziecka, osoba prowadząca jej zespół, dyrektor szkoły, Jill, Jodie i ja. Ponieważ jednak Jodie nadal funkcjonowała na poziomie czterolatka, można się było spodziewać, że jej obecność wniesie niewiele poza zamieszaniem.

Teraz, gdy była w szkole, przyrzekłam sobie, że wykorzystam dobrze moje pierwsze trzy wolne dni od miesięcy. Usiadłam na sofie i zaczęłam planować dzień. Obudziłam się trzy godziny później, z wyrzutami sumienia, że zmarnowałam tyle czasu. Była już za piętnaście pierwsza i do wyjazdu po Jodie zostały mi niespełna dwie godziny. Szybko pojechałam do supermarketu, ale zanim wróciłam do domu, zdałam sobie sprawę, że muszę porzucić marzenia o czytaniu w spokoju przez godzinkę. Mimo to pocieszałam się, że *przecież* sen był mi potrzebny. Tak mało spałam w nocy, a w dodatku był to sen przerywany przez nocne koszmary Jodie. Nic dziwnego, że gdy tylko miałam okazję zrelaksować, oczy od razu mi się zamykały.

Wróciłam do szkoły i czekałam przy bramie, wymieniając uśmiechy z kilkoma innymi matkami. Czy słyszały już o Jodie? Jak inne dzieci ja opisywały? Przyszła pani Rice z podskakującą przy niej Jodie i powiedziała, że mała spędziła udany dzień. Miałam tego dowód w samochodzie, bo przez całą drogę Jodie nie przestawała mówić. Opowiadała w kółko o wszystkich dzieciach ze swojej klasy, z których większość była teraz jej najlepszymi przyjaciółmi, i chciała wszystkich zaprosić do nas na herbatę, tak jak robiła to Paula ze swoimi przyjaciółmi.

Gdy przyjechałyśmy, Adrian, Lucy i Paula byli już w domu, więc Jodie miała nowych słuchaczy dla swojego ekscytującego monologu, a oni cierpliwie słuchali. To samo było przy kolacji, aż musiałam przypomnieć Jodie, żeby jadła, bo po to *przede* wszystkim był posiłek. Ponieważ była *fizycznie i* emocjonalnie wyczerpana, tamtej nocy usnęła z łatwością, a dzięki temu ja również.

Tuż po północy obudził mnie odgłos Jodie szlochającej na korytarzu. Założyłam szlafrok i szybko wyszłam z pokoju. Zobaczyłam Jodie leżącą na dywanie przed drzwiami Pauli. Twarz Jodie była purpurowa. Przez płacz ledwo oddychała. Objęłam ją ramieniem i odprowadziłam do jej pokoju. Usiadłam obok niej na łóżku i tuliłam, dopóki nie była w stanie czegoś powiedzieć.

- Cathy - powiedziała, jeszcze chlipiąc - gdy byłam w swojej szkole, miałam jedną przyjaciółkę, ale ona później nie mogła już być moją przyjaciółką. - Podałam jej chusteczkę i poczekałam, aż wytrze nos.

- Nie denerwuj się, złotko. Teraz będziesz miała mnóstwo przyjaciół!

- Ale to była moja najlepsza, najlepsza przyjaciółka. I przychodziła do mojego domu. Ale później już nie mogła, przez to, co powiedziałam.

Mój zaspany mózg zaczynał pracować. - Co powiedziałaś? Jestem pewna, że to nie było takie straszne. Przyjaciele odchodzą cały czas, Jodie, nawet ci najlepsi.

Potrząsnęła głową.

- Powiedziałam jej. O mamusi, tatusiu i wujku Mikeu. A ona powiedziała swojej mamusi i tatusiowi, i oni powiedzieli, że nie może już do mnie przychodzić i bawić się ze mną. Jej mamusia powiedziała, że to jest zły dom. Ale ja nie jestem zła, prawda, Cathy?

Przytuliłam ją mocniej.

- Nie, skarbie, oczywiście, że nie jesteś zła. Ona chciała powiedzieć, że to, co się tobie przytrafiło, było złe. To nigdy nie była twoja wina! Nie wolno ci tak myśleć. - Gdy ją pocieszałam, miałam w głowie burzę myśli. Powiedziała komuś. Inni dorośli wiedzieli o molestowaniu! Czy to mogło być *zeznanie trzeciej strony*? Dowód, który potrzebny był do oskarżenia? Zupełnie się już obudziłam.

— Dobrze zrobiłaś, mówiąc to, Jodie. Zamiast zabraniać wam wspólnej zabawy, jej mamusia i tatuś powinni powiadomić policję. Jak się nazywała? Przypomnisz sobie:¹ To ważne.

Jodie pociągnęła nosem. — Louise Smith. Mieszkała obok. Nie powiem swoim nowym przyjaciołom, tak, Cathy?

- Nie, nie ma potrzeby. Ale mnie możesz powiedzieć wszystko, co chcesz, wiesz, że coś z tym wtedy zrobię.

Znów pociągnęła nosem i zdobyła się na uśmiech.

- *Grzeczna* dziewczynka. Dobrze zrobiłaś. A teraz chce, żebyś spróbowała zasnąć. Nie chcemy, żebyś jutro była zmęczona.

Przykryłam ją i głaskałam po czole, dopóki nie zamknęła oczu. Byłam zdenerwowana, ale wiedziałam, co robić. Jodie miała wcześniej odwagę powiedzieć to komuś, ale ta odwaga nie tylko nie została nagrodzona, ale - w oczach Jodie - doprowadziła do następnej kary, bo zabroniono jej spotykać się z najlepszą przyjaciółką. Mogłam sobie wyobrazić, dlaczego rodzice Louise milczeli: woleli się nie *mieszać*, a przy tym chcieli chronić własne dziecko. Niemniej jednak przez swoje milczenie zostawili niewinna ofiarę wystawioną na dalsze cierpienie. Wystarczyło tylko, by zadzwonili na telefon *zaufania* pomocy społecznej lub na policję, co byłoby podstawą podjęcia dochodzenia. Za każdym razem, gdy istnieje podobne podejrzenie, policja i pomoc społeczna muszą zareagować.

Położyłam się z powrotem do łóżka, ale nie mogłam zasnąć. W końcu wstałam, *zeszłam na dół* i zrobiłam sobie trochę gorącej czekolady. Stałam w kuchni, *ogrzewając* dłonie na gorącym kubku. W tym, co powiedziała Jodie, były jeszcze inne wskazówki. Jeśli państwo Smith mieszkali obok, to musieli wiedzieć, kto wchodził i wychodził z domu Jodie. Prawdopodobnie znali te wszystkie ciocie, wujków i dziadków, jeśli nie z nazwiska, to przynajmniej z widzenia. Gdyby policja przesłuchała ich teraz, mając konkretne zarzuty, to chyba musieliby powiedzieć prawdę? Dobrze *znałam* osiedle, gdzie Jodie się wychowywała, bo już wcześniej opiekowałam się dziećmi stamtąd. Była to zwarta, blisko powiązana społeczność, w której wszyscy się nawzajem odwiedzali. Ilu innych mieszkańców wiedziało o tym, co się działo w domu Jodie, i milczało, bojąc się ewentualnych konsekwencji? Jak oni mogli w nocy spokojnie spać?

Odmowa

Ale przecież muszą coś wiedzieć! - przekonywałam Jill, gdy oddzwoniła kilka godzin później. — Cały czas się odwiedzali. Dziewczynki były najlepszymi przyjaciółkami.

- Tak, ale Smithowie utrzymują, że nadal *przyjaźnią*, się z sąsiadami. Mówią, że są zaskoczeni zarzutami i że zaproponowano im nawet poświadczenie moralności rodziców Jodie. Przykro mi, Cathy, ale nie sadzę, żebyśmy wyciągnęli od nich coś więcej.

Zamilkłam, Czulałam, jak ściany z mowy milczenia, które niegdyś uwięziły Jodie, znów się zamykają, i zaczęło mnie to przerażać. - Więc dlaczego zabronili swojej córce bawić się z Jodie, jeśli jej rodzice byli tak cholernie poważani?

- Właśnie, mówią, że tego nie zrobili. Słuchaj, Cathy, nie wątpię w to, co mówisz, ani w to, co powiedziała Jodie. Ale Eileen właśnie z nimi rozmawiała i wygląda na to, że nie ma szans na zmuszenie ich do mówienia, tak samo myślą na policji. Co innego, gdyby ci tak zwani dziadkowie byli notowani jako przestępcy, ale nie są. Fakty są takie, że wszystko, co mamy, to słowa pogmatwanej ośmiolatki, która ma problemy w nauce i nie chce nawet nic powiedzieć policji. To nie wystarczy, żeby wytoczyć sprawę.

- Nie jest znów tak pogmatwana - trochę się jednak oburzyłam. - Nie wtedy, kiedy chodzi o te sprawy, wtedy jest pewna i skupiona - wzięłam oddech, nie było sensu krzyczeć na Jill. -Przepraszam, jestem po prostu wściekła. Wygląda na to, że wszystko ujdzie im na sucho, podczas gdy Jodie poniesie konsekwencje tego, że była wystarczająco odważna, by powiedzieć prawdę.

— Wiem, że to denerwujące, ale Jodie nie musi wiedzieć, że oskarżenie nie zostanie wniesione. Dobrze się dla niej stało, bo mogła się przynajmniej otworzyć, ale musimy zaakceptować to, że w tej chwili jest jak jest. Policja mówi, iż nie zamykają sprawy, w razie gdyby pojawiło się coś nowego.

- Musze się od tego zdystansować - powiedziałam zmęczona. — Zbyttno się angażuję.

- Cathy, nie byłabyś tak dobrym opiekunem, gdybyś się nie angażowała. Wciąż szukam dla ciebie tego zastępstwa. Nie zapomniałam.

Chciałam sama jechać do Smithów i błagać ich, jeśli byłoby to potrzebne, żeby zaczęli mówić. Stałam na werandzie, paląc papierosa i zastanawiając się, co bym im powiedziała. Czy mogłabym ich zawstydzić tak, by przyznali, co naprawdę wiedzieli, gdybym tylko spojrzęła im w oczy? Czy udałoby się zmienić ich stosunek, gdybym im opowiedziała o nocnych koszmarach Jodie i o tym, jak zniszczone zostało jej życie? Zaciągnęłam się głęboko i zgaśliłam papierosa. Wiedziałam już, że nie mogłam tego zrobić. Byłaby to najbardziej nieodpowiednia i nieprofesjonalna rzecz, jaka mógł zrobić opiekun. Pewnie straciłabym *przez* to pracę, a w efekcie również Jodie. Poza tym wątpiłam, czy przyniosłoby to jakiś pozytywny efekt. Jeśli Smithowie byli odporni na starania policji i pomocy społecznej, to mało prawdopodobne, bym ja mogła to zmienić. Weszłam do środka i zamknęłam kuchenne drzwi. Kolejny raz poczułam podobne rozżalenie jak Jodie.

Pocieszałam się faktem, że mała chodziła przynajmniej do szkoły, i liczyłam na to, iż codzienna rutyna będzie czymś, co zajmie jej myśli. Jednak rutyna ta była skazana na ciągłe przeszkody, bo przeszłość Jodie nie dawała o sobie zapomnieć. Nadszedł czwartek i musiałam odebrać ją ze szkoły w porze obiadu, żeby mogła uczestniczyć w wywiadzie LAĆ.

O *trzecie* po południu w moim salonie przy kawie i ciastkach siedziało nas już sześcioro. Zdumiewające, że Eileen pojawiła się spóźniona o całą godzinę i niczym się nie tłumacząc, rzuciła mało szczerze: - Przepraszam, coś mnie zatrzymało. -i przeszła do wręczenia kopii swojego planu, a spotkanie wreszcie się zaczęło.

Z powodów, których nie rozumiała, Jodie znalazła się nagle w centrum zainteresowania, więc było całkiem naturalne, że zaczęła grać pod publikę, Z rękami na biodrach spacerowała dumnie tam i z powrotem, wykrzykując polecenia i ochrzaniając każdego, kto tylko zabierał głos w rozmowie. Powiedziała, że „bawi się w szkołę”. Jill i ja wymieniliśmy porozumiewawcze spojrzenia; czułyśmy, że tak mogło być naprawdę.

Mimo zakłóceń powodowanych przez Jodie, Eileen upierała się, by spotkanie przebiegało zgodnie z jej planem, i kiedy było trzeba, przekrzykiwała dziewczynkę. Szybko zamieniło się to w cyrk. Adam West wręczył swoje sprawozdanie, ale było ono bardzo zdawkowe, bo Jodie była w szkole dopiero trzy i pół dnia. Potem przeprosił, bo ze względu na inne umówione spotkanie musiał już iść. Jodie się to nie spodobało. Dlaczego niby on mógł wrócić do szkoły i się bawić, a ona nie? Była już bliska odstawienia nam sceny hysterii, ale udało mi się temu zapobiec, uzupełniając ciastka i zapewniając ją, że z pewnością pójdzie do szkoły następnego dnia.

Z powodu zachowania Jodie ciągle byłam w ruchu, więc niewiele mogłam wnieść do dyskusji. Byłam też niespokojna, bo czułam, że rozmawianie o Jodie w jej obecności było dla niej poniżające i raczej utrwalało pojęcia i zachowania, od których staraliśmy się odwieźć.

- Czy chcesz się do tego jakoś odnieść, Jodie? - zapytała w końcu Eileen. — W końcu to spotkanie jest o tobie.

- „Odnieść się” to znaczy coś powiedzieć - wyjaśniłam, bo Jodie gapiała się, nie rozumiejąc.

- Nie! - wrzasnęła. - I już wam mówiłam, żebyście przestali gadać, bo przepadnie wam czas na zabawę! - Cieszyłam się, że dyrektor już wyszedł i nie zobaczył mizernego portretu swojej utytułowanej szkoły.

Półtorej godziny później zakończyliśmy wreszcie spotkanie, wypełniając prawny obowiązek, ale kolejny raz niczego nie osiągając. Chciałam odnieść się do pilnej potrzeby zorganizowania dla Jodie terapii, ale nie było raczej takiej możliwości, dopóki sprawa sądowa o ustalenie opieki nie zostanie zakończona. Pierwsi wyszli kierownik zespołu i kurator z urzędu, za nimi zamierzała wybyć Eileen.

- Miło było cię znów zobaczyć, Jodie - powiedziała, wpychając notatki do teczki.

— Naprawdę? - odpowiedziała Jodie. - Dlaczego?

Eileen wydusiła z siebie uśmiech. - Bo jesteś urocza dziewczynka.

Protekcjonalność i nieszczerłość tych słów były ewidentne nawet dla Jodie. Nastąpiła chwila przerwy i postura Jodie nabrała wyrazu, który ja dobrze znałam, podczas gdy Eileen pozostała błogo nieświadoma tego, co nadchodziło.

- Nie! Nie jestem! - zahuczła Jodie głębkim, męskim głosem. - Jestem Reg i jestem zły! Zamknęłaś już tego pierdolonego ojca? - I zanim zdążyłam ja powstrzymać, kopnęła Eileen w goleń.

Szybko objęłam i przytrzymałam Jodie, a Eileen masowała sobie nogę.

- Odprowadzę cię - powiedziała Jill, wyprowadzając Eileen przez korytarz.

- To było bardzo *niegrzeczne* — powiedziałam do Jodie. -Nie wolno ci kopać, obojętne, kim jesteś. Ale Reg zniknął tak samo szybko, jak się pojawił, i zanim Jill wróciła, Jodie siedziała zadowolona na podłodze, pochłonięta klockami lego.

- A więc to jest Reg - powiedziała Jill ponuro. - Wiem, mówiłaś mi o tym, ale zupełnie inaczej jest to zobaczyć na żywo. Przyprawia o *dreszcze*. Widziałam coś takiego lata temu, ale dobry Boże, tylko najcięższy rodzaj przeżyć mógł to wywołać u takiego małego dziecka!

- To pierwszy raz, gdy zamieniła się w Rega *przed* kimś obcym — powiedziałam.

- No cóż, cieszę się, że jako pierwsza byłam tego świadkiem.

- Tak, mam nadzieję, że Eileen również - odparłam sucho. Uśmiechnęłyśmy się obie.

Teraz, gdy Reg ujawnił się przed obcymi, nie zawahał się przed kolejnym występem, tym razem przed inną widownią. Właśnie wróciłam do domu po odwiedzeniu Jodie do szkoły, gdy zadzwoniła sekretarka. - Witam, Cathy, mamy problem. Jodie nic się nie stało, ale dyrektor prosił, czy nie mogłaby pani natychmiast przyjechać?

Nie zdjęłam jeszcze płaszcza, więc zabrałam tylko klucze ze stolika w przedpokoju i z kotłującymi się myślami pojechałam z powrotem. Co tym razem mogła zrobić? Gdy przyjechałam, sekretarka od razu zaprowadziła mnie do gabinetu dyrektora. Siedział posępny za biurkiem. Wyczułam, że dystans między nami był celowy i miał podkreślać powagę rozmowy, która mieliśmy odbyć.

- Dziękuję, że tak szybko pani przyjechała - powiedział, podnosząc się nieco i wskazując krzesło naprzeciwko siebie. - Przejdę od razu do rzeczy. Mieliśmy dziś rano dość nieprzyjemny incydent, w którego efekcie Jodie spoliczkowała inne dziecko. - Wiedzieliśmy oboje, że jeden taki przypadek nie wymagałby wzywania mnie do dyrektora. - Będę zupełnie szczery, pani Glass, nie chodziło tyle o policzek, który zdenerwował tamto dziecko i *resztę* klasy, ile o zachowanie, które temu towarzyszyło. Uniosłam pytająco brwi.

- Jodie straciła zupełnie panowanie nad sobą z powodu jakiejś błahostki. Kopnęła oraz wykrzykiwała straszne obelgi, a potem zrzuciła winę na jakiegoś Rega. Nie ma w klasie nikogo o takim imieniu, ale Jodie była niewzruszona. Żeby ją uspokoić, potrzebne były dwie osoby z personelu. A teraz do rzeczy. Oczywiście znam Jodie niedługo, ale jej reakcja była bardzo niepokojąca i wydawała się nie w jej stylu.

Faktycznie, nie w jej stylu. Zdecydowałam, że nie było wyjścia i należało wszystko wyjaśnić.

Opowiedziałam o zespole DID i o tym, czego byłam świadkiem w domu, a następnie zapewniłam, że

Jodie odwiedza psychologa. Pomięłam fakt, że psycholog przeprowadza jedynie jej ocenę, a nie terapię. Wspomniałam również o dwóch innych tożsamościach Jodie, a dyrektor przytaknął, jakby coś zrozumiał.

— Pani Rice wspominała, że Jodie mówi czasem bardzo dziecięcym głosem. Złożyliśmy to na karb stresu. Wie pani, kiedy dziecko jest niespokojne, może się cofać w rozwoju... Ale mówi pani, że to objaw tego samego problemu?

- Może tak być.

- I przypuszczam, że jej opiekun socjalny wie o tym?

— Tak, wie. (Po wczorajszym wieczorze nawet bardzo dobrze wie, pomyślałam).

- I mówi pani, że to może minąć samoistnie?

— Tak mi powiedziano.

- W innych okolicznościach po podobnym incydencie wyłączylibyśmy dziecko z zajęć do końca dnia, ale skoro Jodie nie wie nawet, co zrobiła, nie miałyby to większego sensu. Zatrzymam ją i będę to monitorował.

Podziękowałam i poprosiłam, żeby przekazał moje przeprosiny także tamtemu dziecku i personelowi.

- Później porozmawiam z Jodie - powiedziałam, *czując się zobowiązana*, do zaoferowania czegoś. - Przykro mi, że musieli się państwo z tym *zetrząść* w szkole.

Wysłałam z gabinetu, świadoma, że o mały włos wszystko nie runęło. Było oczywiste, że pan West nie będzie w nieskończoność tolerował zachowania Rega. Wieczorem rozmawiałam o tym z Jodie, ale była to tylko strata czasu. Czasem odnosiłam wrażenie, że nic nie pamięta, ale niekiedy, gdy mówiłam, że zrzucała winę na Rega lub Amy, wydawała się jednak wiedzieć,

o czym mowa. Gdybyśmy zaszły zbyt daleko w dochodzeniu, co się tak naprawdę działo, mogłybyśmy obie postradać zmysły. W mniemaniu Jodie oskarżałam ją o coś, czego nie zrobiła, i w obawie przed podważeniem zaufania, jakie udało mi się zdobyć, nie chciałam się przy tym upierać. Niemniej jednak był to kolejny incydent potwierdzający to, że Jodie rozpaczliwie potrzebowała natychmiastowej terapii. Czekanie do zakończenia procesu sądowego było zwyczajnie niekorzystne. Zdecydowałam, że będę ze wszystkich sił nalegała na rozpoczęcie *leczenia*..

— Jodie naprawdę potrzebuje terapii — powiedziała psycholog podczas kolejnej wizyty, która miałyśmy z Jodie umówiona w następnym tygodniu. - Kiedy ma się odbyć ostateczna rozprawa w sądzie?

- Wyznaczona jest na maj.

Czyli *dzieliły* nas od niej jeszcze cztery miesiące. Psycholog westchnęła i przewróciła oczami. — A tak w ogóle, zauważyła pani jakąś poprawę?

Patrzyłam na Jodie, która chodziła w kółko na środku gabinetu i coś do siebie mamrotała. - Od jakiegoś czasu się nie *zanieczyszcza*. Bywają dobre dni, gdy udaje mi się z nią nawet *nieźle* współpracować, ale nawet wtedy prześladują ją jakieś przeblyski wspomnień. Wczoraj była przekonana, że na zasłonach w salonie widzi twarz swojego ojca.

- Miała halucynacje?

— Tak, ale dla niej to było absolutnie realne. Powiedziała, że musiałam go wpuścić, nic jej o tym nie mówiąc, i wpadła w histerie. Nocami budzi się z krzykiem, a gdy wchodzę do jej pokoju, jest przekonana, że są tam jacyś ludzie, którzy chcą ją skrzywdzić. Widzę nawet, jak na nich patrzy, mimo że dla mnie jest to pustka. Uspokajanie jej trwa czasem godzinami. Wydaje się, jakby na nowo przeżywała ból, który czuła wtedy - przeszedł mnie dreszcz. - Dla mojej rodziny to spory problem.

- Wierze. Przy posttraumatycznym wstrząsie akt wykorzystania ciągle powraca. Czy ma pani regularne przerwy?

Uśmiechnęłam się stoicko. - Ciągle czekam. Z powodu rozległych potrzeb, jakie wykazuje Jodie, trudno jest *znaleźć* odpowiedniego opiekuna na zastępstwo.

Psycholog zanotowała coś w dzienniku i spojrzała na zegarek.

- Cathy, jest jeszcze jedno badanie, które teraz chciałabym przeprowadzić z Jodie. Nie miałyby pani nic przeciwko temu, by poczekać na zewnątrz? To tylko zabawa - zwróciła się tym razem do Jodie, która uczepliła się mojego ramienia, chcąc ze mną wyjść.

Usiadłam na jednym z krzeseł na korytarzu, a pani Burrows zamknęła drzwi. Może to była tylko zabawa, ale Jodie nie była w nastroju do zabawy; słyszałam, jak krzyczała do lekarki, żeby się zamknęła i wynosiła. Spokojny ton doktor Burrows utrzymywał się przez dziesięć minut, potem drzwi otworzyły się i wybiegła z nich Jodie.

- Cholerni lekarze! - przeklinała. - Czemu, kurwa, nie pilnują własnego interesu?

Zanim ja dogoniłam, była już przy wyjściu.

Przez następne tygodnie Jodie podobało się w jej szkole, chociaż nie wykazywała żadnej poprawy ani w zachowaniu, ani w nauce. Właściwie można było powiedzieć, że to nie szkoła miała wpływ na Jodie, a raczej Jodie wpływała na szkołę. Pewnego popołudnia, gdy przyjechałam ja odebrać, zauważyłam, że pani Rice miała zaczerwienione i podpuchnięte oczy. - Wszystko w porządku? - zapytałam, mając nadzieję, że nie ingerowałam zbyt w jej prywatność.

- Tak, w porządku - uśmiechnęła się, *jeszcze* pociągając nosem. — Trochę mi puściły nerwy.

- Ojej, mam *nadzieję*, że to nic *związanego* z Jodie...

- Nie, nie, nie... No, może niezupełnie - przerwała. - Właściwie to... Czy mogłabym z panią zamienić słówko?

Pani Rice najwyraźniej nie chciała rozmawiać w obecności Jodie, więc odesłałam małą, żeby się chwilę pobawiła na szkolnym podwórku, a my w tym *czasie* przeszliśmy w spokojniejsze miejsce.

- Część dzieci przechodziła dziś badanie słuchu i Jodie *zaczęła*, w klasie opowiadać o jakimś badaniu kontrolnym, które sama miała. Oczywiście ucieszyliśmy się, że ma coś do opowiedzenia, ale nagle zaczęła mówić te straszne rzeczy o... Powiedziała, że woli, gdy robi to mężczyzna, i wtedy stało się jasne, o czym opowiadała... No... Wie pani?

- Ojej, przepraszam. Jodie nie rozumie różnicy między tym, co wypada, a co nie.

- Nie, to było *jeszcze* w porządku. Przerwałam jej, zanim inne dzieci zorientowały się, o co chodzi, ale odniosłam wrażenie, że chce o tym opowiadać, więc porozmawiałam z nią w trakcie przerwy na zabawę - byliśmy tylko we dwie. W każdym razie, chciałam się tylko upewnić, że zna pani wszystkie szczegóły. Jedyńm nowym aspektem wydawało się to, że wspomniała o jakiejś cioci, która brała w czymś udział, jak i o matce, ale nazwiska cioci nie wymieniła. To było wszystko.

- Dobrze, dziękuję, że mi pani o tym mówi. Jodie opowiadała mi już o tej cioci. Bardzo mi przykro, że musiała się pani zetknąć z tym wszystkim.

- Ach, proszę się nie przejmować, jestem pewna, że to nie ostatni raz! - uśmiechnęła się.

Poklepałam ja delikatnie po ramieniu i wróciłam z Jodie do domu.

W piątek szkoła urządzała festyn dla charytatywnej organizacji Comic Relief*. Świeciło słońce, więc stragany ustawiono na szkolnym dziedzińcu, a nie w holu, jak wcześniej planowano. Dzieci były ubrane na czerwono, nauczyciele mieli peruki i śmieszne kostiumy, a niektórzy rodzice założyli nawet czerwone plastikowe nosy. Były stoiska z cukierkami i ciastkami, zabawy i loterie, a także dowcipne konkursy, podczas których co odważniejsi nauczyciele pozwalali w siebie rzucać mokrymi gąbkami. Zabawa była przednia i Jodie była zachwycona. Stałam tam i patrzyłam, jak skakała *zajęczymi* susami po dziedzińcu, ścigana przez trzech kolegów z klasy, którzy udawali myśliwych. Wszyscy byli mokrzy, a buzie zarumieniły im się z podekscytowania. Warkoczyki Jodie podskakiwały w powietrzu, gdy wykręcała się i uciekała kolegom, śmiejąc się z całych sił. Był to prawdopodobnie jeden z najszcześliwszych momentów w życiu Jodie.

Ogniwa tańcu

Przekazywanie sobie Jodie w szkole nie tylko gwarantowało jej bezpieczeństwo, ale pozwalało mnie i pani Rice informować się nawzajem o jej postępach. I tak, każdego ranka zdawałam pani

Rice krótki raport z tego, jak minęły Jodie poprzedni wieczór i noc: jak spała, w jakim była nastroju, na co należało zwrócić uwagę i tym podobne. Z kolei popołudniami pani Rice relacjonowała mi wszystkie wydarzenia w szkole, co było bardzo pomocne, zwłaszcza gdy Jodie była zdenerwowana lub zła.

Gdy zaaklimatyzowała się już w swojej klasie, wydawała się nieźle dogadywać z innymi dziećmi, głównie dlatego, że większość z nich była na tyle mądra, żeby odnosić się do niej grzecznie, a równocześnie utrzymywać pewien dystans. W pomarańczowej grupie był jednak jeszcze inny uczeń z problemami w zachowaniu, chłopczyk o imieniu Robert, który również podlegał bezpośredniej opiece pani Rice. Nauczycielka siedziała więc w klasie między Jodie a Robertem i pracowała z tą dwójką indywidualnie, starając się, by to, co robili, przynajmniej w małym stopniu wiązało się z główną lekcją. Taki rodzaj nauczania nazywany jest „różnicowaniem poziomów”. Pewnego popołudnia, gdy Jodie wlokła się noga za nogą obok pani Rice, nauczycielka opowiadała mi, co się stało. Dzieci malowały pastelami. Robert i Jodie sięgnęli w tym samym momencie po czerwoną farbę, Robert był jednak szybszy, więc Jodie opadła z powrotem na krzesło, obrażona. Popatrzyła na swój rysunek, potem na Roberta, a w końcu wstała, przeszła za plecami pani Rice i wyrwała czerwoną farbę z ręki chłopca. Robert zaczął płakać, pani Rice oczywiście skarciła Jodie i kazała jej oddać farbę. Jodie wpadła we wściekłość, zaczęła krzyczeć, że to wina Roberta, i nazwała go „czterema oczami”. To jeszcze bardziej zdenerwowało chłopca, bo właśnie niedawno zaczął nosić okulary. Jodie dała się w końcu przekonać, żeby go przeprosić. Gdy lekcja się skończyła, dzieci wyszły na dwór, żeby się pobawić. Jodie stała *przez* chwilę na dziedzińcu, w milczeniu obserwując Roberta, a potem podeszła do niego i uderzyła go pięścią. Zaczęła się bójka i dzieci *trzeba* było w końcu rozdzielić. W drodze do domu Jodie ciągle była wściekła, waliła rękami i kopała w siedzenie pasażera. - On się nade mną *znęca*., Cathy! Nienawidzę go, nienawidzę go! - Często miewała ataki złości w samochodzie, bo wiedziała, że nie mogłam wtedy wiele zdziałać.

- Jodie, uspokój się i siedź spokojnie! Nie będę ci tego powtarzać.

- Nie! Zamknij się!

-Jodie, ostrzegam, wieczorem nie będzie telewizji. Nie popisałaś się dzisiaj. Wystarczy!

Nadęła wargi i zamilkła. Próbowałam jej wytłumaczyć, że pani Rice miała rację, karcąc ją. - Zabrałaś Robertowi czerwoną farbę, a później bardzo brzydko go przezywałaś. I dlatego pani Rice się na ciebie zdenerwowała.

- Aleja potrzebowałam tej farby! Dlaczego nikt mi nie wierzy?

W następnych tygodniach skargi Jodie na temat Roberta stały się dyżurnym tematem naszych powrotów do domu, a nawet całych wieczorów. Jodie upierała się, że Robert *się* nad nią *znęca*, chociaż wiele razy tłumaczyłam jej, że tak naprawdę to ona *znęcała* się nad nim. Było mi naprawdę żal Roberta. Był cichym, niespokojnym chłopcem, z mnóstwem własnych problemów, a Jodie zarzucała mu wszystko, co najgorsze.

Zachowanie Jodie wobec Roberta było zaledwie jednym z wielu problemów w szkole, więc gdy tylko słyszałam w telefonie głos sekretarki, włosy jeżyły mi się na głowie, bo to oznaczało kłopoty.

Niemniej jednak następne zmartwienie, z którym musiałam się *zmierzyć* w odniesieniu do szkoły, nie było związane z zachowaniem Jodie. Pewnego wieczoru przy kolacji Jodie opowiadała o koleżance z klasy. Dziewczynka miała na imię Freya. Nie słuchałam zbyt uważnie. Opowieści Jodie zwykle się strasznie ciągnęły i rzadko miały jakieś konkretne zakończenie. Ale gdy Jodie wspomniała, że Freya była kiedyś w jej starym domu, natychmiast się zainteresowałam.

- Powiedziałaś, że Freya była u ciebie w domu, gdy tam jeszcze mieszkałaś?

- Taaa.

— W tym domu, gdzie się wychowywałaś, z mamusią i tatusiem?

- Tak - westchnęła.

- I chodzi teraz z tobą do klasy?

- Nooo.

- Więc byłyście koleżankami w twojej starej szkole?

- Nie, ona nie chodziła do mojej szkoły.

- Więc jak ja poznałaś?

- Bo przychodziła, bawiłyśmy się Barbie.

- A twoja mamusia i tatuś znali jej rodziców?

- No, z pubu.
- Rozumiem. A nie wiesz, czy nadal się widują?
- Się mi wydaje.
- O, kurwa! - pomyślałam.

Następnego dnia poszłam zobaczyć się z dyrektorem szkoły. Jeśli rodzice tej dziewczynki ciągle *przyjaźnili się* z rodzicami Jodie, to było niemal pewne, że wiadomość, do której szkoły chodzi dziecko, wkrótce do nich dotrze. To rodziło niebezpieczeństwo, że rodzice Jodie mogli przyjechać do szkoły i wywołać awanturę albo nawet próbować porwać córkę. Jodie byłaby *przerażona*, na widok ojca w miejscu, które uważała za *bezpieczne*, a co dopiero gdyby się do niej zbliżył. Z perspektywy opiekunów zastępczych szkoła może być pełna pułapek, bo dziecko jest w niej odsłoniętym celem. Zdarza się, że biologiczni rodzice próbują przechwycić syna lub córkę przy szkolnej bramie. W takich przypadkach zaleca się, by pozwolić im odejść z dzieckiem i wezwać policję. Dyrektor zasugerował, że od tej pory powinniśmy z Jodie korzystać z wejścia służbowego, i podał mi kod do zamka szyfrowego. Chociaż rozwiązanie było rozsądne, to oznaczało, że wprawdzie w niewielkim zakresie, ale jednak Jodie kolejny raz została potraktowana inaczej niż jej rówieśnicy. Przeszłość Jodie znów krępowwała jej przyszłość.

W następną niedzielę Jodie, Paula i ja poszliśmy na spacer do parku. Wchodziliśmy na wzgórze pośrodku parku, gdy zmiierzająca w naszą stronę starsza kobieta poślizgnęła się i upadła. To było straszne: nie zdołała się podeprzeć na rękach, więc uderzyła nosem o asfalt. Paula i ja podbiegłyśmy do niej. Ja udzielałam jej pierwszej pomocy, a Paula przez telefon komórkowy wezwała karetkę. Zwikłymi czystymi chusteczkami, które miałam w torebce, zatamowałam krwawienie i cały czas mówiłam do niej, żeby się upewnić, czy nie jest w szoku. Nazywała się Maureen i była poważnie poturbowana, jej kruche ciało całe się trzęsło. Twarz miała podrapana, nos najprawdopodobniej był złamany, a jeden nadgarstek spuchł. Gdy przyjechali sanitariusze, wyjaśniliśmy im, co się stało. Karetka zabrała kobietę do szpitala, a my wróciliśmy do domu. Przez cały ten czas Jodie stała obok, przyglądając się w milczeniu.

Tego wieczoru, przy kolacji, wciąż myślałyśmy o tym wypadku.

- Mam *nadzieję*, że z tą biedną staruszką już wszystko w porządku - powiedziała Paula. - Chciało mi się płakać.

- Dlaczego chcesz płakać? - zapytała Jodie.

- Z powodu tej staruszki, która się przewróciła w parku.

- Dlaczego? Nic ci nie zrobiła.

- Nie, no wiem - odpowiedziała Paula cierpliwie. - Ale bardzo się zraniła, a była stara. Kiedy widzisz coś takiego, robi ci się smutno, prawda?

Jodie patrzyła na Paulę, wyraźnie nie rozumiejąc emocji, które tamta próbowała opisać.

Pomyślałam, że spróbuję pomóc. - Nie lubimy *patrzeć*, gdy ludziom *dzieje się* krzywda, Jodie, bo sami wiemy, jak bardzo to boli. Gdybyś ty się przewróciła, to by cię bolało, prawda?

Jodie pomyślała sekundę. - Tak. Jaka biedna staruszka! - Potem powtarzała tę frazę przez cały wieczór. Cieszyłam się, słysząc w jej ustach te słowa, ale brzmiało to dość płytko i nie byłam pewna, czy naprawdę tak czuła. To nie tak, że Jodie była rozmyślnie bezduszna; po prostu sprawiała wrażenie, jakby była pozbawiona empatii. Zastanawiałam się, czy to dlatego potrafiła być tak okrutna dla zwierząt i tak opryskliwa i *niegrzeczna*, w stosunku do innych. *Przez cały czas*, kiedy była z nami, ani raz nie widziałam jej płaczącej ze smutku. *Lzy* Jodie były jedynie przejawem wściekłości i frustracji. Mimo to, nawet jeśli *jeszcze nie* nauczyła się współczuć, to rozumiała, że czasami ludzie oczekiwali, by tak się zachowywała, więc by wyglądać na normalną i się dopasować, naśladowała reakcje innych. Patrząc wstecz, doszłam do wniosku, że tak samo zachowała się w Boże Narodzenie, gdy naśladowała reakcje innych przy otwieraniu prezentów. Podobnie gdy pokazałam jej piękny zachód słońca, powtarzała w kółko „Jaki piękny zachód” ale to także było powierzchowne, tak jakby po prostu nie widziała lub nie doceniała tego piękna.

Kilka tygodni później przyjechałam odebrać Jodie ze szkoły po lekcjach. Gdy szła korytarzem, zauważyłam, że prowadził ja dyrektor, a nie pani Rice. Wzięłam głęboki oddech i zebrałam się w sobie. Co znów zrobiła:¹ Wymieniliśmy powitania, potem dyrektor wziął mnie nieco na stronę, by Jodie go nie słyszała.

- Proszę się uspokoić - powiedział - niczego nie zrobiła. Chciałem tylko zamienić słowo. Pani Rice postanowiła wziąć urlop, więc od jutra będziemy mieli nowego nauczyciela asystenta,

- Ach, rozumiem - odpowiedziałam zaskoczona. - To *raczej* nagła *decyzja*? Nic nie wspominała. Mam nadzieję, że wszystko jest w porządku.

Skinął głową. - Myślę, że potrzebuje po prostu trochę odpocząć. Wie pani, jak to jest, kiedy pracuje się z dziećmi, a nauczyciele asystenci są zawsze na pierwszej linii. Podobnie jak zastępczy opiekunowie.

Przytaknęłam,

— Czasem pani również potrzebuje przerwy, prawda?

- Tak, znam to uczucie. - Uśmiechnęłam się słabo, zastanawiając się, czy kiedykolwiek dostanę te parę dni wolnego, obiecane na początku roku.

Gdy wychodziłam ze szkoły, było mi żal pani Rice. Widziałam ją zdenerwowaną wystarczająco często, by móc przypuszczać, że częściowa odpowiedzialność za jej zmęczenie ponosiła Jodie. Nauczycielka nie była przyzwyczajona do słuchania o takich okropnościach, przez jakie przeszła Jodie, i nigdy wcześniej nie miała do czynienia z dzieckiem tak trudnym i niespokojnym. Jodie była ciągle na krawędzi, wyczulona na niebezpieczeństwo: walczyć czy uciekać. Słyszac najmniejszy hałas, odwracała się, gotowa do akcji. Gdy spędza się wystarczająco dużo czasu z dzieckiem takim jak Jodie, samemu jest się bardziej wyczulonym i *wyłaczenie* się oraz zrelaksowanie przychodzi wtedy z wielkim trudem.

Na pewno czułam się coraz bardziej przygnieciona życiem Jodie, całym jej bólem, strachem i *rozpaczą*, które wycierpiała.

Milczenie

Eliot napisał kiedyś, że kwiecień to najbardziej okrutny miesiąc, i w tym roku była to chyba całkowita racja. W miarę jak zbliżał się kwiecień, ponure dni i permanentnie szare niebo nie sugerowały niczego innego, ani w przeszłości, ani na przyszłość. Temperatura ciągle spadała i wydawało się, że zima będzie trwać w nieskończoność. Trudno było uwierzyć, że Jodie była z nami już prawie rok, ale faktycznie - zbliżała się rocznica jej przyjazdu.

Postawiłam kołnierz i kręciłam się przed witryną biura podróży. Fantazjowałam o promocyjnych wycieczkach na Karaiby. Tak bardzo chciałam wziąć nas wszystkich do samolotu i odlecieć na słoneczną wyspę! Ale to było niemożliwe. Może *jeszcze* mój portfel by to wytrzymał, ale psychika Jodie z pewnością nie. Poza wszystkimi innymi problemami, ostatnio tak bardzo zaczęła się bać dorosłych, że nawet wizyta u kioskarza, z którym wcześniej gawędziła, doprowadziłyby do ataku paniki. Przelot pełnym ludzi samolotem byłby dla niej nie do zniesienia, a nie podejrzewałam, by linie lotnicze wyczarowały samolot tylko dla nas.

Odeszłam od kuszącej wystawy i ruszyłam w kierunku supermarketu. Zadzwoiła komórka - to była sekretarka ze szkoły.

- Przepraszam, Cathy, ale Jodie nie daje się uspokoić. Jest przekonana, że jej ojciec przyjechał do szkoły, żeby ją zabrać. Może pani przyjechać jak najszybciej?

Zawróciłam i poszłam prosto do samochodu.

Na szczęście po drodze nie było korków, więc dwadzieścia minut później wchodziłam już do recepcji. Ze środka dobiegał wysoki, piskliwy głos — wiedziałam, że to Jodie. Nacisnęłam dzwonek domofonu. Sekretarka zaprowadziła mnie do gabinetu pielęgniarki. Jodie trzymała się kurczowo kaloryfera. Miała szerokie, wytrzeszczone oczy i cała trzęsła się z przerażenia.

- Nie każ mi z nim iść! Proszę, Cathy, proszę! - błagała. Nowa nauczycielka asystentka, pani Walker, która nieźle

radziła sobie z Jodie, klęczała obok niej, mówiąc do niej łagodnie i próbując ją uspokoić, ale widziałam, że Jodie była już dawno poza tym etapem.

Podeszłam w jej stronę, ale się odsunęła. - Nikt cię stąd nie zabiera, Jodie - powiedziałam zdecydowanie. - Jego tutaj nie ma, przyrzekam, przecież wiesz, że nie kłamię.

Już otworzyła buzię, żeby krzyknąć, ale nie dałam jej szansy.

- Nie, Jodie. Nie żartuj! Przestań! Nikogo tutaj nie ma. Uspokój się i puść ten kaloryfer, to cię przytule.

Młoda nauczycielka zerknęła na mnie podejrzliwie. Jodie popatrzyła na każdą z nas, potem na drzwi. Zaczęła zwalniać uścisk na kaloryferze. - *Grzeczna*, dziewczynka. Tak już lepiej. - W końcu całkiem go puściła.

Podeszłam i wzięłam ją w ramiona, podczas gdy pani Walker wyślizgnęła się cichutko.

- On tutaj był - szlochała Jodie. - W mojej starej szkole. Przyjechał, żeby mnie zabrać, a potem wsiadł do swojego samochodu.

Reszty słów nie rozumiałam, zagłuszyło je szlochanie, ale znałam już to wszystko. Przeszłość raz jeszcze zakrywała terażniejszość, a jej przebieżki wydawały się tak samo realne jak wtedy, gdy te okropne wydarzenia rzeczywiście się rozgrywały.

- Już wszystko dobrze, skarbie, obiecuję. To się już nigdy nie powtórzy. No już, już. Już dobrze.

Gdy się uspokoiła, zaprowadziłam ją do samochodu i pojechaliśmy do domu. Była jedenasta rano, ale Jodie chciała iść spać. Powiedziała, że jest zmęczona, a w łóżku było miło i bezpiecznie. Wzięłam ją na górę i pomogłam zdjąć mundurek. Ułożyłam ją i natychmiast zasnęła. Zaglądałam do niej co pół godziny, ale ciągle spała jak zabita. O drugiej po południu postanowiłam ją zbudzić, bo wiedziałam, że jeśli będzie za długo spała teraz, to w nocy nie zaśnie.

Weszłam do pokoju. Jodie zmieniła pozycję, leżała teraz płasko na wznak. Oczy miała otwarte, patrzyła w sufit.

- I jak, lepiej? - zapytałam, ale nie zareagowała. Odsunęłam zasłony, wyjęłam z szafy dzinsy i bluzkę i położyłam je na łóżku. - Włóż to, skarbie. Zrobię ci coś do zjedzenia, potem możemy się na chwilę wybrać do parku, weźmiesz swój rower. Spodoba ci się.

Zazwyczaj od razu mówiła dobitnie, co się jej podobało lub nie, ale tym razem nie powiedziała ani słowa i się nie poruszyła. Przyjrzałam się jej bliżej, potem przysiadłam na łóżku i odchyliłam kołdrę z jej podbródka. - Jodie, dobrze się czujesz, kochanie?

Oczy Jodie były utkwione w jakiś odległy punkt nad jej głową. Próbowałam ją pospieszyć. - Chodź.

Ubierz się, a ja w tym czasie zrobię ci kanapkę. Potem pójdziemy na dwór. - Ciągle wpatrywała się w sufit, nie dała nawet żadnego znaku, że mnie słyszy.

Pomyślałam, że najlepiej będzie ją zostawić, w nadziei że pomyśli o parku i się pozbiera. Kwadrans później, gdy wciąż nie schodziła, wróciłam do jej pokoju. Leżała dokładnie tak, jak wcześniej: na wznak, wpatrzona w przestrzeń pod sufitem. Usiadłam na łóżku i zaczęłam do niej mówić, zapewniając ją, że rozumiem, jak strasznie się czuła, ale że w końcu wszystko minie; miała *przecież* całe życie przed sobą. Ciągle nic nie mówiła i leżała nieruchomo. Próbowałam stanowczości, nakazu, przekupstwa, aż w końcu usiłowałam ją fizycznie podnieść z poduszki. Żadna z metod nic nie dała. Opadła z powrotem jak szmaciana lalka i zaczęłam się poważnie niepokoić. Przystanęłam chwilę w drzwiach, potem, zostawiając je szeroko otwarte, poszłam do swojej sypialni zadzwonić. Wybrałam numer Jill i opowiedziałam jej, co się dziś wydarzyło.

- To może być jeden z efektów posttraumatycznego szoku - powiedziała, - Ten przebieżek z przeszłości, którego doznała w szkole, mógł spowodować zablokowanie mózgu dla obrony organizmu.

- Więc wyjdzie z tego?

- Powinno jej przejść do rana. Proponuję, żebyś jej pozwoliła to wszystko przespać. Jeśli nocą potrzebowałabyś pomocy, zadzwoń do dyżurnego opiekuna socjalnego, ale wątpię, by było to konieczne.

Wróciłam do pokoju Jodie i jeszcze raz spróbowałam ją podnieść. Gdy i tym razem nic to nie dało, powoli zasunęłam zasłony i wyszłam, zostawiając uchylone drzwi. Wkrótce wróciły *dzieci* i wyjaśniłam im, co się stało. Poszły raz ze mną, bo chodziłam do Jodie co pół godziny, ale nie było żadnej zmiany. Na dom zstąpiła dziwna cisza, muzyka i *telewizja*, były zawsze przykręcone. Gdy kładłam się spać, oczy Jodie były zamknięte i wyglądało na to, że spała. Przygasiłam nieco światło, zostawiłam otwarte drzwi i poszłam do siebie. O czwartej nad ranem obudził mnie słaby głosik zza drzwi sypialni. - Cathy, Amy się posikała.

Wskoczyłam z łóżka i przytuliłam ją. - To nic. - Przynajmniej jakaś część Jodie wróciła. Zmieniłam jej pościel i piżamę, a ona mówiła swoim dziecięcym głosem: — Amy jest grzeczna dziewczynka. Mówi Cathy. Amy chce nocnik. - Nie przeszkadzało mi to. Wszystko było lepsze od tej strasznej ciszy jak w sypialni. Utuliłam ją z powrotem do snu i wyszłam, zostawiając ją w objęciach pluszowego misia, z zadowoleniem ssąca kciuk.

Rano zdziwiłam się, że Amy była ciągle w skórze Jodie. Tak było także przy śniadaniu.

- Przestań paplać tym głupekowatym głosem - rzuciła w końcu Lucy; poranki nie były jej najlepszą porą dnia.

Posłałam jej ostrzegawcze spojrzenie. - Jestem pewna, że jej to *przejdzie*, zanim dojedziemy do szkoły - powiedziałam. Tymczasem godzinę *później*, gdy pocałowałam Jodie i *przekazywałam* ją pani Walker, dreptała ciągle jako Amy, chwiejąc się tak, jakby była niemowlęciem uczącym się chodzić.

W drodze do domu utknęłam w korku, więc zadzwoniłam do Jill i powiedziałam, co nowego w sprawie. Poprosiła, żebym jak najszybciej przesłała jej mailem notatki z dziennika - miała je *przekazać* Eileen, kuratorowi z urzędu i doktor Burrows. Gdy skończyłam spisywać notatki na komputerze, było już po dwunastej. *Zamierzałam zabrać się za obiad, ale zadzwonił telefon. Żeby to tylko nie była szkoła, prooooszę!* - pomyślałam. Nie *zaczęłam* nawet nic robić w domu, a do tego czekały mnie jeszcze zakupy w supermarkecie.

To jednak była szkoła. — Witaj, Cathy — powiedziała sekretarka, a ja wzięłam głębszy oddech, przygotowując się na złe wieści. - Pan West prosił mnie, bym *przekazała* wiadomość, że Jodie dobrze się dziś sprawowała.

- Dziękuję - odetchnęłam z ulgą. - Bardzo dziękuję.

Jodie zachowywała się dobrze jeszcze przy kolacji, ale okazało się, że radość z poprawy była przedwczesna. Następnego ranka obudziła się z niekontrolowanym płaczem i mimo usilnych starań nie dowiedziałam się, o co chodziło. Gdy usiadłam na łóżku i patrzyłam, jak szlocha, znów poczułam się nieużyteczna jako opiekun, ale próbowałam sobie powtarzać, że nie była to przecież zwykła *dziecięca* trauma.

Do dziewiątej nic się nie zmieniło, więc zadzwoniłam do szkoły, żeby ich *uprzedzić*, że Jodie nie *przyjdzie* na poranne *zajęcia*, a jeśli jej stan się poprawi, to *przywiozę ją* na lekcje popołudniowe. Nie poprawił się. To samo powtórzyło się następnego dnia. Okazało się, że w tym tygodniu Jodie spędziła w szkole tylko półtora dnia, a jej stan pogarszał się na moich oczach. Gdy nie płakała, wpatrywała się w sufit, nieobecna i oddalona od wszystkiego, co mówiłam czy robiłam. Prawie w ogóle nie jadła, więc moje postanowienie ograniczenia jej tłustych rzeczy i słodczy i tak było niepotrzebne.

- A może ciastko czekoladowe - pytałam, próbując wykrzesać z niej iskierkę zainteresowania - albo lody?

Nic jej jednak nie pociągało, potrafiła przeżyć dzień o kęsie kanapki i garstce chipsów.

Mój niepokój zaczął sięgać zenitu. Nigdy wcześniej nie widziałam takiego dziecka i kompletnie nie wiedziałam, jak się do tego zabrać i jak jej pomóc. Zadzwoniłam do jedynej osoby, na której wsparcie i radę mogłam *liczyć* w takim momencie. Jill zgodziła się przyjechać natychmiast.

- To nie może tak trwać - powiedziała, gdy zobaczyła stan Jodie, który oscylował między rozdzierającym serce płaczem a totalną pustką. - Potrzebuje pomocy. Natychmiast!

Zadzwoniła do Eileen, ale dowiedziała się, że tamta znów była na wakacjach, a Gail, nowa kierowniczką zespołu, miała właśnie spotkanie. Jill zostawiła wiadomość, kategorycznie żądając, by oddzwoniła do niej, gdy tylko będzie wolna.

- Jill - zapytałam - czy jest możliwe, żeby takie małe dziecko przechodziło załamanie nerwowe?

- Zdarzają się takie przypadki, tak, ale są bardzo rzadkie.

Spojrzałyśmy po sobie, myśląc o tym samym. Rozmiar cierpienia Jodie był wyjątkowy, więc dlaczego nie miałby doprowadzić do załamania nerwowego? Jeśli było jakieś dziecko, które w pierwszej kolejności kwalifikowałoby się do kompletnego psychicznego załamania, to była nim Jodie.

Jill próbowała rozmawiać z Jodie, która cały ranek siedziała na kanapie i milcząco patrzyła w przestrzeń. Podejście Jill różniło się nieco od mojego. Nie zadawała Jodie żadnych pytań. Zamiast tego opowiadała po prostu historie różnych dzieci, licząc na to, że wywoła to u Jodie jakąś reakcję. Mimo to końcowy rezultat był niezmienny: jej puste spojrzenie, które w końcu dało upust cichym łzom. Zrobiłam jedyną rzecz, jaką mogłam: przytuliłam Jodie mocno i zapewniałam, że wszystko będzie w porządku. Jill nie potrafiła nam pomóc, więc wróciła do siebie, obiecując, że będzie regularnie dzwonić i zaalarmuje doktor Burrows.

Psycholog zadzwoniła w ciągu godziny i poprosiła, żebyśmy do niej przyjechały w poniedziałek z samego rana. Powiedziała, że przełożyła inne spotkanie, by nas zobaczyć, i chociaż byłam jej za to wdzięczna, to nie wiedziałam nawet, czy dam radę wyciągnąć Jodie z domu. Zapytałam, czy w takiej sytuacji nie mogłaby przyjechać na wizytę domową.

- Obawiam się, że nie - odpowiedziała przepraszająco. - Ze względu na ubezpieczenie wolno mi przyjmować dzieci tylko w ośrodku.

Obiecałam, że dopilnuję, by Jodie przyjechała w poniedziałek.

Minął weekend, a Jodie nie wykazywała żadnej poprawy. Cała rodzina mówiła szeptem, rozumiejąc jej cierpienie. Wymienialiśmy się przy siedzeniu obok Jodie na kanapie, czytaniu jej ulubionych bajek i zachęcaniu do zabawy, ale nawet wideo z *Mary Poppins* nie wywoływało żadnej reakcji. Chciała tylko iść do łóżka, gdzie spędzała coraz większą część dnia i skąd wyciągnięcie jej rano było nie lada wyczynem.

Modliłam się, by doktor Burrows miała dla nas jakieś odpowiedzi.

Opinia

W poniedziałek rano umyłam i ubrałam Jodie, ale w kuchni przy śniadaniu mogłam tylko obserwować, jak siedzi wpatrzona w przestrzeń. Koniec końców wyrzuciłam owsiankę, której nie tknęła, wsadziłam do torebki paczkę chipsów i pomogłam Jodie założyć płaszczki i buty. Powiedziałam jej, że *jedziemy* na spotkanie z doktor Burrows, ale była równie nieobecna jak zwykle. Wyprowadziłam ją z domu, wsadziłam do samochodu, zapięłam pasy i włączyłam głośniejszą jej ulubioną kasetę z piosenkami do karaoke. W drodze do kliniki Jodie wpatrywała się w oparcie fotela przed sobą i nic nie mówiła. W ogóle nie można było do niej dotrzeć, zastanawiałam się, czy chociaż wiedziała, gdzie jest.

Weszliśmy do kliniki. W rejestracji podałam nasze nazwiska. Kazano nam przejść od razu do gabinetu; zapukałam i weszłam. Doktor Burrows układała kredki na dziecięcym stoliku. Gdy tylko Jodie ją zobaczyła, dotychczasowy letarg prysł i dziewczynka wybuchła agresywną złością.

- Nie chcę! Wynos się! - kopnęła przy tym małe plastikowe krzeselko na środku pokoju.

— W porządku, Jodie — łagodziła sytuację doktor Burrows. - Nie ma się czym denerwować. Jestem tu, żeby ci pomóc.

— Nie chcę twojej pomocy! Odwal się! - Jodie zatkała uszy, zacisnęła powieki i zaczęła z całej siły wrzeszczeć.

Lekarka dała mi do zrozumienia, że bym nic nie robiła, więc nie ruszałam się z miejsca, podczas gdy wrzask Jodie odbijał się od ścian w rozdzierającym crescendo. W końcu jednak Jodie zabrakło oddechu i krzyk skończył się tak samo gwałtownie, jak się zaczął. Opuściła ręce, podeszła szybko do plastikowego stolika i rzuciła nim o ścianę. Zaczęła wywracać do góry nogami pudełka z zabawkami i kopać zabawki po całym gabinecie. Potem odwróciła się do komody z dokumentami. Jednak tym razem doktor Burrows jej przeszkodziła.

- Nie. Tego nie możesz ruszać - powiedziała spokojnie, stając między Jodie a komoda. — To moje i zawiera ważne dokumenty. Tylko nie to.

Ku mojemu zdziwieniu Jodie przyjęła to do wiadomości, ale złość, której *jeszcze* z siebie nie wyrzuciła, skierowała się przeciwko niej samej. Złapała garść swoich włosów i je wyrwała. Na ten widok rzuciłam się do niej, żeby ją powstrzymać. Może w oczach psycholog nie było to odpowiednie podejście, ale nie zamierzałam stać obok i patrzeć, jak Jodie robi sobie krzywdę. Przytrzymałam ją za nadgarstki, skrzyżowałam ramiona i trzymałam podobnie, jak zwykłam to robić w domu. Walczyła, pluła, ale w końcu osłabła. Podprowadziłam ją do kanapy i objęłam. Nie wiedziałam, czy doktor

Burrows na to pozwala, czy nie. Siedziała naprzeciwko, w gabinecie panowała cisza. Spojrzałam na bałagan; na podłodze leżały szczątki zabawek - morze *zniszczenia*.

Siedziałyśmy w milczeniu, dopóki doktor Burrows nie pochyliła się w kierunku Jodie. Głos kobiety był łagodny i niski, próbowała złapać z dziewczynką kontakt wzrokowy: - Wiem, że cierpisz, Jodie, i chce spróbować to powstrzymać. Pozwalasz Cathy, by ci pomagała. Czy możesz też i mnie pozwolić? Byłoby bardzo dobrze, gdybyś to zrobiła.

Było to spokojne, nienarzucające się podejście, które - byłam tego pewna - działało wcześniej z wieloma dziećmi, ale mimo że Jodie nic nie odpowiedziała, to właśnie jej milczenie mówiło mi, że się zamknęła.

Doktor Burrows uśmiechnęła się do mnie uspokajająco, potem powtórzyła swoją prośbę. Jodie się poruszyła i nawet w żaden sposób nie okazała, że cokolwiek usłyszała. Psycholog spróbowała *jeszcze* raz, używając innych słów. - Jodie, Cathy powiedziała mi, jaka byłaś *dzielna*; miałaś tyle problemów, z którymi musiałaś sobie radzić. Myślę jednak, że teraz przekonujesz się, że z tym problemem nie poradzisz sobie sama. Dlatego jest tu Cathy, i dlatego jestem tu ja. Pozwolisz mi, żebym ci pomogła? Jodie wpatrywała się ciągle w jakiś nieokreślony punkt pół metra przed sobą, nieporuszona i zamknięta w sobie.

Doktor Burrows odchyliła się i otworzyła dziennik, który trzymała na kolanach. - Cathy, możesz mi powiedzieć, jak zachowywała się Jodie od naszego ostatniego spotkania? Wiem, że się o nią martwiłaś.

Przypuszczałam, że była to strategia mająca na celu zachęcenie Jodie do podzielenia się swoimi odczuciami, więc odpowiedziałam, że Jodie radzi sobie świetnie, ale straszne wspomnienia z przeszłości nie pozwalają jej być szczęśliwą. Przytoczyłam kilka przykładów, by Jodie wiedziała, że doktor Burrows znała jej historię i że można jej było zaufać.

Powiedziałam, że cała rodzina martwi się o Jodie; Adrian, Lucy i Paula bardzo się nią opiekują i nie lubią, gdy jest niespokojna. Doktor Burrows znów się nachyliła.

— Widuję mnóstwo dzieci, które są niespokojne i złe z powodu czegoś, co się wydarzyło. To nie jest ich wina. Znam sposoby, by im pomóc. Pomagam im pozbyć się cierpienia, by mogły znów być szczęśliwe. Chciałabym i tobie pomóc, Jodie.

Cel naszego spotkania wydawał się zmieniać: z oceny stał się terapia, ale bez zaangażowania Jodie i możliwości komunikacji wszystkie starania były daremne.

- Chciałabym, żebyś nam pomogła - powiedziałam, *licząc*, że forma „nam” może wzbudzi zaufanie Jodie, ale ona pozostała zamknięta, wpatrzona w przestrzeń przed sobą. Doktor Burrows zapisała coś jeszcze w dzienniku.

- Chciałabyś się pobawić, Jodie? - zapytała. - Mogę przynieść domek dla lalek.

Spojrzałam na Jodie z nadzieją, ale ta się nie poruszyła.

- A może coś narysujesz? Na pierwszej wizycie namalowałaś piękny obrazek. Ciągle go mam.

Jodie nawet nie popatrzyła.

- Wiesz co? - Lekarka podniosła się z krzesła. - Zanim cokolwiek zrobimy, Cathy i ja powkładamy te zabawki do pudełek. Chciałybyśmy, proszę, żebyś nam pomogła.

Przekazałam sygnał, wypuszczając Jodie z objęć, i przyłączyłam się do doktor Burrows na podłodze. Celem miało być przypuszczalnie *wleczenie* Jodie do współpracy w czynnościach fizycznych. Doktor Burrows najprawdopodobniej sadziła, że to rozluźni Jodie na tyle, że coś powie. Ale gdy zaczęłyśmy układać zabawki i kredki, katem oka widziałam, że Jodie nawet na nas nie patrzy, może nawet nie była świadoma, że tam byliśmy. Kilka minut później skończyłyśmy i wróciłyśmy na miejsca.

Doktor Burrows zrobiła kolejne notatki, aja objęłam Jodie ramieniem. Nie chciałam zgadywać, co pisała, ale przypuszczałam, że pomimo braku współpracy ze strony Jodie profesjonalne oko doktor Burrows dostrzegło pewne oznaki, a może nawet znała już diagnozę.

Zamknęła dziennik i uśmiechnęła się miło. - To wszystko na dzisiaj. Dziękuję wam obu za przybycie. Będę w kontakcie.

Byłam kompletnie zaskoczona. Zastanawiałam się nawet, czy to nie kolejna sztuczka, żeby włączyć Jodie do rozmowy. Psycholog wstała. - Wkrótce się zobaczymy, Jodie. - A więc sesja faktycznie dobiegła końca.

Spojrzałam na Jodie, która ciągle pozostawała w bezruchu, z tym samym beznamiętnym wzrokiem utkwionym gdzieś w przestrzeni.

— W porządku, skarbie, teraz możemy wrócić do domu. — Wzięłam ja za rękę i podniosłam z kanapy. Lekarka otworzyła nam drzwi. Gdy wyszliśmy na dwór, miałam jakieś straszne przeczucie.

Terapia

Tamto straszne *przeczucie* towarzyszyło mi przez resztę dnia. Usiadłyśmy z Jodie na kanapie. Próbowałam jej czytać jeden z jej ulubionych wierszyków Shirley Hughes. „Woda w wannie może parzyć, w wodzie morskiej można marzyć. Kotki Ginger są. malutkie, a Bustera już mięciutkie”. Wcześniej chętnie przewracała strony i powtarzała słowa, bo lubiła przyjemnie brzmiące rymy. Teraz wydawała się nieczuła: głucha i niema.

Zaburzenia Jodie osiągnęły nowy poziom. Wiedziałam, że to, co ja mogłam jej zaoferować, w tej sytuacji było mocno niewystarczające. Patrząc na jej stan, byłam nie tylko *przeżazona*, ale też głęboko zasmucona. Do jakiego stopnia mogła się rozpaść na kawałki jej osobowość, żeby nie było już za późno, by ja poskładać? Gdzie doprowadzą Jodie jej niedola i cierpienie? Wyglądało na to, że dotychczas prowadziły ją w miejsce, gdzie panowały ciemność i milczenie i gdzie nikt nie mógłby już do niej dotrzeć. Wiedziałam, że Jodie pilnie potrzebuje pomocy. Ale jakiego rodzaju? I jak mogłam ją pocieszyć?

Odłożyłam książkę i przytuliłam małą, przypominając sobie przebieg wizyty u doktor Burrows. Nie oczekiwałam jakiegoś cudownego uzdrowienia, ale miałam nadzieję na minimalny choćby postęp. Zamiast tego sesja pokazała jedynie, jak bardzo Jodie jest zaburzona i jak bezsilny w dotarciu do niej i w pomocy był nawet psycholog. Odgarnęłam kilka kosmyków z czoła Jodie i popatrzyłam na jej bladą, obojętną buzię. Czy to możliwe, żeby miała się tak zamknąć na zawsze? - Czuje się taka bezradna, Jodie - wyszeptalam. - Chciałabym coś zrobić. Chciałabym być czarodziejka i magiczną różdżką sprawić, by wszystkie twoje troski odeszły w zapomnienie. Wzięłam ja pod rękę, posadziłam sobie na kolanach i delikatnie głaskałam. Jodie pozostała bierna. Spojrzałam na okno i wtedy zobaczyłam niesforny płatek śniegu, miotający się przed szyba. Za nim przyleciał następny i następny. Opadały wolno, jakby prosto z nieba, i topniały natychmiast, gdy dotknęły werandy.

- Spójrz, Jodie! - skierowałam jej głowę tak, by widziała okno. - Zaczyna padać śnieg! W kwietniu!

Podniosła oczy i przez chwilę wydawało mi się, że próbowała skupić wzrok.

- Chcesz wyjść na dwór i popatrzeć? Lubisz śnieg, prawda? Proszę, zobacz.

Ale chwila minęła, a Jodie spuściła z powrotem głowę, nie pokazując żadnych emocji ani że coś do niej dotarło.

Położyłam ja spać o siódmej. Dziewczynki były na lekcji gry na pianinie, a Adrian miał wrócić znacznie później. Miałam cały dom dla siebie. Próbowałam czytać, ale nie mogłam się skupić. Puściłam płytę z muzyką klasyczną, ale to mnie tylko zasmuciło. Włączyłam w końcu telewizor i przykręciłam głośność, żeby słyszeć, co się dzieje u Jodie. Położyłam się spać wcześniej i leżąc w łóżku, zaczęłam się modlić, po raz pierwszy od trzydziestu lat.

Rano ucieszyłam się, bo nastąpiła niewielka poprawa. Jodie zeszła na dół bez mojej pomocy i zjadła nawet kilka łyżek płatków śniadaniowych. Radość nie trwała jednak długo. Pół godziny później skuliła się w pozycji embrionalnej na kanapie, milcząca i nieobecna.

O wpół do dziesiątej zadzwoniła Jill. Nowy kierownik zespołu zwołał na jedenasta pilne zebranie, na którym musiałam być. Jill nie wiedziała dokładnie, z jakiego powodu zostało zorganizowane spotkanie, ale zasugerowała, że sprawy mogą ruszyć z miejsca. Może doktor Burrows zasugerowała natychmiastową terapię. A może, choć bałyśmy nawet mieć taką nadzieję, pojawiły się nowe dowody, które zaprowadziłyby w końcu oprawców Jodie za kratki. Koleżanka Jill, Lisa, oferowała pomoc w zaopiekowaniu się Jodie podczas mojej nieobecności i miała przyjechać do mnie za godzinę. W końcu coś się *dzieje*, pomyślałam. Spojrzałam na Jodie i obudziła się we mnie nadzieja.

Lisa przyjechała w dobrym momencie. Przedstawiłam ją Jodie, która przynajmniej popatrzyła w jej kierunku. Pokazałam jej, gdzie były kawa i ciastka, i wyszłam z salonu, gdy zaczęła czytać Jodie magazyn o Barbie. Przebrałam się w swój „oficjalny” kostium i pognałam pędem na spotkanie. W drodze do Ośrodka Pomocy Społecznej mój nastrój *jeszcze* bardziej się poprawił. Może wyjdzie z tego coś dobrego; w końcu inni *zaczynali* rozumieć to, czego ja byłam od jakiegoś czasu pewna, a mianowicie, że skala problemów Jodie była niespotykana i dziewczynka potrzebowała specjalistycznej pomocy oraz natychmiastowej terapii. Ktoś musiał *przecież* wiedzieć, jak ja otworzyć i przywrócić do życia.

Zostawiłam samochód na wielopoziomowym parkingu i winda wyjechałam na ulicę, skąd miałam już tylko dziesięć minut marszu do ośrodka.

Ozdobny kamienny budynek, w którym niegdyś mieścił się ratusz, otaczały teraz wysokie apartamentowce, a z oryginalnej budowli zachowała się tylko fasada. Pchnęłam duże wahadłowe drzwi i weszłam do środka. Jak zwykle było tam pełno ludzi, w każdym wieku i różnych narodowości. Czekając, aż na podwieszonym pod sufitem wyświetlaczu pojawi się ich numer, siedzieli, stali lub chodzili tam i z powrotem. Gdy przeciskałam się przez ten tłum, jakiś malec chwycił rąbek mojej spódnicy, zaraz jednak zabrała go matka, posadziła na kolanach i uśmiechnęła się przepraszająco.

Podeszłam do recepcji. - Cathy Glass - powiedziałam, gdy recepcjonistka odsunęła szybkę, by mnie lepiej słyszeć. - Przyszłam na zebranie o jedenastej w sprawie Jodie Brown. Jestem jej opiekunką.

Ze stoickim spokojem odkleiła nalepkę z wydrukowanej listy uczestników zebrania i nakleiła ją na moja przepustkę, gdzie dużymi czarnymi literami wydrukowano napis „Gość”. Przypięłam ją do *pluszcza*.

- Sala numer siedem - powiedziała recepcjonistka. - Przez wahadłowe drzwi, na górę, po lewej stronie. Szybka zamknęła się, zanim ktokolwiek mógłby przez nią zajrzeć.

Byłam tu już na wielu spotkaniach, więc dobrze znałam układ budynku. Sala numer siedem była jedna z największych. Wchodząc po schodach, uświadomiłam sobie, że niemal rok temu w tej samej sali odbyło się zebranie przed umieszczeniem u mnie Jodie. Trudno było uwierzyć, że od tamtej pory minęło już tyle czasu. Cofnęłam się w myślach do tamtego dnia i skuliłam się, przypominając sobie swoje naiwne poglądy. Byłam wtedy przekonana, że wszystko, czego potrzebuje każde dziecko, to opieka, stanowcze zasady, zachęta i troska. Nie miałam też wówczas wątpliwości, że Jodie okaże się kolejnym sukcesem. Byłam pewna, że zdołam dotrzeć do niej, tak jak udało mi się dotrzeć do tylu innych zagubionych dzieci i pomóc im w powrocie na właściwą drogę i do zupełnie normalnego życia. Ale pierwszy raz moje wypróbowane, sprawdzone metody zawiodły. Przynajmniej nie byłam jedyną osobą, która nie potrafiła dotrzeć do źródła męczarni Jodie. Mimo to zastanawiałam się, czy ktokolwiek w sali numer siedem okaże rozczarowanie. Przy wypolerowanym mahoniowym stole siedziały już Jill, Sally i Gail, nowa kierowniczką zespołu. Uśmiechnęły się, gdy weszłam. Gail się przedstawiła. Pozdrowiłam Sally krótkim „*dzień dobry*” i usiadłam obok Jill.

- Czekamy na doktor Burrows i na Mary z działu finansowego - powiedziała Gail. - Niestety, Eileen jest na urlopie. Nie *przyjdzie też* dyrektor szkoły Jodie, ale przesłał nam raport.

Zdjęłam *plaszcz* i przewiesiłam na oparciu krzesła. Ucieszyła mnie wiadomość, że na spotkaniu będzie ktoś od finansów. Zwykle zapraszano ich tylko wtedy, gdy potrzebne były pieniądze, a były z pewnością potrzebne w wypadku rozpoczęcia terapii.

- Jak ona się czuje? - zapytała szeptem Jill.

- Właściwie tak samo. Ale jestem pewna, że gdy tylko rozpocznie terapię, wszystko zacznie się poprawiać.

- Miejmy nadzieję - uśmiechnęła się Jill.

Gail podziękowała mi i skinęła na Sally, kuratorkę z urzędu, Sally wymieniła daty, kiedy nas odwiedzała, i chwaliła mój sukces w zdobyciu zaufania Jodie, co później pozwoliło jej się otworzyć. Powiedziała, że ostatnio nie miała okazji obserwować Jodie, ale była w stałym kontakcie z doktor Burrows i Eileen, które na bieżąco informowały ją o sytuacji. Spotkała się z rodzicami Jodie i

uświadomiła im, jak bardzo wpłynęło na dziewczynkę przyznanie się do bycia wykorzystywana. Ojciec Jodie pozostał niewzruszony i utrzymywał, że córka zmyśla, ale matka wybuchła płaczem. Sally nie mówiła więcej o rodzicach Jodie, nie pozwalał jej na to jej profesjonalizm. Z tego jednak, co powiedziała, można było wywnioskować, że nie było większych wątpliwości co do tego, że oboje odpowiadali za krzywdę wy rządzona Jodie.

W ogóle nie poruszyła mnie informacja, że matka Jodie się rozkleiła. Od razu pomyślałam, że były to pozory, które miały przesłonić jej winę. Nie miałam żadnych wątpliwości, że Jodie mówiła prawdę. Nie było możliwości, by dziecko w jej wieku dowiedziało się w inny sposób o rzeczach, o których wiedziała Jodie, i potrafiło je opisać tak jak ona; wystarczyło, że widziałam jej wyobcowanie, by mieć pewność, że to, co opisywała, zdarzyło się naprawdę.

Trudno mi było znieść każde wspomnienie o jej rodzicach. Nienawidziłam myśli, że pozostają wolni, by prowadzić swoje zwyrodniałe życie, podczas gdy ich córka została zamknięta w więzieniu bólu i cierpienia, których oni sami byli przyczyna. To, co ściągnęli na Jodie, skazało ją na dożywocie.

— Trudno to powiedzieć o dziecku czy o człowieku w ogóle, ale Jodie została bardzo poważnie skrzywdzona – kończyła wypowiedź Sally. - Moje zalecenia będą zgodne z tym, co powie doktor Burrows.

Zapanowała cisza. Gail coś odnotowała, potem wyjęła z segregatora raport dyrektora szkoły. Kiedy pan West pisał raport, Jodie miała za sobą siedemdziesiąt dwa dni w szkole. Dyrektor opierał się na obserwacjach dotyczących zdolności poznawczych Jodie i jej relacji z rówieśnikami. W tym czasie uczyła się alfabetu i liczenia do dwudziestu. Nie rozpoznawała słów wzrokowo, ciągle je składała, ale pracowała nad pięcioma słówkami na tydzień. Jej koncentracja była bardzo ograniczona, zachęcano ją do wydłużonej lub indywidualnej pracy nad zadaniami. Miała trudności w nawiązywaniu przyjaźni, głównie ze względu na swoje zmienne i dziwne zachowanie. Wyniki testów pokazywały, że pod względem czytania i pisania Jodie była na średnim poziomie czterolatka. Ostatnie zdanie dyrektora było znakomitą podsumowaniem.

„Edukacja Jodie i jej rozwój społeczny są poważnie ograniczone jej doświadczeniami. Dopóki nie zaradzi się tym ostatnim, osiągnięcia mogą być jedynie nikłe”.

Gail wpięła z powrotem raport, a swój segregator otworzyła doktor Burrows. Czułam, jak przyspiesza mi puls. To była ostatnia osoba, która miała zabrać głos. Po przedstawieniu zaleceń przez panią psycholog, Mary przeprowadzi obliczenia, na których podstawie zostanie przyznany fundusz, a to będzie dla Jodie oznaczało początek drogi do wyzdrowienia. Miałam tylko nadzieję, że ta kwota będzie wystarczająca. Według mnie Jodie potrzebowała dwóch godzinnych sesji w tygodniu.

— Jak wiecie — zaczęła doktor Burrows — w procesie dotyczącym ustalenia stałej opieki zostałam wyznaczona przez sąd do oceny stanu Jodie. Początkowo ocena miała dotyczyć *możliwości* powrotu Jodie do domu, jednak z czasem okazało się, że powrót taki jest niemożliwy, tak więc będę się odnosić do obecnego stanu zdrowia psychicznego Jodie.

Dalej, powołując się na nasze dwie ostatnie wizyty, przedstawiła kliniczną ocenę kondycji Jodie. Doceniałam obecność doktor Burrows i jej raport, bo to dowodziło, jak poważnie wszyscy podchodzili teraz do sprawy. W większości przypadków psycholog przedstawiał swoją opinię nie wcześniej niż podczas ostatecznej rozprawy sądowej, ale w tej konkretnej sytuacji doktor Burrows wystąpiła do sądu o odstąpienie od tej reguły, by móc przedstawić swoją analizę wcześniej. Najwyraźniej jej zaangażowanie było spowodowane tym, co zaobserwowała u Jodie. Zresztą, biorąc pod uwagę napięty terminarz pani psycholog, o jej zaangażowaniu świadczyła już sama obecność na zebraniu.

Rozejrzałam się po pozostałych, którzy robili szczegółowe notatki. Pani doktor zbliżała się do końca.

- W związku z powyższym stwierdzam, że Jodie wymaga intensywnej, długoterminowej terapii prowadzonej przez psy-choterapeutę dziecięcego, mającego doświadczenie w sprawach wykorzystywania seksualnego dzieci.

Dzięki Bogu, pomyślałam. Teraz potrzebujemy tylko funduszy.

- Jaki poziom terapii ma pani na myśli f - zapytała Gail, a Mary wyciągnęła przed siebie kalkulator.

- Jodie ma problemy w nauce - mówiła doktor Burrows -i funkcjonuje na poziomie znacznie młodszego dziecka. W efekcie ma trudności w rozumieniu pojęć i ich zapamiętywaniu.

Mając to na względzie, podobnie jak poważna naturę jej stanu, nie myślę, by nawet zaawansowana terapia sesyjna mogła tutaj cokolwiek pomóc. Dlatego też, według mojej oceny, aby w przypadku Jodie leczenie dało efekty, terapia musi być ciągła i natychmiastowa. Największe szansę na wyzdrowienie daje w moim przekonaniu stała placówka terapeutyczna. Usłyszałam trzy ostatnie słowa, ale ich ciężar dotarł do mnie dopiero po chwili. W sali zrobiło się cicho, wszyscy przestali pisać. Czułam, jak pulsuje mi tętnica na szyi, a żołądek się burzy. Jill dotknęła mojego ramienia.

- Dziękuję pani, doktor Burrows - powiedziała Gail. - To bardzo istotne.

Czułam, że wszyscy na mnie patrzą, podczas gdy ja wpatrywałam się w swój notes.

- Cathy - odezwała się Sally - co o tym myślisz:¹ Wiem, że bardzo się zbliżyliście z Jodie...

Podniosłam głowę i przełknęłam ślinę. Mój głos był nierówny i walczyłam z napływającymi do oczu łzami. - To trudne. Nie tego się spodziewałam. Miałam nadzieję, że gdyby Jodie rozpoczęła regularną terapię, mogłaby z tego wyjść. - Przerwałam na sekundę. - Mówiąc szczerze, czuję, że to wszystko było na nic.

Sally spojrzała na doktor Burrows, która delikatnie zaprzeczyła.

- Wątpię - powiedziała psycholog - by nawet przed obecnym załamaniem Jodie mogła z powodzeniem funkcjonować w normalnej rodzinie. Przechodzi głęboka traumę, a to wpływa na wszystkie aspekty jej życia. Bardzo niewielu opiekunów zaangażowałoby się tak bardzo jak pani i to dzięki pani Jodie zaszła tak daleko.

Gail, Sally i Jill przytaknęły zgodnie.

Przygnębiona, wzruszyłam ramionami. - Może warto spróbować terapii sesyjnej przez, powiedzmy, sześć miesięcy;¹

Wzrok pozostałych znów spoczął na doktor Burrows.

Popatrzyła na mnie współczująco. - Moim zdaniem nie. Nie tylko nie będzie to efektywne, ale wręcz może pogorszyć jej stan. Osobowość Jodie rozpada się, a im dłużej jest tak pozostawiona, tym większe długotrwałe uszkodzenia mogą nastąpić.

Nie odpowiedziałam.

- Kiedy według pani Jodie powinna trafić do placówki? - zapytała Gail.

- Jeśli prześlę zalecenia niezwłocznie, może tam trafić w ciągu miesiąca.

Wzdrygnęłam się.

- Ma pani na myśli konkretne miejsce? - pytała dalej Gail. Lekarka sięgnęła do teczki i wyciągnęła kolorowe broszurki, które wszystkim rozdała.

- To miejsce to Wysokie Dęby, ośrodek prowadzony przez doktora Rona Grahama i jego żonę Betty. Zajmują się psychologią dziecięcą. Może słyszałyście panie o nich. Są bardzo poważani w swojej dziedzinie.

Jill rozłożyła między nami broszurkę i patrzyłam na jej pierwszą stronę. Widziałam tylko bloki rozmazanego druku, którym towarzyszyły zdjęcia uśmiechniętych dzieci. Zamrugałam oczami i próbowałam złapać ostrość.

Psycholog kontynuowała wyjaśnienia: - Działają od dwunastu lat i zapracowali sobie na świetną reputację. To piękny, stary wiejski dwór położony wśród zalesionych terenów na peryferiach Cambridgeshire. Państwo Grahamowie mieszkają na miejscu, wraz z personelem pomocniczym, składającym się z wysoko wykwalifikowanych terapeutów. Dzieci nauczone są przez doświadczonych pedagogów, którzy przychodzą do nich rano. Lekcje obejmują wszystkie przedmioty przewidziane w programie państwowej szkoły podstawowej. Popołudniami dzieci uczestniczą w zajęciach rekreacyjnych i pracują indywidualnie z terapeutami. W weekendy robią to, co inne rodziny, czyli chodzą do kina, na basen i tak dalej, i oczywiście jeżdżą na wakacje. Współpracuję z państwem Grahamami od początku ich działalności. Maja bardzo wysoki współczynnik powodzenia terapii - dziewięćdziesiąt procent dzieci wraca do swoich rodzin. Ale oczywiście nie jest to tanie.

- Ile? - zapytała Gail.

- To zależy od opcji, ale w przypadku kogoś z potrzebami Jodie byłoby to około *czterech* tysięcy funtów tygodniowo. Na początek proponowałabym pobyt trzyletni, ale to oczywiście byłoby regularnie monitorowane.

Podniosłam wzrok. Mary wystukała coś na kalkulatorze i pokazała wynik Gail, która go zanotowała.

- Czy będzie można ja odwiedzać? - zapytała Jill, wiedząc, że gdybym myślała jasno, zadałabym właśnie to pytanie.

- Jak najbardziej - odpowiedziała doktor Burrows. - Właściwie jest to nieodzowne. Jeśli dziecko nie ma rodziny, ośrodek aranżuje kogoś w charakterze przyjaciela. Bardzo ważne jest, by dziecko nie zrywało więzi ze światem zewnętrznym.

— Cathy, będziesz chciała utrzymywać kontakt?

- Tak, oczywiście - odpowiedziałam automatycznie.

Gail spojrzała na wszystkich zebranych. - Musimy to przedyskutować, ale ponieważ takie jest pani zalecenie, to *zapewne* zostanie przyjęte. Czy jest coś jeszcze?

Doktor Burrows się pochylała. - Chciałam tylko podziękować Cathy za wszystko, co zrobiła, i zaproponować kontakt w przyszłości.

Wszyscy się zgodzili i natychmiast zaczęli zbierać swoje papiery. Rozeszli się szybko, zostałyśmy tylko ja i Jill. Położyłam dłonie na stole i wzięłam głęboki oddech.

— Jak ja to wytłumaczę Jodie? Ufała mi, a teraz muszę jej powiedzieć, że odchodzi. Pomyśli, że ja odrzucam jak wszyscy pozostali. Jak to wpłynie na jej psychikę?

Jill położyła rękę na moim ramieniu. — Wiem, tak mi przykro, Cathy. Słuchaj, na razie nic bym jej nie mówiła. Wiem z doświadczenia, że takie ośrodki mają zwykle różne procedury wprowadzające. Skontaktuję się z Wysokimi Dębami i *zobaczę*, jak będą chcieli to rozegrać. Od tego zaczniemy.

Westchnęłam i wstałam. - OK. Lepiej wrócę już do domu. Będzie się zastanawiać, gdzie jestem.

Jill dołączyła do mnie na korytarzu. - Może teraz tak to nie wygląda, ale to dla jej dobra. Nie mogłaś zrobić niczego więcej. Będziesz z nią w kontakcie, więc będzie wiedziała, że jej nie odrzuciłaś. I kto wie: trzy lata szybko mina...

— Tak, wiem. Rozumiem, że to dla jej dobra. Pytanie tylko, czy ona będzie chciała utrzymywać kontakt ze mną?

Wyszłam z budynku, bijąc się w myślach z uczuciem porażki. Jodie opuści mój dom w gorszym stanie, niż do mnie przyjechała - to *będzie* pierwszy taki przypadek ze wszystkich *dzieci*, którymi się opiekowałam! Mogłam sobie mówić, ile chciałam, że to nie była moja wina, ale ciężko było nie myśleć, że wszystko to tylko strata czasu, te nieprzespane noce, niekończące się, wyczerpujące dni ataków hysterii i agresji, sceny przed ludźmi, *męczące* posiłki, postawione na głowie życie moich dzieci. Teraz, po tym wszystkim, co wycierpieliśmy, Jodie znów czekała przeprowadzka.

Zdawałam sobie sprawę, że potrzebowała właściwej opieki i intensywnej terapii, której ja po prostu nie byłam w stanie jej zapewnić, nawet gdybym posiadała całą miłość, łagodność i zdrowy rozsądek tego świata. Mimo to czułam, jakbym zawiodła sama siebie. A co najważniejsze - jakbym zawiodła Jodie.

Jak miałam jej powiedzieć, że musi odejść?

Zielona trawa i czerwone krowy

Tamtej nocy, gdy pozostali już spali, wyjęłam album ze zdjęciami wszystkich *dzieci*, którymi się opiekowałam. Nazywałam go *Galerię lobuziaków*. Przerzucałam *zdjęcia* jedno po drugim. Niektóre były pozowane, inne zrobione z zaskoczenia, podczas wyjazdu nad morze lub zabawy w ogrodzie. Dzieci były w różnym wieku i różnych ras, od małego Jasona, który miał tylko dwa dni, gdy do nas przyjechał, po Marthe, rozgniewana, zbuntowana siedemnastolatka, która została lekarzem.

Z niektórymi straciłam kontakt, ale większość wciąż do mnie pisała lub dzwoniła. Czworo z nich było u mnie rok lub *dłużej* - nadal nas odwiedzali, bo stali się częścią naszej rodziny. Gdy przewracałam kartki albumu i przypomiinałam sobie charaktery i problemy *dzieci*, chodziła mi po głowie myśl, że nie było wśród nich ani jednego, przy którym czułabym porażkę. Przynajmniej do tej pory. Nie było tu jeszcze zdjęć Jodie, ale *wiedziałam, że jeśli je dodam, to będą to ostatnie zdjęcia* w tym albumie.

Wszelkie zdolności i kompetencje, jakie miałam, zdawały się przepaść na dobre. Moja pewność siebie została rozbita na kawałki. Zdecydowałam, że nie będę już zajmować się opieką zastępczą.

Zanim dostałam kolejne informacje, minęły trzy dni, podczas których Jodie pozostawała zamknięta i nieobecna. Nie wspominałam już nawet o szkole. Nie było sensu, Jodie żyła teraz w swoim świecie. Jakoś jednak udawało się nam te dni przetrwać. Czytałam jej, tuliłam ją, namawiałam do jedzenia, a Adrian, Lucy i Paula swoimi sposobami starali się ją jakoś rozbawić.

Niedługo po tamtym pilnym zebraniu poprosiłam dzieci, żeby usiadły obok mnie, i powiedziałam im, że Jodie nas opuści. Nic nie odpowiedzieli, ale ich poważne miny i cicha akceptacja świadczyły o tym, że *zdążyli już* zrozumieć, jak poważny był jej stan. Moment, gdy dziecko opuszczało nasz dom, był zawsze smutny, ale świadomość, że *czekało je* dobre życie — albo Z powrotem w biologicznej rodzinie, albo w rodzinie adopcyjnej — była jakimś pocieszeniem, podobnie jak to, że odchodziło od nas w lepszej kondycji, niż gdy je do siebie przyjmowaliśmy. W przypadku Jodie nie było takiego pocieszenia; mimo naszych usilnych starań nie pomogliśmy jej i wszyscy bardzo to przeżywaliśmy. - Nie możecie się obwiniać - powiedziałam, jak echo powtarzając skierowane do mnie słowa Jill. - Zrobiliśmy, co w naszej mocy. To wszystko, co mogliśmy zrobić.

Ale brzmiało to dla nich równie płytko jak dla mnie, i wiedziałam, że dzielają moje poczucie porażki.

Cztery dni po spotkaniu przyszedł list od Rona Grahama, W środku była kartka do mnie i jeszcze jedna koperta, zaadresowana do Jodie. W liście skierowanym do mnie Roń przedstawiał się i pisał, że wkrótce zadzwoni, by umówić się na wizytę. I pytał, czy tymczasem mogłabym *przekazać Jodie załączony* list. Wręczyłam jej kopertę, gdy zeszła na obiad. Wzięła ją ode mnie podejrzliwie, potem zerknęła na nazwisko. Nagle jej oczy pojaśniały. - Do mnie? Od kogo to?

- Lepiej otwórz i *zobacz*. Wygląda na to, że to bardzo ważne.

Odsunęłam jej talerz, podczas gdy Jodie ostrożnie otworzyła kopertę i wyjęła bladożółtą kartkę. List był napisany czerwonymi drukowanymi literami, miał małą uśmiechniętą buźkę w jednym z rogów i od razu się spodobał.

- Do mnie? - powtórzyła.

- Tak. Mam ci go przeczytać?

Trzymała list między nami, jakby chciała go chronić, a ja, czytając, wskazywałam palcem kolejne słowa.

Droga Jodie!

Mam na imię Roń, a moja żona nazywa się Betty. Mieszkamy z mnóstwem dzieci w dużym domu na wsi. Rozwiązujemy ich problemy, ale też całkiem nieźle się bawimy. Dobrze sobie radzimy w rozwiązywaniu problemów i chcielibyśmy przyjechać do Ciebie i o sobie powiedzieć.

Czekamy na spotkanie z Tobą.

Na razie Cię pozdrawiamy,

Roń i Betty

Było to proste, ale sprytnie przemyślane wprowadzenie, i Jodie była pod ogromnym wrażeniem otrzymania listu zaadresowanego do niej samej. Poprosiła, bym jej go przeczytała jeszcze raz, i później *jeszcze raz*.

- Kiedy *przyjeżdżają*? — zapytała, okazując więcej *entuzjazmu niż przez* wszystkie ostatnie tygodnie.

- Nie wiem jeszcze. Maja do nas zadzwonić.

- Mam *nadzieję*, że szybko. Chyba są mili, prawda, Cathy?

— Tak, skarbie.

Włożyła list z powrotem do koperty i nosiła go przy sobie do końca dnia. Gdy Adrian, Lucy i Paula wrócili ze szkoły, *kazała* im go sobie czytać. Podobnie jak ja wcześniej, oni też byli zaskoczeni jej entuzjazmem. *Żadne* z nas tego nie powiedziało, ale wszyscy czuliśmy się nieco zlekceważeni. Jak jeden list od nieznanomych mógł *zadziałać*, podczas gdy miesiące naszej troski zawodziły?

Tej samej nocy, gdy Jodie była już w łóżku, zadzwonił Roń. Powiedziałam mu ojej pozytywnej reakcji.

- Dzieci podobne do Jodie bardzo rzadko się przywiązują -powiedział, instynktownie wyczuwając moje niewypowiedziane uczucia. - To nie świadczy źle o pani, Cathy. - Zapytał też o moich bliskich i jak Jodie wobec nich się zachowywała. Wyjaśnił procedurę wprowadzenia: zaczynało się od listu, tydzień później on z żoną składali wizytę.

— Nigdy nie spieszmy się we wprowadzeniach — powiedział. - Jodie ma duże zaufanie do pani i teraz będziemy musieli nieco tego zaufania przenieść na nas.

Gdy mówił, byłam pod wrażeniem ilości szczegółów z historii Jodie, które znał; musiał przeczytać akta od deski do deski. Rozmawialiśmy przez telefon przez ponad godzinę. Dobrze było porozmawiać w końcu z kimś, kto wydawał się wiedzieć, co robi, i doskonale znał temat. To była ogromna różnica. Mimo że Jill robiła, co mogła, była tylko małym trybem w ogromnej maszynie, z niewielkimi możliwościami zmienienia czegokolwiek. Mogła tylko coś zaproponować i pytać.

Eileen, podobno wyspecjalizowana opiekunka socjalna, dowiodła, że jest niezaangażowana w sprawę, nieefektywna i — jeśli miałam być szczerą — niechlujna w jej prowadzeniu. Po roku wciąż sprawiała wrażenie, że nie zna szczegółów z akt Jodie, i nie zadała sobie trudu, żeby ją poznać lub wypełniać swoje statutowe obowiązki. Dopiero gdy rozmawiałam z Ronem, poczułam, że ciężar, który od tak dawna dźwigałam, opada z moich ramion. Nie zdawałam sobie wcześniej sprawy z tego, jak samotna się czułam. Przez cały ten długi czas byliśmy tylko ja i Jodie, mierzące się z nieustannymi problemami, jak tylko umiałyśmy, podczas gdy system toczył się mozolnie obok, powstrzymywany własnym ogromem i biurokracją. Teraz w końcu czułam, że ktoś naprawdę zainteresował się Jodie...

Gdy zapytałam, co powinnam powiedzieć Jodie o ich wizycie, stwierdził, by przekazać jej jak najmniej. Prosił, by zapisać pytania - jeśli Jodie takie zada - i zapewnić ją, że dostanie na nie odpowiedzi, gdy przyjadą Roń i Betty.

Położyłam się spać z lepszym samopoczuciem, pierwszy raz od dłuższego czasu. Jodie zareagowała pozytywnie, a Roń wydawał się wrażliwy i otwarty. Może wszyscy mieli rację i to rzeczywiście było dla dobra Jodie...

Następnego ranka, gdy pozostałe dzieci wyszły do szkoły, powiedziałam Jodie o nocnym telefonie Rona.

- Czego on chce? - warknęła, odsuwając od siebie talerz z owsianką, o którą wcześniej prosiła. Zastanawiałam się, czy zrozumiała, że Roń to ta sama osoba, od której dostała list. - Dowiedzieć się, co u ciebie słychać.

Napisał do ciebie ten piękny list, pamiętasz? Przyjadą do nas w przyszłym tygodniu.

- Nie chcę! Zamknij się! Idź sobie!

- Jodie...? - zaczęłam, ale zdecydowałam nie forsować tematu. Zrobię tak, jak prosił Roń, i będę się zachowywać tak, jak chciała Jodie.

Przez cały dzień nie wspomniała nic o Ronie, Betty czy ich wizycie. Milczała, zamknięta w sobie. Gdy kładłam ją spać, list leżał na podłodze, podarty na kawałki. Wyglądałoby dziwnie, gdybym to zignorowała, bo znałam już Jodie na tyle, by być pewna, że zrobiła to celowo, manifestując swój gniew. Zebrałam skrawki papieru i usiadłam na łóżku.

- Wiem, że to trudne, skarbie. To trudne dla nas wszystkich. Możesz mi powiedzieć, co czujesz? Co myślisz? Może będę mogła ci pomóc.

Jej twarz się zmarszczyła i Jodie rzuciła się w moje ramiona. Przytulałam ją mocno i przyciskałam głowę do piersi, a Jodie żałośnie płakała.

- Co jest, Jodie? Proszę, spróbuj mi powiedzieć. Naprawdę chcę ci pomóc.

Pomyślała przez chwilę, potem wyrzuciła z siebie: - Zrobią to samo, co inni zrobili. Nie chcę. To boli. Mówiłaś, że to już się nie zdarzy.

- Och, nie, kochanie. To dobrzy, mili ludzie. Nigdy cię nie skrzywdzą, naprawdę.

Ale postrzeganie Jodie bardzo różniło się od mojego. W jej świecie nowy dorosły oznaczał kogoś, kto mógł ją wykorzystać i skrzywdzić, z nielicznymi wyjątkami. Myśl o kimkolwiek nieznanym musiała być dla Jodie przerażająca. Ignorując tym razem radę Rona, by mówić jak najmniej, starałam się jej wytłumaczyć.

- Roń i Betty są jak ja. Pomagają dzieciom, które zostały skrzywdzone. Tylko że oni robią to lepiej ode mnie. Wiedza, co trzeba powiedzieć. Pomogli już setkom dzieci i chcą też pomóc tobie. Gdy przyjadą, będę cały czas przy tobie. Chcą tylko porozmawiać. Opowiedzą nam o domu, w którym mieszkają, i o dzieciach, które tam są.

Szlochała. - Nie będą wchodzić do mojego pokoju, tak? I nie chcę iść do ich samochodu.

- Nie, oczywiście, że nie. - Obróciłam ją w swoją stronę. - Posłuchaj, Jodie, odkąd ze mną jesteś, poznałaś mnóstwo nowych osób i żadna z nich cię nie skrzywdziła. Nie pozwoliłabym im tu *przyjeżdżać*, gdybym nie sądziła, że to dla twojego dobra. *Przecież* mi ufasz, prawda? Skinęła. - Więc *zaufaj* mi i tym *razem*, skarbie. - Pozwoliła mi wytrzeć sobie oczy chusteczką, ale nie byłam pewna, czy przyjęła moje zapewnienia. Mimo wszystko spędziła 2e mną niecały rok, a to stosunkowo krótko w porównaniu z ośmioma wcześniejszymi latami *życia*. W doświadczeniach Jodie mój świat był ciągle wyjątkiem, nie normą. Przeczytałam jej bajkę i utuliłam do snu. Wychodząc, usłyszałam dziecinny głos Amy: - Możesz *zaufać* Cathy. Naprawdę możesz.

W miarę jak zbliżał się dzień wizyty, Jodie stawała się coraz bardziej niespokojna. Wchodziła raz po raz w rolę Rega lub Amy, poza tym nie okazując zbyt wiele. Prawdziwą Jodie widziałam już rzadko. Starałam się wykorzystać te chwile możliwie najlepiej, ale szybko się chowała w swoją skorupę i znów widziałam tylko pusty, beznamiętny wzrok. O chodzeniu do szkoły nie było mowy. Poza wycieczkami na podstawowe zakupy prawie w ogóle nie wychodziłyśmy z domu. Rankiem tego dnia, gdy spodziewałyśmy się wizyty Rona i Betty, stan Jodie pozostał bez zmian - niepokoiłam się, że może się on jeszcze pogorszyć, gdy mała zobaczy w domu obcych. Betty zadzwoniła z samochodu i uprzedziła, że będą u nas za piętnaście minut. Powiedziałam jej o swoich obawach.

- Dobrze, że nas pani *uprzedziła* - zareagowała tak samo pozytywnie i uważnie, jak jej mąż. - Gdy już będziemy w domu i Jodie nas pozna, wszystko pójdzie łatwiej. Nie byłam przekonana.

Wróciłam do salonu, gdzie wcześniej, w nadziei, że uda mi się czymś zająć uwagę Jodie, rozłożyłam *puzzle*. - Dzwonili Roń i Betty — powiedziałam wesoło. — Zaraz u nas będą. Układamy te *puzzle*?

Ku mojemu zdumieniu Jodie *ześlizgnęła* się z kanapy, wybrała część układanki i mi podała. Włożyłam ją na właściwe miejsce i pojawił się kształt głowy kota.

- Gdzie jest twój kot? - *zapytała nagle*.
- Toscha śpi w swoim koszu przy kaloryferze.
- A oni mają kota?
- Nie wiem. Możemy ich o to zapytać.

Podała mi kolejny kawałek i znów wcisnęłam go w odpowiednie miejsce. Gdy zadzwonił dzwonek do drzwi, Jodie siedziała na podłodze, wyglądając, jakby bawiła się radośnie jak każde inne dziecko.

Wzięłam od Rona i Betty *pluszcze* i zaprowadziłam ich do salonu. Byli postawna para pod pięćdziesiątkę, ubrana z luźną elegancją, o ciepłych, miłych twarzach.

- Cześć, Jodie - powiedziała radośnie Betty. - Bardzo miło cię poznać. - Pochyliła się, by zobaczyć układankę. - Dooob-rze! Lubisz *puzzle*?

Jodie skinęła.

- To jest mój mąż, Roń.

Jodie spojrzała do góry i uśmiechnęła się, a Roń usiadł dyskretnie na fotelu niedaleko niej.

— Jodie zastanawiała się, czy mają państwo kota — powiedziałam.

- Kota nie - odpowiedziała Betty - ale za domem jest pole pełne krów.

- Krów? - powtórzyła Jodie, nagle zainteresowana.

- Tak. Rano słyhać, jak mucza, a potem rolnik przychodzi, żeby je wydoić. Dzieci uwielbiają się temu *przyglądać*. Czasem krowy podchodzą do samego płotu i można je pogłaskać.

- Napraaaawdę? - Jodie promieniała. Wymknęłam się do kuchni, by zrobić nam herbatę.

Toscha, słysząc nowe głosy, zwlokła się leniwie ze swojego kosza i weszła do salonu sprawdzić, co się *dzieje*. Słyszałam, jak Jodie ją przedstawiała.

- To jest Toscha, ale jest mniejsza od krowy.

- Zgadza się - powiedziała Betty. - *Znacznie* mniejsza.

Jodie musiała coś dostrzec w Ronię i Betty, bo była zupełnie nie tym dzieckiem, które opisywałam, i gdyby nie raporty innych osób, pomyślałabym, że moje sprawozdanie mogłoby zostać podważone. Przyniosłam tace z herbata, podczas gdy Betty pomogła Jodie ułożyć pozostałe elementy układanki. Usiadłam i podziwiałam rezultat. Jodie przeszła obok *talerza*, z ciastkami i usiadła na kanapie koło Betty.

— Powiedz, jakie inne gry lubisz, Jodie? — powiedział Roń, łagodnie włączając się w rozmowę. Mówił spokojnym głosem i z pewnością nie można było powiedzieć, że jest onieśmielający.

— Malowanie lubię — powiedziała Jodie — i chodzenie do parku.

- Brzmi *nieźle*. - Uśmiechnął się do Jodie, a ona do niego.

Rozmawialiśmy przez chwilę o parku, potem Roń delikatnie skierował rozmowę na Wysokie Dęby oraz zajęcia i wyjazdy, które były tam organizowane. Wyjął z kieszeni broszurkę: była to wersja tej ulotki, która otrzymałam na spotkaniu, tyle że zaprojektowana z myślą o dzieciach. Podczas gdy Jodie przekładała kartki broszurki, Roń opowiadał o codziennych zajęciach i wspominał kilkoro dzieci. Jodie zapytała, czy mieli tam telewizor i o której chodzili spać.

Roń i Betty byli u nas prawie dwie godziny, rozmawiając i bawiąc się z Jodie, ale pokazali nam też film z Wysokich Dębów, na którym widać było pokoje i otoczenie domu. Gdy uznali, że Jodie jest gotowa, zaproponowali, żebyśmy w przyszłym tygodniu odwiedziły ich w ośrodku.

- Chcę jechać teraz! - śmiała się Jodie, podskakując.

- O nie - uśmiechnęła się Betty. - Musimy przygotować twój pokój, żebyś go mogła *obejrzeć*, gdy przyjedziesz.

Po raz pierwszy ktoś z nas poruszył temat „jej” pokoju i możliwości zamieszkania Jodie w Wysokich Dębach, więc obserwowałam jej reakcję.

- Cathy może przyjechać

- Na wizytę? Oczywiście - odpowiedział Roń. - Przywiezie cię samochodem i obie obejrzyce twój pokój i poznacie wszystkich. Następnym razem, gdy do nas przyjedziecie, ty będziesz mogła zostać na noc, a Cathy *przyjedzie* cię odebrać następnego dnia rano.

- Pogłaskam krówę - zapytała Jodie.

- Na pewno jakaś zobaczysz - powiedziała Betty. - To, czy ja pogłaszczesz, będzie zależało od tego, jak blisko podejdziesz do płotu.

Uśmiechnęłam się do siebie. Krowy najwyraźniej zastąpiły w uczuciach Jodie *koty* podobnie jak Roń i Betty zastępowali mnie. Odprowadziłyśmy ich i pomachałyśmy na pożegnanie, a Jodie do końca popołudnia była podekscytowana. Malowała trochę na werandzie, a gdy przyszłam sprawdzić, jak jej idzie, uśmiechnęła się do mnie szeroko, dumna ze swojej najnowszej pracy. Był to wspaniały, kolorowy rysunek dużego, czerwonego domu stojącego na zielonym polu z trzema czerwonymi krowami.

Wysokie Dęby

Tydzień później, gdy wjechałyśmy na drogę prowadzącą do "Wysokich Dębów, w samochodzie zapanowało ciche oczekiwanie. Przed naszymi oczami zaczął się wylaniać imponujący dwór. Przez większość drogi Jodie drzemała lub mówiła do swojej lalki Julie. Gdy zaczęłyśmy się *zbliżać* do ośrodka, zamilkła i przechyliła *się* do przodu, żeby lepiej widzieć. Rozpoznałyśmy dom z filmu, który pokazali nam Roń i Betty, ale widząc go z bliska, byłyśmy zaskoczone jego rozmiarami. Był ogromny, z czternastoma sypialniami położonymi w dwóch skrzydłach budynku i z aneksem po prawej stronie, który kiedyś przeznaczony był dla służby, a teraz był pokojem terapii i wyciszenia. Dwuspadowy dach opadał nad wygiętym w łuk portykiem, który obrastał bluszczem. Domyślałam się, że dom został zbudowany w połowie dziewiętnastego wieku.

- Jest ogromny - powiedziałam. - Będziemy musieli się umawiać, żeby się z tobą zobaczyć.

Jodie uśmiechnęła się, niezupełnie rozumiejąc, o czym mówiłam, ale doceniając poczucie, że było to coś wyjątkowego i że odnosiło się do niej.

Zaparkowałam za *trzema* samochodami stojącymi w jednej linii na podjeździe i otworzyłam Jodie drzwi, żeby ją wypuścić.

Chwyciła moja dłoń i przeszliśmy po wysypanej drobnymi kamykami alejce do dębowych drzwi. Pociągnęłam za sznurek przy miedzianym dzwonku i usłyszałyśmy odbijające się w środku echo.

- Ja zrobię - powiedziała i jeszcze trzy razy pociągnęła szybko za sznurek.

Drzwi się otworzyły i pojawiła się w nich uśmiechnięta Betty. — Podoba ci się nasz dzwonek, Jodie? Chcieliśmy go zmienić na nowoczesny, ale wszyscy przegłosowali, żebyśmy zostawili ten.

Jodie natychmiast wymieniła moja rękę na dłoń Betty. Byłam zaskoczona, bo jeszcze tego samego ranka utrzymywała, że nawet nie wie, kto to jest Betty. Weszliśmy do holu, wyłożonego pomalowanymi na biało kwadratowymi kasetonami, w których środku widniały jednakowe rozety. Dawało to poczucie przestrzeni i wprowadzało lekka, wesoła atmosferę. Z wnętrza domu wyłonił się Roń. - Cześć Jodie, witam panią, Cathy. Podróż minęła wam dobrze?

- Tak, dziękujemy - odpowiedziałam za nas obie. Jodie schroniła się za Betty.

Roń zadzwonił poprzedniego wieczoru, by zapytać o stan Jodie, więc poinformowałam go, że w jej zachowaniu nic się nie zmieniło i w ogóle nie wspominała o wizycie. Rozmawiałyśmy o tym tylko raz, *dzień wcześniej*, kiedy chciałam przypomnieć Jodie, że wybieramy się do Wysokich Dębów, ale Reg odpowiedział wtedy tylko, że „*pieprzy*, nie jedzie”.

- Chodźcie do salonu - powiedziała Betty, prowadząc Jodie holem. — Dzieci wyszły na spacer, dlatego jest tak cicho. Niedługo wrócą.

Salon mieścił się z tyłu domu i był co najmniej trzy razy większy od tego w moim domu. Za przeszkloną ścianą było patio, a jeszcze dalej plac zabaw z huśtawkami, drabinkami do wspinania i wspaniałym domkiem na drzewie. Za płotem, w oddali widziałam pastwisko, ale teraz nie było na nim krów. Salon był funkcjonalnie urządzony. Pod ścianami stały cztery kanapy, dwa fotele i kilka wypełnionych ziarnami fasoli poduch, które formuje się w fotele, a które ustawione były w stronę ekranu telewizora.

- Korzystamy z tego pokoju wieczorami i w weekendy - powiedział Roń — kiedy jesteśmy wszyscy razem. Później pokażemy wam resztę domu.

Jodie usiadła obok Betty na jednej z sof, a między nimi ułożyła swoją lalkę. Ja usiadłam na kanapie obok, a Roń zajął duży fotel. Wyglądaliśmy jak rodzina niedźwiadków z bajki, *gdzie* tato miś ma zawsze największy fotel. Betty zaproponowała nam coś do picia, ale podziękowałyśmy, bo wcześniej po drodze zatrzymałyśmy się na śniadanie.

- W tej chwili mamy dziesięcioro dzieci - powiedział Roń, patrząc na Jodie — i dziewięciu opiekunów, którzy nam pomagają. Twoimi dorosłymi opiekunami będą Clare i Val. Poznasz je podczas kolejnej wizyty. Betty i ja jesteśmy tu zawsze, podobnie jak nasza gospodyni, Shirley. To ona przygotowuje dla nas posiłki, a po nich wspólnie wszystko sprzątam. Wiem, że lubisz pomagać, prawda, Jodie?

Nie odpowiedziała, ale uśmiechnęła się nieśmiało i przysunęła troszkę bliżej Betty.

Roń wyjaśniał dalej, jak *dzieci* na zmianę wybierały, co chcą na kolację, a ja rozglądałam się po pokoju. Zastanawiałam się, jak przy takiej gromadce *dzieci* udaje im się to wszystko utrzymywać w czystości i ładzie, ale podejrzewałam, że należy to do obowiązków gospodyni,

- A teraz, czy zastanawiałaś się nad jakimiś pytaniami? - zapytał Roń.

— Gdzie są krowy? — powiedziała Jodie, bardziej już pewna siebie, wierząc się w kierunku oparcia sofy.

- O tej porze dnia są zwykle na wyżej położonych pastwiskach. Będziesz mogła je zobaczyć ze swojej sypialni. Chcesz się teraz rozejrzeć?

Skinęła żywo głowa i zsunęła się z kanapy. Z lalką wciśniętą pod pachę poszła za Betty do jadalni, której okna wychodziły na ogród i w której stał długi stół z czternastoma krzesłami. Obok jadalni znajdował się gabinet, do którego dzieciom nie wolno było wchodzić bez pukania. Dalej był pokój zabaw, tak samo duży jak salon, który wypełniały zabawki, fasolowe poduchy i inne wyposażenie. Stały tam trzy komputery, różne małe plastikowe stoliki i szafki pełne gier, pluszaków i książek. Był też „kącik domowy” wyposażony w zabawkowy piekarnik, zlewozmywak, mikrofalówkę, kanapę i łóżeczko. Przy jednym małym stoliku siedział rząd pluszowych misiów z równo wyłożonymi *przed* nimi plastikowymi filiżankami i talerzami, Jodie pokazała w tamtą stronę, podekscytowana.

— Wczoraj wieczorem mieliśmy piknik pluszowych misiów — powiedziała Betty. - Założę się, że następnym razem twoja lalka chętnie się do nich przyłączy. — Jodie potrząsnęła Julie tak, jakby lalka miała skinąć głową. - W porządku, w takim razie dostawimy jedno krzeselko.

Przeszliśmy do kuchni, gdzie przy zlewozmywaku krzątała się jakaś kobieta.

- Shirley, to jest Jodie - powiedział Roń - i jej opiekunka Cathy.

Shirley była pulchna kobietą pod sześćdziesiątkę, z łagodną, sympatyczną twarzą. Wytarła ręce w fartuch i podeszła. - Cześć, Jodie, miło mi cię poznać. A to kto? — zwróciła się do lalki, ale Jodie schowała się za plecami Betty.

- Przepraszam - powiedziałam, ściskając jej rękę.

— Nic nie szkodzi. Myślę, że pokaże mi następnym razem.

- A teraz twój pokój - powiedziała Betty, wyczuwając u Jodie chęć do kontynuowania wycieczki po domu. Jodie puściła jej rękę i wzięła moja. Szliśmy za Ronem, najpierw krętymi schodami z imponującą balustradą, później wzdłuż korytarza na piętrze aż do przedostatnich drzwi.

- Jodie, musisz wejść pierwsza - zachęcała Betty. - To jest twój pokój i my jesteśmy w nim tylko gośćmi.

Jodie z dumą przekręciła gałkę w drzwiach i weszła, a my usłyszeliśmy jej westchnienie zachwytu. Pokój był świeżo pomalowany w dwóch tonacjach koloru brzoskwiniowego, do tego miał pasujące zasłony w kwiaty i taką samą narzutę na łóżko. Nowe sosnowe łóżko stało pod ścianą w komplecie z szafą, komodą i regałem.

Jodie stała przy oknie. — Tam! Widzę krowy!

Stanęłam za nią. Przy potężnym dębie z prawej strony pasły się holenderki. - W końcu krowy - powiedziałam, bardziej do Rona i Betty niż do Jodie. Widok był piękny, z terenem Wysokich Dębów sięgającym po pastwisko z prawej strony i rozległymi wzgórzami po lewej. Nie mogłam sobie wyobrazić lepszego startu na drodze do wyzdrowienia Jodie niż odsłanianie zasłon co rano i patrzenie na takie błogie *zacisze*.

Jodie przez chwilę stała jak zahipnotyzowana, później odwróciła się, *żeby obejrzeć* swój pokój.

Otwierała wszystkie szuflady, zajrzała do szafy, potem usiadła ciężko na łóżku.

- Gdy *przyjedziesz* następnym razem - powiedziała Betty - możesz przywieźć jakąś swoją zabawkę i zostawić ją w tym pokoju.

- Mogę teraz zostawić lalkę - wykrzyknęła Jodie, wysuwając Julie spod pachy.

- Jesteś pewna? Jeśli to twoja ulubiona lalka, to następnym razem *zobaczysz ją* dopiero za tydzień.

- Chcę, żeby została - powiedziała zdecydowanie.

Wymieniłyśmy z Betty aprobujące spojrzenia, a Jodie odsunęła narzutę i ułożyła Julie tak, że wystawała jej tylko główka. Najwyraźniej był to pozytywny sygnał.

Dalej ruszyliśmy do łazienek, z których każda była *przeznaczona* dla trójki dzieci. Przeszliśmy potem obok innych pokoi, ale nie wchodziliśmy do nich; Betty tłumaczyła Jodie, że to są prywatne pokoje. Gdy schodziliśmy na dół, otworzyły się drzwi frontowe i do domu wsypały się dzieci wracające ze spaceru. Cichy dom wypełnił się nagle podekscytowanymi rozmowami, a Jodie złapała moja rękę i *zamarła*.

- *Już* dobrze - powiedziałam. - Nie ma się czym *przejmować*.

— Przywitamy się szybko — powiedziała Betty *zachęcająco* — i myślę, że to wystarczy na dzisiaj. Byłaś bardzo *grzeczna, Jodie*.

Namawiałam ją, by zeszła do końca schodów, ale onieśmielona tyłoma nowymi osobami, chowała się za moimi plecami. *Dzieci* zaczęły ściągać zabłocone botki i wieszać kurtki. Wszystkie miały własne wieszaki i szafki na buty.

— To są Jodie i Cathy — powiedział Roń.

Odezwał się chór „cześć” i „hej”, ale Jodie nic nie powiedziała, stojąc tam, gdzie stała.

— Gorąca czekolada jest już gotowa? — zapytał jakiś chłopiec. - Shirley ja właśnie robi - odpowiedział Roń. Wyglądało na

to, że długi spacer zakończony gorącą czekoladą był tu jednym ze zwyczajów. Dzieci odpłynęły w kierunku jadalni, jak jedna wielka rodzina wracająca z wycieczki. Teraz, gdy w holu nikogo już nie było, Jodie wyszła ze swojego ukrycia.

— Masz *jeszcze* jakieś pytania? — zagadnęła Betty z uśmiechem.

Jodie potrząsnęła głową i zaczęła się przesuwając w stronę drzwi.

— OK, ale jeśli coś *przyjdzie ci do głowy*, powiedz o tym Cathy. Zadzwonimy do ciebie jutro, a zobaczymy się za tydzień.

Podziękowałam im przy pożegnaniu, a oni machali do nas, dopóki nie zniknęliśmy z pola widzenia. Jodie, która stanęła na wysokości *zadania*, była teraz fizycznie i psychicznie wyczerpana. Położyła się na tylnym siedzeniu, *ziewając*, potem zaczęła ssać kciuk, zwinęła się w kłębek i w piętnaście minut zasnęła. Zadzwoiłam do domu, żeby powiedzieć dzieciom, że już wracamy i że wizyta przebiegła dobrze.

— Więc definitywnie nas opuszcza? — *zapytała* Paula. Słyszałam w jej głosie smutek.

- Tak. Wiesz, to naprawdę najlepsze miejsce dla niej i sądzę, że ona sama już to wie. Opowiem wam wszystko później.

Włączyłam się do ruchu na drodze prowadzącej na południe i ustawiłam tempomat na 85-95 kilometrów na godzinę. Od czasu do czasu zerkałam w lusterko wsteczne. Jodie ciągle spała.

Była dziś taka spokojna i normalna, że kusilo mnie, by *zapomnieć* o tych miesiącach zaburzonego zachowania i jeszcze raz uwierzyć, że Jodie mogłaby z nami zostać. Może przy regularnej terapii, miłości i cierpliwości mogłaby wyzdrowieć i nauczyć się funkcjonowania w rodzinie? W myślach odtwarzałam diagnozę doktor Burrows i zastanawiałam się, czy kiedykolwiek się pomyliła. Czy popełnia błędy? Czyjej konkluzja była w stu procentach pewna, czy było to tylko najlepsze przypuszczenie, jakie na ten moment mogła wysunąć? Byliśmy jedyna rodzina Jodie i nieważne, jak dobrze wyglądały Wysokie Dęby — był to ciągle dom dziecka. Nastawiłam w radiu cicho Czwórkę i skupiłam się na samochodzie przede mną.

Od domu dzieliło nas jeszcze dwadzieścia minut drogi, gdy Jodie obudziła się z krzykiem.

Chciała natychmiast do toalety. — Nie mogę czekać, Cathy! Posikam się! — To przynajmniej był jeden obszar, w którym Jodie zrobiła ogromny postęp: rok temu po prostu by się posikała na siedzeniu.

Zjechałam z autostrady i znalazłam spokojną dróżkę, gdzie wypatrzyłam wjazd na czyjeś pole.

Zatrzymałam się na mostku i podprowadziłam Jodie za kępę drzew. - Możesz tu kucnąć. Nikt cię nie zobaczy.

Podniosła spódniczkę i się uśmiechnęła. - Chcesz popatrzeć?

— Nie, Oczywiście, że nie, — Odwróciłam się plecami.

Usłyszałam szum moczu, a później głos Jodie: - Mój tatuś patrzył. Musiałam sikać mu na buzię. Mówił, że to napój bogów, ciepły i słodki.

Nic nie powiedziałam. Ukrywanie odrazy stało się taka sam[^] *częścią*, opieki nad Jodie jak okazywanie miłości i przywiązania.

Nocleg

Normalność Jodie trwała krótko, a poradzenie sobie z nią przez kilka następnych dni pochłonęło całą moją energię. Pierwszego ranka po wizycie u Rona i Betty Jodie obudziła się z oczekiwaniem, że przez okno swojego pokoju będzie widziała krowy. Rozłościła się od razu, gdy jej powiedziałam, że krowy są w Wysokich Dębach i że zobaczy je za tydzień.

- Zabrałaś je - szdyżła. - To twoja wina. Nienawidzisz mnie.

- Nie nienawidzę cię, Jodie. Bardzo cię lubię.

- Więc dawaj mi krowy - nalegała. - Chcę krowy! Już!

- Nie mogę, skarbie. Tutaj nie ma krów. To niemożliwe.

Zastanawiałam się, czy to pomieszanie nie wynikało z wiszącej w powietrzu przeprowadzki.

Uświadomienie jej, że się od nas wyprowadzi, było procesem delikatnym i stopniowym. Nigdy, rzecz jasna, nie powiedziałam: „Jodie, wyprowadzasz się od nas” bo poczułaby się odrzucona i jej pozytywne postrzeganie Wysokich Dębów ległoby w gruzach, a *przecież* bardzo ostrożnie je podsycałimy. Staraliśmy się dać jej do zrozumienia, że wyjedzie do Wysokich Dębów w

niedalekiej przyszłości, najpierw jednak miała się tam wybrać z *wizytą*, podczas której byłoby dużo zabaw, a na noc dostałaby swój pokój. Wszystko musiało być bardzo pozytywne, i takie było. Sprawy szły w dobrym kierunku. Jodie wydawała się słuchać, gdy podkreślałam postępy, jakie poczyniła podczas swojego pobytu u nas, gdy mówiłam, jak bardzo będzie się jej podobało w Wysokich Dębach u Rona i Betty, jak bardzo będziemy za nią tęsknić i że będziemy ją odwiedzać.

— Mamusia z tatusiem będą mnie odwiedzać? — zapytała.

- Nie. Zdecydowanie nie. - Ale podczas gdy dawniej te słowa przyniosłyby jej ulgę, teraz wydawało jej się to kolejnym odrzuceniem.

- Banda! Wszyscy jesteście tacy sami! Nienawidzę cię! Wynoś się! - Pojawił się nagle Reg i pchnął mnie, *rzucając* wyzwiskami. Wysłałam pospiesznie z pokoju, zamknęłam drzwi i czekałam na korytarzu. Dziesięć minut później drzwi otworzyły się na oścież i pojawiła się w nich Amy, z kciukiem w buzi i mokrą plamą z przodu piżamy.

Miarą tego, jak dziwne i zaburzone stało się nasze życie, było choćby to, że ucieszyłam się, widząc Rega i Amy z powrotem. Oznaczało to, że jakiś poziom „normalności” został odzyskany.

W miarę zbliżania się kolejnej wizyty w Wysokich Dębach Jodie balansowała między pełnym letargiem a gwałtowną złością, więc musiałam z siebie dawać tyle samo współczucia co dyscypliny, czasem nawet w tej samej minucie. Próbowalam też usilnie poukładać własne odczucia związane z jej odejściem, a przy tym musiałam podnosić na duchu pozostałych domowników. Czułam się rozdarta między tymi wszystkimi uczuciami.

W końcu nadszedł środowy poranek i znów byliśmy w Wysokich Dębach, tyle że tym razem przyjechaliśmy z torbą, bo Jodie miała tam przenocować. Z entuzjazmem pociągnęła za dzwonek. Otworzyli nam Ron i Betty. Poradzili, by moje *pożegnanie* z Jodie trwało możliwie jak najkrócej, ale i tak nie miałam innego wyjścia. Jodie nie chciała ze mną nic robić i od razu przeniosła swoje przywiązanie i uwagę na Betty.

— Trzymaj się, Jodie — powiedziałam wesoło. — Baw się dobrze i zobaczymy się jutro.

Nic nie powiedziała, a na moja próbę pożegnalnego buziaka i przytulenia odpowiedziała markotną odmową. Betty uśmiechnęła się do mnie współczująco, jakby mówiła „proszę nie brać tego do siebie”, ale nie uchroniło mnie to przed uczuciem odrzucenia. Byliśmy z Jodie ciągle razem przez prawie cały rok i sądziłam, że wszystko, co razem przeszliśmy, związało nas i zbliżyło do siebie. Ciężko mi było patrzeć, jak Jodie odwraca się do mnie plecami i odchodzi, nie oglądając się już za siebie.

To nie była jej wina — napominałam samą siebie. Zdolność zawiązywania *przyjaźni* była jeszcze jedną cechą osobowości, która została sparaliżowana i zahamowana przez jej tragiczne przeżycia. To ja byłam normalna, a nie ona, i powinnam być wdzięczna losowi za to, że byłam zdolna kochać i tęsknić. Mimo to w drodze do domu musiałam się zatrzymać na mocną kawę i chwilę odpoczynku, by dojść do siebie.

Gdy wróciłam do domu, z dnia nie zostało już zbyt wiele. Zrobiłam dzieciom kolację, posprzątałam naczynia i usiadłam przed telewizorem.

Po niespokojnej nocy wróciłam po Jodie o pierwszej po południu. O ile nasza pierwsza wizyta była udana, o tyle ta już taka nie była. Ron wziął mnie na bok, na wysypany kamykami podjazd, i opowiedział, co się wydarzyło.

— Miała kilka napadów złości, czego może i trochę się spodziewaliśmy. Betty musiała ją powstrzymać, gdy zaatakowała jednego z chłopców. Proszę się nie martwić, Cathy. Ta przeprowadzka z pewnością wywoła reakcję. Jesteśmy na to dobrze przygotowani.

Jodie miała się do nich przeprowadzić na stałe już za pięć dni i teraz wyrzucałam sobie, że zgodziłam się na taki terminarz. -Myśli pan, że powinniśmy rozważyć przesunięcie przeprowadzki, by dać Jodie więcej czasu na oswojenie się? - zapytałam.

- Nie - odpowiedział stanowczo. - Moje doświadczenia mówią, że opóźnianie sprawy może tylko wprowadzić niepotrzebne zamieszanie i wszystko pogorszyć.

Weszliśmy do holu. Betty i Jodie wyszły z pokoju zabaw. Jodie nie była zadowolona. - Co ty tu robisz? - rzuciła, *patrz* na mnie groźnie. - Dlaczego zawsze przerywasz mi dobrą zabawę? — Czas wracać do domu, Jodie — odpowiedziałam cierpliwie.

- Ale ja chcę tu zostać. Dlaczego nie pozwalasz mi zostać? Ta sama stara Jodie, ze swoimi nieprzewidywalnymi *zmianami* reakcji i sprzecznym zachowaniem.

- Już bardzo niedługo będziesz mogła tu zostać, ale nie dzisiaj, dobrze? A teraz chodź, musimy jechać.

Roń i Betty doprowadzili Jodie do samochodu z jej podróżna torba.

Prawie cała noc nie spałyśmy. Jodie była wystraszona, *dezorientowana* i przekonana, że w jej pokoju są jacyś ludzie. Następnego ranka byłam wykończona, ale musiałam odebrać mnóstwo telefonów od różnych osób zaangażowanych w przypadek Jodie. Wszyscy chcieli wiedzieć, jak toczą się sprawy, i umówić się na ostatnie spotkanie. Sally, kuratorka z urzędu, wpadła, żeby się pożegnać. Jej raport był już gotowy, więc jej praktyczne zaangażowanie w sprawę Jodie było zakończone. Gdy tłumaczyła to Jodie, widziałam, że naprawdę *przywiązała* się do dziewczynki. *Zdałam* sobie sprawę, jak ciężka miała pracę, musząc *ciągle* się z kimś żegnać. Jodie natomiast w ogóle nie pamiętała, kim była Sally, i *kazała* się jej odpiardolić.

Następnego dnia przyjechała Jill i dała Jodie *prezent* do jej nowej sypialni. Była to ładna porcelanowa ozdoba w kształcie kota i Jodie sprawiała wrażenie zadowolonej - nawet jej podziękowała.

Teraz, gdy Jodie mnie opuszczała, kończyło się powiązanie Jill ze sprawą, więc chciała przyjść i pożegnać się z małą. Robiła to nie tylko dlatego, że była miłą osobą — do dobrych obyczajów ludzi pracujących w pomocy społecznej należało pożegnanie się z dzieckiem, którego miało się już nie widywać. Dla dziecka, które ciągle się przeprowadza i spotyka nowe osoby, mogłoby być dezorientujące, gdyby ludzie po prostu znikali bez żadnego wytłumaczenia. Dziecko takie mogłoby się czuć jeszcze bardziej odrzucone i zagubione. Więc za każdym razem, gdy odchodzi ode mnie jakieś dziecko, są wizyty, pożegnania i niewielkie pożegnalne przyjęcie.

— A więc *żegnaj*, Jodie — powiedziała Jill, wychodząc. — *Życzę ci* mnóstwo szczęścia.

- Powiedz Jill „do widzenia” - poprosiłam, a Jodie posłusznie jej pomachała. Jednakże gdy tylko Jill wyszła, Jodie rzuciła porcelanowym kotem w podłogę, rozbijając go w drobny mak.

Jeszcze tego samego popołudnia zadzwoniła doktor Burrows i powiedziała, że przed złożeniem opinii w sadzie musi jeszcze raz zobaczyć Jodie. Ku mojej uldze dodała, że wolałaby to zostawić do czasu, gdy Jodie będzie już w Wysokich Dębach, bo wtedy mogłaby to dopisać do swojego raportu.

Ostatnim gościem, dwa dni przed przeprowadzką, była Eileen, która wpadła spóźniona o ponad godzinę, oczywiście bez żadnych przeprosin. W jej przypadku nie było to pożegnanie, bo pozostawała opiekunem socjalnym Jodie i powinna ja odwiedzać oraz monitorować jej postępy. Było mi trochę smutno, że jedyna osoba, która miała pozostać w oficjalnym kontakcie z Jodie, był ktoś, kto wydawał się najmniej przejmować sprawą - nic jednak nie mogłam na to poradzić.

- Nie możesz się już doczekać wyjazdu? - zapytała bez wycucia sytuacji. - Będziesz mieszkać z innymi chłopcami i dziewczynkami, takimi jak ty.

- Pozabijam ich wszystkich! - zagrzmiała Jodie, dając z siebie wszystko. - Głowy im pourydam! I tobie też! Ty cholerna krowo!

Eileen nie skorzystała z propozycji wypicia kawy i spędziła z nami tylko kwadrans, jak zwykle. Był to prawdopodobnie ostatni raz, kiedy miałam widzieć Eileen - inny opiekun socjalny pewnie pozostałby ze mną w kontakcie i z uprzejmości informowałby mnie o postępach Jodie, ale w tym przypadku przeczuwałam, że tak się nie stanie. Nie mogłam przy tym zdusić w sobie poczucia ulgi na myśl, że nie będę miała już z nią do czynienia.

Odprowadziłam ją do drzwi, a ona odwróciła się z wesołym i bezmyślnym „No to pa!” Żadnych słów podziękowania czy uznania za ciężką pracę, która włożyłam w opiekę nad Jodie *przez* ostatni rok, żadnego poczucia, że ta nieszczęśliwa dziewczynka w jakiś sposób nas związała.

- Do widzenia, Eileen - powiedziałam. Jeśli ktoś potrzebował cholernie dobrego opiekuna socjalnego, to była to właśnie Jodie, ale może cała nasza reszta - doktor Burrows, Sally, Jill i ja - zrobiła wszystko, by ten brak zrównoważyć.

Po wyjściu Eileen spędziłam godzinę na uspokajaniu Jodie, obiecując, że tak szybko już jej nie zobaczy. Biorąc pod uwagę dotychczasowe podejście Eileen do sprawy, było to jak najbardziej prawdopodobne.

Mimo negatywnych wybuchów Jodie dotyczących Wysokich Dębów, od czasu do czasu wspominała jednak, że chciałyby „jechać i mieszkać z krowami”. Następnego popołudnia znalazłam ją w kuchni, próbująca otworzyć drzwi szafki.

- Czego szukasz, Jodie?

- Reklamówek - wymamrotała, jakby to nie był mój interes.

- Możesz mi powiedzieć po co? Może będę mogła ci pomóc?

- Muszę spakować - odpowiedziała zniecierpliwiona. Zaprowadziłam ją na górę, zdjęłam walizkę ze swojej szafy

i przeniosłam do pokoju Jodie. Pakowałyśmy rzeczy powoli, jedna obok drugiej. - To jak wyjazd na wakacje - powiedziała, upychając zabawki w swoich podróżnych torbach.

- Tak, trochę. Jodie, byłaś kiedyś na wakacjach? Popatrzyła na mnie pustym spojrzeniem i uświadomiłam

sobie, że - podobnie jak wiele biednych dzieci - pewnie nigdy nie miała prawdziwych wakacji, powtarzała po prostu to, co usłyszała w szkole lub w telewizji.

— To bardziej jak przeprowadzka do innego domu - dodałam coś, do czego mogła się jakoś odnieść. Poczułam ukłucie żalu, bo gdyby sprawy potoczyły się *inaczej*, mogłabym zabrać ją na jej pierwsze wakacje.

Przez ostatnie dni Adrian, Paula i Lucy zachowywali się nadzwyczaj cicho i okazywali niezwykłą cierpliwość wobec ataków złości Jodie. Wiedziałam, że dla nich, podobnie jak dla mnie, wyjazd Jodie był trudniejszy niż wyjazd jakiegokolwiek innego dziecka, które z nami mieszkało. *Żegnaniu* się z kimś wracającym do rodziców, którzy poradziło sobie ze swoimi problemami, towarzyszyło optymistyczne poczucie sukcesu. Nawet te *dzieci*, które nie mogły wrócić do domu, tylko trafiły do rodzin adopcyjnych lub na dłuższy czas do rodzin zastępczych, wyjeżdżały z nadziejami i świadomością, że będą mile widziane i kochane przez nowych rodziców. Jedynym pocieszeniem w przypadku Jodie było to, że trafiała w bezpieczne ręce i miała wreszcie przejść terapię, która - na co liczyłam - miała ją wprowadzić na drogę do wyzdrowienia.

Pożegnanie

Rankiem w dniu wyjazdu Jodie nie chciała jeść śniadania, tylko siedziała przy kuchennym stole, czekając niecierpliwie. Skończyłam kawę, potem zaczęłam znosić jej walizki i torby do przedpokoju. Stała na dole schodów, obserwując mnie, ale gdy zapytałam, czy chce mi pomóc, odwróciła się w drugą stronę. W końcu wszystkie torby leżały w przedpokoju, tak jak rok temu.

- Gdzie jedziemy? - zapytała Jodie, próbując dosięgnąć swój płaszczyk.

Podaliśmy jej go. - Do Wysokich Dębów. Pamiętaj: ¹ Jedziesz do swojego nowego domu.

- Ojej. To dzisiaj? Myślałam, że to za rok. - Za rok, za tydzień, dla Jodie to znaczyło dokładnie to samo.

Adrian, Lucy i Paula wstali wcześniej, żeby odprowadzić nas przed wyjściem do szkoły. *Zebrali* się w przedpokoju, niepewni, co powiedzieć. Paula zaczęła i próbowała przytulić Jodie, ale ta wystawiła język i odwróciła się bokiem.

- Będziemy za tobą tęsknić, Jodie - powiedziała Lucy - i niedługo do ciebie zadzwonimy. - Jodie wzruszyła ramionami. Wydawała się dość obojętna co do kwestii wyjazdu, mimo że było oczywiste, że Paula i Lucy były bardzo poruszone. Dzieci pomogły mi zapakować torby do samochodu, potem stanęły na schodach przed domem i machały.

- Wracasz do domu: ¹ - zapytała Jodie, gdy ruszyliśmy i zniknęliśmy im z pola widzenia.

- Tak, wrócę, gdy tylko cię rozpakujemy.

- Dobrze. Nie chcę cię. Mam Betty. Możesz wracać do domu, Cathy.

Wiedziałam, że to był jej sposób na poradzenie sobie z rozstaniem. Coś czuła, ale nie mogła przyznać co ani że w ogóle coś czuła.

- 'Zadzwoń do ciebie w sobotę - powiedziałam. - A kiedy Roń i Betty powiedzą nam, że możemy, to wtedy przyjedziemy cię odwiedzić.

— Nie chcę — powtórzyła. — Nienawidzę was wszystkich. Obudziła się godzinę wcześniej, a i tak w samochodzie

zasnęła prawie natychmiast. Była w nocy dość spokojna, ale zerkając na tylne siedzenie, zastanawiałam się, jak dobrze mogła spać. Włączyłam cicho radio, ale szybko je wyłączyłam. Kwartet smyczkowy tylko pogłębiał mój smutek. Skupiłam się *najeździe* i powtarzałam sobie wszystkie pozytywne strony tego, co miało spotkać Jodie. Niemniej jednak powracałam *wciąż do* jednego pytania, które ciążyło mi głęboko na sercu: czy naprawdę zrobiłam wszystko, co mogłam, by jej pomóc?

Kiedy dotarliśmy do Wysokich Dębów, Jodie miała ciągle zamknięte oczy, ale czułam, że nie spała.

— Jodie, złotko... — delikatnie pogłaskałam ja po ramieniu. — Jesteśmy na miejscu. Pójdziemy poszukać Rona i Betty?

Powieki Jodie drgnęły, potem otworzyła oczy i uśmiechnęła się do mnie. Podała mi rękę i pomogłam jej wysiąść z samochodu.

W drzwiach pojawili się Roń i Betty, ale Jodie przemknęła obok nich i pobiegła na górę, do swojego pokoju. W trójkę weszliśmy do domu i skierowaliśmy się do salonu, wypić kawę. Ponieważ był weekend, dzieci uczyły się w pokoju zabaw, i gdy rozmawialiśmy, słyszałam równomierny pomruk ich głosów. Skończyliśmy sprawy papierkowe i przekazałam im książeczkę oszczędnościowa Jodie, na która co tydzień wpłacałam pięć funtów. Dodatek, jaki pomoc społeczna przekazuje na pokrycie kieszonkowego i słodycze, jest mikroskopijny, więc uzupełniłam go swoimi pieniędzmi do sumy, która wprawdzie ciągle jeszcze nie była przyzwoita, ale stanowiła dla Jodie maleńki fundusz na przyszłość. Były to jedyne pieniądze, jakie miała Jodie.

Przekazałam też gruby zeszyt, w którym zapisywałam wszystko, co razem zrobiliśmy.

Wiedziałam, że będzie on częścią jej pracy nad swoim życiem.

- Wygląda to niezłe - powiedział Roń, *przerzucając* kartki i oglądając fotografie nas wszystkich i miejsc, w których byliśmy, wklejone rysunki, bilety autobusowe i kolejowe, broszurki i inne pamiątki z wycieczek. Pod każdym nagłówkiem pisałam kilka zdań o tym, co widzieliśmy i kiedy to było.

- Świetnie - powtórzył Roń. - To bardzo pomoże Jodie w pracy nad swoim życiem, i oczywiście będziemy pisać go dalej. To jeden z najlepszych pamiętników, jakie widziałem. Tak wielu opiekunów wydaje się nie mieć na to czasu, a to *przecież* takie ważne, by te dzieci miały jakies dowody swojej przeszłości, zwłaszcza gdy zaczynają terapię. Miejmy nadzieję, że opiekunka socjalna Jodie również dostarczy nam jakies materiały sprzed okresu, gdy Jodie trafiła do pani. Nie licz na to, pomyślałam, ale nic nie powiedziałam.

Roń się uśmiechnął. - Wykonała pani wspaniałą pracę z Jodie, naprawdę. Dziękuję pani, Cathy. Nie mógł jej się trafić nikt lepszy.

Z przyjemnością przyjął pochwałę Rona. Już wtedy byłam pod ogromnym wrażeniem pracy, jaka on i Betty wykonywali w Wysokich Dębach, więc komplement od niego był dla mnie ważny i bardzo go doceniałam.

Zanim się zorientowałam, czas było odjeżdżać. Roń przypomniał mi, że najlepiej będzie się pożegnać jak najszybciej i -na ile to było możliwe - bez dużych emocji. Podczas gdy Jodie bawiła się w swoim pokoju, my rozpakowaliśmy samochód i ustawiliśmy bagaże w holu. Gdy skończyliśmy, stałam przez chwilę niepewna, zastanawiając się, czy nie powinnam się stamtąd po prostu wyślizgnąć.

— Przyprowadzę ja — powiedziała Betty, wyczuwając moje niezdecydowanie. - To ważne, żeby się pożegnać.

Czekałam z Ronem, podczas gdy Betty zniknęła na górze. Z pokoju zabaw dobiegł podniesiony krzyk jakiegoś dziecka, a po nim uspokajający, łagodny ton nauczyciela.

- Proszę spróbować się nie martwić - powiedział Roń. -Naprawdę, poradzi sobie.

Betty pojawiła się na *piętrze*, trzymając Jodie za rękę. Zaczęły schodzić, licząc razem schodki, tak jak sama robiłam z Jodie w domu: — Jedenaście, dwanaście, trzynaście... — dziewczynka się zawahała.

- Czternaście? - zaproponowałam.

- Zgadza się, Cathy, ale pozwól to zrobić Betty. To teraz jej praca.

Nie mogłam się nie uśmiechnąć. — Jadę, Jodie. Uściskasz mnie na pożegnanie?

Przewróciła oczami, potem markotnie wyciągnęła ramiona i czekała, aż do niej przyjdę. Podeszłam, schyliłam się i ja objęłam. Była sztywna i niechętna, ale gdy poruszyłam się, by ją puścić, poczułam nagle, że jej ramiona zacisnęły mi się wokół talii. Głowę przytuliła do mojego brzucha. Pogłaskałam ją po włosach i przelknęłam napływające do oczu łzy. Wiedziałam, że po raz ostatni tak ją przytulam. Chciałam w ten uścisk włożyć wszystko, co mogłam: jak bardzo mi na niej zależało, jak wielką miałam nadzieję, że się lepiej poczuje, i jak bardzo było mi przykro, że nie byłam w stanie pomóc jej tak, jak tego potrzebowała. Była najbardziej niespokojnym dzieckiem ze wszystkich, którymi się opiekowałam, a mimo to związałyśmy się tak bardzo, że teraz trudno było mi ją zostawić, nawet jeśli wiedziałam, że to dla jej dobra.

Po kilku chwilach rozłączyłam nas i się cofnęłam. - Dobrze, skarbie, teraz muszę już jechać, a ty się tu rozpakujesz. Zadzwoń za kilka dni.

- Gdzie jedziesz? - zapytała, marszcząc czoło.

- Do domu, złotko. Mam sporo rzeczy do zrobienia w domu, potem muszę przygotować kolację dla Adriana, Lucy i Pauli. Ty też będziesz miała co robić.

Przesunęła się w stronę Betty, która opłótła ją, ramieniem i przycisnęła do swojego boku. — W porządku, Cathy, rozumiem. To jest teraz mój dom, i Amy. Jedź. Pa, pa.

Spojrzałam na Betty, potem odwróciłam się do drzwi. Jodie była za mną, powtarzając swoje wyjaśnienia Amy: — Teraz Betty będzie się nami opiekowała.

Roń otworzył drzwi. Przeszłam do samochodu po wyłożonej kamykami alejce, ale nie obejrzałam się, dopóki nie usiadłam w środku. Cała trójka pomachała do mnie krótko, a potem zniknęła za drzwiami.

Postęp

Poza sporadycznym odgłosem telefonu w domu panowała £*§ cisza. Słyszałam, jak włącza się automatyczna sekretarka, potem przewróciłam się na bok i zamknęłam oczy. Czy to była ta sama osoba czy raczej seria różnych telefonów? Nie miało to *znaczenia*.. Zajmę się tym w odpowiednim czasie.

Był pierwszy dzień po wyjeździe Jodie. Pożegnałam dzieci wychodzące do szkoły i położyłam się do łóżka. Nie spałam, ale ciepło kołdry bezpiecznie mnie obejmowało i zamykało niczym w kokonie. Spała - zastanawiałam się - czy dręczyły ją nocne demony? Co w tej chwili robiła? Był środek poranka. Czy była w pokoju zabaw czy na spacerze? Skończyła się rozpakowywać? Była szczęśliwa? A może opanowała ja którąś z jej tożsamości? Jak sobie radziła w relacjach z pozostałymi dziećmi? To było moje największe zmartwienie. Będą bardziej wyrozumiałe, bo miały podobne przeżycia jak Jodie? A może przepelniająca ich złość i żal przeleją na nieznajoma? Bałam się o nią, ale wiedziałam, że muszę jej pozwolić odejść.

Telefon znów zadzwonił. Tym razem odebrałam.

- Cathy? - usłyszałam głos Jill. - Przepraszam, że ci przeszkadzam, ale pomyślałam, że może będziesz chciała wiedzieć.

Policja *zgarnęła* rodziców Jodie i trzech mężczyzn z grona *dziadków i wujków*. Maja im postawić *zarzuty*, Smithowie oskarżyli ich o wykorzystywanie ich córki. Tym razem policja ma dowody.

Zmęczony umysł łapał ostrość myślenia dość powoli. Usiadłam na łóżku. — Smithowie?

— Pamiętasz, sąsiedzi Jodie. Zabronili swojej córce Louise bawić się z nią.

- Tak, tak, wiem, ale sadiłam, że mieli świadczyć o moralności rodziców Jodie.

- Poświadczyli, ale później wyszło to. Badania DNA wykazały zgodność z materiałem ojca Jodie i innych. Policja przeszukała dom, *znaleźli* tysiące zdjęć. To krąg pedofilów i wygląda na to, że bardzo szeroki.

Patrzyłam na zasłony, których kwiatowy wzór podświetlało teraz niskie poranne słońce. Waga tego, co się działo, poraziła mnie. Ciężar dowodów wreszcie obrócił się na korzyść Jodie. Istniała szansa, że doczeka się sprawiedliwości, a ci ohydni ludzie, którzy ją wykorzystywali, zostaną w końcu ukarani.

- Eileen chce *wiedzieć*, czy będziesz zeznawać. Powiedziałam, że jestem pewna, że tak. Będą też potrzebowali twoich notatek z dziennika. Wyślę kogoś po nie.

Wciąż patrzyłam przed siebie. Piwonie na zasłonach pulsowały mocna czerwienią. - Tak, jasne, zrobię wszystko. Dzięki Bogu! Wiedza, kiedy to się zaczęło? Maja jakieś przypuszczenia?

— Ciągłe prowadzą dochodzenie, ale najwyraźniej na niektórych zdjęciach Jodie jest bardzo mała.

- Osiemnaście miesięcy. To wtedy jej rozwój został zatrzymany.

- Tak. Ale są też zdjęcia sprzed tego okresu. Będę cię informować.

Odłożyłam słuchawkę, ale nadal siedziałam na łóżku. Myślałam o biednej Louise Smith, która cierpiała mimo tego, że jej rodzice zostali ostrzeżeni. Cierpiała, bo nic nie zrobili. Jak wielu innym dzieciom zrujnowano życie dlatego, że zignorowano Jodie? *Przez* wszystkie te lata była na liście podwyższonego ryzyka, prawdopodobnie regularnie odwiedzana *przez* opiekunów socjalnych, a nikt nie zauważył niczego podejrzanego?

Myślałam o rodzicach Jodie i przypomniałam sobie coś, co parę ładnych lat wcześniej usłyszałam na szkoleniu dotyczącym molestowania seksualnego. Prowadzący je powiedział wtedy, że schwywanie pedofila jest *znacznie* trudniejsze niż złapanie innego przestępcy, bo pedofil nie uważa, że robi coś złego, więc nie zachowuje się jak ktoś winny.

Wstałam z łóżka, przeszłam przez korytarz i zajrzałam do pokoju Jodie. W porównaniu z wcześniej panującym tu bałaganem, teraz pokój był kompletnie pusty. Czułam w nim było *ciągle* zapach Jodie — indywidualny zapach, który ma każdy i który nas odróżnia, najbardziej poruszająca pamiątka po nieobecnym przyjacielu lub bliskim. Patrzyłam na łóżko, nietknięte od czasu, gdy Jodie wyjechała. We wpadających do pokoju promieniach słonecznych widać było odrobinki kurzu. Stałam w milczeniu, chłonąc unoszącą się obecność Jodie, *ciągle* namacalną, tak jakby w każdej chwili mogła tu wejść i mnie dotknąć. Odwracając się do wyjścia, na komodzie za drzwiami zauważyłam kopertę. Na wierzchu, chyba pismem Pauli, wypisane było imię „Cathy”. Wzięłam kopertę i ją otworzyłam. W środku była liniowana kartka papieru, wyrwana z zeszytu.

Droga Cathy!

Ten list pisze Paula, boja nie umiem. To miło, że się mną opiekowałaś, i żałuję, że nie mogę zostać. Przepraszam za wszystkie złe rzeczy, które zrobiłam. Nic nie mogę na to poradzić. Coś mi każe tak robić. Jesteś jedyną osobą, która się mną opiekowała i się nie złościła. Myślę, że rozumiesz. Mam nadzieję, że mi wybaczysz. Adrian, Lucy i Paula mają ogromne szczęście. Jeśli tam mi się poprawi, będę mogła wrócić i zamieszkać z wami? Czy zostaniesz moje nowe mamusię? Nie chcę tamtej dawnej.

Kochająca Jodie

Swoje imię napisała sama, reszta kartki była pokryta pocałunkami namalowanymi czerwoną kredką. Spojrzałam w niebo i moje oczy wypełniły się łzami. A jednak jakoś do niej dotarłam! Dla tego listu warto było znosić absolutnie wszystko. Moje poczucie porażki zostało ukojone. Tak, Jodie, oczywiście, że zostanę. Kiedy tylko będziesz gotowa, kochanie.

Epilog

Początkowo Jodie bardzo ciężko znosiła przeprowadzkę. *Przez* cały czas miała dwie opiekunki, Clare i Val, przypisane wyłącznie do niej, które pracowały z nią na zmianę. Nie mówiono mi wiele o jej postępach, bo nie pełniłam już w sprawie Jodie żadnej formalnej funkcji; nie byłam ani krewna, ani opiekunem, byłam tylko gościem. Niemniej jednak zrozumiałam, że jej zachowanie często było gwałtowne i zaburzone, podobne ogólnie do tego, jakie wykazywała przez ostatnie kilka miesięcy pobytu u mnie.

Przez parę miesięcy Jodie dzwoniła do mnie regularnie. Numer wybierały Clare lub Val, zamieniały ze mną parę słów i przekazywały słuchawkę Jodie. Zwykle dzwoniła, żeby poskarżyć się na którąś z nich, bo nie pozwalały jej robić dokładnie tego, na co miała ochotę. Słuchałam cierpliwie, gdy znajomy głos wykrzykiwał „Skopię te cholery!”, a później próbowałam je tłumaczyć i wyjaśnić Jodie, że opiekunki robiły to dla jej dobra, tak samo jak kiedyś ja.

Mimo że byliśmy w częstym kontakcie, Jodie bardzo rzadko dawała jakiegokolwiek oznaki przywiązania. Wiedziałam, że czuła się odrzucona i niespokojna przez tę przeprowadzkę, bo za każdym razem, gdy ją odwiedzaliśmy, wyraźnie dawała to do zrozumienia. Gdy zbieraliśmy się do wyjścia, próbowałam ją uściskać, ale zamiast odwzajemnić emocje, biła mnie po rękach lub - jeszcze gorzej - stała posępna i milcząca.

To, co robiliśmy podczas naszych pierwszych wizyt, zależało od nastroju Jodie. Jeśli była w miarę spokojna, jechaliśmy na kręgle, do parku albo obejrzeć jakąś miejscową atrakcję, a później do Pizza Hut, która stała się jej ulubionym miejscem. Jeśli miała zły dzień, zostawaliśmy w domu, bawiąc się z nią w kąciku domowym, gdzie Jodie gotowała obiad na zabawkowej kuchence lub strofowała swoją lalkę, Julie.

Jakkolwiek jednak była nieprzyjazna, zawsze pytała, kiedy znów przyjedziemy, i dzwoniła przed upływem tygodnia. Po mniej więcej sześciu miesiącach umiała już *grzecznie* się pożegnać, bez bicia mnie, i wydawało się, że nastąpił przełom. Chwaliliśmy ją bardzo. Jodie nigdy nie mówiła o swoich uczuciach, poza nienawiścią, którą wciąż czuła do ojca, więc mogliśmy tylko interpretować jakieś sygnały, które dawała. Nigdy mi nie powiedziała, że się na mnie gniewała czy że się czuła odrzucona. Ale równocześnie nie powiedziała mi też, że tęskniła i czekała na nasz przyjazd. Czułam, że jej zdolność do normalnego pożegnania się z nami była dobrym znakiem, bo wpływała z pogodzenia się z pobytem w Wysokich Dębach, a może nawet z czymś jeszcze.

W tamtym czasie zastanawiano się nad zainicjowaniem kontaktów Jodie z jej bratem i siostrą, którzy trafili do rodziny adopcyjnej. W końcu postanowiono zostawić tę sprawę w spokoju. Jodie, poza terapią, prawie nie wspominała rodzeństwa i z ogólnej obserwacji wynikało, że nie byli ze sobą blisko związani, więc najlepiej było pozwolić Benowi i Chelsea rozpocząć nowe życie z czystą kartą. Pod wieloma względami Jodie utraciła dzieciństwo, ale oni wciąż zachowali swoje, bo zostali oddani pod opiekę w znacznie młodszym wieku niż ona i —jak się domyślałam — uniknęli molestowania, które dotknęło ich starszą siostrę.

Jodie w Wysokich Dębach robiła postępy, ale jej terapia i powrót do zdrowia były ograniczone w związku z trudnościami w nauce. Rezonans mózgu wykazał uszkodzenia, które najprawdopodobniej były rezultatem uderzeń w głowę, gdy Jodie była jeszcze niemowlakiem. Być może dlatego Jodie robiła minimalne postępy w nauce, mowie czy umiejętnościach ruchowych, choć w jej ogólnym zachowaniu nastąpiła pewna poprawa, Jodie bardzo szybko i dużo przybrała w Wysokich Dębach na wadze. Miała już nadwagę, gdy przyjechała do mnie, ale udało mi się ją jakoś ustabilizować. Tymczasem w Wysokich Dębach niektóre dzieci miały anoreksję, więc w domu panowała zasada, by pozwalać podopiecznym na jedzenie prawie wszystkiego, co chcieli. Nieograniczana pod tym względem, Jodie brała po dwie dokładki wszystkiego i w ciągu kilku miesięcy fałdy tłuszczu znów pojawiły się w talii i na udach.

Kilka miesięcy po wyjeździe Jodie odbyły się dwie rozprawy: w sprawie ustalenia opieki i w sprawie oskarżenia jej oprawców. Rozprawa o ustalenie opieki odbyła się jako pierwsza i zakończyła się dla Jodie, Bena i Chelsea wydaniem nakazu opieki stałej, co oznaczało, że wszyscy pozostawali tam, gdzie byli.

Podczas rozprawy mój dziennik został na wniosek sędziego włączony do sprawy jako dowód. Nie musiałam stawać przed sądem osobiście.

Kilka miesięcy później odbyła się rozprawa w sadzie karnym. Ze względu na brak wystarczających dowodów zarzuty nie obejmowały właściwie przestępstw popełnionych na Jodie. Zamiast tego jej ojcu i pozostałym mężczyznom postawiono zarzuty w odniesieniu do innego dziecka oraz dotyczący posiadania i robienia pedofilskich *zdjęć*. W tej rozprawie również nie uczestniczyłam, a o wyroku dowiedziałam się od Jill. Ojciec Jodie i dwaj *mężczyźni* zostali uznani za winnych wszystkich zarzucanych im czynów. Matkę Jodie i pozostałych dwóch oskarżonych uniewinniono. Wszyscy trzej skazani otrzymali wyroki więzienia.

Jodie była na liście podwyższonego ryzyka od urodzenia i do czasu *przekazania*, jej pod opiekę *zastępczą*, odnotowano ponad pięćdziesiąt wizyt na urazówce, z obrażeniami obejmującymi

złamania kości, oparzenia i rany cięte. Akta Jodie w pomocy społecznej były tak obszerne, że zajmowały dwie walizki.

Historia Jodie była katalogiem błędów i aktem oskarżenia w stosunku do skandalicznych zaniedbań pomocy społecznej. Złą praktyką był już sam fakt, że Jodie była na liście podwyższonego ryzyka przez osiem lat. Dzieci umieszcza się na niej w celu monitorowania i oceny sytuacji, tak więc albo powinno zostać wszczęte dochodzenie, albo pomoc społeczna powinna potwierdzić, że wszystko jest w porządku, i wtedy wykreślić dziecko z listy. W przypadku Jodie nie zrobiono ani jednego, ani drugiego.

Jedną z przyczyn takiego stanu jest duża częstotliwość zmian opiekunów społecznych - w przypadku Jodie było ich ponad dwudziestu. Wyglądało na to, że jej opiekunowie socjalni unikali wizyt domowych, a jeśli już tam przychodzili, byli zakłopotani przy zadawaniu niewygodnych pytań. W wyniku tego zakłopotania rodzina często przechodziła w ręce kolejnego opiekuna. Nawet jeśli brzmi to okropnie, to rozumiałam ich. Większość opiekunów społecznych to kobiety i oczekuje się od nich wizyt w agresywnych rodzinach, nie zapewniając żadnego wsparcia. Często są atakowane, ale rzadko naciskają na wymierzenie kary, bo ich praca wymaga budowania dobrych relacji z rodzicami. W rezultacie rodzice, którzy znają działanie systemu, wiedzą, że mogą bezkarnie traktować opiekunów społecznych tak, jak chcą. I w tym kontekście nie dziwi fakt, że niektórzy opiekunowie unikają wizyt w agresywnych rodzinach lub akceptują nieprzekonujące tłumaczenia.

Ponieważ rodzina Brownów przechodziła od jednego umęczonego opiekuna społecznego do drugiego, z których każdy musiał wypełniać mnóstwo dokumentów, akta w pomocy społecznej szybko pęczniały i wkrótce stały się tak obszerne, że sama ich objętość nie pozwalała żadnej zaangażowanej osobie na zaznajomienie się z całością. Gdyby ktokolwiek to wszystko przeczytał i zobaczył ogólny obraz, w tym wszystkie wizyty Jodie w szpitalu, to z pewnością zareagowano by znacznie wcześniej. Niemniej jednak sprawa Jodie nie jest pierwszą, która została w ten sposób przeoczona, i niestety wątpię też, by była ostatnią.

Obecnie, trzy lata później, Jodie wciąż wykazuje powolną, niewielką poprawę. Większość jej lęków zniknęła i Jodie jest prawdopodobnie na tyle szczęśliwa, na ile w ogóle może być. Intensywna terapia pomogła jej poskładać różne części swojej osobowości, więc Amy i Reg pokazują się już sporadycznie. W Wysokich Dębach czuje się bezpiecznie i wie, że już nie potrzebuje ochrony tych dwóch osobowości.

Jodie chodzi teraz do szkoły specjalnej. Wraz z wiekiem jej problemy w nauce stają się coraz bardziej ewidentne. Gdy zabieram ją gdzieś, ludzie traktują ją jak dziecko upośledzone i mówią do niej w inny sposób, z przesadną uprzejmością. Ma dużą nadwagę, co powoduje, że *jest jeszcze* bardziej nieporadna i narażona na urazy. Widoczne są też jej opóźniony rozwój i niewyraźna wymowa. Z każdym rokiem przepaść między nią a jej rówieśnikami się pogłębia. W którymś momencie — możliwe, że już niedługo - osiągnie szczyt swoich możliwości, jeśli chodzi o naukę, a wtedy jej ułomność będzie *jeszcze* bardziej oczywista na tle rówieśników.

Pomijając kontekst trwającej ciągle terapii, Jodie bardzo rzadko wspomina już swoich rodziców. Wymienia się kartkami urodzinowymi i świątecznymi z Benem i Chelsea. Raz rozmawiała nawet z nimi przez telefon, ale rozmowy tej nie można nazwać udaną. Jodie była później bardzo zagubiona i nieprzyjazna, więc próba nie zostanie już *raczej* powtórzona. Większość tego, co przeżyła Jodie, została głęboko zakopana, prawdopodobnie na zawsze. Tylko czas to pokaże. Ciągłe odwiedzamy Jodie z moimi dziećmi, co cztery lub sześć tygodni, robiąc sobie ponadtrzystukilometrowa wycieczkę. Prawie każdego tygodnia rozmawiamy też z nią przez telefon. Podczas ostatniej wizyty zabrałyśmy ją z Paula do restauracji (żeby zjeść coś innego niż pizzę) i gdy czekałyśmy na zamówienie, Jodie niespodziewanie popatrzyła na Paulę i powiedziała: - Podobają mi się twoja koszulka. Jest bardzo ładna. - Byłyśmy zachwycone. Był to pierwszy komplement, jaki kiedykolwiek usłyszałyśmy od Jodie. Potwierdzał on prawdziwy postęp, bo świadczył o początkach empatii, jaka Jodie zaczynała odczuwać: powiedziała to, bo chciała zrobić Pauli przyjemność i ponieważ chciała, żebyśmy ją lubiły.

Wciąż trudno mi zrozumieć to, co stało się Jodie. Mogę do pewnego stopnia przyjąć, że są rodzice, którzy zaniedbują swoje dzieci przez picie, narkotyki czy z powodu choroby psychicznej, i ich okrucieństwo jest efektem ubocznym innych problemów. Ale przerażająca otchłań zła, w jakiej żyła Jodie, jest tajemnica tak mroczna, że trudno nawet w nią uwierzyć. Gdy patrzę na swoje dzieci i - całe szczęście - większość innych, które są kochane i wychowywane z troską, trudno mi zrozumieć, co myślą rodzice, którzy w ogóle nie dbają o swoje dziecko i nie tylko je zaniedbują, ale dla zaspokojenia swoich perwersyjnych potrzeb biorą aktywny udział w jego niszczeniu.

Jodie została skrzywdzona. Uszkodzeniu uległy jej procesy psychiczne i emocje. W tym sensie można nawet powiedzieć, że jest zniszczona. Wątpię, by kiedykolwiek wyzdrowiała na tyle, by móc prowadzić normalne życie. Nigdy nie będzie cieszyć się życiem tak, jak powinna. Została skazana na wieczną karę przez ludzi, którzy mieli o nią dbać. Dla mnie to najgorsze przestępstwo, jakie można sobie wyobrazić.

Ciągle odwiedzam Jodie w Wysokich Dębach. Wiele dzieci, które były tam, gdy Jodie przyjechała po raz pierwszy, opuściło już ośrodek - wyzdrowiały na tyle, że mogły trafić do długoterminowych rodzin zastępczych. Czy Jodie również będzie mogła kiedyś to zrobić, pozostaje na razie wielką niewiadomą, ale jeśli by się tak stało, to nie jestem za stara i moja oferta jest ciągle aktualna. I ciągle zajmuje się opieką zastępczą. Zawsze jest jakieś dziecko, które potrzebuje pomocy.

Koniec